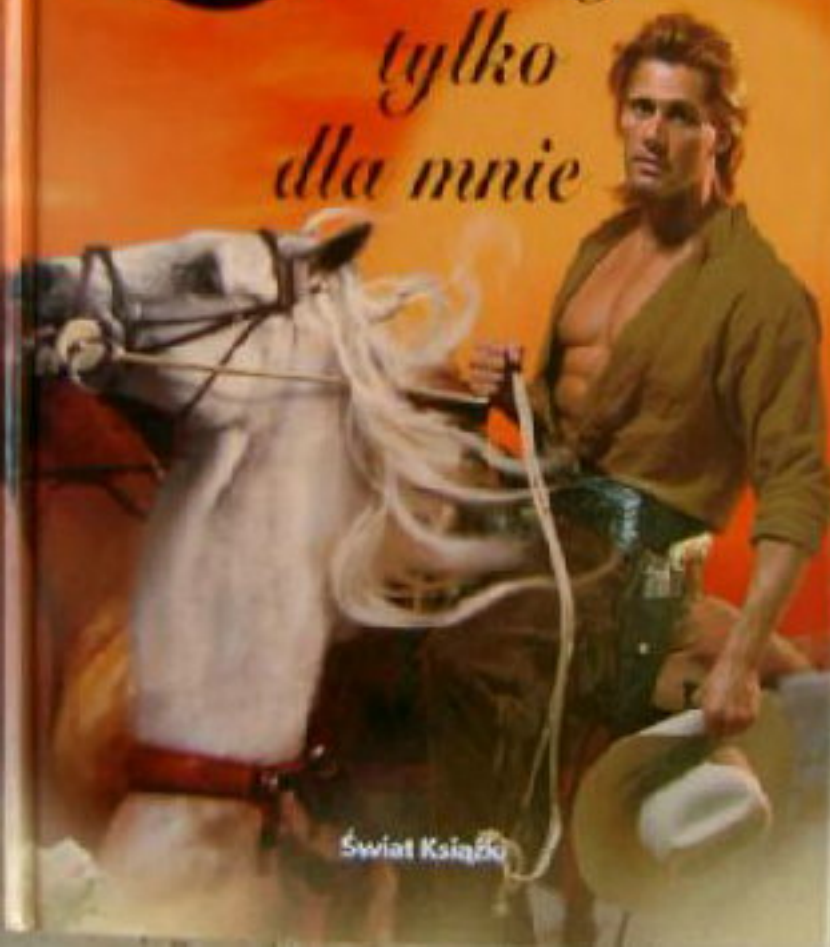


JOHANNA
Lindsey

*Mężczyzna
tylko
dla mnie*



Świat Książki

1

Mortimer Laton został dziś rano pochowany w Haverhill, mieście w stanie Massachusetts, gdzie się urodził i mieszkał przez całe życie. Właściwie swoją obecną nazwę Haverhill otrzymało dopiero w roku 1870. Za czasów narodzin Mortimera i jego dzieciństwa miasto to znane było jako Pentucket.

Żona Mortimera, Ruth, spoczywała na jednym ze starszych cmentarzy, z którego już nie korzystano, gdyż wkrótce po jej pochówku zabrakło na nim miejsc. Nie obeszłoby jej zbytnio to, że mąż nie spoczął na wieczność w sąsiednim grobie. Prawdę powiedziawszy, pewnie ucieszyłaby się z zaistniałego obrotu sprawy, jako że nie łączyło ich uczucie miłości.

Na wielkiej płycie nagrobnej, którą zamówiono dla Mortimera, miało zostać wyryte: „Tutaj spoczywa Mortimer Laton, ukochany ojciec Amandy i Marian”. Tak zarządziła Amanda Laton i według niej ta krótka inskrypcja była idealna. Uwielbiała Mortimera, a on z kolei był dla niej idealnym ojcem, zapewniającym wszystko, czego potrzeba dziecku, by czuło się kochane i bezpieczne. Gdyby zapytano Marian o zdanie, usunęłaby z inskrypcji słowo „ukochany”.

Pogrzeb nie zgromadził wielu osób i był ponury, jak zresztą większość pogrzebów, pomimo panującej tego ranka pięknej pogody i obfitości budzących się do życia wiosennych kwiatów. Wzięła w nim udział jedynie służba Mortimera, kilku jego współników oraz obie córki.

Służba zachowywała się niezwykle powściągliwie. Nikt nie płakał ani nie zawodził z żalu, jak to miało miejsce podczas pogrzebu Ruth siedem lat temu, kiedy to Marian, łkając histerycznie, zrobiła z siebie widowisko. Czuła wtedy, że wraz ze śmiercią matki straciła jedyną osobę, której prawdziwie na niej zależało.

Podobnie było dzisiaj. Amanda, która od dnia narodzin była ulubienicą ojca, powinna była rozdzierająco szlochać. Jednak od chwili, gdy siostry dowiedziały się, że ojciec zginął w zeszłym tygodniu w drodze powrotnej z odbywanej w interesach podróży do Chicago, jakimś sposobem wypadając z pociągu podczas przechodzenia z jednego wagonu do drugiego, Amanda nie uroniła ani jednej łzy.

Służba szeptała między sobą o tej dziwnej formie szoku, a Marian może i by się z nimi zgodziła, gdyby nie to, że jej siostra zdawała się rozumieć, że ojciec odszedł na zawsze. Mówiła o jego śmierci zupełnie bez emocji, tak jakby rozmawiała na temat jakiegoś drobnego wydarzenia, które dla niej osobiście nie miało wielkiego znaczenia. Szok? Może i tak, ale takiego typu, jakiego Marian jeszcze dotąd nie widziała. Z drugiej jednak strony Amanda była bardzo egocentryczną osobą, dokładnie taką jak Mortimer. Najprawdopodobniej bardziej przejmowała się tym, w jaki sposób śmierć ojca odbije się na jej życiu, a nie faktycznym odejściem ojca.

Mortimer był zdolny do kochania tylko i wyłącznie jednej osoby. Marian uświadomiła to sobie bardzo wcześnie i porzuciła nadzieję, że może być inaczej.

Ojciec nie kochał swojej żony. Ich małżeństwo skojarzyli rodzice. Byli jedynie dwójkiem ludzi dzielących ten sam dom i mających kilka wspólnych zainteresowań. Pozostawali ze sobą w dobrych stosunkach, jednak nie łączyła ich miłość. Rodzice Mortimera umarli jeszcze przed narodzinami Marian, tak więc nie miała szansy zobaczyć, jak zachowywał się w stosunku do nich. Jedyna siostra ojca opuściła rodzinne miasto, kiedy Marian była mała. Mortimer nigdy o niej nie wspominał, co było oznaką tego, że jej los był mu najzupełniej obojętny.

Kochał jedynie Amandę. Nikt nie miał co do tego absolutnie żadnych wątpliwości. Oczarowała go w chwili swoich narodzin i odtąd poświęcał jej całą swoją uwagę. Prawdę powiedziawszy, okropnie ją zepsuł. Siostry mogły przebywać w tym samym pokoju, on jednak dostrzegał tylko Amandę, jakby Marian była niewidzialna.

Teraz nie było go wśród żywych. Marian mogła przestać się zadrezczać. Przez te wszystkie lata ojciec zaspokajał jej potrzeby materialne. Jeśli chodzi o tę kwestię, obie siostry były traktowane jednakowo. Lekceważył jednak zupełnie potrzeby uczuciowe drugiej córki.

Matka próbowała temu zaradzić i udawało jej się to, dopóki żyła. Dostrzegała, jak bardzo rani Marian to, że Mortimer nie darzy jej uczuciem, i choć kochała obie córki, do Marian żywiła szczególny sentyment. Niestety nie uszło to uwagi Amandy, która była tak bardzo zazdrosna, pragnąc miłości matki na wyłączność, że stosunki między siostrami uległy takiemu ochłodzeniu, iż dawno już znikła wszelka nadzieja na ich ocieplenie. Nie istniał taktowny sposób ujęcia tego w słowa. One się po prostu szczerze wzajemnie nie znosiły.

I nie chodziło tylko o zazdrość. To może i udałoby się w końcu jakoś przewyciężyć. Długa lista wzajemnych pretensji mogła ostatecznie zostać puszczona w niepamięć, gdyż większość z nich miała swój początek w dzieciństwie, które już dawno minęło. Psucie i rozpieszczanie Amandy przez ojca doprowadziło do tego, że stała się egocentryczną i, oględnie mówiąc, niezbyt miłą osobą.

Bez względu na to, czy robiła to celowo, czy też zupełnie odruchowo, Amandzie nazbyt często udawało się ranić uczucia innych osób. Niepokojące było to, że zdawała się wcale tym nie przejmować ani nie dostrzegać wyrządzanych przez siebie krzywd. No i jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się za to kogokolwiek przeprosić.

Marian nie zliczyłaby, ile razy musiała usprawiedliwiać zachowanie siostry i przeproszać ludzi przez nią skrzywdzonych. Nie znaczyło to bynajmniej, że czuła się odpowiedzialna

za czyny siostry. O nie! Amanda była złośliwa i nieprzyjemna, odkąd Marian sięgała pamięcią.

Żadna z nich nie miała przyjaciółek. Amanda dlatego, że nie chciała. Wystarczyło jej uczucie znikowanego na jej punkcie ojca. On był jej najlepszym przyjacielem. Marian bardzo chciał mieć przyjaciółki, ale dawno dała sobie z tym spokój, ponieważ siostra doprowadzała do tego, iż kandydatki na nie uciekały z płaczem. Efekt był taki, że koleżanki nie miały ochoty zbliżać się do Marian, gdyż to oznaczało, że mogłyby natknąć się na Amandę.

Zupełnie odrębną kwestię stanowili panowie. Gdy obie z Amandą zaczęły dorastać do wieku stosownego do zamążpójścia, rodzinie Latonów częste wizyty składali goście rodzaju męskiego. Atrakcja była podwójna - majątek Mortimera, uznawany za dość pokaźny, no i uroda Amandy, bez wątpienia jednej z najpiękniejszych dziewcząt w mieście.

Amanda lubiła, gdy mężczyźni poświęcali jej uwagę. Rozkwitała pod wpływem ich pochlebstw. A kiedy pojawiał się niechciany adorator, tak długo okazywała mu lekceważenie i subtelnie obrażała, aż wreszcie zniechęcony odchodził. Od prawie roku miała stałą grupę adoratorów. Nie faworyzowała jednak żadnego z nich i żadnego nie zamierzała poślubić.

Szkoda. Marian niezmiernie tego żałowała. Każdego wieczoru modliła się, by jej siostra wyszła za mąż i wyprowadziła się z domu. Wreszcie mogłaby zacząć normalnie żyć, a nie ciągle drzeć, że jakiś mężczyzna zacznie się do niej zalecać i stanie się obiektem kpin jej siostry. Do tej pory okazała zainteresowanie dwóm mężczyznom i w obydwu przypadkach dostała nauczkę. Nie miała zamiaru ponownie brać odpowiedzialności za to, że stali się obiektem ciętego języka Amandy, gdy ośmielili się ją ignorować i preferować towarzystwo Marian.

Dlatego też, mimo że były bliźniaczkami, Marian zadawała sobie wiele trudu, by nie wybijać się na tle siostry. Aby nie zwracać na siebie uwagi, wybierała suknie w nietwarzowych kolorach i o nieładnym kroju. Włosy upinała w surowy kok, który bardziej pasował do starszej pani niż do młodej, zaled-

wie osiemnastoletniej dziewczyny. Przebranie nie przyniosło-
by oczekiwanego efektu, gdyby nie okulary. Oprawki były du-
że, a szkła tak grube, że prawie dwukrotnie powiększały jej
oczy, przez co wydawały się dziwnie wyłupiaste, a ona zdecy-
dowanie nieatrakcyjna.

Siedziały w gabinecie ojca naprzeciwko prawnika, który od-
czytywał testament. Amanda wyglądała jak zawsze pięknie,
nawet w żałobnej czerni. Jej suknia była elegancka - jak zresz-
tą mogłoby być inaczej. Ozdobiona koronką i małutkimi kora-
likami, tworzącymi wymyślne wzory, była bardziej twarzowa
niż niejedna z jej bardziej strojnych kreacji. Na tę uroczystą
chwilę uczesała się nie tak frywolnie jak zwykle - choć raz zło-
ciste pukle zebrała ciasno z tyłu głowy.

Marian stanowiła całkowite przeciwieństwo siostry. Miała
na sobie czarną suknię bez żadnych misternych ozdóbek, któ-
re można by podziwiać, włosy upięła nieco staranniej niż zwy-
kle, ale i tak uwagę przyciągały brzydkie okulary, które zdomi-
nowały jej wygląd. Była jak ćma obok motyla. Przypuszczała,
że łatwo być motylem, z doświadczenia zaś wiedziała, że dola
ćmy jest ciężka.

Pokój wydawał się inny, gdy za biurkiem zamiast Mortime-
ra zasiadł jego prawnik. Amanda i Marian dobrze znały Alber-
ta Bridgesa. Często bywał zapraszany na kolacje. Dotrzymy-
wały mu towarzystwa, kiedy ich ojciec, wiecznie cierpiący na
brak czasu, przynosił do domu papierkową robotę i zamykał
się w gabinecie.

Albert zazwyczaj mówił do siostr po imieniu. Znał je wy-
starczająco długo, by tak właśnie czynić. Dzisiaj jednak zwrac-
ał się do każdej z nich per „panno Laton” i wyglądał na skrę-
powanego zadaniem, jakie przypadło mu w udziale.

Jeżeli chodzi o testament, to jak na razie nie było żadnych
niespodzianek. Kilka osób służących w domu rodziny Lato-
nów otrzymało niewielkie zapisy, jednak zdecydowana więk-
szość majątku Mortimera przypadała w udziale jego córkom -
w równych częściach. Po raz kolejny okazało się, że niespra-
wiedliwie dzielił nie dobra materialne, lecz uczucia. Do tych

pierwszych należały udziały w polowie tuzina różnorodnych przedsięwzięć, nieruchomości, zarówno w mieście, jak i w innych częściach stanu, kwota w banku większa niż dziewczęta mogłyby się spodziewać. Nie było jednak żadnych niespodzianek, dopóki nie dotarli do końca testamentu.

- Jest jeden warunek - oświadczył Albert, szarpiąc nerwowo kołnierzyk. - Wasz ojciec chciał mieć pewność, że otrzymacie należytą opiekę i nie zostaniecie oszukane przez łowców posagów, zainteresowanych jedynie waszym spadkiem. Tak więc, pomijając pieniądze na pokrywanie codziennych wydatków, cały spadek zostanie wam przekazany dopiero wtedy, gdy wyjdziecie za mąż. Do tego czasu waszą opiekunką pozostanie siostra Mortimera, pani Frankowa Dunn.

Amanda nie odezwała się ani słowem. Zmarszczyła brwi i sprawiała wrażenie, jakby nie dotarły do niej konsekwencje decyzji ojca. Marian przyglądała się jej, czekając na nieunikniony wybuch.

Albert Bridges także spodziewał się gwałtowniejszej reakcji. Przyjrzał się dziewczętom nieufnie i zapytał:

- Czy rozumiecie, co to oznacza?

Marian skinęła głową i nawet się do niego uśmiechnęła.

- Zakładam, że ciocia Kathleen nie ma zamiaru zmieniać trybu życia i miejsca zamieszkania tylko z tego powodu, że umarł jej brat, będziemy więc musiały przenieść się do niej. Czy to właśnie miał pan na myśli?

Albert Bridges odetchnął z wyraźną ulgą.

- Właśnie. Wiem, że konieczność porzucenia wszystkiego i wszystkich, których znacie, może wydawać się okropna, ale nic na to nie poradzę.

- Prawdę mówiąc - oświadczyła Marian - nie mam nic przeciwko temu. Nie łączą mnie z tym miastem jakieś szczególne więzi...

Wtedy rozpełtała się burza. Amanda zerwała się na równe nogi tak gwałtownie, że z koka wysunęły się dwa jasne loki. Ciemnoniebieskie oczy błyszczały niczym szafiry w jubilerskim świetle, usta zacisnęły się w cienką linię.

- Coś takiego absolutnie nie wchodzi w rachubę! Czy masz pojęcie, gdzie mieszka ta nasza nieznana ciotka? Na drugim końcu świata!

- Na drugim końcu kraju - sprostowała spokojnie Marian.

- Na jedno wychodzi! - wrzasnęła Amanda. - Mieszka wśród dzikusów.

- Dzikusów już tam nie ma.

Amanda łypnęła na nią okiem.

- Zamknij się, po prostu... po prostu się zamknij! Ty możesz sobie jechać i zamieszkać na tym odludziu w Teksasie, gnść tam i zdechnąć. Ja natychmiast wyjdę za mąż i zostanę tutaj, bardzo dziękuję.

Albert chciał jeszcze coś dopowiedzieć i starał się ją powstrzymać, ale Amanda była zbyt wściekła, by go słuchać, i wymaszerowała z pokoju. Posłał Marian zbołałe spojrzenie.

- Ona nie może tak po prostu wyjść za mąż - rzekł i westchnął ze znużeniem.

- Tak przypuszczałam.

- To znaczy może, ale wówczas straci swoją część spadku. Jako prawna opiekunka, ciotka musi wyrazić zgodę na małżeństwo każdej z was.

- Przyprowadzić ją? - zapytała Marian. - Nie wyszła jeszcze z domu. Gdyby tak się stało, usłyszelibyśmy głośny trzask drzwi wejściowych.

- Sam po nią pójde - westchnął ponownie Albert. - Powinienem być od razu wyrazić się jaśniej.

Wstał z biurka, ale w tym momencie Amanda wmaszerowała z powrotem do gabinetu. Towarzyszył jej Karl Ryan, jeden z jej zalotników, wprawdzie tym najmniej lubianym, tolerowała go jednak, ponieważ był przystojny i niewątpliwie stanowił dobrą partię. Dopóki jakimś mężczyzną interesowały się inne kobiety, choćby tylko jedna, Amanda pragnęła, by zajął się właśnie nią. Zazdrość rywalek powodowała, że Amanda rozkwitała.

Karl zjawił się rankiem, by towarzyszyć siostrze podczas pogrzebu. Amanda, zbyt skupiona na sobie, nawet nie zauwa-

żyła, że tylko on przybył z kondolencjami. Marian wiedziała, że inni zalotnicy byli odprawiani od razu przy drzwiach, otrzymując zwięzłe wyjaśnienie, że dziewczęta nie przyjmują wizyt. Ktoś postanowił, że nikt nie powinien zakłócać pierwszych dni żałoby. Marian była za to wdzięczna, ponieważ nie miała ochoty z nikim się teraz spotykać. Amanda najpewniej sprzeciwiłaby się temu zarządzeniu, gdyby o nim wiedziała.

Karla nie udało się odprawić. Zjawił się bowiem w chwili, gdy dziewczęta usłyszały wiadomość o śmierci Mortimera, i dowiedział się o tym od Amandy. Od powrotu z pogrzebu czekał w salonie, gotów nieść pocieszenie. Ale nie wyglądało na to, by Amanda potrzebowała pocieszenia. Potrzebne jej było uspokojenie, bo nadal była wściekła.

- Proszę, rozwiązałam ten problem - oświadczyła triumfalnie. - Jestem zaręczona z panem Ryanem i wkrótce za niego wyjdę. Nie chcę już słyszeć ani słowa o wyjeździe z Haverhill. - I dodała drwiącym tonem: - Jednak z przyjemnością pomogę ci się spakować, Marian.

- O ile pan Ryan nie zechce udać się razem z wami do Teksasu, by poznać waszą ciotkę i uzyskać jej przyzwolenie, poślubienie go nie spowoduje tego, że otrzyma pani swoją część spadku, panno Laton - wyjaśnił niechętnie Albert. - Bez zgody pani Dunn na zamążpójście nie dostaniesz ani grosza.

- Nie! Mój Boże, nie wierzę, że papa mi to zrobił. Wiedział, że nie znoszę długich podróży.

- Nie umarł by przysporzyć ci kłopotu, Amando - rzekła z irytacją w głosie Marian. - Jestem pewna, że sądził, iż wyjdiesz za mąż na długo przed jego śmiercią.

- Będę bardziej niż szczęśliwy, mogąc udać się razem z wami do Teksasu - oświadczył Karl.

- Nie opowiadaj głupstw - warknęła Amanda. - Nie widzisz, że to wszystko zmienia?

- Wcale nie - upierał się Karl. - Nadal chcę, byś została moją żoną.

Marian wiedziała, co teraz nastąpi. Pragnęła mu tego oszczędzić.

- Lepiej będzie, jak zostawisz nas na chwilę same - zasugerowała pospiesznie. - Ona jest zdenerwowana...

- Zdenerwowana! - zawołała Amanda. - Jestem bardziej niż zdenerwowana. Moja siostra ma rację - wyjdź stąd. Nie istnieje już powód, dla którego miałabym cię poślubić. Nie przychodzi mi do głowy doprawdy żaden.

Marian odwróciła wzrok, by nie patrzeć na zdruzgotanego tymi kilkoma niefrasobliwymi słowami Karla, ale nie zrobiła tego dostatecznie szybko. A wyglądał na niezwykle szczęśliwego, kiedy zaledwie kilka chwil temu wszedł do gabinetu, niespodziewanie zdobywszy to, czego tak bardzo pragnęło jego serce. On naprawdę chciał, by Amanda została jego żoną. Chyba tylko niebiosa wiedziały dlaczego, ale tak właśnie było. W jakiś sposób nie dostrzegał albo wolał ignorować jej nieprzyjemne cechy charakteru - aż do teraz.

Pozostaje mieć nadzieję, że kiedy dojdzie do siebie po odrzuceniu, będzie się radował, że udało mu się uniknąć małżeństwa z pozbawioną serca jędzą.

2

Według większości standardów to było niewielkie ranczo, ale według standardów obowiązujących w Teksasie - jeszcze niniejsze. Położone na żyznych równinach na zachód od Brazos, z liczącym kilkaset metrów odgałęzieniem rzeki, biegnącym przez północno-wschodnią część posiadłości, Twisting Barb miało niezwykle urodzajną ziemię. Na ranczu hodowano około tysiąca sztuk bydła, choć miejsca było znacznie więcej, ale właściciele nigdy nie aspirowali do tytułu „król bydła”.

Obecnie był już tylko jeden właściciel. Po śmierci męża prowadzenie rancza przejęła Red. Dobrze się tego nauczyła i świetnie sobie radziła z jednym tylko wyjątkiem - brakowało jej pracowników, którzy by się jej słuchali.

Doszło do tego, że była już naprawdę zdesperowana i poważnie myślała o sprzedaniu rancza. Po śmierci męża wszyscy

pracownicy odeszli. Rozpuściła w miasteczku wieści, że szuka chętnych do pracy, ale kowboje z prawdziwego zdarzenia najmowali się do roboty na ranczu Kinkaida. U niej chcieli się zatrudnić tylko nastoletni chłopcy z mlekiem pod nosem i młodzi ludzie ze Wschodu, którzy z różnych powodów zawędrowali na Zachód. Nie mieli pojęcia o pracy na ranczu i trzeba ich było uczyć absolutnie wszystkiego.

Red chętnie dzieliłaby się swoją wiedzą, oni jednak nie mieli ochoty się uczyć, a już na pewno nie od kobiety w średnim wieku, którą postrzegali jako swoją drugą matkę. Jak to młodzi, niby jej słuchali, ale tak naprawdę nie słyszeli tego, co do nich mówi. Jej wyjaśnienia wpadały jednym uchem, a wylatywały drugim. Red już miała się poddać i sprzedać ranczo, kiedy pojawił się Chad Kinkaid.

Znała go od wielu lat. Był synem sąsiada, Stuarta Kinkaida, ranczera, który rzeczywiście aspirował do tego, by cieszyć się sławą „króla bydła”. Stuart był właścicielem największego rancza w okolicy, które ciągle powiększał. Zapukałby także do jej drzwi, gdyby wiedział, że Red myśli o sprzedaniu ziemi. Tak naprawdę nie chciała tego robić, ale uznała, że nie ma innego wyjścia, kiedy po śmierci męża sprawy tak fatalnie się układały. Dzięki Chadowi sytuacja zmieniła się diametralnie i Red wciąż dziękowała Bogu za to, że trzy miesiące temu burza przygnała go do Twisting Barb.

O tej porze roku nawałnice zdarzały się rzadko. Chad znalazł się wtedy w pobliżu, bo pokłócił się z ojcem. Trzasnął drzwiami i wyszedł z domu tak jak stał. Red udzieliła mu noclegu. Będąc młodzieńcem przenikliwym, od razu zauważył, że coś jest nie tak i następnego ranka podczas śniadania wyciągnął ją na zwierzenia. Nawet się nie spostrzegła, gdy opowiedziała mu o wszystkich problemach, z jakimi się zmagала.

Nie spodziewała się, że Chad zaoferuje jej pomoc. A powinna była. Stuart Kinkaid może i był niezbyt przyjemnym typem, ale wychował syna na naprawdę porządnego człowieka.

Gdyby była dwadzieścia lat młodsza, od razu by się w nim zakochała, tak bardzo była mu wdzięczna, ale miała tyle lat, że

mogłaby być jego matką. Prawda była taka, choć nikt oczywiście jej nie znał, że od dnia, w którym poznała go dwanaście lat temu, była zakochana w jego ojcu. Stuart przyszedł powitać ją i jej niedawno poślubionego męża, swoich nowych sąsiadów. Podarował im także sto sztuk bydła na dobry początek.

Był chyba najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego zdarzyło jej się spotkać, co w połączeniu z uprzejmym zachowaniem tamtego dnia spowodowało, że zawładnął jej sercem i już w nim pozostał. Mąż Red nigdy się o tym nie dowiedział. Stuart także i tak miało pozostać. I mimo że żona Stuarta zmarła na długo przed ich poznaniem, a ona sama niedawno owdowiła, ani razu nie pomyślała o tym, by zrobić coś w związku ze swymi uczuciami do wysokiego Teksasczyka.

Stuart Kinkaid znajdował się poza jej zasięgiem: bogaty, nadal przystojny, poważany, mógł mieć każdą kobietę, jaka mu się zamarzyła. Ona zaś była sympatyczną szarą myszką o rudych włosach, za którą w czasach młodości nie oglądało się wielu mężczyzn i z całą pewnością nie działo się tak teraz, kiedy zbliżała się do czterdziestki.

Chad pod wieloma względami był podobny do ojca, również jak on przystojny, ale nigdy nie słyszała, by łamał kobietom serca, najwyraźniej więc nie wykorzystywał tego atutu na swoją korzyść. Jako młody chłopak może i był nieco niesforny, może i miewał scysje z ojcem, ale można było na nim polegać. Jeśli mówił, że coś zrobi, wywiązywał się z obietnicy, choćby się waliło i paliło. No a poza tym wyrastał na najlepszego hodowcę bydła w okolicy. W przyszłości miał przejąć ogromne ranczo Kinkaida.

Chad nie potrzebował dużo czasu na to, by przekształcić bandę żółtodziobów, na których Red była skazana, w dobrze wyszkolonych pracowników. Powiedzieć, że chłopcy słuchali się go, to mało - oni go wprost uwielbiali. Młody Kinkaid wiedział, jak postępować z ludźmi, nawet gdy musiał ich zrugać, nie mieli poczucia, że do niczego się nie nadają. Robota paliła im się w rękach. Chad sprawił, że od trzech miesięcy ranczo prosperowało całkiem nieźle.

Chad był hodowcą bydła w każdym calu. Logicznym tego następstwem byłoby założenie własnego rancza, ale wtedy na dobre odciąłby się od ojca, a Red nie sądziła, by tego chciał. Nie bez powodu opuścił rodzinny dom. Dawał Stuartowi czas na to, by coś zrozumiał i zaakceptował decyzję syna.

Red była realistką. Trzy miesiące to wystarczająco długi okres, by zrozumieć, że Chad wkrótce ją opuści i uda się albo do innego stanu, albo wróci do domu, by wyjaśnić z ojcem nieporozumienia. Miała jednak nadzieję, że pozostawi ją w dobrych rękach. Wyglądało na to, że wkłada dużo wysiłku w to, by dobrze wyszkolić najstarszego kowboja, Lonny'ego, tak by mógł objąć kontrolę nad wszystkim, kiedy on odejdzie. Jeszcze miesiąc-dwa i Lonny stanie się naprawdę dobrym zarządcą. Red nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Nie wiedziała tylko, czy Chad zostanie u niej miesiąc-dwa.

Najprawdopodobniej tak. W zeszłym tygodniu skrzyła sobie nogę w kostce i mimo że czuła się już znacznie lepiej, nie dała tego po sobie poznać. Chad martwił się o nią, a ona słusznie sądziła, że nie opuści jej w potrzebie.

3

Wieczorem, po kolacji, Red przyłączyła się do Chada, który siedział na frontowej werandzie, by choć przez chwilę nacieszyć oczy widokiem zachodzącego słońca. Weranda była długa i szeroka, a za nią rozciągał się całkiem spory dom. Mąż Red nie oszczędzał przy jego budowie. Oboje pochodzili ze wschodu i byli przyzwyczajeni do wygod.

Kilka lat po przyjeździe do Teksasu dobudował piętro z myślą o dzieciach, które mieli nadzieję mieć. Red nie potrafiła powiedzieć, dlaczego nie dane im było zostać rodzicami. Na pewno nie z powodu braku starań. Uznała, że takie było ich przeznaczenie i już.

Zza rogu od strony baraku dobiegały łagodne dźwięki gitary. Rufus miał do tego dryg i stało się już zwyczajem, że wie-

czorem, kiedy chłopcy odpoczywali po ciężkiej całodniowej pracy, grał kilka melodii. Red przysłuchiwała się dźwiękom gitary z pewnej odległości. Barak był jedynym miejscem na ranczu, do którego nigdy nie zagłądała.

Chad sypiał tam razem ze wszystkimi, ale posiłki jadał z Red w głównym budynku. Nikt się nie dziwił, że syn najbogatszego ranczera w okolicy siada z nią przy jednym stole. Nalegała na to. Zazwyczaj też tylko we dwoje spędzali wieczory na werandzie. Nie zawsze rozmawiali. Prowadzenie rancza szło gładko, na ogół bieżące sprawy były omówione podczas kolacji, tak że o zmierzchu na werandzie mogli sobie spokojnie pomilczeć, zatopieni we własnych myślach.

Tego wieczoru miało być tak samo, ale Red zauważyła nieobecne spojrzenie Chada i odgadła, że myśli o ojcu. Ona także często myślała o Stuarcie Kinkaidzie, ale w zupełnie innym kontekście.

Dziwiła się, że Stuart jeszcze się nie dowiedział, gdzie przebywa Chad. Wprawdzie pracownicy otrzymali zakaz wymienia imienia Chada podczas wizyt w miasteczku, ale nie miała gwarancji, że po spożyciu mocnych trunków żaden z nich się nie zapomni i nie wypaplał wszystkiego. Podobno Stuart zatrudnił najlepszych tropicieli w okolicy, by odszukali jego syna.

Nie mieli jednak żadnego punktu zaczepienia, ponieważ burza, która sprowadziła Chada do Red, zatarała wszelkie ślady. Nikt, a zwłaszcza Stuart, nie przypuszczał, że zbieg ukrywa się tak blisko rodzinnego domu, w odległości zaledwie kilku kilometrów. Skoro Chad zaczyna tęsknić za domem, ona nie będzie go powstrzymywać przed pogodzeniem się z ojcem. Zawsze byli sobie bliscy, nawet jeśli w wielu kwestiach mieli odmienne zdanie.

- Tęsknisz za nim? - zapytała cicho.
- Na Boga, nie - odparł zrzędlwym tonem.

Red uśmiechnęła się do siebie.

- Nie jesteś więc jeszcze gotowy na powrót do domu?
- Do jakiego domu? - zapytał Chad z sarkazmem. - Zamienił się w cyrk, odkąd zamieszkały w nim Luella i jej matka. Ta-

to zaaranżował nasz związek bez uzgodnienia tego ze mną i po prostu zaprosił je, by zamieszkały u nas aż do ślubu. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobił.

- To przecież miła dziewczyna - odpowiedziała Red, stając w obronie Stuarta. - Poznałam ją u was kilka lat temu na bar-becue. Ładna, o ile mnie pamięć nie myli.

- Mogłaby być najpiękniejszą dziewczyną po tej stronie Rio Grande, a ja i tak uciekłbym na jej widok, gdzie pieprz rośnie.

- Dlatego, że Stuart ci ją wybrał?

- To też - przyznał Chad. - Ale jeśli ta dziewczyna ma w głowie choć odrobinę oleju, to tylko przez przypadek.

Red z trudem powstrzymała chichot,

- Rozmawiałam z nią zbyt krótko, by się o tym przekonać - oznajmiła.

- Możesz się uważać za szczęściarę.

Red nie odpowiedziała. Wdzięczna była za to, że Chad nie myśli o powrocie do domu, było jej jednak przykro, ponieważ rozdźwięk pomiędzy ojcem i synem z całą pewnością ranił ich obu. Zdawała sobie sprawę z tego, że Chad kiedyś odejdzie i bała się tej chwili. Wprawdzie nie kochała męża, ale gdy żył, miała przynajmniej towarzystwo. Odkąd owdowiała, czuła się bardzo samotna.

Niebo wciąż jeszcze było krwście czerwone, kiedy w oddali dostrzegła jeźdźca, pędzącego na złamanie karku w kierunku rancza.

- Lepiej wejdź do środka, Chad. Zdaje się, że to ktoś z poczty. Jeszcze cię rozpozna i doniesie ojcu, gdzie się ukrywasz.

Chad skinął głową i wszedł do domu. Red wstała na powitanie przybysza.

- Dobry wieczór, Will. Trochę późno dziś dostarczasz pocztę, czyż nie?

- Tak, psze pani. Przeklęty koń zgubił podkowę, zmarnowałem kilka ładnych godzin, zanim założyłem mu nową, ale uznałem, że to może być coś ważnego, więc nie chciałem czekać do jutra rana. - Podał jej list, z którym specjalnie przyje-

chał, i uchylił kapelusza. - Jestem już spóźniony na kolację. Dobrej nocy.

Red pomachała mu na pożegnanie i pokuśtykała do domu. W korytarzu przystanęła przy lampie i zaczęła czytać. Chad z kapeluszem w ręku zbierał się do wyjścia.

Jej okrzyk zatrzymał go przy drzwiach.

- A to drań!
- Co się stało?
- Mój brat umarł.
- Przykro mi. Nie wiedziałem, że masz brata.
- Żałuję, że go miałam, więc niech ci nie będzie przykro.

Nigdy się nie dogadywaliśmy. Właściwie to bardziej trafnym stwierdzeniem jest to, że szczerze się nawzajem nienawidziliśmy. Dlatego właśnie ten list nie ma dla mnie ani odrobiny sensu.

- Że zostałaś powiadomiona?

- Że zostawił mi swoje dziewczynki. Czego się, u diabła, spodziewał? Że w moim wieku zajmę się dziećmi?

- Czy miał jakiś wybór?

Zmarszczyła brwi.

- Pewnie nie. Teraz, kiedy Mortimer odszedł, jestem chyba jedyną pozostałą przy życiu krewną. Mieliśmy jeszcze jedną siostrę, moją bliźniaczkę, ale umarła już dawno temu.

- Żadnych krewnych ze strony ich matki?

- Nie, ona była ostatnia w tej linii. - Red kontynuowała czytanie. Po chwili rzekła: - No cóż... Wygląda na to, że będę cię musiała prosić o jeszcze jedną przysługę, Chad.

Przez chwilę na jego twarzy malowało się przerażenie.

- Nawet o tym nie myśl. Nie jestem jeszcze żonaty. Nie będę wychowywał żadnych...

- Poczekał - przerwała mu i zaśmiała się. - Potrzebny mi jedynie ktoś, kto odebrałby dziewczynki z Galveston i przywiózł je tutaj, a nie ktoś, kto by je zaadoptował. Rozpoczęły podróż w tym samym czasie co list, ale poczta nie zawsze jest szybsza. Możliwe, że zdążyły już przyjechać. Sama bym po nie pojechała, ale obawiam się, że nie dam rady z tą moją zwichniętą kostką.

- To kawał drogi stąd, podróż może potrwać nawet tydzień.

- Tak, ale większość trasy można pokonać pociągiem i dyliżansem. Do ciebie należałby jedynie ostatni etap ich podróży. Ale poproszę o to kogoś innego. Wciąż zapominam, że ty się przecież ukrywasz.

- Nie, pojedę - odparł Chad, uderzając kapeluszem o nogę. - To, że tata mnie odnajdzie, nie ma już takiego znaczenia. Wyruszę jutro o świcie.

4

Amanda i Marian miały czekać na ciotkę w Galveston. Na prośbę Alberta Bridgesa podczas podróży zaopiekowała się nimi para sympatycznych ludzi, którzy po przyjeździe na miejsce ochocko zaoferowali dziewczętom schronienie pod swoim dachem, dopóki nie zjawi się po nie Kathleen Dunn. Amanda nawet nie chciała o tym słyszeć.

Marudziła na każdym etapie podróży. Przed opuszczeniem domu narzekała na pospieszny wyjazd. Albert zdecydował, że wyruszą nazajutrz po pogrzebie, następny statek odpływał bowiem dopiero za kilka tygodni. Znalazłszy się z powrotem na stałym lądzie, Amanda powinna być zadowolona, lecz nie, zatłoczony port, do którego przybił statek, stał się kolejnym celem jej zniewag.

Marian natomiast czerpała przyjemność z morskiej podróży. To był jej pierwszy w życiu rejs, więc wszystko z nim związane było dla niej niezwykle interesujące. Przesycone solą powietrze, wilgotna pościel, smagany wiatrem i czasami śliski pokład, opanowanie sztuki poruszania się po statku bez wpadania na ludzi i przedmioty, przyzwyczajenie się do kolebania, jak to określił jeden z marynarzy - wszystko to było dla niej nowością, a dla Amandy głównym powodem do narzekań.

To naprawdę cud, że kapitan nie wyrzucił Amandy za burzę, choć Marian słyszała, jak mrucał pod nosem, że to zrobi.

Amanda rzeczywiście przeżyła chwilę grozy, gdy w czwartym dniu rejsu silne fale przechyliły statek na jedną burtę i omal nie znalazła się w wodzie. Twierdziła, że ktoś ją popchnął, co było doprawdy śmieszne, choć niewątpliwie taka myśl przemknęła przez głowę każdemu, kto się z nią zetknął na pokładzie.

Siostra zachowywała się dokładnie tak, jak się tego można było spodziewać. Nie przesadzała, gdy oświadczyła, że nie nawidzi podróży. A kiedy Amanda była nieszczęśliwa, pragnęła, by wszyscy wokół czuli się tak samo. Marian udało się zachować pogodę ducha tylko dlatego, że już dawno temu nauczyła się nie słuchać wyrzekań siostry, zwłaszcza gdy stawała się szczególnie irytująca. Opiekująca się nimi para jeszcze przed końcem rejsu zorientowała się, jakie z niej ziółko. Przytakiwali jej grzecznie i puszczali mimo uszu wszystkie wyrzekania.

To właśnie mogło być powodem, że małżonkowie nie starali się powstrzymać dziewcząt przed dalszą podróżą. Choć bardziej prawdopodobne wydawało się to, że cieszyli się z tego, iż pozbędą się towarzystwa Amandy. Panny były wszak na tyle dorosłe, że dalszą podróż mogły odbyć same. A poza tym miały przy sobie pokojówkę. Ella Mae była od nich sporo starsza i uchodziła za ich przyzwoitkę.

Marian próbowała przekonać siostrę do tego, by zaczekały na przyjazd ciotki. Oświadczyła, że całkiem możliwe, iż miną się gdzieś po drodze, nawet o tym nie wiedząc. Amanda jednak upierała się, że do ciotki Kathleen prawdopodobnie nie do-
-arł jeszcze list Alberta, więc czekanie na nią w Galveston jest stratą czasu. Oczywiście Marian wiedziała, że wyperswadowanie czegoś Amandzie jest doprawdy bezcelowe. Nie liczyła się z niczym zdaniem, poza swoim, rzecz jasna, a nigdy się przecież nie myliła. To, że bardzo często nie miewała racji, nie miało tu nic do rzeczy.

Kilka dni później utknęły w jakimś małym miasteczku, zdane na własne siły, daleko od celu wyprawy. Doprowadził do tego zbieg niefortunnnych wypadków i nieoczekiwanych wydarzeń, ale w gruncie rzeczy winę za taki stan rzeczy ponosiła

Amanda. Czy czuła się za to odpowiedzialna? Oczywiście, że nie. Według niej wszyscy byli winni, tylko nie ona.

Na Wschodzie najszybszym środkiem lokomocji był pociąg, ale to akurat udogodnienie nie zdążyło jeszcze na dobre zagościć w Teksasie i dlatego właśnie dziewczęta przyplnęły statkiem. Jedna jedyna linia kolejowa wiodła od północno-zachodniego wybrzeża w głąb stanu, ale kończyła się daleko od miejsca przeznaczenia Marian i Amandy. W planach miały dojechać pociągiem do stacji końcowej, ale przeszkodziła im w tym zgraja rabusiów.

Marian potraktowała złodziejski napad jak przygodę, o której będzie kiedyś opowiadać wnukom, oczywiście, jeśli będzie je miała. Z perspektywy czasu wydarzenie mogło się wydawać ekscytujące, ale gdy nastąpiło, napawało przerażeniem. Pociąg nagle zatrzymał się z piskiem kół i zanim podróżni zdążyli dość do siebie, do wagonu wtargnęło czterech mężczyzn, krzyżąc i wymachując pistoletami. Sprawiali wrażenie dziwnie nerwowych, ale w zaistniałych okolicznościach mogło to być naturalne.

Dwóch mężczyzn przemieszczało się wzdłuż przejścia między siedzeniami, żądając wydania kosztowności, podczas gdy pozostała dwójka trzymała straż przy wyjściu. Marian, inaczej niż Amanda, większość swoich pieniędzy trzymała w kufrze. W portmonetce miała tylko niewielką sumę, oddała ją więc bez wahania. Amanda wrzasnęła gniewnie, gdy rabuś wyszarpnął jej portmonetkę, i próbowała ją odzyskać.

Padł strzał. Marian nie miała pewności, czy mężczyzna umyślnie nie trafił celu, czy też chybił z powodu zdenerwowania. Kula przemknęła tuż obok głowy Amandy - naprawdę niebezpiecznie blisko. Tak blisko, że poczuła płynące od niej gorąco, a całą twarz miała pokrytą prochem. Dziewczyna w stanie szoku usiadła bez słowa. Mężczyzna nie oddał kolejnego strzału i ruszył dalej, by dokończyć złodziejskiego dzieła.

Skutek tego napadu, pomijając uszczuplone fundusze, był taki, że Amanda kategorycznie sprzeciwiła się dalszej podróży pociągiem. Do końcowej stacji było już niedaleko, mimo to wy-

siadły w najbliższym miasteczku i dalej postanowiły jechać dylizansem. Dylizans nie jechał oczywiście tą samą trasą co pociąg. Kierował się bardziej na wschód, dopiero od następnego przystanku miał ruszyć na północny zachód.

Nie było im jednak dane tam dotrzeć. Zdesperowany woźnica, na którego głowę Amanda co chwila ciskała gromy z powodu trzęsącej jazdy, zaczął popijać z trzymanej pod siedziskiem flaszki z mocnym trunkiem. W rezultacie porządnie się upił, nie zauważył, gdy konie zboczyły z trasy, i zgubił się. Przez dwa dni próbował bez powodzenia znaleźć drogę, która zawiodłaby go na wyznaczony szlak.

To cud, że dylizans nie popsuł się na wyboistym trakcie. To cud, że woźnica nie kazał im wysiąść w szczerym polu. Był naprawdę wściekły na Amandę za to, że przez nią upił się i stracił orientację w terenie. Zapach smażonego kurczaka zaprowadził ich do jakiejś farmy, gdzie otrzymali wskazówki, jak dojechać do najbliższego miasta.

I tam właśnie tkwiły obecnie, ponieważ woźnica w końcu rzeczywiście porzucił dylizans razem z pasażerami, uznawszy, że i tak straci pracę. Wyprzągł po prostu jednego konia i odjechał bez słowa w siną dal. Właściwie wypowiedział trzy słowa, a raczej wymamrotał je, podczas gdy Amanda wykrzykiwała do niego żądania wyjaśnienia, gdy przygotowywał się do odjazdu. Nie słyszała, jak mruknął: „Krzyżyk na drogę”, ale Marian owszem.

Miasteczko, w którym je zostawił woźnica, było nie tylko małe, ale prawie pozbawione mieszkańców. Z czternastu wybudowanych początkowo domów tylko trzy były nadal zamieszkałe przez ludzi zajmujących się jakąś pracą. Był to przykład chybionych spekulacji. Założyciel miasteczka sądził, że linia kolejowa będzie przechodzić właśnie tędy, i miał nadzieję, że wtedy uda mu się zarobić na tym sporo pieniędzy. Jednak kolej ominęła to miejsce szerokim łukiem, człowiek ten przeniósł się więc spekulować gdzie indziej, a ludzie, którzy pozakładali tu interesy, stopniowo posprzedawali je lub po prostu porzucili.

Trzy pozostałe w miasteczku lokale zajmujące się jakąś działalnością to knajpa, funkcjonująca również jako sklep wielobranżowy, właściciel bowiem pozostawał w przyjaźni z dostawcą i dzięki temu dość często miewał nowy towar, piekarnia z wypiekami ze zboża od okolicznego farmera oraz pensjonat, szumnie nazywany hotelem, którego właścicielem był piekarz.

Nie było nic zaskakującego w tym, że żaden z mieszkańców miasteczka nie wiedział, jak powozić dyliżansem ani nie był zbyt chętny, by się tego wywiedzieć. Dyliżans pozostał więc w miejscu, w którym został porzucony, czyli przed hotelem. Ktoś był na tyle uczynny, że wyprzągł konie, ale że nie było dla nich paszy w dawnej stajni, zostały puszczone wolno, by mogły paść się na łące z przerośniętą trawą tuż za miasteczkiem albo oddalić się, gdyby przyszła im taka ochota.

Zanim do tego doszło, Amanda uparła się, że sama będzie powozić dyliżansem i wydostanie je stąd. Rzuciwszy okiem na pokój w hotelu, który miał im przypaść w udziale, i uznawszy, że to najgorsza kwatery z dotychczas im zaproponowanych, była pełna determinacji, by natychmiast opuścić miasteczko, a w każdym razie zanim zostaną zmuszone do nocowania w tym strasznym pokoju.

Marian także nie była zachwycona kwatery. Dziurawą pościel czuć było stęchłą i może kiedyś była biała. W jednej ze ścian widniał okrągły otwór, jakby ktoś wybił go pięścią. W pokoju mieszkał stary pies, więc dywan na podłodze był siedliskiem pcheł. Widać było gołym okiem, jak skaczą na gospodarza, układającego się do codziennej drzemki. Licho wie, od czego pochodziły plamy na podłodze.

Ale bez względu na to, jak wielką odrazą napawała je myśl o pozostaniu tutaj, nad planem Amandy nie warto się było w ogóle zastanawiać, nawet gdyby umiała wprawić dyliżans w ruch. Nie umiała. Ku swojej bezbrzeżnej irytacji.

Marian i Ella Mae stały na hotelowej werandzie i przyglądały się. Nie miały zamiaru wsiadać do dyliżansu razem z Panną Wiem-Wszystko-Najlepiej w roli woźnicy. Killkoro miejscowych dobrze się bawiło, także się temu przyglądając, po czym

wróciło do swoich domów. A Marian i Ella Mae resztę popołudnia spędziły na sprzątaniu pokoju, tak by stał się choć trochę znośny i można w nim było spędzić noc.

Znalazły się w pułapce i nie miały pojęcia, jak długo w niej pozostaną. W mieście nie było telegrafu, nie przebiegała przez nią trasa dyliżansów, nie było też dodatkowych siodeł, na wypadek gdyby chciały odjechać stąd konno, ani powozu do wynajęcia, no a poza tym nie było tu nikogo, kto mógłby je poprowadzić z powrotem na poprzednią trasę.

Amanda uskarżała się rzecz jasna na ich położenie od świtu do nocy. Nie było sensu wspominać, że to właśnie jej narzekanie doprowadziło do takiej sytuacji. Można było odnieść wrażenie, że w jej przekonaniu już nigdy nie ujrzą cywilizacji. W przeciwieństwie do niej Marian prezentowała więcej optymizmu, zwłaszcza gdy piekarz oświadczył, że dyliżanse są po prostu zbyt cenne, by je, ot tak, porzucić, i że na pewno ktoś go poszukuje i wkrótce się po niego zgłosi.

Marian nie miała wątpliwości, że ciotka zacznie szukać bratanic albo zleci komuś ich odnalezienie. Najpewniej będzie na nie wściekła za to, że oddaliły się na własną rękę i narobiły wszystkim kłopotów. Niezbyt fortunny sposób zawarcia znajomości z nieznaną krewną, która na mocy testamentu została ich opiekunką.

Czwarty dzień tkwiły w tej posępnej, niemal wymarłej miejscinie. Mieszkali tu mężczyźni, o których Amanda nie mogła być zazdrosna, gdyby przypadkiem zwrócili uwagę na jej siostrę, toteż Marian nie wkładała na nos okularów. Upajała się tym, że widzi wyraźnie przez cały czas, a nie tylko podczas zerkania ponad oprawkami okularów.

Już od trzech lat nosiła okulary, choć wcale nie były jej potrzebne. Pomysł przyszedł jej do głowy, gdy raz wpadły jej w ręce i przymierzyła je z zaciekawieniem. Spojrzała w lustro

i ujrzała tak dramatyczną zmianę w swoim wyglądzie, że wróciwszy do domu, zaczęła się uskarżać na problemy z widzeniem i bóle głowy. Ojciec kazał jej z roztargnieniem zająć się tym. Tak właśnie zrobiła i miesiąc później miała już własne okulary oraz kilka zapasowych par.

Była bardzo dumna z tego pomysłu. Próbowwała już wcześniej zmienić swój wygląd, tak by ona i Amanda nie były do siebie ani trochę podobne. Zupełnie inaczej się czesała. Amanda zaczęła się już wtedy malować. Marian nie używała żadnych malowideł. Amanda preferowała stroje modne, aczkolwiek w pewien sposób krzykliwe. Marian nosiła stylowe, lecz stonowane ubrania w mniej twarzowych kolorach.

To jednak nie wystarczało, by uczynić ją niezauważalną, co było celem, do którego dążyła. I wtedy wpadła na pomysł z okularami, które w odpowiedniej pozycji powiększały jej oczy, nadając twarzy sowi, nieatrakcyjny wygląd. Oczywiście, że nic przez nie nie widziała - wszystko zlewało się w niewyraźną plamę i z tej przyczyny nader często ulegała różnego rodzaju wypadkom. A w ludzkiej naturze leży trzymanie się z dala od osób, które z regularną częstotliwością wpadają na innych.

Trzy miejscowe psy dały sygnał ostrzegawczy, że ktoś się zbliża. Szczekanie jednak dochodziło z dosyć daleka, a ponieważ zdarzało im się szczekać właściwie bez żadnego powodu, Marian nie zwróciła na to szczególnej uwagi. Czytała właśnie jakąś starą gazetę, którą znalazła na werandzie. Siedziała tam, ponieważ dzień był wyjątkowo skwarny, a od głównej, czy też raczej jedynej ulicy docierał delikatny powiew wiatru.

Zwróciła jednak uwagę na to, że wszyscy mieszkańcy miasteczka wylegli na ulicę i patrzyli w jednym kierunku. Najwyraźniej potrafili rozpoznać różnicę w szczekaniu psów, wiedzieli, że nie hałasują bez powodu, ale coś je rzeczywiście zainteresowało.

Amanda drzemała w porzuconym na środku ulicy dyliżansie. Wyczerpało ją jej własne narzekanie, choć trzeba przyznać, że panujący ostatnio wyjątkowy upał z pewnością miał w tym

swój udział. W pokoju tak dotkliwie pogryzły ją pchły, że wolała spać w dyliżansie, gdzie również spędzała na drzemce najgorętszą część dnia.

Szczekanie nie obudziło Amandy. Uczyniły to pierwsze słowa wypowiedziane w pobliżu. Piekarz niczego dzisiaj nie piekł, wyszedł na hotelową werandę i stanął obok Marian. Oboje osłaniali dłonią oczy, by lepiej widzieć zbliżającego się przybysza.

Jechał na doskonale prezentującym się wierzchowcu. Takie konie bogaci mężczyźni w jej stronach sprzedawali z przeznaczeniem na wyścigi. Pozłocistej maści, z białą grzywą i ogonem, był potężnym ogierem o lśniącej sierści, odpowiednim dla wysokiego mężczyzny. A jeśli chodzi o jeźdźca, twarz zasłaniał mu kapelusz z szerokim rondem, by móc cokolwiek powiedzieć o jego wyglądzie poza tym, że miał szerokie ramiona i muskularną klatkę piersiową, którą okrywała wyblakła niebieska koszula. Stroju dopełniały czarne spodnie, kamizelka i granatowa apaszka, czy też raczej bandana, jak nazywano tutaj tę część garderoby, która zdawała się wykorzystywana na wielorakie sposoby.

- To tylko kowboj - orzekł piekarz, Ed Harding. - Nie wygląda na takiego, co lubi strzelaninę.

- Ale ma broń - stwierdziła Marian ze wzrokiem utkwionym w przybyszu.

- Tutaj każdy nosi broń, panienko.

- Pan nie.

- Ja nie jestem każdy.

Marian zauważyła, że miejscowi często mówili takie dziwne rzeczy. Stanowili jednak niewyczerpaną kopalnię wiedzy na temat Zachodu i lubiła z nimi rozmawiać, kiedy nie byli zajęci pracą.

Nieprzestające szczekać psy wbiegły za przybyszem do miasteczka. Koń nie zwracał na nie żadnej uwagi. Jeździec zerknął za siebie kilka razy, ale poza tym także je ignorował. Zatrzymał się przy dyliżansie, nadal stojącym na środku drogi. Uchylił kapelusza w stronę Marian, co było gestem zwykłej uprzejmości,

po czym nasunął go z powrotem na czoło i spojrzął na Eda Hardinga.

- Szukam sióstr Laton. A wygląda na to, że mniej więcej w tej okolicy widziano je po raz ostatni.

- Zgadza się, psze pana - odparł Ed. - Jest pan z linii dyliżansowej?

- Nie, wysłała mnie ich ciotka, bym je do niej przywiózł.

- Najwyższy czas - rozległ się wyjątkowo nieprzyjemny głos Amandy, która otworzywszy drzwi dyliżansu, wysiadła z niego.

Mężczyzna pochylił głowę i uchylił przed Amandą kapelusza, po czym jednym palcem nasunął go z powrotem na czoło.

- Czy dziewczynki były bardzo uciążliwe, proszę pani? - zapytał, nawiązując do jej stwierdzenia.

Amanda wpatrywała się w niego, jakby był niespełna rozumny. Do Marian zaś, zaabsorbowanej przyglądaniem mu się z szeroko otwartymi ustami, jego słowa w ogóle nie dotarły. Od chwili, gdy uniósł kapelusz, jej uwagę przyciągnęła jego bardzo przystojna twarz.

Miał gładko ogolone policzki, kwadratową szczękę, prosty nos i starannie przycięte wąsy. Skóra na czole była nierówno opalona, jak u większości mieszkańców Zachodu, którzy podczas pracy w gorącym słońcu osłaniali głowę kapeluszem. U niego błądź czoła była jednak ledwie dostrzegalna, co sugerowało, że nie zawsze nosił kapelusz albo często odsuwał go do tyłu, tak jak w tej chwili.

Jego włosy miały kolor najciemniejszej czerni, choć teraz pokrywała je cienka warstwa kurzu. Nie były zbyt długie - zakrywały jedynie kark. Marian przypuszczała, że zazwyczaj nosi je zaczesane do tyłu, jak większość mężczyzn, teraz jednak były rozdzielone przedziałkiem przez środek głowy i opadały na boki. Gęste czarne brwi tworzyły łuki nad oczami koloru letnich deszczowych chmur i nie było w nich ani odrobiny błękitu.

To dobrze, że jej ogólny wygląd był tak bardzo nijaki, ponieważ Marian zupełnie zapomniała o wsunięciu na nos okularów. Mężczyzna poświęcił jej zaledwie przelotne spojrzenie,

zanim zwrócił się do pana Hardinga, a teraz, jakież to typowe, jego wzrok spoczywał na Amandzie.

Nawet wyczerpana panującym skwarem, z kroplami potu spływającymi wzdłuż skroni i spod zmierzwionych włosów, z wilgotnymi zaciekami na sukni pod pachami i między piersiami Amanda i tak wyglądała uroczo. Nic więc dziwnego, że tak się w nią wpatrywał. Może po prostu czekał, by odpowiedziała na jego pytanie.

Kiedy Marian uświadomiła sobie, że wpatruje się w nieznanego, bardzo szybko wykonała trzy czynności: umieściła okulary z powrotem na ich kamuflującej pozycji, upewniła się, czy włosy są związane w surowy kok i zaczęła się wachlować trzymaną w dłoni starą gazetą.

Miała zamiar poczekać, aż Amanda dojdzie do siebie i nawiąże z nim rozmowę. To także miała w zwyczaju robić, by odwrócić od siebie uwagę. Ale Amanda, dopiero co obudziwszy się, wciąż była lekko zdezorientowana i jakoś nie paliła się do odpowiedzi.

Przedłużająca się cisza, nie licząc ujadania psów, zaczynała się robić niezręczna, więc Marian odezwała się wreszcie z wyraźnym wahaniem:

- Odnoszę wrażenie, że spodziewał się pan spotkać kogoś młodszego, wręcz dzieci?

Nie zapytał, co miała na myśli, tylko wypalił:

- Niech mnie diabli! - Obrzucił niewidzącym spojrzeniem kobietę stojącą na werandzie i ponownie utkwiał wzrok w zjawiskowej piękności.

Po raz pierwszy Marian zirytowało tak ostentacyjne ignorowanie jej osoby, co było doprawdy niedorzeczne. Tak bardzo się starała, by osiągnąć właśnie coś takiego. I absolutnie niczego dobrego nie przyniosłoby zwrócenie na siebie jego uwagi. Tak naprawdę miałoby to negatywny wpływ zarówno na spokój tego mężczyzny, jak i jej własny.

Dobrze się więc stało, przynajmniej w opinii Marian, że Amanda wreszcie pozbierała myśli i zapytała:

- Kim pan jest?

- Nazywam się Chad Kinkaid. Aktualnie pracuję na ranchu Twisting Barb u pani Frankowej Dunn.

Nie było szybszego sposobu na stracenie statusu mężczyzny potencjalnie wartego uwagi Amandy niż wspomnienie, że jest się zwykłym pracownikiem - jakiegokolwiek szczebla. Amanda nie miała zwyczaju marnować czasu na kogoś, kto nie był bogatszy od niej.

Nie poświęcając mu ani jednego spojrzenia więcej, przecięła wąski pasek pokrytej kurzem drogi pomiędzy dyliżansem a hotelem, by znaleźć się w cieniu werandy. Chad Kinkaid właśnie uniósł się w siodle, by zsiąść z konia. Zatrzymał go władczy głos Amandy:

- Do dyliżansu trzeba zapakować ogółem siedem kufków. Proszę natychmiast się tym zająć. Chcemy jak najszybciej opuścić tę nędzną namiastkę miasta.

Mężczyzna ponownie usiadł wyprostowany w siodle i obrzucił spojrzeniem dyliżans.

- Chcą panie jechać tym?

- Powtarzam, siedem naprawdę dużych kufków, panie Kinkaid. A w tej dziurze nie ma poza tym ani jednego pojazdu, którego można by użyć.

- W takim razie kufry zostaną tutaj.

Amanda gwałtownie wciągnęła powietrze w płuca.

- W żadnym wypadku!

Chad i Amanda wpatrywali się w siebie przez chwilę, mierząc się wzrokiem. Kowboj westchnął, prawdopodobnie zrozumiałwszy, że nie warto tracić sił na wyklócanie się z nią.

Marian uznała, że rozsądnie będzie coś ustalić.

- Wie pan, jak powozić dyliżansem, prawda?

- Nie, proszę pani, ale pewnie się dowiem. Gdzie są konie? Stajnia, którą mijałem, wyglądała na dawno opuszczoną.

- Rzeczywiście, tak jak wiele tutejszych budynków, od dawna stoi pusta - poinformowała go. - Konie zostały wypuszczone na łąkę tuż za miasteczkiem.

Chwilę później wszystkich przestraszył huk wystrzału - wszystkich z wyjątkiem Chada Kinkaida, który był jego spraw-

cą. Psy, które przybiegły za nim, wciąż szczekały i biegały wokół konia. Wystrzał przegonił je stąd.

Zaskoczona Amanda zapiszczała, przyciskając dłoń do piersi.

- Czy to było naprawdę konieczne? - zapytała drwiąco.

Chad Kinkaid nasunął kapelusz z powrotem na czoło, ujął wodze i odparł z leniwym uśmiechem:

- Nie, proszę pani. Ale bardzo przyjemne.

6

Przebrzydły cham - mruknęła Amanda, odwróciła się i weszła do pokoju, by włożyć do podręcznego kufra rzeczy, które zdążyła już wypakować.

Chad Kinkaid odjechał, lecz Amanda najwyraźniej nie obawiała się, że porzuci je tak jak woźnica. Taka myśl nawet nie zaświtała jej w głowie.

Marian nie miała tej pewności i szybko przeszła na tyły hotelu, by się upewnić, że mężczyzna odjechał po to tylko, by przyprowadzić konie. Po chwili odetchnęła z ulgą, gdy ujrzała jego sylwetkę wynurzającą się zza budynków usytuowanych wzdłuż drogi. Kierował się na łąkę, gdzie pasły się konie. Nieco się rozproszyły, ale żaden się nie zawieruszył.

Przyglądała się przez kilka minut, jak je zagania. Jeden sprawał wyraźne kłopoty - nie chciał wracać do pracy. Mężczyzna zdjął z tyłu siodła kawał zaczepionej o nie liny, zakręcił nią młynka nad głową i rzucił. Pętla na końcu liny wylądowała dokładnie na głowie konia i zacisnęła się, gdy zwierzę gwałtownie szarpnęło łbem.

Marian słyszała o chwytności mustangów na lasso, ale nigdy dotąd nie miała okazji zobaczyć. Wyglądało na to, że piekarz się nie mylił. Chad Kinkaid wiedział, jak sobie radzić z końmi. Był prawdziwym kowbojem - pierwszym, którego poznała w Teksasie. Bez wątplenia znał okolicę i będzie stanowił doskonałą ochronę dla nich obu. Gdyby tylko nie był przy tym tak bardzo urodziwy...

Jak większość przystojnych mężczyzn, będzie najpewniej zabiegał o względy Amandy. Wszyscy tak robili, gdy sądzili, że mają choć cień szansy. Była po prostu zbyt ładna, by każdy, kto nosił spodnie, nie próbował się do niej zalecać. Trzymała ich w niepewności, wodziła za nos i żaden się nie zorientował, jaka z niej sekutnica. Potrafiła być ujmująca i gdy chciała zawrócić komuś w głowie, umiała pokazać się z najlepszej strony. W uwodzeniu mężczyzn była niezrównana.

Chad Kinkaid nie miał jednak u niej żadnych szans. Nie mieścił się bowiem w kategorii „przystojny i bogaty”, w przypadku Amandy jedynej, jaka ją interesowała. Marian miała nadzieję, że gdy jej siostra nieco się uspokoi, nie uzna Chada za zabawną odmianę. Jeśli uruchomi swój czar, on z całą pewnością się w niej zakocha, a to w żadnym wypadku nie wyjdzie mu na dobre.

Nie zanosilo się jednak na to, że Amanda się uspokoi. Marzyła o jednym: wrócić do domu, do Haverhill. Wiedziała jednak, że na razie jest to niemożliwe. Zachowywała się więc jak rozkapryszone dziecko i dokuczała wszystkim wokoło. Nie mogła znieść, by ktokolwiek w jej towarzystwie nie czuł się nieszczerliwy na równi z nią.

Niewygody podróży, konieczność zamieszkania z nową opiekunką i stosowanie się do jej nakazów doprowadzały ją do wściekłości. Szczerze znieawidziła ciotkę, zanim ją poznała.

Obie z Marian miały mgliste wspomnienie o niej, gdyż były małymi dziewczynkami, kiedy Kathleen opuściła rodzinny dom. Amandzie najbardziej nie w smak było to, że nie może poślubić tego, kogo by chciała, bez zgody ciotki. Ojciec pozwoliłby jej samej o tym decydować, ponieważ nigdy się jej nie sprzeciwiał, ale niestety odszedł do lepszego świata.

Ciotka z pewnością nie będzie taka wspaniałomyślna jak jej brat i potraktuje nieoczekiwany obowiązek poważnie. Marian była o tym święcie przekonana. Nie znała Kathleen, ale przeczuwała, że tak właśnie postąpi.

Pozostawała nadzieją, że Chad zobaczy prawdziwą Amandę i nie zaintrygują go jej skargi rozpieszczonego bachora. Ma-

rian zaś przedsięwzięcie swoje normalne środki ostrożności i skutecznie zniechęci go do swojej osoby, ponieważ stałoby się coś znacznie gorszego, gdyby z jakiegoś nieodgadnionego powodu skierował swoją uwagę na nią.

Zanim udała się na górę, żeby się spakować, odszukała Eda Hardinga i poprosiła go, by powiadomił pana Kinkaida, że jest tylko pięć koni, tak by nie tracił czasu na poszukiwanie szóstego. Przez chwilę zastanawiała się, czy osobiście mu tego nie przekazać, uznała jednak, że im rzadziej będzie się z nim kontaktować, tym lepiej.

Nie miała wielu rzeczy do spakowania, podobnie jak Amanda i Ella Mae. W pokoju nie było komody ani szafy, więc i tak praktycznie wszystko trzymały w kufrach. Dwa należały do Marian, jeden do Elli Mae, a cztery pozostałe do Amandy. Zabrały ze sobą wszystkie osobiste drobiazgi i świecidełka, tak jakby nigdy już nie miały wrócić do domu w Haverhill.

Skończywszy pakowanie, usiadły na werandzie i przyglądały się zaprzęgnięciu koni do dylizansu. Uznała, że jest to doskonała sposobność, by zirytować Chada Kinkaida na tyle, by zupełnie wyrzucił ją ze swoich myśli.

Zakładał właśnie uprzęż koniowi prowadzącemu zaprzęg, gdy podeszła i zapytała:

- Czy ma pan dowód na to, że przysłała tu pana nasza ciotka?

Spojrzał na nią z ukosa, nie przerywając pracy.

- To ja wspomniałem o waszej ciotce, nie pani - rzucił obojętnym tonem.

- No cóż, owszem, ale wszyscy w miasteczku wiedzą, że niedawno straciłyśmy ojca i jedziemy do ciotki.

Ponownie na nią spojrzał, tym razem ze zmarszczonymi brwiami.

- Nigdy nie byłem w tym miasteczku.

- To pan tak twierdzi, ale...

- Czy oskarża mnie pani o to, że przybyłem tu, bo usłyszałam historię, o której wie „każdy”, i obmyśliłem plan uprowadzenia pani z siostrą?

Zabrzmiało to naprawdę absurdalnie. Marian wzdrygnęła się w duchu. Powinna go przeprosić. Nie mogła się jednak do tego zmusić. Chad był naprawdę na nią wściekły.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kamizelki, wyciągnął list i dosłownie podetknął go Marian pod nos.

- Stąd wiedziałem, gdzie was szukać, panno Laton, a nie znalazłszy was tam, gdzie powinnyście być, straciłem kilka dni na podążanie waszym śladem.

W tonie jego głosu słychać było irytację. Musiał zadać sobie znacznie więcej trudu, by je sprowadzić, niż się spodziewał. Marian zdała sobie sprawę z tego, że się czerwieni, mimo że nie jej winą było to, iż nie zaczekały w Galveston, tak jak powinny. Oskarżenie bardzo go zdenerwowało. No cóż, taki był przecież jej cel, nieprawdaż? Aby ją znieubił i od tej pory ignorował.

To był list, który Albert Bridges wysłał do ciotki. Marian oczywiście nie wątpiła w to, kim Chad Kinkaid był. Nie potrzebowała żadnego dowodu.

Udała jednak, że satysfakcjonuje ją ten dowód. Prychając i poprawiając okulary na nosie, oświadczyła sztywno:

- Świetnie. Cieszę się, że jesteśmy w dobrych rękach - oznajmiła i odeszła dumnym krokiem.

Prawdopodobnie irytacja była powodem, że Chad zawołał za nią:

- W dobrych rękach? Ma pani na myśli mnie?

Marian pozostawało mieć nadzieję, że to tylko złość.

7

Chad nie musiał pędzić tak szybko. Noc zapadnie dopiero za jakieś sześć godzin. Jadąc spokojnym tempem do miasteczka, w którym znajdował się postój dla dyliżansów, można było dotrzeć przed zmrokiem. Wypoczęte konie mknęły rażno przed siebie, poganiane przez nadal zirytowanego Chada, przybyli więc na miejsce godzinę przed zmierzchem. Swój gniew wyła-

dował ostatecznie na pracowniku stacji, który próbował wywnąć się od zapewnienia im woźnicy bez ponoszenia dodatkowych kosztów, chciał nawet zatrzymać dyliżans, którym przyjechali. O nie! Chad wyjaśnił mu uprzejmie, że siostry powinny otrzymać darmowy przejazd aż do Trenton jako zadośćuczynienie za to, przez co kazał im przejść poprzedni woźnica.

Panie zostały zakwaterowane na noc w hotelu - tym razem zupełnie przyzwoitym. Chad nie usłyszał z ich ust ani słowa skargi na temat szaleńczej jazdy. Przez cały dzień z wnętrza dyliżansu dochodziły go krzyki, które zupełnie ignorował. Prawdopodobnie wszystkie okrzyki wydobywały się z gardła tej mającej w sobie coś z nauczycielki starej panny o wybujałej wyobraźni.

Po trzech kolejkach whisky w saloonie Chad przestał wreszcie zgrzytać zębami. Nadal nie był zadowolony. Miał na karku kobiety, nie dziewczynki, i to w dodatku trzy. Powinien był przed wyjazdem wydobyć z Red więcej informacji o swych podopiecznych, a nie uznawać słowa „dziewczynki” za trafny opis jej bratanic. Powinien był oświadczyć: „nie i kropka”, teraz niestety było już za późno na rozważania w stylu, co by było gdyby.

Sądził, że drogę na ranczo przebędzie w towarzystwie dobrze wychowanych dzieci, nie spodziewał się więc żadnych kłopotów. Kobiety natomiast sprawiały same kłopoty, a z tego, co udało mu się zaobserwować do tej pory, prawda ta odnosiła się jak najbardziej do sióstr Laton.

Mógł się jednak domyślić, że bratanice Red są dorosłe, już wtedy, gdy ich szukał. Wbił sobie jednak do głowy, że wyjechał naprzeciw niedorośliwych panienek, dzieci nieledwie. Nie zastaowały go uwagi na ich temat zasłyszane po drodze, a z tego, co pamiętał, nikt ani razu nie użył określenia „kobiety”. Uwagi w stylu: „Te dziewczyny strasznie się spieszyły” i „Te dziewczęta nie słuchały głosu rozsądku” oraz „Te panny opuściły pociąg szybciej niż ładacznicę kościół” w żaden sposób nie wskazywały na to, że są one postaciami, które mogłyby wzbudzić jego zainteresowanie.

Mogłyby? Do diabła! Amanda była śliczna jak obrazek. Pukle w kolorze jasnego złota układały się w niezwykle twarżową fryzurę. Mały zadarty nos, policzki niczym płatki róż, delikatny podbródek i niesłychanie ponętne usta, jakich już dawno nie zdarzyło mu się oglądać. Ciemnoniebieskie oczy lśniły niczym kamienie szlachetne, otoczone gęstymi rzęsami, z nieco rozmazanym od panującego gorąca tuszem na powiekach, co zdradzało, że nie są naturalnie czarne, ale i tak w tych oczach każdy mężczyzna mógł zatonać.

Jakby tego było mało, figurę miała nienaganną. Mężczyźni dosłownie pożerali ją wzrokiem. Kragłe piersi, szczupła talia, delikatnie zaokrąglone biodra, niezbyt wysoka, jakieś piętnaście centymetrów niższa od niego - wzrost, jeśli chodzi o kobiety, idealny.

Jej opryskliwość podczas pierwszego spotkania była najzupełniej zrozumiała. Została porzucona w niemal odludnym miejscu, podczas podróży pociągiem padła ofiarą napadu i Bóg jeden wie, co jeszcze jej się przydarzyło. Dla wychowywanej w delikatny sposób damy Zachód mógł się wydawać surowym miejscem, zwłaszcza że zdążyła już niejednego doświadczyć. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to dowieźć ją bezpiecznie do Twisting Barb.

Jeśli zaś chodzi o jej siostrę, cóż, przez te okropne okulary, które nosiła, naprawdę nie był w stanie inaczej o niej myśleć jak o starej pannie. Może i nie było to miłe, ale po zniewadze, jakiej doznał z jej strony, nie potrafił odnosić się do niej z sympatią.

Różniły się od siebie jak noc i dzień, tak bardzo, że gdyby ktoś nie wiedział, że są siostrami, nigdy by nie zgadł. Obie miały jasne włosy, zgoda, obie niebieskie oczy i zgrabne figury, ale na tym podobieństwo się kończyło.

Marian zdawała się doroślejsza i jakby zgorzkniała z powodu swoich staropanieńskich cech. Zazdrościła Amandzie, że to ona otrzymała w darze od losu całą przeznaczoną dla nich Obu urodę. Spinała włosy w nieładny kok, tak ciasny, że z pewnością bolała ją od tego głowa. Chodziła sztywno wyprostowana, stawiała kroki jak mężczyzna i ubierała się w nudne burości.

Gdyby się postarała, może udałoby jej się nieco lepiej wyglądać, ale przez te okulary, zza których jej oczy wydawały się wyłupiaste, uznała pewnie, że nie ma sensu niczego zmieniać. Na tego rodzaju dziewczyny mężczyźni w ogóle nie zwracali uwagi. Tak więc im mniej Chad o niej myślał, tym lepiej.

Nazajutrz wyruszyli o świcie. Panie nie były zbyt zadowolone z tego, że musiały tak wcześnie wstać, ale do następnej stacji trzeba było dotrzeć przed zapadnięciem zmroku. Wrócili na trasę dyliżansów, więc po drodze powinny być postoje, gdzie można zmienić konie i coś zjeść, a pod wieczór zatrzymać się na noc w wygodnym hotelu.

Woźnica przyznał, że nigdy dotąd nie jechał drogą prowadzącą do Trenton, ale zdawał się niespecjalnie tym przejmować. Will Candles był zręczliwym osobnikiem zbliżającym się do pięćdziesiątki. Zbyt wcześnie posiwiał, nosił długie, podkręcone do góry wąsy, z których był niezmiernie dumny. Dyliżansem powoził od mniej więcej dziesięciu lat, wcześniej pracował jako poganiacz mułów. Można więc powiedzieć, że dobrze znał swoje zajęcie.

Dwa dni później Chad miał kolejne nieprzyjemne starcie ze starą panną. Koło południa zatrzymali się na jednym z lepiej utrzymanych postojów. Konie zostały odprowadzone do stajni, podróżni odpoczywali w dobrze zaopatrzonej gospodzie, z pokojami do wynajęcia.

Pogoda była dobra, choć im dalej na północny zachód, tym robiło się chłodniej. Konie zostały wymienione, gdy oni posilali się w gospodzie. Nastąpiło jednak krótkie opóźnienie w wyjeździe, ponieważ jeden z nowych koni zgubił podkowę i trzeba go było na nowo podkuć.

Chad starał się zachowywać dystans w stosunku do pań. Amanda bardzo mu się podobała, ale podczas podróży z towarzyszącymi jej niewygodami nie było odpowiednich warunków do wcielania w życie romantycznych pomysłów. Co innego, gdy znajdzie się już w swoim nowym domu i nieco się tam zadomowi, wtedy Chad zdecyduje, czy uczynić krok w jej kierunku. Jadał więc w towarzystwie Willa, a nie sióstr, do połu-

dnia jechał razem z nim na koźle, a potem konno, nigdy razem z paniami w dyliżansie.

Gdy okazało się, że koń zgubił podkowę, Amanda i pokojówka, Ella Mae, zdążyły już wsiąść do dyliżansu. Zdecydowały, że zaczekają w środku, aż zostanie podkuty. Marian kupowała coś w gospodzie i nie będąc świadoma przymusowej zwłoki, sądziła, że to ona opóźnia odjazd, pobiegła w kierunku dyliżansu i wpadła prosto na Chada.

Niczego sobie w związku z tym nie pomyślał. Była bardzo niezdarną kobietą, ciągle wpadała na coś lub na kogoś. Usunął się jej po prostu z drogi. Wyraźnie wytracona z równowagi tym incydentem już miała go przeprosić, jednak ostatecznie zmieniła zdanie. Chad zastanawiał się później, jak w ogóle mogła go o to winić.

- Próbował mi pan podstawić nogę, prawda? I to zresztą nie po raz pierwszy. Czy w coś takiego bawił się pan w dzieciństwie? Dokuczał pan dzieciom i naśmiewał z ich ułomności? Bardzo to podłe z pana strony. Czas z tego wyrosnąć!

Chad był nie tyle zdziwiony jej oskarżeniami, ile zaskoczony. Słuchał jej z niedowierzaniem. Winiła go o coś, czego sama była przyczyną. Wprost odebrało mu mowę, gdy odsunęła się od niego w taki sposób, jakby obawiała się zakażenia jakąś nieprzyjemną chorobą.

Już wyciągnął rękę, by przyciągnąć ją do siebie i solidnie potrząsnąć, powstrzymał się jednak. Nie warto tracić czasu na wyjaśnianie tych absurdalnych zarzutów, wyspanych z palca. Wystarczy, że tracił czas, rozmyślając o tym, jak bardzo ta damulka działa mu na nerwy.

Zamaskowani rabusie, którzy zatrzymali dyliżans kilka godzin później, nie mogli wiedzieć, że wybrali złą chwilę na dokonanie napadu. Było ich dwóch, każdy trzymał w obu dłoniach po pistolecie. Jeden wyglądał jak dziewczyna albo bardzo młody chłopak, niski i chudy jak patyk. Drugi, najwyraźniej przywódca, był potężnym, prymitywnym drabem.

Zażądali, by Chad i Will złożyli broń i oddali wszystkie cenne rzeczy. Chad, jadący z Willem na koźle, nie posłuchał. Will

owszem, i to szybko. W swojej pracy miał do czynienia z wieloma napadami rabunkowymi i dawno temu uznał, że nie płaci mu się wystarczająco dużo, by ryzykować życie, starając się chronić to, co znajdowało się w kieszeniach podróжных. Chad może rozumowałby podobnie, gdyby wcześniej tego dnia ta stara panna nie nadepnęła mu na odcisk.

Biorąc w dłoń strzelbę, która leżała do tej pory na jego kolanach, rzekł:

— Nie jestem w dobrym nastroju. Jeśli macie choć odrobinę zdrowego rozsądku, nie zadzierajcie ze mną. Jeśli zacznę strzelać, będę celował tak, by zabić. Przemyślcie to sobie i wynoście się stąd.

W innych okolicznościach kule zaczęłyby już świstać. Rabusie byli z tego znani, że robili użytek z broni szybciej, niż myśleli, podczas gdy naprzeciw nich uzbrojony był tylko Chad. Nie wiedzieli jednak, że w dylizansie są same kobiety, musieli więc brać pod uwagę to, że w grę może wchodzić więcej pistoletów.

Will odłożył broń, tak jak mu polecili bandyci. W tej chwili mieli więc przeciwko sobie jedynie Chada. Pytanie tylko, czy okażą się lepsi i szybsi. Tylko oni wiedzieli, czy są dobrzy.

Słychać było krótką szeptaną wymianę zdań między nimi, po czym padło kilka głośnych przekleństw. Chad cierpliwie czekał. Bez mała miał nadzieję, że mu się postawią. Nie zaważałby się wystrzelić kuli w kierunku olbrzyma, nie bardzo jednak chciał robić to w stosunku do nastolatka czy też zdesperowanej dziewczyny, kimkolwiek był ten dzieciak. Odczuł więc mimo wszystko ulgę, kiedy niższy rabuś zawrócił na pięcie i puścił się biegiem w stronę zarośli, gdzie stały uwiązane do palików konie. Większy mężczyzna wycofywał się nieco wolniej, jednak po chwili on także zniknął z pola widzenia. Chad czujnie czekał i odprężył się dopiero wtedy, gdy usłyszał odgłos galopujących koni.

- To było naprawdę głupie - mruknął zrzędlawie Will, podnosząc broń. - Zazwyczaj po bokach drogi kryje się więcej bandytów, gotowych do ataku.

- Słowo „zazwyczaj” nie miało zastosowania w tym przypadku, czyż nie? - odparł Chad, wzruszając ramionami.

- Nie, ale to pewne, że tego nie wiedziałeś. Szczęście, że było ich tylko dwóch. Kiedyś byłem świadkiem takiej strzelaniny, że aż odpadło koło od dyliżansu. Wtedy też tylko dwóch rabusiów się pokazało, a potem nagle zrobiło się ich sześciu.

- Może musisz poszukać sobie innej roboty.

- Może i tak - odparł z westchnieniem Will. - Ale zanim to nastąpi, lepiej będzie, jak poprawi ci się nastrój i nie będziesz mnie narażał na otrzymanie kulki w łeb.

Chad uznał, że przemawia przez niego nerwowe napięcie, więc nie obraził się. Ale kiedy to samo nerwowe napięcie dosięgło go z drugiej strony, zareagował w zupełnie inny sposób.

Marian wyskoczyła z dyliżansu czerwona na twarzy z wściekłości i zaczęła na niego wrzeszczeć:

- Nigdy więcej proszę nas nie narażać na takie niebezpieczeństwo. Pan - my - mogliśmy zostać zabici! Kufry z ubraniami i trochę pieniędzy nie są warte ludzkiego życia!

Czuł się bohaterem, a w zamian został zmieszany z błotem! To była kropla, która przelała czarę. Zeskoczył z kozła, chwycił starą pannę za ramię, odciągnął ją na bok i warknął:

- Mam przemożną ochotę potrząsnąć panią jak workiem kartofli. Jeszcze jedno słowo i tak właśnie uczynię. Sytuacja była pod kontrolą, paniusiu. Gdybym nie miał w dłoni broni, mogłoby to się potoczyć zgoła inaczej. A gdyby nie rozżłościła mnie pani swoimi bzdurnymi oskarżeniami, także mogłoby się to potoczyć inaczej. Może więc od tej pory będzie pani trzymać buzię na kłódkę, jeśli chce dotrzeć do rancza swojej ciotki w jednym kawałku.

Zostawił ją i poszedł sprawdzić, co z Amandą. Prawdopodobnie była nadal przerażona i potrzebowała uspokojenia. Otworzył drzwi dyliżansu i napotkał spokojne spojrzenie Elli Mae - zdawało się, że nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi pokojówki siostr Laton. A Amanda spała twardym snem. Ta mała piękność przespała cały incydent z rabusiami.

Marian była w kiepskim nastroju. Nieczęsto robiła z siebie kompletną idiotkę, i to w dodatku na własne życzenie. Zazwyczaj na każdym nowym znajomym, który chciałby się do niej zalecać, starała się zrobić jak najgorsze wrażenie, by uznał ją za kogoś niewartego zachodu.

Jej taktyka polegała na tym, aby nie dopuścić do tego, by siostra stała się o nią zazdrosna. Postępowała tak już od dawna i czyniła to niejako z nawyku.

Tak właśnie zachowała się wobec Chada Kinkaida w dniu, kiedy je odnalazł. Oskarżenie go o nikczemne zamiary, podczas gdy nie miała żadnych wątpliwości, że przybył im na ratunek, powinno było wystarczyć. Rzeczywiście, chyba poczuł się urażony, bo od tamtej pory unikał jej, nie rozmawiał z nią, właściwie nawet nie patrzył w jej kierunku. Doskonały rezultat. Nie przewidziała tylko, jaki to będzie miało na nią wpływ.

Nie ma co owijać w bawełnę: Chad podobał jej się, i to bardzo. Od początku czuła do niego pociąg. Nie rozumiała, co się z nią dzieje. Bez przerwy o nim myślała, nasłuchiwała dźwięku jego głosu, a gdy jechał konno obok dyliżansu, nie spuszczała z niego wzroku. Robiła wszystko to, czego absolutnie nie powinna, jednak nic nie mogła na to poradzić.

Amanda jeszcze nie dostrzegła jej zainteresowania Chadem, pochłonięta sobą i niewygodami podróży. Gdyby jednak zauważyła, że Chad podoba się Marian, zrobiłaby wszystko, by go zdobyć. Nie po to, by go zatrzymać, rzecz jasna, ale żeby zrobić siostrze na złość.

Marian nie musiała wzbudzać antypatii Chada do siebie, bo i tak jej nie lubił. Była o tym przekonana. Powinna definitywnie spalić za sobą mosty, tak aby nie było żadnych wątpliwości, że nie zamierza zabiegać o jego względy. Gdyby straciła resztki rozsądku i pokazała, że lubi Chada, nie byłaby w stanie konkurować ze swoją siostrą.

Amanda potrafiła użyć każdej sztuczki, by otrzymać to, czego chce. Jeśli zapragnęła akurat mężczyzny, gotowa była

nawet się z nim przespać, by mieć pewność, że stanie się jej zupełnie oddany. Robiła już tak wcześniej i sprawiała, by dowiedziała się o tym Marian, jeśli tak się akurat składało, że był to ktoś, komu okazywała zainteresowanie. Dopóki więc Amanda nie wyjdzie za mąż i nie wyprowadzi się gdzieś daleko, Marian nie miała co myśleć o własnych planach matrymonialnych.

Tak więc kolejny raz zrobiła z siebie idiotkę, a teraz była z tego powodu nieszczęśliwa i zażenowana. Tym razem to wcale nie było celowe. Dziś po południu wpadła na Chada najzupełniej przypadkowo. Uświadomienie sobie, że omal go za to nie przeprosiła, uruchomiło w jej głowie dzwonek alarmowy. Nie chciała, aby pomyślał, że jest niezdarna. To mogło nie wystarczyć, by wzbudzić w nim niechęć. Dlatego wystąpiła z tym bezpodstawnym oskarżeniem.

Mogła się wykazać nieco większą pomysłowością. Oskarżenie go o okrucieństwo wobec dzieci było doprawdy absurdalne. Dowodziło, że w jego obecności traci rezon.

Większego zakłopotania nie można odczuć niż ona po tym incydencie. Oto on staje twarzą w twarz z niebezpieczeństwem, przegania rabusiów, udaremnia napad na dylizans, ona zaś, zamiast mu za to podziękować, beszta go jak smarkacza. Nie miała pewności, co było gorsze - strach o niego czy jej idiotyczne zachowanie.

Na domiar wszystkiego wieczorem musiała jeść w jego towarzystwie kolację. Co kilka chwil jej policzki zabarwiały się na czerwono, kiedy pomyślała o swoim postępku. Ale nic nie mogła w związku z tym zrobić, przynajmniej nie dzisiaj. Miasteczko było małe, w jedynym tutejszym hotelu znajdowała się tylko jedna sala jadalna, a w niej tylko jeden wolny stół. Do posiłku zasiedli tuż przed zamknięciem jadłodajni - kucharka poszła już do domu - tak więc nie mogła się wymówić, że zje później. On także nie mógł tego uczynić.

Dobrze chociaż, że wraz z posiłkiem nie otrzymali od Amandy porcji narzekania. Incydent z rabusiami przespała, więc nie musiała się ani trochę denerwować. O napadzie dowie-

działa się w połowie drogi do miasteczka i prawdę powiedziawszy, wprawiło ją to w całkiem dobry humor. A dobry humor Amandy oznaczał, że będzie flirtować z każdym mężczyzną w zasięgu wzroku.

Zdaniem Marian jedzenie było zupełnie pozbawione smaku. Nie była w stanie nic przełknąć. Przepełniało ją tyle sprzecznych uczuć, że aż rozboleła ją głowa. Czym innym było wiedzieć, co może się stać, a czym innym siedzieć i przyglądać się, jak Amanda czaruje Chada. Nawet biedny Will Candles był pod wrażeniem jej uśmiechu. Na ten widok Marian aż skręcało w żołądku.

Ból głowy był dobrą wymówką na wymknięcie się z jadalni i zrobiła z niej użytek. I co z tego, że pójdzie spać głodna. Będzie miała szczęście, jeśli w ogóle tej nocy zaśnie.

Nikt oprócz Elli Mae nie usłyszał przeprosin Marian ani nie zauważył jej wyjścia. Nauczyła się znikać niepostrzeżenie i doszła w tym do wielkiej wprawy. Wbiegła cicho na piętro, odnalazła drogę do pokoju, który dzieliła razem z siostrą i pokojówką, mimo że w korytarzu było zupełnie ciemno. Nie zapalając lampy, uwolniła włosy z ciasnego koka, cisnęła okulary na stolik, suknię rzuciła na podłogę. Rozżalona i nieszczęśliwa wsunęła się pod kołdrę.

Sądziła, że nie będzie mogła zasnąć, lecz wydarzenia dnia wyczerpały ją do tego stopnia, że sama nie wiedziała, kiedy zaśnęła. Nie miała pojęcia, jak długo spała, gdy została gwałtownie obudzona.

- Co u diabła!?! - wrzasnął ktoś.

Odkąd rozpoczęła się podróż, Marian zdążyła się przyzwyczaić, że Amanda, kładąc się spać, budzi ją. Siostra nie miała w zwyczaju liczyć się z kimkolwiek. Ale to nie ona stała obok łóżka. Marian rozpoznała ten głęboki głos i wstrząśnięta do głębi zapiszczała:

- Proszę się wynosić z mojego pokoju!

Początkowo zaskoczony, odzyskał panowanie nad sobą i odpowiedział spokojnym acz niepozbawionym szyderczej nutki tonem:

- To mój pokój.
- Och! - zawstydziła się Marian. Zaczynało jej to wchodzić w zwyczaj. - W takim razie jestem zmuszona przeprosić.
- Proszę sobie nie robić kłopotu - odparł Chad.
- A więc nie zrobię tego - rzuciła i dodała sztywno: - Dobranoc.

Podczas tej krótkiej rozmowy Marian uświadomiła sobie dwie rzeczy. Chad zdążył odsunąć kołdrę, zanim dotarło do niego, że ktoś zajął jego łóżko. W pokoju nadal panowała ciemność. Tak jak ona, Chad nie zapalił lampy przed pójściem do łóżka. To oznaczało, że może jej się uda wydostać z pokoju, tak by nie zdążył jej się dokładnie przyjrzeć. Miała nadzieję, że nie potknie się po drodze.

To był rozsądny plan, który natychmiast wcieliła w życie. Nie przewidziała jednak, że Chad zapali jedną z zapalek, które leżały obok lampy olejowej, dokładnie w chwili, kiedy ona wyjdzie z łóżka. Na szczęście nie patrzył na nią, zajęty podkręcaniem knota w lampie. Przekonawszy się o tym, popędziła do drzwi i wybiegła z pokoju prosto na Willa Candlesa.

Potrąciła go, mruknęła szybko: „Bardzo przepraszam”, ale nie zatrzymała się. Czy jej policzki mogły się zrobić jeszcze czerwieniejsze? Raczej nie. Nie chciały także zblednąć, kiedy wreszcie znalazła się bezpiecznie za właściwymi drzwiami kilka kroków dalej. Była wdzięczna losowi za to, że pokój był nadal pusty i nie musi tłumaczyć siostrze ani pokojówce, dlaczego biega po hotelu w samej bieliźnie.

9

Chwilę później do pokoju wszedł niespiesznie Will Candles w przekrzywionym kapeluszu z szerokim rondem na głowie.

- Czy to była ta, o której myślę, ty cholerny szczęściarzu? - zapytał.

Chad, siedząc na krawędzi łóżka, które miał dzielić z woźnicą dyliżansu, zmarszczył z namysłem brwi.

- A myślałeś, że kto?
- No kto? Ta ładna, bo chyba nie zawracałbyś sobie głowy tą drugą...

- Hej, zaczekaj, to wcale nie było tak, jak myślisz. Ona pomyliła pokoje. Dlatego wybiegła stąd, jakby jej diabeł deptał po piętach. Przyjrzałeś się jej?

- Jasne, to znaczy nie bardzo. Ale pod tą kusą bielizną kryło się całkiem apetyczne ciało - odparł z chichotem Will. - A tylko jedna z nich jest taka kształtna.

Chad wstał, Wziął do ręki leżące na stoliku okulary i zamachał nimi przed oczami Willa.

- Zostawiła je tutaj.

Wóznicza zaczerwienił się lekko i rzekł:

- Do diabła, bez sukni wszystkie baby wyglądają tak samo. Nie przypuszczałem, że tyle włosów można upiąć w tak ciasny kok. Nie myślałem... Przefrunęła obok mnie w sekundę, dłużej powiewały jej jasne włosy.

Chad nie wiedział, co o tym sądzić. Wzrok spłatał mu chyba figła. Przez mgnienie oka widział jej profil, gdy zerwała się z łóżka, ale zaraz twarz przesłoniły długie włosy. Gotów był przysiąc, że głos należał do Marian, ale sylwetka opuszczającej w pośpiechu pokój kobiety - Amandy.

Odwrócił się i w świetle zapalonej zapałki przyglądał się skonsternowany. Długie, jasne pukle zawirowały wokół jej bioder, gdy biegła do drzwi, odziana jedynie w koronkowe pantalonek do kolan i cienką białą koszulkę, opinającą jej piersi i talię niczym druga skóra. To ciało było zbyt kształtne, by mogło należeć do starej panny. To musiało być ciało Amandy.

Kiedy zniknęła z pola widzenia, zapalił lampę i wtedy dostrzegł leżące na stoliku okulary, a na podłodze brązową suknię - taką jaką tego dnia nosiła Marian.

A więc to ta stara panna tu była, choć absolutnie jej nie przypominała. Z profilu tak bardzo podobna do siostry, że przez chwilę Chad był stuprocentowo przekonany, iż to Amanda. Wystarczy jednak przyrzeć się im obu w jasnym świetle dnia, żeby stwierdzić, iż nie ma między nimi żadnego podobień-

stwa - no cóż, może jednak jest. Może po prostu nie zauważył tego wcześniej, ponieważ trudno było dostrzec w Marian cokolwiek innego niż okulary, które tak bardzo deformowały jej oczy.

Założył jej okulary, skrzywił się i odłożył z powrotem na stół. Kiedy przez nie spojrzął, zobaczył jedynie rozmazaną plamę. Żał mu się zrobiło tej dziewczyny - musiała być prawie ślepa, skoro potrzebowała aż tak silnych szkielek - ale tylko przez chwilę. Marian była przecież złośliwą, kłótniawą i niesympatyczną babą, od której każdy mężczyzna, jeśli ma choć odrobinę rozsądku, powinien się trzymać z daleka.

Do tej pory udawało mu się zachować wobec niej dystans i nadal będzie się starał. Rano zwróci jej okulary. Z niecierpliwością czekał na chwilę, gdy wreszcie uda mu się rozwiązać wątpliwości i dobrze przyjrzeć się jej twarzy bez tych okropnych okularów na nosie.

Kiedy rankiem natknął się na Marian właśnie wychodzącą ze swojego pokoju, niech to licho, na nosie miała... okulary. Starał się, ale naprawdę nie był w stanie dostrzec niczego poza nienaturalnie wielkimi oczami i zaciśniętymi w cienką linię ustami. Nos był taki sam, kości policzkowe równie ostro zarysowane, czoło może i takie same, brwi nie, a co do podbródka Chad nie miał pewności.

Nie dała mu zbyt wiele czasu na poczynienie powyższych obserwacji. Z policzkami czerwonymi na wspomnienie tego, co się wydarzyło wczoraj wieczorem, wyszarpnęła mu z rąk złożoną suknię i okulary, od niechcienia mruknęła słowa podziękowania i zbiegła na dół do jadalni na wczesne śniadanie, które podano im przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Miał naprawdę wielką ochotę zerwać jej z nosa te przeklęte okulary. Nie brakowało mu śmiałości, ale nie chciał mieć ponownie do czynienia z jej ostrym języczkiem ani kazaniami, które z całą pewnością byłyby tego wynikiem i ciągnęłyby się, dopóki nie wywiązałyby się ze zobowiązania wobec Red.

Podczas wczorajszej kolacji Amanda wreszcie zwróciła na niego uwagę. Już sądził, że nie interesuje jej ani odrobinę. Nie

wysyłała żadnych sygnałów, że może być inaczej, przez cały wieczór ignorując go. Dla Chada było to raczej nowe doświadczenie. Po tym incydencie uznał, że zdecydowanie warto poznać ją bliżej - kiedy już odstawi siostry do domu.

Za dwa dni powinni się znaleźć w Trenton, skąd do rancza Twisting Barb był już tylko jeden dzień drogi. Wytrzyma trzy dni. Potem się przekona, skąd wieje wiatr, jeśli chodzi o Aman-dę. A co do Marian, Chad miał nadzieję, że wiatr zwieje ją w przeciwnym kierunku.

10

Kiedy od Trenton dzielił ich dzień drogi, Chad zaczął się zastanawiać, czy jest już gotowy na szczerą rozmowę z ojcem. Konfrontacja z całą pewnością nastąpi od razu po jego przyjeździe. Dlatego właśnie długo rozważał to, czy wysłać panie do miasta w towarzystwie Willa, czy też udać się tam razem z nimi.

Gdyby tego nie zrobił, musiałyby im wyjaśnić, dlaczego tak postąpił i właśnie ta świadomość pomogła mu w podjęciu ostatecznej decyzji. A poza tym trzy miesiące z dala od domu to wystarczająco długo, by Stuart zdążył ochłonać. Teraz będą w stanie przedyskutować kwestię małżeństwa Chada w sposób spokojny i racjonalny, nie dając się ponieść emocjom... No cóż, jest taka nadzieja.

Jeszcze jeden dzień i Stuart dowie się, że Chad jest z powrotem w hrabstwie, a on przekona się, czy ojciec potrafi zachować rozsądek w kwestii swoich wielce ambitnych planów stworzenia największego w okolicy imperium bydląt - kosztem syna.

Dziewczęta zostały ulokowane w hotelu i wkrótce miały zejść na kolację. Chad nie był jeszcze głodny. Wyszedł z pokoju, aby poszukać saloonu. Słońce zdążyło już zejść, za kilka minut z nieba ostatnie czerwone smugi. W powietrzu

czuć było burzę, Chad miał nadzieję, że rankiem nie będzie już po niej śladu. Naprawdę nie chciał opóźnić powrotu do Twisting Barb.

W pierwszej chwili nie zauważył stojącej w cieniu werandy Marian, która wpatrywała się w napływające z zachodu burzowe chmury. Gdy go zobaczyła, odwróciła się ostentacyjnie plecami. Chad na chwilę się najeżył, ale zaraz westchnął w duchu z ulgą, bo naprawdę nie miał ochoty wdawać się z nią w rozmowę. Ona pierwsza się odezwała:

- Czy moja ciocia jest... miłą osobą?

Zatrzymał się zaskoczony, zsuwając do tyłu kowbojski kapelusz. W jej głosie słychać było zdenerwowanie. Gdyby było inaczej, udałby, że nie słyszy, i poszedł dalej. Dziwne wydało mu się jej pytanie, zważywszy na to, że Red, bądź co bądź, była jej krewną, a nie jego.

- Cóż to za pytanie?

- Mój ojciec miał wiele wad, a ona jest jego siostrą - odparła z prostotą.

- Pan Laton nie był miłą osobą?

- To zależy. Amanda odparłaby, że ojciec był najmiłszym człowiekiem na świecie.

Odwróciła się bokiem, tak że widział jej profil. Uznał, że w ten sposób okazuje mu swoją niechęć.

- Pani jest innego zdania?

- Nie był zły ani nic w tym rodzaju. Tak, można powiedzieć, że ogólnie był miły. Ale pytanie dotyczyło mojej ciotki - przypomniawszy.

- W ogóle się z nią nie kontaktowaliście, odkąd wyjechała na Zachód?

Marian potrząsnęła głową.

". - Nie, i właściwie jej nie pamiętam.

- No cóż, ona jest naprawdę kochana. Nie znam nikogo, kto by jej nie lubił.

- Naprawdę?

W tej chwili była małą przerażoną dziewczynką, błagającą o nieco otuchy. Pomimo całej do niej antypatii, naprawdę du-

żej, Chad przyłapał się na tym, że się uśmiecha i mówi jej to, co tak bardzo pragnęła usłyszeć.

- Tak, naprawdę. Jest życzliwa i szczodra aż do przesady. Oddałaby ostatnią koszulę, gdyby uznała, że jest komuś potrzebna. I nie zdziwiłbym się, gdyby przed spotkaniem z bratanicami denerwowała się tak samo jak pani. Nigdy nie miała własnych dzieci. Nie znaczy to, że panią można uznać za dziecko...

W jego głowie pojawił się na chwilę obraz ponętnego kobiecego ciała, gdy tamtego wieczoru Marian wybiegała z jego pokoju. Nie, zdecydowanie nie było to ciało dziecka.

- A co z jej mężem? - zapytała Marian. - Ojciec wspomniał, że przeprowadziła się na Zachód zaraz po zamążpójściu.

Chad poczuł się nieswojo, gdyż nie lubił być zwiastunem złych wieści. Zadziwiający był brak wzajemnej komunikacji w tej rodzinie. Domyślił się, że Marian nie wie o śmierci wuja.

Red i jej brat powinni byli przez te wszystkie lata pozostać jednak w kontakcie. Odkąd znał Red, nigdy nie wspominała o rodzinie. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego, wielu ludzi przyjechało na Zachód, by zapomnieć o tym, co pozostawili za sobą.

Aby zakończyć ten temat, wziął głęboki oddech i wygłosił krótki komunikat:

- Pani wuj zmarł w zeszłym roku. Od tamtej pory wasza ciotka sama zarządza ranczem.

- Boże mój, nie miałam pojęcia!

Nie wydawała się zasmucona z tego powodu.

- Nie znała go pani - odgadł Chad.

- Nie, nie przypominam sobie, bym go kiedykolwiek widziała. Raz ktoś kiedyś wspomniał... - Umilkła, marszcząc czoło, jakby szukała czegoś intensywnie w pamięci. - To chyba moja mama powiedziała, że Kathleen wyszła za Franka Dunna tylko dlatego, by wyjechać z Haverhill. Pamiętam, że pomyślałam sobie wtedy, że musiała naprawdę bardzo mocno pragnąć wyrwać się stamtąd.

Albo uciec - pomyślał Chad.

Najprawdopodobniej wtedy nastąpił rozdzwitek między bratem a siostrą i odtąd nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Mimo wszystko nadal byli rodziną, jedyną, jaką mieli, dlatego Red została ustanowiona opiekunką jego córek.

- No cóż, będzie miała pani mnóstwo czasu, by zapytać ją o to wszystko - zauważył Chad. - Jutro wieczorem dotrzemy do Trenton, a na ranczo zajedziemy dzień później.

Kiedy uświadomił sobie, że stoi na werandzie i prowadzi najzupełniej normalną rozmowę z tą starą panną, aż się zarużmienił. Tymczasem zapadła noc i mimo że wzrok szybko przyzwyczaił się do ciemności, nie widział Marian wyraźnie, łatwo mógł więc zapomnieć, że gawędzi z kłótniwą siostrą Amandy.

Chwilę później lunął deszcz. Była to prawdziwa ulewa, która zmusiła Marian do ucieczki z werandy. No cóż, przytulnego saloonu poszukam innym razem, pomyślał Chad.

W małym, dobrze oświetlonym korytarzu hotelowym Marian nasunęła wyżej okulary na nos, a następnie oddaliła się bez słowa. I to by było na tyle - stwierdził w myślach Chad - jeśli chodzi o normalność. Zwyciężyła gburowatość. Marian nie życzyła mu nawet dobrej nocy.

11

Wjeżdżając nazajutrz po południu do Trenton, Chad próbował spojrzeć na miasto oczami osoby obcej, tak jak patrzyłaby na nie Amanda. To było całkiem spore miasto, większe niż te mijane przez Latonówny do tej pory. Znacznie się rozrosło od czasu, kiedy jego ojciec osiedlił się w okolicy.

Główna ulica była teraz zdecydowanie dłuższa. Z prawej strony stały dwa nowe budynki, a z lewej aż trzy, za którymi, w głębi, znajdowały się kolejne dwa. I miasteczko nadal się rozwijało, mimo że nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miała do niego dotrzeć kolej. Przebiegała jednak przez nie trasa dylżansu, prowadząca na północ do Waco i na po-

ludnie do Houston. Niektórym pasażerom przejeżdżającym przez Trenton tak bardzo podobało się to miasteczko, że zdecydowali się zostać tu na stałe, zamiast szukać szczęścia gdzieś dalej.

Do pewnego stopnia miasto rozrastało się dzięki Kinkaidowi, mimo że jego ranczo położone było kilkanaście kilometrów na zachód od Trenton. Stuart mógł mieć na ranczu własny sklep, który zaspokajałby jego własne potrzeby i potrzeby jego pracowników, wolał jednak robić zakupy w miasteczku. Kilku farmerów osiedliło się na wschód od Trenton, a zaledwie dzień drogi na północ powstał tartak.

Miasto miało całkiem sporo do zaoferowania - szerokie ulice ocienione drzewami, trzy hotele, cztery pensjonaty, dwie restauracje, nie licząc jadłodajni w hotelach, do których każdy miał wstęp, sklep wielobranżowy, a także wiele innych sklepów z konkretnymi grupami produktów, takimi jak buty, broń, siodła, meble, biżuteria, odzież. Gabinety miało tu trzech lekarzy i jeden dentysta, kancelarie dwaj prawnicy, ponadto działały dwa zakłady stolarskie. Istniały też inne warsztaty, bo osiedlali się tu ludzie reprezentujący różne zawody. Jeśli zaś chodzi o rozrywkę, w miasteczku znajdowały się cztery saloony (w dwóch były sale taneczne), teatr, a na przedmieściach kilka burdeli.

Miasto było raczej spokojne. Stuart nie tolerował u swoich pracowników awanturnictwa, podobne poglądy wyznawali właściciele saloonów i choć czasami w sobotnie popołudnie dochodziło do burd, ich uczestnicy w najlepszej zgodzie pojawiali się nazajutrz w jednym z dwóch kościołów.

Raz na jakiś czas na ulicach rozlegała się kanonada, ale po interwencji szeryfa strony odstępowały od zamiaru wzajemnego wystrzelania się. Niedobrze, że w przyszłym tygodniu odchodził na emeryturę. Od wielu lat udawało mu się utrzymać spokój w Trenton i wybierano go na to stanowisko aż cztery razy.

Chad spodziewał się, że swoim dzisiejszym przyjazdem do miasta wywoła swego rodzaju zamieszanie. Kłótnia z ojcem

i jego wyjazd stały się powodem wielu plotek. Kowboje Red przywieźli wieści, że Stuart zatrudnił nie jednego, lecz trzech tropicieli, by odnaleźli jego syna, i oczywiście żadnemu z nich nie udało się dowiedzieć, gdzie też podziewa się młody Kin-kaid.

Zdziwił się więc, a nawet nieco zaniepokoił, kiedy na stacji Concord, znacznie większej od dotychczas mijanych, nikt nie zwrócił na niego uwagi. Zatrzymali się przed hotelem Albany, zanim ktokolwiek zdążył go rozpoznać.

Zaledwie jednak zsiadł z konia, ze wszystkich stron posypały się powitania, a wokół dylizansu i na stopniach hotelu zaczęły gromadzić się mały tłum.

- To ty, Chad?
- Gdzie się podziewałeś?
- Twój ojciec wie, że wróciłeś, chłopcze?
- Gdzie się ukrywałeś?
- Słyszałem, że kiedy dałeś nogę, ta młoda kłaczka ronila łzy przez cały tydzień.
- Czy to znaczy, że teraz się ochajtujesz?
- Zaprosisz nas na przyjęcie?
- Gdzie byłeś?

Chad nie odpowiedział na żadne z pytań, przywiązał konia do barierki przed hotelem i cofnął się, by otworzyć drzwi dylizansu. Pierwsza wysiadła Amanda i jej pojawienie się uciszyło zgromadzenie. Zgodnie zresztą z przewidywaniami Chada. W Trenton nieczęsto widywano kobiety aż tak ładne. Dało się słyszeć zbiorowe westchnienie podziwu dla jej urody, po którym zapadła cisza.

Codziennie, a zwłaszcza ostatnio, Amanda wysiadała z dylizansu ze skargą na ustach. Właściwie nie mógł mieć o to do niej pretensji. Delikatną kobietę jej pokroju długa podróż mogła łatwo zmęczyć. Ale mając tak dużą publiczność, trzymała język na wodzy i nawet się uśmiechnęła w odpowiedzi na powitanie. Większość wpatrujących się w nią mężczyzn najprawdopodobniej zakochała się w Amandzie w ciągu tych kilku chwil, kiedy z wdziękiem zmierzała do hotelowych drzwi.

Chad udał się tam razem z nią, by umknąć kolejnej fali pytań, która z całą pewnością zalałaby go, gdy tylko Amanda zniknęłaby z pola widzenia. Ujawszy ją pod ramię, powiódł do środka, i sam przed sobą kłamał, że nie miało to nic wspólnego z subtelnym zasygnalizowaniem, iż uznaje ją za swoją własność. Kątem oka zauważył, że nawet Spencer Evans wyszedł na ganek saloonu, by przyjrzeć się zbiegowisku. Pozostawała nadzieja, że nie ruszy się stamtąd. Chad miał już wystarczająco wiele na głowie, by myśleć o konfrontacji z Nemezis, boginią przeznaczenia.

On i Spencer urodzili się w tym samym roku i praktycznie znali od zawsze. Przez krótki czas, konkretnie przez pół pewnego lata, nawet się ze sobą dogadywali, ale byli wtedy zbyt młodzi, by zrozumieć, że tak naprawdę szczerze się nie znoszą.

Na drodze tego, co mogło przerodzić się w przyjaźń, stała rywalizacja. Chad uznał ją za naturalną u chłopców w tym samym wieku. Wkrótce szli w zawody we wszystkim: w nauce, łowieniu ryb, polowaniu, strzelaniu, bieganiu - nieważne w czym, jeden zawsze chciał być lepszy od drugiego. Okazało się jednak, że Spencer nie bardzo potrafi przegrywać i to on stał się inicjatorem pierwszych bójek.

Brali się za bary pod byle pretekstem, gdyż sama walka stała się po prostu jeszcze jedną formą rywalizacji między nimi. Tak często kłócili się podczas lekcji, że na prośbę nauczycieli przeniesiono szkołę do kościoła, w nadziei, że atmosfera świątyni podziała na chłopców kojąco. Nadzieja okazała się płonna, ale przynajmniej od tamtej pory toczyli walki na przykościelnym cmentarzu.

Mogli z tego wyrosnąć, mimo wszystko zostać przyjaciółmi i po latach śmiać się z wybryków młodości. Wszystko było możliwe. Ale wtedy zaczęli oglądać się za dziewczętami i pech chciał, że za tymi samymi.

Pierwsza spodobała się im Wilma Jones. Bili się o nią sześć razy. Gdy pewnej nocy Spencer wyrył słowa „Kocham cię, Wilmo” na każdej belce w jej domu, Jonesowie przeprowadzili się z powrotem na Wschód.

Od tamtej pory bójki się nasiliły. Chad i Spencer nie mogli przebywać w tym samym pomieszczeniu, boby się pozabijali. I tak się to wszystko ciągnęło, dopóki ojcu Spencera, Tomowi Evansowi, nie znudziło się wreszcie płacenie za szkody wyrządzone przez syna i nie wsadził go na statek, by edukację zakończył u krewnych na Wschodzie. Miasto odetchnęło z ulgą, ale po kilku miesiącach spokój i cisza zaczęły być nudne i niektórym mieszkańcom brakowało cotygodniowej porcji rozrywki, jaką było przyglądanie się wzajemnym pościgom Chada i Spencera.

Kiedy po śmierci ojca Spencer Evans wrócił do miasta, by przejąć saloon „Nie Tutaj”, wszyscy z lękiem wyczekiwali, co z tego wyniknie. Nic się jednak nie działo. Upłynęło dość czasu, by chłopcy stali się mężczyznami, w mieście na szczęście były jeszcze dwa inne saloony, tak więc mogli się nawzajem unikać i nie wchodzić sobie w drogę. Nie zawsze się to udawało i wciąż dochodziło między nimi do starć, ale nie takich jak we wczesnej młodości.

Clare nadal mieszkała w Trenton. Dopóki żył ojciec, pomagała mu w prowadzeniu sklepu z artykułami żelaznymi. Po jego śmierci sprzedała sklep. Pracowała teraz w saloonie Spencera, zajmując się rozrywką, występami na scenie i tym podobnym. Za każdym razem, kiedy Chad o niej myślał, jeszcze bardziej pogardzał Spencerem.

Amanda spędzi w tym mieście zaledwie jedną noc, ranczo Twisting Barb znajduje się dzień jazdy stąd, tak więc Chad nie spodziewał się kłopotów ze strony Spencera. A poza tym Red nie pozwolił, by do jej bratanicy zalecał się uwodziciel niewiniątek.

12

Odprawił pan dylizans? To był nasz prywatny dylizans! - wrzasnęła Amanda.

Chad zsunął kapelusz do tyłu, popatrzył na poranne niebo i policzył do dziesięciu. Zanosił się na to, że Amanda wyczerpie całą jego cierpliwość. Na szczęście miał jej dużo.

Spojrzał ponownie na panie stojące na schodach przed hotelem. Amanda wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Marian podejrzanie obojętnie przyglądała się swoim paznokciom. Pokojówka jak zwykle sprawiała wrażenie znudzonej.

Przyprowadził trzy wierzchowce. W stajni dobre pół godziny wybierał konie odpowiednie dla dam. Powinien był je ostrzec, że dalszą podróż odbędą na końskim grzbiecie. Nie przyszło mu to jednak do głowy. W Teksasie wszyscy, nie wyłączając kobiet, przemieszczają się konno.

Wciąż opanowany, rzekł do Amandy:

- Dylizans nie był wasz. Mogłyście z niego korzystać, ponieważ zmusiłem pracownika linii, by wam na to pozwolił i w ten sposób wynagrodził postępek woźnicy. Nastraszyłem go, że skrucę mu kark, jeśli się nie zgodzi. Na ranczo prowadzi wąska droga. Dylizans się na niej nie zmieści. A poza tym Will odjechał bladym świtem, teraz jest już daleko stąd.

Na twarzy Amandy malował się upór.

- Nie pojedę na koniu - oświadczyła stanowczo. - Niech pan wynajmie powóz, skoro pozwolił pan, żeby dylizans odjechał.

Do diabła! Była naprawdę zła, ale nadal bardzo ładna. Ślicznie się złościła.

Chad westchnął.

- W Trenton można wynająć konie. Można wynająć furmankę do przewozu towarów. Byłbym jednak niezmiernie zdziwiony, gdyby w tym mieście był choć jeden powóz. Nikomu nie jest potrzebny. Wszyscy chodzą pieszo. A poza tym droga jest nie tylko wąska i kręta. Odbija nieco w bok i nie dochodzi do rancza. W dodatku nie biegnie po płaskim terenie. Traktem jedzie się pół dnia dłużej niż na skrót, a to oznacza spędzenie nocy pod gołym niebem. Konno można obrać prostszą drogę i dotrzeć na miejsce przed zapadnięciem ciemności.

- W takim razie wynajmie pan dla nas furmankę, prawda? - rzekła Amanda, jakby nie słuchała jego wywodu.

Czy ona naprawdę chciała spać na preri pod gołym niebem? Czy była po prostu uparta? Niektórych kobiet, kiedy

wbiją sobie coś do głowy, nic nie przekona. Nie zmieniają zdania, choćby miały na tym źle wyjść.

- Już to zrobiłem. Lada chwila zjawi się woźnica. Załaduje wasze kufry na furmankę i jutro dostarczy na miejsce.

- Wobec tego w czym tkwi problem? Pojadę wozem i tyle.

- Nadal czegoś pani nie rozumie - odparł Chad. - To oznacza dodatkowy dzień...

- Nie, to pan czegoś nie rozumie - przerwała mu. - Nie będę jechała na końskim grzbiecie ani dzisiaj, ani jutro, ani nigdy! Jeśli więc nie uda się załatwić żadnego innego środka transportu, zostaną tutaj.

- Nie wygra pan tej walki, panie Kinkaid - wtrąciła Marian. W jej głosie słychać było żartobliwy ton. - Ona boi się koni.

- Wcale nie! - Amanda odwróciła się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z siostrą. - Po prostu nie chcę się narażać na niewygodę. Nie usiedzę cały dzień na koniu.

- Jazda furmanką nie spodoba się pani - zapewnił Chad. - Ona także nie zapewnia wygody. A jeśli już o tym mowa, to spanie na ziemi...

- Na ziemi? Niech mnie pan nie rozśmiesza. Będę oczywiście spać na furmance.

- Furmanka będzie załadowana kuframi...

- W takim razie trzeba ją będzie rozładować - oświadczyła kategorycznie.

- Nie pomieści was trzech.

- I to jest problem?

Przyglądał jej się z niedowierzaniem. Dobrze pojął sugestię zawartą w tym pytaniu. Furmanka miała być wyłącznie do jej użytku - oto co chciała powiedzieć. Chad został tak wychowany, że w jego pojęciu, to co było dobre dla jednej siostry, było dobre także dla drugiej. Czy podobną rozmowę będzie musiał odbyć także ze starą panną, jeśli się zgodzi na ten nonsens i wynajmą jeszcze jedną furmankę do spania?

A Marian śmiała się - z niego. Wyraz jego twarzy po ostatniej uwadze Amandy sprawiłby, że i koń by się uśmieł. Chad był już u kresu cierpliwości, czuł, że lada chwila wybuchnie.

Jednak z jakiegoś niejasnego powodu nie uraziło go rozbawienie Marian. Pierwszy raz słyszał, jak się śmieje, i dźwięk ten był naprawdę przyjemny, a nawet do pewnego stopnia zaraźliwy. Nie roześmiał się, ale ochota, by to zrobić, nieco zmniejszyła jego irytację.

Marian chyba czytała w jego myślach, ponieważ rzekła:

- Ja nie mam nic przeciwko spaniu na ziemi. I jeździe na końskim grzbiecie także.

- Ty też jeszcze nigdy nie jechałaś konno - rzuciła z rozdrażnieniem Amanda.

- Masz rację, ale w przeciwieństwie do ciebie lubię wyzwania. Chyba nie sądzisz, by wleczenie się furmanką okazało się bardzo trudne?

Marian nawiązywała do tego, że podróż się opóźni z powodu kaprysów Amandy. Nic to jednak nie dało. Na policzkach uroczej blondynki nie pojawił się nawet najdelikatniejszy rumieniec.

I wtedy zza rogu wyjechała furmanka. Marian zaczęła się znów śmiać.

- O mój Boże, muły - wydyszała, chichocząc. - Szybciej znalazłabym się u ciotki Kathleen na piechotę.

Tym razem Amanda zarumieniła się. Była wściekła na siebie, że tak się upierała.

- Czy to ma być żart? - powiedziała ze złością. - Spodziewa się pan, że będę jechała furmanką zaprzęzoną w muły?

- To był pani pomysł, nie mój. Przyprowadziłem całkiem niezłe wierzchowce...

- Nie obchodzi mnie to! Jeśli nie mogę mieć powozu, muszę mieć przynajmniej furmankę ciągniętą przez konie.

Chad ponownie zaczął liczyć do dziesięciu. Tymczasem pojawił się Spencer. Wymuskany, w najlepszym niedzielnym ubraniu, jakby wybierał się do kościoła na mszę, choć nie był szczególnie religijny. Widocznie miał nadzieję złapać siostry przed wyjazdem z miasta i wyrzucić na nich wrażenie swoimi wytwornymi manierami, nabytymi przed laty podczas pobytu u krewnych na Wschodzie.

- Dzień dobry paniom - uchylił dwornie kapelusza. - Słyszałem, że potrzebna jest moja pomoc. O ile powóz jest tym, co rozwiąże problem.

Zwracał się do obu siostr, jednak jego spojrzenie spoczywało na Amandzie. Sądząc po poślanym w jego kierunku uśmiechu, zrobił na niej wrażenie. Kobiety zdawały się tracić rozsądek, kiedy znajdowały się w pobliżu Spencera Evansa. Jego chłopięcy wygląd niezwykle im się podobał: ciemne włosy, szmaragdowozielone oczy i pewność siebie, jaką daje dobrze prosperujący interes.

- W rzeczy samej, kim pan jest?

- Spencer Evans, do usług.

- Powiedziano nam, że w mieście nie ma ani jednego powozu. To prawda?

- Ten, kto tak twierdzi, jest doprawdy ignorantem - odparł Spencer.

- Mam rozumieć, że pan ma powóz, który moglibyśmy wynająć? - zapytała Amanda.

- Zupełnie nowiutki, dostarczony zaledwie w zeszłym miesiącu - odparł z wyraźną przyjemnością. - Nie chcę nawet słyszeć o wynajęciu. Będzie to dla mnie zaszczyt, jeśli zechcą panie z niego skorzystać.

Chad odwrócił się i tym razem zaczął liczyć do stu. Zrozumiał przytyki zarówno ze strony Spencera, jak i Amandy. Ostatnie, na co miał ochotę, to bójka na oczach siostr Laton, lecz gdyby odezwał się do Spencera choćby słowem, tak by się niechybnie stało. Jej przytyki był w stanie ignorować, jego nie.

Ale oni zupełnie nie zwracali na niego uwagi. Wspólnie dopracowywali szczegóły. Łatwo było odgadnąć, o co Spencerowi chodzi: nie tylko o przypochlebiecie się Amandzie, ale także o sposobność ponownego spotkania z nią.

- Wpadnę jutro po południu i odbiorę powóz... - mówił właśnie.

- Nie kłopotz się - przerwał mu Chad, nie będąc w stanie dłużej milczeć. - Ktoś go przyprowadzi.

- To żaden kłopot. Dawno nie byłem w Twisting Barb. Z przyjemnością odwiedzę Red.

Spencer dobrze odrobił pracę domową. Wiedział, kim są siostry Laton i dokąd się udają. Pewnie w nocy dopadł Willa Candlesa i go wymaglował. Prawdę powiedziawszy, Chad spodziewał się Spencera w hotelowej jadalni już wczoraj wieczorem. Może zresztą przyszedł, tyle że za późno. Panie nie guzdrały się przy kolacji i wcześniej poszły spać, tak więc Spencer na próżno poświęcił tyle czasu na wypomadowanie się przed przyjściem do hotelu, bo się z nimi minął.

Minęła godzina, nim wreszcie ruszyli w drogę. Chad musiał kupić na noc kilka koców i jedzenie na kolację. Mocno zacisnął zęby, gdy przed nimi zatrzymał się Spencer swoim „zupełnie nowiutkim” powozem i Amanda przyznała się, że nie umie powozić. Narobiła tyle zamieszania i nie wie, jak się tym jeździ? Niesłychane!

To zaskoczyło nawet Spencera. Do tego stopnia, że nie zaproponował swoich usług także w tym zakresie. Na szczęście pokojówka oświadczyła, że sobie poradzi. Spencer z całą pewnością zaofiarowałyby się, że się tym zajmie, gdyby nie to, że na chwilę zaniemówił. A Chad najpewniej złamałby mu za to nos. Stracił już cierpliwość. Ale tak zawsze było, kiedy dochodziło do spotkania jego i Spencera Evansa.

13

Postój zrobili koło wodopoju. Woda nie należała do najsmaczniejszych, ale Chad zabrał ze sobą zapas, tak że nie musieli pić akurat tej. Sam przygotował posiłek. Marian zaofiarowała się, że to zrobi, ale jeśli gotowała tak samo jak Red, a można się było tego spodziewać, skoro pochodziły z tej samej rodziny, wołałby raczej jeść korzonki. A poza tym bał się, że puści z dymem cały obóz - była przecież taka niezdarna. Im dalej znajdowała się od ogniska, tym lepiej.

W ciągu dnia udało mu się ochłonać. Tracił czas, jadąc konno obok powozu, ale co tam, to tylko jeden dzień zwłoki. Amanda wspaniałomyślnie zgodziła się spać w powozie, więc przynajmniej nie musiał rozładowywać dla niej furmanki. Podwinawszy pod siebie nogi, mogła się ułożyć na dwuosobowym siedzeniu. W powozie było ciasno i niewygodnie, ale wpływ na jej decyzję miało zapewne miękkie obicie siedziska, na którym miała spać.

Chad spodziewał się, że z ciemności lada chwila wyłoni się Spencer. Dogoni ich pod pretekstem, że chce się upewnić, czy wszystko jest w porządku. Tak uczyniłby Chad, gdyby chciał się spotkać z kobietą, która wzbudziła jego zainteresowanie. Zapomniał jednak, że Spencer wychowywał się w mieście, wprawdzie w samym sercu Teksasu, przywykł jednak do wygod i nie sypiał pod gołym niebem na prerii, tak jak prawdziwi ranczerzy.

A poza tym Spencer zdążył już wykorzystać swój przydział kiepskich wymówek. „Dawno nie byłem w Twisting Barb. Z przyjemnością odwiedzę Red” - Chad parsknął w duchu. Ten drań wprosił się na obiad, nie wiedząc, że nawet jeśli Red ugotowała jakiś posiłek, zawsze go przypaliła, dlatego zatrudniała kucharzy, żeby przygotowywali posiłki dla niej i pracowników. Była kulinarnym beztalenciem i nie wstydziała się do tego przyznać.

Ella Mae zaofiarowała się, że posprząta po kolacji. To miłe z jej strony. Była spokojną osobą. Brązowe włosy związywała w kok, aczkolwiek nie tak ciasny jak Marian. Miała zielone oczy, była kilka lat starsza od siostr Laton i wywiązywała się ze swoich obowiązków jakby mimochodem. Byłaby przeciętnie wyglądającą kobietą, gdyby nie zawsze obecne w jej oczach iskierki humoru. Marian traktowała ją jak swoją przyjaciółkę. Amanda zachowywała się wobec niej z większym szacunkiem niż w przypadku kogokolwiek innego, żadna jednak nie myślała o niej jak o służącej. Nie wydawały jej poleceń, lecz prosiły. Ella Mae była w tej rodzinie dostatecznie długo, by czuć się jej członkiem.

Skoro już o stosunkach rodzinnych mowa, to Marian i Amanda nie odnosiły się do siebie jak siostry. Niewiele ze sobą rozmawiały, a jeśli już dochodziło do wymiany zdań, nie były to miłe słowa. Chad przypuszczał, że podczas podróży porządnie się pokłóciły i do tej pory tak do końca nie pogodziły. To mogło także tłumaczyć irytację Amandy, no i gburowatość starej panny.

Amanda odeszła od ogniska, by przygotować się do snu. Chad przez chwilę przyglądał się ukradkiem, jak przebiera w stercie kupionych przez niego koców. Tymczasem Ella Mae przyniosła dla niej wodę w wiadrze. Amanda obmyła twarz i szyję z całodziennego kurzu, a potem zaniósła wiadro za powóz i tam, skryta przed ciekawskimi spojrzzeniami, umyła się cała.

Z każdym mijającym dniem wydawała mu się coraz bardziej urocza. Miał nadzieję, że nie zadurzył się w niej - a przynajmniej jeszcze nie. Kilka razy uśmiechnęła się do niego, ale tak uśmiechała się do wszystkich. Nie wiedział więc, czy ma szansę w ubieganiu się o jej względy.

Zazwyczaj kobiety wysyłały sygnały, subtelne podpowiedzi dla mężczyzny. Chad do tej pory nie miał wątpliwości, czy podoba się kobiecie. No cóż, żadna nie trzymała go tak długo w niepewności. Sam też nie był pewien, czy jest zainteresowany Amandą. Postanowił wstrzymać się z uczynieniem pierwszego kroku. Jeśli ona ukrywa swoje uczucia i nie ujawni ich, dopóki on tego nie zrobi - sytuacja była patowa.

Kiedy Amanda zniknęła za powozem, Chad został sam na sam ze starą panną. W szkłach jej okularów odbijał się ogień - dwa miniaturowe ogniska. Wyglądała dziwnie w wielkich okularach wsuniętych wysoko na nos.

Marian była zmęczona, mimo że jednak nie zdecydowała się na jazdę konno. W powozie było dość miejsca dla obu sióstr. Chad niechętnie podziwiał ją za odwagę, że chciała jechać konno, choć nigdy nie siedziała na końskim grzbiecie. Przemknęła mu przez głowę myśl, by nauczyć ją tego, kiedy już znajdą się na ranczu, ale po chwili zganił się w duchu za to, że

w ogóle o czymś takim pomyślał. Dla własnego dobra powinien się trzymać od niej z daleka.

Przygotował dzbanek kawy. Zrobił to z przyzwyczajenia. Zawsze gdy pędził bydło na targ, zabierał dzbanek z kawą. Czas mniej się dłużył, gdy w nocy pilnował stada. Myślał, że tylko on będzie ją pił, ale gdy nie patrzył, Marian nalała jej sobie do kubka i postawiła go w pobliżu ognia, żeby tak szybko nie wystygła.

Odwrócił wzrok, by nie zachęcać jej do rozmowy. Kątem oka dojrzał, że Marian wyciąga rękę po kubek, ale nie trafia. Jeszcze chwila, a włoży dłoń w ognisko.

Potrząsnął głową i rzekł:

- Musi sobie pani poszukać innego lekarza okulistę. Tak się składa, że jeden mieszka w Trenton.

Jej spojrzenie na chwilę pomknęło ku niemu, po czym wróciło do kubka, który w końcu udało jej się złapać.

- Z moim wzrokiem jest wszystko w porządku - odparła z oburzeniem.

- Jest pani ślepa jak kret.

- Ta uwaga nie była miła - prychnęła Marian.

- Nieprzyjemne uwagi to pani specjalność. Ja jedynie stwierdzam fakt oczywisty.

- Ale to nieprawda.

- Nie? Ile palców trzymam w górze? - Nie odpowiedziała, więc dodał: - No właśnie.

Opuściła głowę, dając według Chada za wygraną, lecz po chwili odezwała się z triumfem:

- Trzy.

- Zgaduj zgadula - mruknął.

- A pan nie potrafi przyznać, że nie miał racji, prawda?

- Kiedy ostatnio miała pani badany wzrok? - odparował. - Sądząc po tych staroświeckich okularach, pewnie wtedy, gdy była pani małą dziewczynką. Czy ponowne przebadanie się naprawdę by bolało?

Chad sądził, że tą uwagą nakłoni ją do wizyty u lekarza, lecz nawet w nikłym świetle ogniska dostrzegł, że się zarumieniła. Trafił w jej czuły punkt.

- Mój wzrok to nie pańskie zmartwienie - wysyczała. - I niech pan ze mną nie rozmawia, bo jeśli ona zauważy.

Niespodziewanie zamilkła, wytrącona z równowagi, jakby to, co powiedziała, wyrwało jej się niechcący. Chad ułożył się na swoim posłaniu, wsparty na łokciu. Był umiarkowanie zainteresowany tym, czego Marian nie chciała powiedzieć. No cóż, może to niezupełnie prawda, ale miał nadzieję, że takie sprawał wrażenie.

- Ona? Kogo ma pani na myśli?

- Nieważne.

- W takim razie wróćmy do tematu. Kiedy ostatnio badała sobie pani wzrok?

- Nie słucha pan uważnie, prawda?

- Ależ słucham. Powiedziała pani, że nie powinienem z panią rozmawiać, ale skoro nie chce pani mówić jaśniej, to pewnie nic ważnego.

- Proszę mi zaufać, panie Kinkaid. To coś, o czym z pewnością nie chciałby pan wiedzieć.

Chad uniósł brew. Czy ona naprawdę się o niego martwiła, czy też po raz kolejny w jakiś cudaczny sposób chciała go obrazić?

- No cóż, skarbie - rzekł z wyjątkowo silnym teksańskim akcentem. - Udało się pani wzbudzić moje zainteresowanie...

- Tym gorzej dla pana.

Ależ ona miała dar irytowania ludzi. Wyprostował się. Włożył do ogniska gałązkę, by wzniecić nieco większy ogień, i dodał kilka grubszych gałęzi, tak by palił się do świtu.

- Dziękuję - dodała po chwili Marian.

Chad naprawdę nie miał pojęcia, za co mu dziękuje.

Właśnie się zbierała, żeby mu o tym powiedzieć, kiedy on rzekł:

- Mogła pani po prostu stąd odejść.

- Zmarzłam. Trzęsę się od godziny. Sama nie wiem czemu. Noc nie jest przecież zimna. Przed pójściem spać chciałam się ogrzać przy ognisku. To pan mógł stąd odejść albo przynajmniej nie rozmawiać ze mną w sposób tak oczywisty.

- Nie jestem głupi. Moje posłanie jest tutaj, przy ogniu, i jestem już gotowy do snu. Niechże więc przejdzie pani wreszcie do sedna i powie mi, o co chodzi.

- Nie zrozumiałby pan tego.

- Dlaczego? A może peszy panią wyjaśnianie...

- Nie o to chodzi - przerwała mu. - Próbowałam jedynie oszczędzić panu...

- Konsternacji? Zdenerwowania? - odpowiedział Chad. - Świetna robota, droga pani, naprawdę. Udało się pani doprowadzić mnie do konsternacji i zdenerwować.

Sarkazm w jego głosie był aż nazbyt oczywisty. Marian zarumieniła się po korzonki włosów. Policzki paliły ją takim ogniem, że mogłaby się zająć od niego stodoła. Jemu także udało się ją zirytować na tyle, że wreszcie się wygadała.

- No tak, rozmowa z panem najprawdopodobniej doprowadzi do tego, że Amanda wyciągnie mylne wnioski. Gdyby choć przez chwilę pomyślała, że pana lubię, co oczywiście nie jest prawdą - dodała pospiesznie. - Ale gdyby tak właśnie pomyślała, uruchomiłaby cały swój czar, by zdobyć pana dla siebie. Zrobiłaby to nie dlatego, że pana lubi, a nie mam pojęcia, jaka jest prawda, ale dlatego, żeby zrobić mi na złość.

Udało jej się go zaskoczyć. Nigdy nie słyszał podobnych idiotyzmów, choć powinien był się spodziewać czegoś równie absurdalnego, wzięwszy pod uwagę jej nieokiełznaną niczym wyobraźnię.

- Aha. Więc jedyne, co trzeba, by wzbudzić jej zainteresowanie, to udawać zainteresowanie panią. Wydaje się to niezbyt trudne. Postaram się zapamiętać.

Marian przez chwilę wpatrywała się w niego twardym spojrzeniem, po czym rzekła:

- Wie pan, chyba wolę zmarznąć niż kontynuować tę rozmowę. W każdym razie ostrzegłam pana. Będzie pan działał na własne ryzyko.

Chad uśmiechnął się.

- Zawsze tak robię, skarbie.

Pójdiesz ze mną z własnej woli czy mam cię walnąć w łeb?

Pytanie zostało zadane szeptem. Marian zdziwiła się, że w ogóle je usłyszała. Głos dochodził z pewnej odległości. Było ciemno choć oko wykol. Jaśniało tylko płonące żywym ogniem ognisko.

Po irytującej rozmowie z Chadem nie mogła zasnąć. Doprowadzało ją do szału wspomnienie jego zadowolonej miny, kiedy zdradziła sekret Amandy, jakby już zastanawiał się, jak go wykorzystać do przyciągnięcia jej uwagi. Marian miała szczerą ochotę go kopnąć. I z całą pewnością nie chciała już z nim więcej rozmawiać.

Surowo zganiła się w duchu za wyjawienie prawdy o Amandzie. Do tej pory nikomu o tym nie mówiła. Pocieszała się, że Chad jest na tyle inteligentny, że sam odkryłby, iż jej siostry lepiej unikać, niż się za nią uganiać.

Leżała rozbudzona na twardej ziemi pod furmanką, przykryta jednym kocem z Ellą Mae, i nasłuchiwała rozbrzmiewających w ciemnościach dźwięków. Jej uwagę przykuł złowrogi szept...

Nie usłyszała, jak nieznajomy wdarł się do obozu. Przebył całą drogę do ogniska, przy którym spał Chad, pochylił się nad nim, a wszystko to bez jednego szmeru.

Ze swego legowiska pod furmanką miała dobry widok. Intruz był potężny - wysoki, mocno zbudowany, jak nic ważył ze sto kilo. Wyglądał na dzikusa, w każdym razie nie na kogoś cywilizowanego. Miał na sobie brudne ubranie i kapotę z niedźwiedziej skóry. Skołatunione długie siwobrazowe włosy od lat nie widziały grzebienia. Marian poczuła odór dawno niemytego ciała.

Chad z całą pewnością zdążył się już obudzić, mimo że nie poruszył się ani nie dał po sobie poznać, że usłyszał pytanie. Olbrzym, wyraźnie zniecierpliwiony brakiem reakcji z jego strony, szturchnął go łufą strzelby.

- Słyszysz mnie, chłopcze?

- Nawet jeśli bym nie słyszał - odparł sucho Chad - to z całą pewnością bym cię czuł, chłopcze.

Marian zdusiła chichot.

- Znasz mnie. Pracowałem kiedyś dla twojego taty. Wiesz, nie chcę cię skrzywdzić, chyba że będę musiał. Chodź ze mną. Dostanę za ciebie pięć stów, a to oznacza, że tej zimy będzie mi ciepło. W moim wieku potrafię to docenić.

- Dam ci tyle samo, jeśli odejdziesz razem z tym swoim smrodem.

- Nie da rady, obiecałem Kinkaidowi, że do rana sprowadzę cię do domu. Muszę dotrzymać słowa, chłopcze, chyba to rozumiesz. Kwestia zaufania... Gdy następnym razem będę potrzebował roboty, dostanę ją.

- To bezcelowe. Ojciec wie, gdzie mnie znaleźć. Może sam do mnie przyjść.

- Widzi mi się, że on nie chce - odparł olbrzym. - Chodzi o dumę, wiesz? A zresztą to ty dałeś nogę, nie on.

- Nic nie wiesz na ten temat, Leroy - rzucił Chad z pewną dozą wstrętu.

- Ja nie muszę wiedzieć, nie płacą mi za to. Idziesz...?

Westchnienie.

- Wyświadczyłbym ci tę przysługę, gdyby nie było ze mną kobiet, których nie mogę zostawić samych. Bez sensu ciągnąć je kilkanaście kilometrów w bok, kiedy od domu dzieli je już tylko kilka godzin. Możesz powiedzieć mojemu tacie, że przyjadę się z nim spotkać w przyszłym tygodniu.

Leroy potrząsnął głową.

- Nic z tego. Za coś takiego nie dostanę moich pięciu stówek, chłopcze.

- Ale za to nie dostaniesz kulki w łeb, chłopcze - odparował Chad i zerwał się z legowiska.

Dźwięk odbezpieczanej broni odbił się głośnym echem w nocnej ciszy. Potężny mężczyzna zarechotał. Nie wyglądał ani trochę na przestraszonego. Kpił sobie z wycelowanej w niego strzelby. Oświadczył z nutką sympatii w głosie:

- Twój tatko nie powiedział, że muszę przyprowadzić syna do domu w jednym kawałku. Mam cię tylko dostarczyć. Lepiej się poddaj bez walki. Sześć kul, jeśli masz tyle w magazynku, nie powstrzyma mnie. Bywało gorzej i muszę się pochwalić, że zawsze się wylizałem. Chodź ze mną, oszczędzisz i sobie, i mnie bólu.

Marian ukradkiem przemykała się w stronę mężczyzn, którzy mówili o strzelaniu do siebie tak spokojnie i od niechcenia. Rozmawiali na tyle głośno, że nie słyszeli, jak się skrada. Zatrzymywała się za każdym razem, kiedy milkli. Podniosła z ziemi gałąź, właściwie niewielkie polano, ale wystarczająco grube i ciężkie, by zrobić nim komuś krzywdę. Czy była zdolna do zamachnięcia się i przyłożenia mężczyźnie zwanemu Leroy, pozostawało pod wielkim znakiem zapytania.

Bójki z siostrą to co innego. Czasami bywały brutalne, ale ta sytuacja była krańcowo odmienna - Marian miała zaatakować kogoś, kogo nie znała, z zamiarem zranienia go na tyle poważnie, by udaremnić jego nieczne plany. Nie była pewna, czy jest w stanie coś takiego zrobić, ale nie miała wyboru.

Jeszcze jeden krok i powinna się znaleźć wystarczająco blisko. Ze zdenerwowania zaczęły jej się pocić dłonie. Uniosła prowizoryczną maczugę, przygotowując się do wzięcia zamachu, zrobiła krok do przodu...

... I nastąpiła na gałązkę. Rozległ się suchy trzask.

Mężczyźni odruchowo odwrócili się w jej kierunku. Obaj wycelowali w nią broń. Marian zamarła z oczami szeroko otwartymi z przerażenia.

Pierwszy zaczął się śmiać Leroy. No tak, nie pomyślała o tym, że jest niekompletnie ubrana. Stała przed nimi w samej bieliźnie, z polanem uniesionym nad głową, z rozwianymi włosami. To nie było wcale zabawne. A już na pewno nie na tyle, by Leroyowi napływały ze śmiechu do oczu łzy.

- Co, u diabła, masz zamiar z tym zrobić, dziewczyno? - zapytał. - Czyszczę zęby wykałaczkami takiej wielkości.

Nie powinna była tam stać. Kłopoty Chada to nie jej sprawa. Poradzi sobie bez niej, nie będzie czekał, aż Marian go „ocali”.

Jej odwaga stała się obiektem drwin. Naprawdę oburzyła ją ta rażąca przesada. Leroy pewnie w całym swoim życiu ani razu nie umył zębów, nie mówiąc o używaniu wykałaczek. Powiedział tak tylko dlatego, by dać jej do zrozumienia, że nie jest dla niego przeciwnikiem. Rozzłoszczona zamachnęła się maczugą, celując w głowę olbrzyma. Leroy złapał ją w locie, bez wysiłku wyjął z dłoni Marian i cisnął do ogniska.

Już była gotowa się nadać, gdy Chad wykorzystał chwilę nieuwagi Leroya. Rechot nagle się urwał i olbrzym padł na ziemię, zdzielony kolbą przez głowę. Zupełnie go to ogłuszyło. Chad nie marnował czasu i związał go, na wypadek gdyby odzyskał przytomność szybciej niż trzeba.

Związany i zakneblowany, ze skonfiskowaną bronią - pod kapotą z niedźwiedziej skóry ukryty był cały arsenał - Leroy nie przedstawiał już zagrożenia. Marian stała w miejscu jak zahipnotyzowana. Pragnęła zapytać Chada, o co w tym wszystkim chodzi, ale w istocie to nie była jej sprawa, a poza tym nagle stała się boleśnie świadoma tego, że stoi przed nim w samej bieliźnie.

Odwróciła się, by odejść, starając się przy tym nie zwrócić na siebie uwagi Chada. Jednak on to zauważył i odezwał się:

- Proszę zaczekać, Amando.

Zamarła po raz drugi, uświadamiając sobie, że nie ma na nosie okularów. Zapomniała o nich, kiedy spieszyła mu na ratunek, co było naprawdę niemądre. Chad wziął ją za Amandę!

Podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

- To, co próbowała pani zrobić, było odważne, ale nierozsądne.

Znajdował się tak blisko niej. Przyglądając mu się, Marian zaczynała czuć coś więcej niż tylko zakłopotanie. Została tutaj zbyt długo, powinna była natychmiast odejść. Z potarganymi od snu włosami, spocony podczas przepychanki

z Leroyem, z nagą klatką piersiową i połyskującą w świetle ogniska skórą, Chad Kinkaid był zdecydowanie zmysłowy i męski.

Ale myślał, że ona to Amanda...

Powinna wyprowadzić go z błędu - nie, to byłoby jeszcze bardziej niemądre. Nic się nie stanie, jeśli przez kilka chwil Chad będzie myślał o niej jako o Amandzie. Jeśli do tej pory sam nie odgadł, musiałaby wyznać, że ona i jej siostra są bliźniaczkami. Przebywali już ze sobą wystarczająco długo, by tak właśnie się stało. Jednak większość osób, które je znały i wiedziały, iż są łądząco do siebie podobne, szybko o tym zapominała, ponieważ kamuflaż Marian tak bardzo ją odmieniał.

W tej jednak chwili Chad naprawdę sądził, że ona to Amanda, ona z kolei nie chciała go od siebie odpychać.

Odwrocił ją twarzą ku sobie.

- Dziękuję. Gdyby nie pani, mogło się zrobić nieprzyjemnie. Z zakłopotania opuściła głowę.

- Kto to był? - zapytała.

- Łowca bizonów, łowca nagród, łowca indiańskich skalpów, traper... Bóg jeden wie, czym jeszcze się zajmował. Znudziło go życie na odludziu albo się zestarzał. Wynajmuje się teraz do rozmaitych prac. Przyjmuje każde dobrze płatne zlecenie.

- Zna go pan?

- Niezbyt dobrze, tylko przelotnie. Co jakiś czas zajeżdża na rancho mojego ojca, by się dowiedzieć, czy nie ma dla niego jakiejś roboty.

- I tym razem dopisało mu szczęście? Ojciec musi komuś płacić, żeby syn go odwiedził?

Chad uśmiechnął się. Marian wolała, by tego nie robił. Znajdował się zdecydowanie za blisko niej, no i ten uśmiech...

- To wszystko jest nieco bardziej skomplikowane - rzekł miękko, zbyt miękko.

Miał zamiar ją pocałować. Wiedziała, że się na to zanosi. Powinna odwrócić się na pięcie i uciec, ale nie była w stanie zro-

bić kroku. Mimo że w swoim mniemaniu nie całowałyby jej, tylko Amandę, w głębi duszy pragnęła tego pocałunku,

Nie trafiały jej się tego rodzaju okazje. Z własnej woli odłożyła sprawy osobiste na później, dopóki Amanda się nie ustakuje, ale zaczynała tracić nadzieję, że to kiedykolwiek nastąpi. Marian dorosła już do tego, by wyjść za męża, i bardzo tego pragnęła. Marzyła o mężczyźnie, o którym mogłaby powiedzieć, że jest jej. Ale dopóki Amanda nie znajdzie sobie męża i nie zamieszka z nim, ona nie ośmieli się realizować swoich pragnień.

Nieuczciwością było pozwalać Chadowi sądzić, że ona to Amanda. Pokusa była jednak zbyt silna. Zamierzała przemilczeć prawdę i przyjąć pocałunek przeznaczony dla siostry. A zresztą nie miała już czasu na zadreczanie się tym.

Warto było. Ta myśl przemknęła Marian przez głowę, gdy na jej ustach spoczęły usta Chada i rzuciły czar na wszystkie jej zmysły. Och, tak, zdecydowanie warto. Warto dla takiego podniecającego i szalonego uczucia, pulsującej krwi, dudniącego serca, wielkiego wzruszenia. A kiedy Chad przyciągnął ją do siebie, bała się, że zaraz zemdleje. Wtulona w niego, czuła jego ciało, smakowała je. Doznawała wielu ekscytujących wrażeń naraz.

Nie miała pojęcia, jak długo Chad ją obejmował. Tak była zatoniona we własnych doznaniach, że straciła poczucie czasu. Mógł ją całować całą noc, a ona i tak nie zdałaby sobie z tego sprawy. Jednak równie dobrze mogła to być zaledwie krótka chwila, a kiedy wreszcie Chad odsunął się od niej, nie wydawał się nawet w połowie tak poruszony tym, co się właśnie stało, jak ona.

Marian nie była w stanie rozsądnie myśleć. Mężczyzna uśmiechnął się do niej, pogłaskał po policzku i rzekł:

- Powinna już pani iść spać. Porozmawiamy o tym rano.

Otworzyła szeroko oczy. W jej głowie rozbrzmiał dzwonek alarmowy.

- Nie, nie, nie będziemy na ten temat rozmawiać. Uznajmy, że nic się nie wydarzyło. No cóż, nie powinno było, więc proszę nawet o tym nie wspominać. Nigdy!

Uśmiechnął się do niej szeroko, nie wydając się ani odrobinię poruszony tym nagłym wybuchem.

- Jak sobie życzysz, skarbie. Najważniejsze, że oboje będziemy znać prawdę.

Odrzucił się w stronę ogniska. Wykorzystując to, że na nią nie patrzy, Marian pobiegła do furmanki i własnego prowizorycznego posłania. Zamieszanie obudziło Ellę Mae, która stała się mimowolnym świadkiem pocałunku. Leżała teraz na boku, opierając się na łokciu. Przewróciła oczami, kiedy Marian kładła się obok niej.

- Wiesz, co robisz? - zapytała.

- Nie.

- To nie było właściwe.

- Wiem.

- Powinnaś mu była powiedzieć prawdę. Oczywiście jeśli pragniesz go dla siebie.

Ella Mae nigdy niczego nie owijała w bawełnę, może dlatego, że była prostą kobietą. Jej rodzina należała do klasy robotniczej, ale nie była biedna. Wydziedziczyła ją jednak, kiedy Ella Mae zaszła w ciążę, a przyszły tatuś nie poczuwał się do odpowiedzialności. Poroniła i bardzo z tego powodu rozpacziała. Od tamtej pory zdana była wyłącznie na siebie.

Wykonywała swoją pracę nadzwyczaj dobrze. Nie przejmowała się tym, czy ją utrzyma, czy nie, ponieważ wiedziała, że bez trudu znajdzie następną. Siostry traktowały ją jak równą sobie, a nie służącą, i bardzo ceniły. Marian uważała ją wręcz za swoją przyjaciółkę. Nawet Amanda, która przed nią odprawiła pięć pokojówek, nigdy nie odezwała się do niej ostrym tonem, gdyż zdawała sobie sprawę, że Ella Mae nie tolerowałaby takiego zachowania i odeszłaby, a nie miała zamiaru tracić kogoś, kto tak pięknie układał jej włosy i utrzymywał garderobę w doskonałym stanie.

Ella Mae była czasami zbyt szczerą, tak jak w tej chwili. Marian nie chciała rozmawiać o swoich uczuciach do Chada, które według niej samej nie miały sensu i dlatego najlepiej było nie dzielić się nimi nawet z przyjaciółką.

Ella Mae nie dawała za wygraną.

- Chcesz go?

Marian powinna zaprzeczyć, ale nie miało to, szczerze mówiąc, znaczenia. Może i potrafiła sprawić, by Amanda nie zwróciła uwagi na jej tęskne spojrzenia, ale Ella Mae spędzała z nią znacznie więcej czasu niż siostra i już nieraz pytająco unosiła brwi.

- Chyba tak - przyznała.

- W takim razie powiedz mu o tym.

- Nie mogę. Wiesz przecież, że Amanda będzie zazdrosna.

A poza tym to jej pragnie Chad.

- Bo jej nie zna. Ciebie zresztą też nie. Powinnaś mu pozwolić się poznać.

- Przestań. Wiesz, co się dzieje, kiedy jakiś mężczyzna zaczyna okazywać mi zainteresowanie. Amanda zaraz go oczarowuje i traktuje jak swoją własność.

- Z gołowąsami mogła sobie tak poczynać. Mężczyzna nie da się nabrać na jej sztuczki. Niepotrzebnie ukrywasz swoją urodę. Nie dajesz nikomu szansy. Nie wszyscy panowie są tacy naiwni.

- Może i nie - odparła Marian. - Ale nie mam zamiaru ponosić odpowiedzialności za to, że przeze mnie Amanda zrani choć jedną osobę. Wolę zaczekać na właściwy moment.

- Takie czekanie prowadzi donikąd - zauważyła Ella Mae.

- Nie spieszy mi się.

- Naprawdę? Chcesz stracić tego, kogo naprawdę pragniesz? Marian westchnęła.

- Nikogo nie tracę. On się już jasno określił.

- Ona też. Nie okazała mu zainteresowania. Odnosi się do niego z chłodną rezerwą.

Słyszając to, Marian uśmiechnęła się szeroko.

- Dlatego właśnie mogę poczekać na właściwy moment. On jest inny. Jeszcze nie stracił dla niej głowy. Sądzę, że chce się przekonać, czy jest warta jego starań.

- A mnie się zdaje, że jego jedynym zmartwieniem jest teraz to, żeby nas całe i zdrowe dowieźć na miejsce.

Marian skrzywiła się z niesmakiem.

- Och, jasne, ty zawsze potrafisz podnieść człowieka na duchu.

Ella Mae roześmiała się i pokręciła głową.

- Mari, za bardzo wszystko komplikujesz. On już uczynił pierwszy krok. Pocałował ją, czy też tak sądził. Pomyśl o tym, zanim zaśniesz.

16

Poczucie winy przygniatało ją. Marian obudziła się z nim, coraz bardziej się w nim pogrążała i nie była w stanie się z niego otrząsnąć. Stosowane do tej pory przebranie może i było oszustwem, ale robiła to ze szlachetnych pobudek: aby oszczędzić innym złośliwych manipulacji Amandy. Ale udawać, że jest nią...

Kiedy były dziećmi, siostra często zwała na nią coś, co sama robiła, i cieszyła się, gdy burę dostawała Marian. Traktowała to jako doskonały żart, mimo że była jedyną osobą, którą coś takiego bawiło. Marian tylko raz podszyła się pod swoją siostrę, tak bardzo łaknęła uwagi ojca, którą on poświęcał wyłącznie Amandzie. Ale nie dał się oszukać. Natychmiast rozpoznał, że to nie jego ulubienica, i Marian dostała taką reprimendę, że już nigdy więcej nie stosowała takich sztuczek.

Świadomość, że ma się takie same rysy twarzy jak ktoś, kogo się nie cierpi, nie należała do przyjemności. Nie było także zabawne ciągłe przejmowanie się uczuciami innych osób, z całkowitym pominięciem własnych. Posiadanie siostry takiej jak Amanda to po prostu piekło.

Rano Marian unikała Chada, który przed wyruszeniem w drogę przygotował naprędce śniadanie przy ognisku. Tak bardzo się bała, że odkryje jej oszustwo, iż wołała jechać z pustym żołądkiem.

Poczęstowała się kawą od woźnicy, który w nocy rozpałił ognisko po drugiej stronie furmanki. Kiedy zapytała go, po co

dwa ogniska, wspomniał coś o wyprowadzeniu w pole ewentualnych rabusiów i dodał, że kiedy sam zatrzymywał się gdzieś na noc, zawsze palił dwa ogniska i nie spał w pobliżu żadnego z nich.

Nocny intruz został ulokowany na furmance, zanim reszta zdążyła się obudzić. Musiał odzyskać przytomność i jakoś współpracować, ponieważ nie istniała możliwość, by Chad, nawet z pomocą woźnicy, był w stanie udźwignąć tak potężnego mężczyznę. A wszystko to zostało zrobione tak cicho, że śpiące pod furmanką kobiety nie obudziły się.

Marian dostrzegła jego związane stopy, kiedy obchodziła furmankę naokoło. Chad wyraźnie nie chciał pozostawiać Leroya na prerii, nie chciał też, by one były świadome jego obecności. Przypuszczała, że w ten sposób chciał oszczędzić sobie odpowiadania na wiele pytań.

Wciąż miała oko na Chada i cierpła na samą myśl o chwili, kiedy znajdzie się on twarzą w twarz z Amandą. Nie wierzyła, że nie wspomni o pocałunku, mimo iż prosiła go, by tego nie czynił. A Amanda nie należała do tych, co udają ignorancję. Gdy coś wzbudziło jej ciekawość, natychmiast żądała wyjaśnień.

Ostatnia pojawiła się właśnie Amanda. Płonne okazały się nadzieje, że może dziś nie będzie miała ochoty na śniadanie. Podeszła prosto do ogniska, wzięła, nie podziękowawszy, talerz z jedzeniem, który podał jej Chad, i jak to miała w zwyczaju, nie zaszczyliła go nawet spojrzeniem.

Zeszłej nocy Marian z prawdziwym żalem dowiedziała się, że ojciec Chada jest właścicielem rancza. To oznaczało, że może nie jest tak zupełnie pozbawiony dóbr materialnych, jak na początku obie z siostrą sądziły. Zainteresowanie Amandy Chadem może wzrosnąć. No ale przecież ona nic nie słyszała o ranczu, bo przespała napad i całe zamieszanie. Przy odrobinie szczęścia w ogóle się o tym nie dowie.

Ella Mae siedziała jeszcze przy ognisku. Amanda nawiązała z nią rozmowę. Marian nie musiała słuchać, by wiedzieć, że jej siostra, znalazłszy wdzięcznego słuchacza, narzeka na niewygo-

dy towarzyszące nocy spędzonej pod gołym niebem. Nie znaczy to, by Ellę Mae interesowały jej narzekania. Podobnie jak Marian, już dawno temu nauczyła się ignorować uwagi Amandy.

Chad jednakże słuchał i po kilku minutach zmarszczył brwi. Marian oddałaby wszystko, by się dowiedzieć, co wywołało ten grymas.

Możliwe, że Amanda bezmyślnie obraziła Chada, wyrażając się niepochlebnie o jego umiejętnościach kucharskich. Możliwe, że powodem było to, że po raz pierwszy był świadkiem całego ciągu jej narzekań - zazwyczaj załapywał się na sam koniec, kiedy Amanda traciła już impet i jej uwagi nie były aż tak obraźliwe. Bardziej jednak prawdopodobne było to, że traktowała go tak, jakby go w ogóle nie było, mimo że siedział zaledwie metr od niej.

Założył pewnie, że odtąd między nimi będzie inaczej. Zupełnie naturalny wniosek po pocałunku, który nie został odrzucony. Tym pocałunkiem bardzo jasno określił swoje zainteresowanie. Ona uczyniła to samo, odwzajemniając go. Chłód, z jakim odnosiła się do niego kobieta, którą sądził, że całował, odebrał prawdopodobnie jak policzek. Marian powinna go była w nocy spoliczkować, a nie pozwolić wziąć górę namiętności nad rozsądkiem.

Skończywszy jeść, Amanda niedbale rzuciła talerz w stronę ogniska, wstała i ruszyła w kierunku powozu, by przygotować się do odjazdu. Jeszcze mocniej marszcząc brwi, Chad udał się za nią. Marian wciągnęła powietrze, przyglądając się im i czekając, aż on chwyci Amandę za ramię, obróci twarzą do siebie i zażąda wyjaśnień... No właśnie. Czego miałyby one dotyczyć? Braku zainteresowania, skoro od samego początku traktowała go jak powietrze?

Poczucie winy Marian stało się jeszcze większe. Powinna go powstrzymać, odciągnąć na bok i przyznać się do wszystkiego. Będzie nią za to gardził. Ale i tak zrobiła już naprawdę dużo, by tak było, więc nie powinno mieć to dla niej znaczenia.

Uczyniła krok w jego kierunku, ale on się zatrzymał. Przez całe pięć sekund obserwował oddalające się plecy Amandy, po

czym odwrócił się ze wzruszeniem ramion. Czy naprawdę to zrobił, czy tylko jej się przywidziało? Z całą pewnością to drugie. A może skradziony w środku nocy pocałunek nie był dla niego w ogóle ważny? Może całował wszystkie ładne kobiety, jeżeli tylko miał ku temu sposobność?

Marian ponownie była w stanie oddychać, jednak teraz to ona zmarszczyła brwi.

17

Z Amandą nie dawało się dojść do ładu. Do takiego wniosku doszedł rankiem Chad. Ta dziewczyna wydawała się być dwiema różnymi osobami: łagodna i uległa w nocy, istna sekutnica w dzień.

Pomyślał, że nieuprzejmość to cecha rodzinna Latonów. Nie, to nieprawda. Red nie była ani trochę nieuprzejma, a łączyło ją przecież z bratanicami bliskie pokrewieństwo.

Konsternacja, jaką teraz odczuwał, wynikała tylko i wyłącznie z jego winy. Powinien wytrwać w swoim postanowieniu i poczekać do końca podróży, a dopiero potem przekonać się, czy ma szanse u Amandy.

Chad wiedział z doświadczenia, że w człowieku aż kipi ze złości, kiedy musi robić coś, na co zupełnie nie ma ochoty, a podsłuchał, że ona za nic nie chciała przyjeżdżać do Teksasu i nie cierpiała całej tej podróży. Istniał więc uzasadniony powód jej wybuchów gniewu. Ufał, że gdy wreszcie dotrą na miejsce, Amanda stanie się zupełnie inną osobą.

W nocy była tak diabelnie piękna, że Chad nie był w stanie oprzeć się jej urokowi i pocałował ją. Wzruszył się, gdy próbowała przyjść mu z pomocą. Nie spodziewał się tego po niej. Zawsze na dystans, zawsze obojętna i wyniosła w stosunku do niego, zmiękła w jego ramionach. Zdumiała go i zachwyciła ta przemiana. Poczul przypływ pożądania, coś mu jednak nie pasowało. Przez ułamek sekundy zastanawiał się nawet, dlaczego ją pocałował.

To wrażenie nie miało nic wspólnego z samym pocałunkiem, doprawdy słodkim. Nic wspólnego z tym, że tak łatwo uległa. Chodziło wyłącznie o nią samą. Jej zachowanie nie miało po prostu sensu, wprawiało w konsternację. W jednej chwili Amanda była zimna jak lód, gorąca w następnej, jakby była dwiema... różnymi... kobietami. No nie, to niemożliwe. Przy ognisku może i nie było zbyt jasno, ale musiałyby być bliźniaczkami, i to podobnymi do siebie jak dwie krople wody, żeby doszło do takiej pomyłki. O, jasny gwint!

Osołomiony zastanawiał się, dlaczego, u licha, dał się tak wyprowadzić w pole. Siostry mogą być do siebie bardzo podobne, ale... nie do tego stopnia, by stanowiły swe lustrzane odbicie, nie będąc bliźniaczkami. Oczywiście, że są bliźniaczkami, z których jedna jest ślepa jak kret i kłótliva jak przekupka. Niemożliwe, by pocałował właśnie ją.

No więc są bliźniaczkami. To jednak niczego nie zmienia i nadal nie wyjaśnia konsternacji, jaką czuł wobec Amandy. A może to on... Może to on nie był nią aż tak zainteresowany, jak początkowo sądził.

Najpewniej to właśnie stanowiło problem. Powinien być zainteresowany, ale czy był? Naprawdę? Czy też Amanda za bardzo przypominała Luellę - olśniewającą muszlę pustą w środku. Czy taka Amanda by mu się podobała? Postanowił odłożyć starania o nią na później. Gdy się ta podróż wreszcie skończy, Amanda odpocznie, odpręży się i wydobrzeje - mówiła, że ma zszarpane nerwy i poobijane boki - zadomowi się i znów będzie sobą.

Chad spodziewał się, że nadchodzące dni przyniosą znaczącą zmianę w jej zachowaniu i nastawieniu. Nie będzie już miała powodów do narzekań. Dom Red, wybudowany w stylu zachodnim, był wygodny. W kuchni pracowała jedna z najlepszych kucharek w hrabstwie. Za kilka godzin dojadą na miejsce. W Twisting Barb Amanda zostanie otoczona wygodami, przejdą jej wszystkie dolegliwości i wtedy przekona się, jaka ona naprawdę jest.

Poznał ją już z najgorszej strony - a przynajmniej miał nadzieję, że tak właśnie było, ponieważ nigdy dotąd nie był

świadkiem gorszego zachowania. Nic dziwnego, że nie mógł się już wprost doczekać ujrzenia jej lepszej strony.

Powóz zajechał do Twisting Barb krótko przed południem. Furmanka z bagażami i Leroyem dotarła pół godziny później. Chad wytłumaczył obecność Leroya tym, że nie mógł go tak po prostu zostawić na pustkowiu. Nawet gdyby zdołał uwolnić się z więzów, w pobliżu nie było żadnej farmy, do której mógłby dotrzeć pieszo. Droga nie była zbyt uczęszczana, długo przyszyłoby mu czekać na wybawienie z opresji.

Chad nie przypuszczał, by na ranchu Leroy sprawiał jakiegokolwiek kłopoty. Ktoś go podwiezie na prerię i pomoże odnaleźć konia - Chadowi szczególnie chciało się to robić. Wyłuskał z pistoletów i strzelby Leroya naboje i oddał mu broń.

Ojciec chyba stracił rozum, wysyłając po niego kogoś pokroju Leroya. Zwłaszcza gdy dowiedział się, że Chad zmierza do Twisting Barb. Nie potrafił tego rozgryźć - chyba że o to właśnie chodziło. Stuart mógł sam przyjechać na rancho Red i możliwe, że tak właśnie uczynił, a nie zastawszy tam Chada, wysłał Leroya, by się dowiedział, gdzie on się podziewa.

To by oznaczało, że Leroy jest częścią świty ojca. Chad nie był sobie w stanie tego wyobrazić - najbogatszy ranczer w okolicy i ten cuchnący włóczęga. Obecnie Stuart nigdzie się nie ruszał bez eskorty co najmniej czterech uzbrojonych mężczyzn, aby poradzić sobie w razie pojawienia się jakichkolwiek kłopotów. Oni jednak byli schludni i dobrze wychowani, no i uwielbiali Stuarta za to, że tak dobrze im płacił.

Red wyszła na werandę, by ich powitać. Wyglądała na zdemerwowaną. Czy dlatego, że nie widziała swoich bratanic, odkąd były małymi brzdącami? Czy też dlatego, że pojawił się u niej Stuart i zganił ją za to, że zatrudniła jego syna?

Chad nie spodziewał się, że tak szybko spotka się z ojcem, nie był na to przygotowany. Przypuszczał, że nastąpi to jutro lub pojutrze. Stuart wiedział, że syn przebywa na terenie hrab-

stwa. Wjeżdżając do miasta, Chad był świadomy tego, że ktoś popędzi z tą wiadomością na ranczo Kinkaida.

Kilka par rąk pomogło wysiąść z powozu siostrom i ich pokojówce. Pierwsza na werandzie znalazła się stara panna.

Chad właśnie zsiadał z konia, kiedy usłyszał pytanie Red:

- Która ty jesteś?

- Marian.

Red nieco się odprężyła, widząc, że Marian także wygląda na stremowaną, i zamknęła bratanicę w ciasnym uścisku.

- Witaj, Mari. Tak cię kiedyś nazywałam. Pamiętasz?

- Nie, ale moja mama także mówiła na mnie Mari - odparła Marian z niepewnym uśmiechem.

- Przykro mi z powodu waszego ojca.

- Tak, to był naprawdę nieszczęśliwy wypadek.

- Chcę, żebyście wiedziały, iż bardzo się cieszę, mogąc gościć was u siebie. Możecie zostać tak długo, jak będziecie chciały.

- Dzięku...

- Czy to właśnie ten dom? - przerwała jej Amanda, wchodząc po schodkach na werandę. - Taki mały? I ja mam tu zamieszkać?

Na policzkach Red wykwitł rumieniec. Chad skrzywił się z niesmakiem. Drwiny Amandy były naprawdę niegrzeczne.

Red odparła obronnym tonem:

- Wiem, że nie jest taki okazały jak wasz dom w Haverhill, ale najprzyjemniejszy w całej okolicy. Mój mąż włożył wiele pracy w...

- Widocznie niewystarczająco - rzuciła impertynencko Amanda. - Sama nie wiem, dlaczego oczekiwałam czegoś lepszego, skoro wszystkie mijane po drodze domy były niesłychanie prymitywne.

Chad poczuł się dotknięty w imieniu Red. Rozsierdzony, właśnie miał zamiar spalić za sobą mosty i kazać Amandzie zamilknąć, ale uprzedziła go Marian.

- Czy mogłabyś choć raz być miłą, kochana siostrzyczko? - zapytała z cierpkim uśmiechem. - Czy też przekracza to twoje możliwości?

Amanda wciągnęła gwałtownie powietrze i natychmiast uniosła dłoń, by uderzyć Marian za tę zniewagę. Chad skoczył, by ją powstrzymać, ale nie było to konieczne. Marian najwyraźniej spodziewała się odwetu za swą hardość i była przygotowana na cios. Lekko pchnęła Amandę...

18

Amanda, piszcząc, sturlała się ze schodków na ścieżkę. Jako dobrze wychowany młodzieniec, Chad pomógł jej wstać. Nie podziękowała mu. Zaczynał się do tego przyzwyczajać. Otrępijąc kurz z sukni, nie przestawała obrzucać inwektywami siostry.

Marian nie zwracała na nią uwagi. Red wpatrywała się w Amandę zmartwionym wzrokiem. Stara panna objęła ciotkę ramieniem i delikatnie pociągnęła do wnętrza domu. Chad uznał, że także chce się tam znaleźć, i podążył za nimi.

Przestąpiwszy próg, ledwie był w stanie rozpoznać to miejsce. Red kupiła czy też powynajdywała różnego rodzaju bibeloty i figurki, zamieniła praktyczne zasłony na wymyślne kotary, podłogi przykryła nowymi dywanami. Wiszące nad kominkiem w bawialni poroże jelenia zniknęło, jego miejsce zajęło oprawione w ramę lustro. Na ścianach wisiały nowe obrazy. Chad zastanawiał się, ile Red zapłaciła za płótno, które dawniej zdobiło gabinet doktora Wiltona.

Red próbowała upodobnić swój dom do rezydencji na Wschodzie, skąd przybywały dziewczęta i do czego były przyzwyczajone. Jemu bardziej podobał się poprzedni wystrój, kiedy nie trzeba było martwić się o to, że się potknie o jakieś rupiecie. Ta przemiana dowodziła, jak bardzo Red denerwowała się przyjazdem bratanic.

Omiatając spojrzeniem urządzony na nowo salon, Chad nie mógł przeoczyć siedzącego na sofie mężczyzny. Ręce miał rozłożone na oparciu, jakby był właścicielem tego miejsca. Nie, nie

sposób było przeoczyć tego potężnego, czarnowłosego Teksańczyka o niebieskich oczach. Chad jednak postanowił to zrobić.

Red, jak nakazuje dobry obyczaj, przedstawiła bratanicy swojego gościa.

- Mój sąsiad, Stuart Kinkaid. Właściciel największego rancha w hrabstwie, a może nawet w całym stanie.

- Pracuję nad tym - zaśmiał się Stuart. Wstał i mocno uściśnął dłoń Marian. - Miło mi panią poznać, panno Laton. Cieszę się naprawdę.

- Ja także, panie Kinkaid.

- Pani ciotka opowiedziała mi o was wszystko, także o problemach, jakie napotykałyście po drodze.

- Och?!

- Chad przysyłał mi telegramy - wyjaśniła Red.

- Będę musiał zorganizować w przyszłym tygodniu barbecue - kontynuował Stuart. - Aby porządnie was, dziewczyny, powitać.

- Jakież to... prowincjonalne - oświadczyła sucho Amanda, wchodząc do salonu z takim impetem, że drzwi z hukiem uderzyły o ścianę. - Chciałabym wziąć kąpiel, ciociu Kathleen. Ciepłą. Macie chyba w domu kanalizację? I ciepłą wodę?

Red ponownie zarumieniła się.

- Jeśli nam wybaczysz, Stuarcie, pokażę teraz dziewczętom pokoje i pomogę im się rozlokować. Czuj się oczywiście zaproszony i zostań na obiedzie.

Kiedy Red i dziewczęta zniknęły na schodach, zapanowała pełna skrępowania cisza. Ojciec i syn mierzyli się bez słowa wzrokiem.

Chad tęsknił za ojcem, choć za nic by się do tego głośno nie przyznał. Cholernie dobrze było go znowu widzieć. Chad był wysoki, ojciec nieco nad nim górował. Miał pięćdziesiąt dwa lata i ani jednego siwego włosa. Tak jak syn nosił wąsy, miał jednak szersze ramiona, dłuższe nogi, był szorstki w obyciu, nie znosił sprzeciwu... Do diabła! Byli bardziej do siebie podobni, niż Chad skłonny był przyznać.

Minęło sporo czasu od ich burzliwego rozstania. Miał nadzieję, że się pogodzą. Nadzieję, ale nie pewność. Obaj byli uparci, a atmosfera bardzo szybko mogła stać się znowu gorącą.

Kinkaidowie nie sprzeczcali się przy ludziach - o ile tylko byli w stanie. Mimo to wszyscy szybko dowiadywali się o ich nieporozumieniach. Zazwyczaj dlatego, że awanturę słychać było w całej okolicy. W towarzystwie znajdujących się w pokoju pań zachowywali się powściągliwie, jednak w chwili, gdy zostali sami, Stuart odezwał się oskarżycielskim tonem:

- A więc to tutaj się ukrywałeś?

Chad uniósł brew.

- Ukrywałem? Red potrzebna była pomoc, dlatego tu mieszkam. Mam nadzieję, że nie masz do niej pretensji o to, że pozwoliła mi zostać, nie pytając ciebie o zgodę.

- Pewnie, że nie - odparł obronnie Stuart. - Lubię Red. Ta dziewczyna ma sporo odwagi, starając się utrzymać ranczo po śmierci Franka. - Mężczyzna zakaszłał, zdając sobie sprawę, że źle zaczął. Zmienił ton na znacznie łagodniejszy. - Z tego, co wczoraj słyszałem, nadal potrzebna jest jej pomoc. Mogę przyśłać jednego z moich zarządców.

- Sugerujesz, że ja sobie nie radzę?

- Nie szukaj dziury w całym. Obaj wiemy, że nie ma rzeczy, z którą byś sobie nie poradził.

Chad skinął głową, podszedł do zimnego kominka i spojrział w lustro. Patrzył nie na siebie, lecz na ojca. Pojednanie było prostsze, niż się spodziewał. Oczywiście nie zdążyli jeszcze poruszyć drażliwego tematu.

- Zapodział się gdzieś jeden z twoich ludzi - odezwał się Chad.

- Naprawdę?

- Zaraz tu przybędzie razem z bagażem. Trzeba go będzie rozwiązać.

Stuart zaśmiał się.

- Przepraszam. Wczoraj wieczorem trochę się już zniecierpliwiłem.

- Tak też sobie pomyślałem. Co ty, u diabła, robisz najlepszego, zatrudniając Leroya? To nie w twoim stylu.

Stuart wzruszył ramionami.

- Przez cały tydzień plątał się wokół rancza w poszukiwaniu roboty, tylko denerwował moich ludzi. Uznałem, że wysyłając go po ciebie, wpuszczę go w maliny, że zjawisz się, zanim zdąży cię odnaleźć. Nie myślałem, że będziesz się bawił w wynajmowanie powozu i że podróż zajmie ci jeszcze jeden dzień.

- Ja też nie myślałem, ale jedna z pań odmówiła jazdy konno.

- Ta hałaśliwa?

Chad skrzywił się. Oczywiście, że Stuart usłyszał piski pod werandą. Amanda piszczała tak głośno, że na pewno było ją słychać aż w baraku.

- Od początku miała muchy w nosie - wyjaśnił Chad, sam nie wiedząc dlaczego. - Nie chciała tutaj przyjechać, nienawidzi podróżować. Ale teraz, kiedy już dojechała na miejsce, jej zachowanie powinno się poprawić.

- Nie oszukuj samego siebie, chłopcze. To urodzona jędza. Do tego pewnie rozpuszczona jak dziadowski bicz. Jednak ładniutka. Spodobała ci się, co?

- Trochę - przyznał Chad.

„- Coś poważnego?

- Jeszcze nie wiem.

- To dobrze - burknął Stuart. - Jędze najczęściej z tego nie wyrastają i pozostają jędzami.

Chad przewrócił oczami.

- Powiedziałem ci już, dlaczego była taka nieznośna. A zresztą, to nie twoje zmartwienie. Poza tym od kiedy jesteś takim ekspertem od jędz?

- Odkąd musiałem spędzić dwa miesiące w towarzystwie matki Luelli - mruknął Stuart.

Chad wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. Bezmyślny wyraz twarzy Luelli odzwierciedlał stan jej umysłu, matka zaś była nieprawdopodobną gadułą. Po jego wyjeździe ta cecha widocznie się jeszcze nasiliła.

Stuart także się uśmiechał, ale tylko przez chwilę. Nie był w stanie się odprężyć, dopóki wszystkiego sobie nie wyjaśnia. Wreszcie poruszył drażliwy temat.

- Czy jesteś gotowy wrócić do domu, chłopcze?

- A ty, czy jesteś gotowy przyznać, że to, kogo poślubię, to nie twój zakichany interes?

- Możemy przynajmniej o tym porozmawiać?

- Tak właśnie zrobiliśmy. Rozmawialiśmy. Ale ty mnie nie słuchałeś - przypomniał Chad.

- Nie dałeś Luelli żadnej szansy - odbił szybko piłeczkę Stuart.

- Potrzebowałem pięciu minut, by się przekonać, że nie chcę mieć z nią nic do czynienia.

- Ale ona jest przecież piękna! - zawołał żałośnie Stuart.

- W takim razie sam się z nią ożeń.

- Do diabła, nie!

- Dlaczego? Jest przecież piękna - rzucił ironicznie Chad.

- Dla mnie za młoda - burknął Stuart.

- A dla mnie za głupia. Przyznajmy więc, że obaj nie chcemy jej w naszej rodzinie, i dajmy wreszcie temu spokój. A może ona nadal jest na ranczu? - zapytał Chad, marszcząc brwi. - Jeśli mi powiesz, że ona wciąż...

- Nie obawiaj się - przerwał mu Stuart. - W zeszłym miesiącu wróciła do domu. Gdyby to od niej zależało, poczekałaby na ciebie, bo naprawdę spodobał jej się pomysł poślubienia ciebie, ale jej tatuś poczuł się urażony twoją nieobecnością i zabrał swoje kobiety do domu. W samą porę. Matka Luelli doprowadzała mnie do szału.

Chad uśmiechnął się szeroko.

- W takim razie mogę bezpiecznie wracać do domu, jak tylko pozafatwiam wszystko tutaj.

. - Mówiłem już, przyślę...

- Dokończę to, co zacząłem.

Stuart zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że nie chcesz tu zostać po to, by umizgiwać się do jędzy.

Chad miał ojcu za złe takie określenie Amandy, skoro ledwie zdążył ją poznać.

- Wyjaśnijmy sobie jedno. Twoja akceptacja mojej przyszłej żony byłaby bardzo miła, ale nie jest w żadnym wypadku niezbędna.

- Jeśli chcesz zamieszkać z żoną pod moim dachem - rzuć wojowniczo Stuart - to sądzę, że powinienem mieć jednak coś na ten temat do powiedzenia.

- Kto mówi, że mieszkalibyśmy pod twoim dachem? - zachnął się Chad. - Moglibyśmy mieszkać razem, ale równie dobrze mogę zbudować dla mnie i mojej żony własny dom, tak byś nie musiał mieć z nią do czynienia.

Stuart myślał nad tym przez chwilę, po czym roześmiał się.

- To dobry pomysł. W porządku, chłopcze, skoro nie masz zamiaru powiększać mojego imperium, w takim razie daj mi wielu wnuków, którzy to uczynią.

- Przyjdzie na to czas. Przrzeknij mi, że nie będziesz sprwadzał kolejnych narzeczonych. Umowa stoi?

Stuart klepnął go w plecy i uśmiechnął się szeroko.

- Cholera, dobrze będzie mieć cię znowu w domu.

Chad świadomy był tego, że nie otrzymał odpowiedzi. Ojciec lubił pozostawiać sobie furtkę. W porządku. Najważniejsze być znowu w domu i w dobrych stosunkach z ojcem.

19

Red schodziła właśnie po schodach na dół, by zająć się gośćmi, gdy z pokoju bratanic rozległ się hałas. Odwróciła się i zobaczyła wychodzącą z niego pokojówkę.

- Lepiej im nie przeszkadzać, proszę pani - ostrzegła Ella Mae i potrząsnęła głową. - Już od dawna się na to zanosilo. Po wszystkim łatwiej będzie z nimi żyć.

Red zagryzła wargę. Nietrudno było rozszyfrować znaczenie słów pokojówki. Hałas był niezwykle oczywisty i z wielkim trudem przyszło jej niewtrącenie się.

- Czy one... nie zrobią sobie krzywdy?
- Bez obaw. Są jak dwa walczące ze sobą kociaki. Tak naprawdę nie potrafią się bić. Kilka zadrapań, może siniak, tarzanie się po podłodze. To się nie dzieje po raz pierwszy, proszę pani.

- Rozumiem.

W rzeczywistości Red niczego nie rozumiała. To nie dzieci awanturowały się po drugiej stronie drzwi, ale dorosłe kobiety. I mimo że z tego, co się stało na zewnątrz, przed werandą, płynął wyraźny wniosek, iż jej bratanice, a przynajmniej jedna z nich, mogą sprawiać kłopoty, Red nie zdawała sobie sprawy z ich wagi.

To była wyłącznie wina jej brata. Wiedziała, że Mortimer nie będzie dobrym ojcem, podobnie jak nie był dobrym bratem. Już w dzieciństwie faworyzował jej siostrę bliźniaczkę. Red równie dobrze mogłaby nie istnieć. Zawsze dawali jej do zrozumienia, że jest piątym kołem u wozu. Dorastała, mając świadomość, że rodzeństwo wyłączyło ją ze swego kręgu. Stało się tak z inicjatywy Mortimera. Znienawidziła go za to. Gdy przyszły na świat jego córki, zobaczyła, że historia się powtarza.

To był główny powód, dla którego pragnęła wyjechać z Haverhill. Wyszła za Franka Dunna, bo miał w planach założenie rancza na Zachodzie. Nie kochała go. Był po prostu środkiem prowadzącym do celu. Uznała, że przeprowadzka na Zachód rozdzieli ją z bratem i dzięki temu będzie miała szansę na spokój i szczęście. I tak się właśnie stało. Nie miała żadnego kontaktu z Mortimerem ani jego rodziną. Nie chciała tego.

Wykorzystała Franka, bez dwóch zdań, ale wynagrodziła mu to, będąc dobrą żoną. Nie miał do niej żadnych zastrzeżeń i nie winił jej, że nie mają dzieci. No cóż, nie mógł tego zrobić, gdyż doktor dał mu do zrozumienia, że pozostaną bezdzietni z jego powodu. Dowiedziawszy się o tym, żałował, że nie pozostawi następcy, ale tak bywa. Dobrze im się razem żyło.

Cóż, właściwie nie tyle dobrze, ile wygodnie. A jeśli inny mężczyzna był w stanie sprawić, że Red szybciej biło serce, wiedziała o tym tylko ona.

Serce Red było bardzo szybko wczoraj wieczorem, kiedy zjawiał się Stuart i wprosił się na kolację. Udało jej się przeżyć ten wieczór i nie zrobić z siebie idiotki.

Kilka razy roześmiała się, co nieczęsto czyniła. Znacznie częściej nie mogła wykrztusić z siebie słowa. I rumieniła się jak za dziewczęcych lat. No ale przecież nigdy wcześniej nie przebywała ze Stuartem sam na sam. Zawsze, kiedy go spotykała, towarzyszyli mu robotnicy.

Wczoraj wieczorem nie spodziewała się, że będzie inaczej, kiedy przyjechał ze swoją eskortą i oznajmił, że zaczeka na Chada. Nie wiedziała jednak, że pracownicy nie siadają do kolacji ze swoim pracodawcą. Gdy znaleźli się w jadalni tylko we dwoje, Red, cała w pałaszach, zachowywała się jak pensjonarka.

Stuart wytłumaczył sobie jej dziwne zachowanie poczuciem winy, że przez ostatnie trzy miesiące udzielała Chadowi schronienia, nie informując go o tym, podczas gdy całe hrabstwo wiedziało, że szuka syna. Przynajmniej jej tego nie wypominał. Gdy Red wyjaśniła, dlaczego Chad u niej mieszkał, zrugął ją za to, że nie zwróciła się do niego o pomoc, gdy jej potrzebowała.

Kiedy stało się jasne, że Chad nie pojawi się tego wieczoru, Red zaproponowała Stuartowi nocleg. Jego ludzie zostali rozlokowani w baraku, jednak nie mogło być nawet mowy o tym, by umieścić tam największego ranczera w hrabstwie. Oczywiście w nocy nie zmrzyła oka, mając świadomość, że Stuart znajduje się pod jej dachem i dzieli ich zaledwie korytarz. W porze śniadania była nieuchwytna. Ponownie zobaczyła go dopiero wtedy, gdy przyszła służąca i oznajmiła, że nadjeżdżają dziewczęta. Córki Mortimera...

Jakąż one stanowiły niespodziankę! Red pamiętała, że w dzieciństwie były identyczne, prawie nie do odróżnienia. Teraz już nie.

Biedna Marian musiała przedstawić się sama. W pierwszej chwili Red wzięła ją za służącą. Szybko jednak zdała sobie sprawę z pomyłki. Uważnie przyjrzała się bratanicy. Wygląda-

ła naprawdę dziwacznie w tych swoich okularach. Jaka szkoda, że musi je nosić.

Amanda natomiast była bardzo ładna. Już jako małe dziewczynki zapowiadały się na piękności, co w przypadku Amanady sprawdziło się w stu procentach. To niesamowite, jak bardzo była podobna do siostry Red. Jej zachowanie można było w pewnym stopniu przewidzieć. Mortimer rozpieszczał ją i we wszystkim pobłażał. Dlatego właśnie Red opuściła rodzinny dom. Nie chciała patrzeć, jak brat faworyzuje jedną córkę, a drugiej nie okazuje ani odrobiny serca. Takie postępowanie rozdzieliło kiedyś jego siostry.

Przeczuwała, do czego może doprowadzić nierówne traktowanie dziewczynek. To, czego była świadkiem na schodkach pod werandą, potwierdzało najgorsze przypuszczenia. Amanda okazała się zepsutą jędzą, Marian zaś potulną szarą myszką. No cóż, może tylko na pozór. Mysz zazwyczaj nie wszczyła walki z kotem...

Na dole Stuart zrywał boki ze śmiechu. Czynił to od chwili, gdy z pokoju na piętrze dobiegi trzeci głośny odgłos. Pierwszy był zaskakujący, drugi wzmagął ciekawość, natomiast trzeci oznaczał prawdziwą awanturę. Każdy kolejny sprawiał, że Stuart na nowo wybuchał śmiechem.

Chad doskonale wiedział, dlaczego ojciec jest taki rozbawiony. Wybrał dla niego dziewczynę może i mało inteligentną, ale za to łagodną i spokojną. Natomiast ta, która znajdowała się na górze, demolowała meble i sam Pan Bóg wie co jeszcze, a piszczała tak głośno, że bębunki w uszach pękały.

- Żal mi tej brzydkiej - oświadczył Stuart, kiedy udało mu się złapać oddech.

- Akurat ci uwierzę - odparł sucho Chad. Poczł się w obowiązku, by dodać: - Marian wcale nie jest brzydka. Szpecą ją okulary.

- Tak czy inaczej, nie wygra z nią. Amanda ma złośliwe usposobienie. Poznałem to po sposobie, w jaki tu wparowała.

- Czy dlatego, że jestem zainteresowany Amanda, czujesz się w obowiązku odsądzać ją od czci i wiary? - zapytał Chad, marszcząc brwi.

- A czy ja coś takiego robiłem? - rzucił niewinnie Stuart.

Chad posłał ojcu spojrzenie pełne odrazy, które wywołało kolejną salwę śmiechu. I mimo że Stuart najprawdopodobniej po prostu się z nim drażnił, zmartwiły go jego uwagi na temat starej panny. Nie lubił jej, ale nie chciał także, by stała jej się krzywda.

Nie namyślając się dłużej, Chad ruszył w kierunku schodów. Ojciec zawołał za nim:

- Trzeba mieć dużo odwagi, by ingerować w babską bójkę. Widziałem kiedyś, jak się to skończyło - obie kobiety zwróciły się przeciwko mężczyźnie. Mało brakowało, a wydrapałyby mu oczy.

Czy to miało go powstrzymać? Stuart roześmiał się. Uczyniła to jednak Red, schodząc po schodach i blokując mu przejście.

- Nie wtrącaj się — rzekła, widząc jego pełną determinacji minę. - W tym przypadku to nic niezwykłego.

- Kto ci to powiedział?

- Pokojówka. Pilnuje drzwi. Mówi, że będą miały lepszy nastrój, gdy w ten sposób rozładują napięcie.

Red nadal wyglądała na oszołomioną. Chad objął ją ze współczuciem ramieniem. Ciężko to wszystko przyjmowała. Z całą pewnością nie tego się spodziewała po swoich brataniach.

Postanowił spróbować ją przekonać, by nabrała do tego dystansu.

- Pokojówka ma rację. Podróż była dla nich koszmarem - rabusie w pociągu, rabusie w dylizansie, potężny mężczyzna pojawiający się w środku nocy z zamiarem zaciągnięcia mnie do domu na muszce pistoletu. Od zacumowania statku co chwila coś im się przydarzało. Pochodzą ze spokojnego miasteczka na Wschodzie, gdzie nic się nie dzieje. Każdy by się wściekł.

Posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Nie musisz szukać dla nich usprawiedliwień.
- Wiem. Chcę tylko, by i dla mnie lepiej to wszystko wyglądało - odparł.

Spojrzała na niego z rozdrażnieniem, jednocześnie lekko się rumieniąc. Miał przecież sprawiać, by to ona poczuła się lepiej, a nie on.

Oboje zauważyli jednocześnie, że hałas w pokoju ustał. Nie ucichł jednak zupełnie. Dziewczęta rozmawiały ze sobą. Nie dało się rozróżnić poszczególnych słów, ale przynajmniej było wiadomo, że obie są żywe.

Chad oświadczył swojej przyjaciółce z całą powagą:

- Wyświadczyć sobie przysługę, Red. Wydaj panienki szybko za mąż i miej je z głowy. Taka jest moja rada.

- Czy chciałbyś mi w tym pomóc? - Uśmiechnęła się do niego szeroko.

- Jeśli zaczniesz się zachowywać jak dama - niewykluczone.

- Ona? Nieważne, już rozumiem. - Posłała mu smutne spojrzenie i westchnęła. - Miejmy nadzieję, że się nie mylisz.

Chada zastanowiło, dlaczego Red nagle posmutniała, ale uznał, że to z emocji po spotkaniu z długo niewidzianymi bratanicami. Nie mógł jej winić za to, że odczuła tak wielkie rozczarowanie.

W domu Marian nie musiała zastanawiać się nad tym, czy bójki jej i Amandy są hałaśliwe. Dbały o to, by utrzymywać je w tajemnicy. Nigdy nie usłyszały na ten temat żadnej uwagi, zakładała więc, że nikt o nich nie wiedział.

Dzisiaj nie dało się uniknąć starcia. Pierwsza runda miała miejsce bez mała w miejscu publicznym, od razu na werandzie. Jednak Amanda opamiętała się i zaczęła, aż będą same.

Dzięki Bogu dostały osobne pokoje. Amanda nie została jednak w swoim. Towarzyszyła im, kiedy ciocia pokazywała Ma-

rian jej pokój, Marian wiedziała, co to oznacza, i była przygotowana na to, co nastąpi. Ella Mae także wiedziała i próbowała temu zapobiec, nie opuszczając pokoju, kiedy wyszła z niego Kathleen. Amanda jednak kazała jej wyjść. I gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, rzuciła się na siostrę.

Walczyły zaciekle. Ciągnęły się za włosy, drapały do krwi, gryzły i okładały pięściami. Na ciele pozostały ślady po zębach i siniaki, na twarzy nie było ani jednego zadrapania. Zgodnie z niepisaną umową między nimi twarz stanowiła strefę zakazaną. Siniaki na plecach można ukryć, ale ślady na twarzy stanowiłyby dowód ich niegodnych przepychanek.

Nie było zwycięzcy. Zwykle bójka kończyła się, kiedy obie się zmęczyły, a ponieważ były mniej więcej tej samej postury, zazwyczaj opadały z sił w tym samym czasie. Tak też się stało i tym razem i od rękoczynów siostry przeszły do słownej szermierki.

- Mogłaś z tym poczekać. Nie musiałaś tak od razu pokazywać ciotce, jaką potrafisz być sekutnicą - rzuciła Marian, opadając na łóżko.

Amanda podeszła do lustra i przyglądała się badawczo swojej twarzy.

- A dlaczego? - warknęła. - Nie mam zamiaru zostawać tu tak długo, by ją poznać.

- A dokąd to się wybierasz?

- Do domu, rzecz jasna.

- W towarzystwie męża? Naprawdę sądzisz, że tak szybko znajdziesz kogoś, kto by cię poślubił?

- Głupia jesteś - prychnęła Amanda, odwracając się od lustra. - Tutaj nie ma nikogo, kto byłby mnie wart.

- Masz zamiar rzec się spadku? - zapytała Marian.

- Czasami naprawdę jesteś tępa, Mari. Nie, nie przebyłam całej tej drogi, by z czegokolwiek zrezygnować. Ciotka Kathleen będzie szczęśliwa, wysyłając mnie do domu, z góry akceptując każdego mężczyznę, za którego będę chciała wyjść.

- Planujesz stać się dla niej aż takim utrapieniem?

- Jeśli zostanę do tego zmuszona.

Marian potrząsnęła głową. Nie powinna być tym zdziwiona. Siostra nader rzadko czyniła coś bez motywacji.

- Z ogromną przyjemnością pomachałabym ci na pożegnanie, ale wierz mi - oszukujesz samą siebie. Niektórzy poważnie podchodzą do swoich obowiązków, Mandy.

- Nie nazywaj mnie tak. Amanda to znacznie wytworniejsze imię niż to dziecinne zdrobnienie.

- Ale pasuje do ciebie, moja droga.

- Tak samo jak twoje dziecinne starania, by ukryć, że jesteś moją bliźniaczą siostrą?

Marian uśmiechnęła się, kiedy usta Amandy wykrzywiły się z gniewu. Upłynęło wiele lat, nim jej skóra zrobiła się na tyle gruba, że słowa siostry nie raniły. Nauczyła się nie pokazywać po sobie, ile ją to kosztuje. Jeśli nikt inny nie był w to zamieszany, jeśli chodziło tylko o nie dwie, Marian nie pozwalała się już zastraszyć. Dawała za wygraną jedynie wtedy, gdy w orbicie złośliwego zainteresowania Amandy znalazł się ktoś trzeci, komu mogłaby dokuczać tak jak jej.

- Chcesz się ze mną zmierzyć? - odparła Marian z wyrazem fałszywego zdziwienia. - Nie chcesz już być w centrum uwagi? No cóż, w takim razie czemu nie powiedziałaś...

- Och, zamknij się.

Amanda z gniewem opuściła pokój. Marian poczuła się nieco lepiej po wygraniu tej słownej rundy. Położyła się, by zachećkać na obiecaną kąpiel. Była w stanie myśleć jedynie o tym, czy siostra dosłyszała, kim jest Stuart Kinkaid.

Jeśli tak, wykreśli Chada z listy „pracowników” i przeniesie go na listę „dziedziców fortuny”. Zacznie go czarować, wabić i tak go omota, że już nigdy się nie wyzwoli. Nie dlatego, że go pragnie, ale dlatego, że taki ma kaprys. Manipulowanie mężczyznami przyprawiało ją o dreszczyk emocji. Była w tym mistrzynią.

Gdy Marian zeszła na dół, przekonała się, że sprzeczka z siostrą nie pozostała niezauważona. Ciotka pierwsza zapytała, czy wszystko w porządku. Marian mogłaby sądzić, że chodzi jej o samopoczucie po podróży, gdyby nie to, że miała bardzo

zatroškany wyraz twarzy. A potem Chad dyskretnie zapytał ją o to samo i wyglądał przy tym na równie zaniepokojonego jak Kathleen.

Z zakłopotania gotowa była uciec na górę i pozostać tam na zawsze. Do pokoju wszedł jednak ojciec Chada, zlustrował ją od góry do dołu i rzekł:

- Niech mnie diabli wezmą! Więc wygrałaś? Dobra robota, dziewczyno.

Z zawstyżeniem uświadomiła sobie, że to nie siniaki, których zresztą nie było widać, każą mu uczynić to przypuszczenie. Nie miała pojęcia, skąd wzięła odwagę, by odpowiedzieć:

- Nikt nie wygrał.

- Cóż, to kiepsko - mruknął, po czym dodał szorstko: - Następnym razem wygraj. Niech ci się te siniaki opłaca.

Roześmiała się. Na poły histerycznie, ale jednak roześmiała. I poczuła, jak jej skrępowanie mija.

21

Marian zaczynała sobie uświadamiać, że ludzie w Teksasie pewne sprawy postrzegają inaczej niż ci na Wschodzie. Głównym powodem jej zakłopotania było to, że w domu nawet służba pogardzałaby takim zachowaniem, nieprzystającym dobrze wychowanym damom. Rówieśnicy byliby zgorszeni. Ojciec zrugałby ją porządnie, a Amandę pocieszałby dopóty, dopóki nie poczułaby się lepiej. Wszystko to powstrzymywało dziewczęta przed daniem wyrazu swym nieporozumieniom publicznie, co czasami było dla nich prawdziwą próbą cierpliwości.

Tutaj było zupełnie inaczej. W dwóch mijanych po drodze miasteczkach Marian widziała mężczyzn wdających się w bójkę na ulicy. W kolejnym właśnie skończyła się strzelanina. W okolicy roiło się od złodziei i pospolitych rzezimieszków. Wszelkie nieporozumienia załatwiano się za pomocą pięści lub pistoletów. No cóż, tak właśnie postępowali mężczyźni. Wyglą-

dało na to, że w Teksasie kobiety także mogły dochodzić siłą swoich praw, bez wzbudzania większej sensacji.

Te wszystkie przemyślenia pojawiły się w głowie Marian, gdy przysłuchiwała się rozmowie Chada z ojcem. Nadrabiali zaległości - nie widzieli się od kilku miesięcy. Kathleen przyłączyła się do ich rozmowy na temat złodziei bydła, napadu na bank, który miał miejsce zaledwie kilkadziesiąt kilometrów stąd, strzelaniny między dwoma pracownikami Stuarta - obaj przeżyli, ale zostali za to zwolnieni - koniokrada, który wolał się powiesić, niż stanąć przed sądem.

Fascynowało ją to, że ciotka nie wydaje się ani odrobinę zaszokowana tymi wydarzeniami. No ale przecież nieznana Kathleen stanowiła dla niej jedną wielką niespodziankę.

Nie była taka stara, jak spodziewała się Marian. A przynajmniej nie wyglądała na swoje lata. Ogniście rude włosy czesała w prosty, gruby warkocz. Biała bluzka i skromna brązowa spódnica pozbawione były jakichkolwiek ozdób. Zero biżuterii, nie nosiła nawet obrączki, która wskazywałaby na jej wdowi stan. Ale miała wspaniały uśmiech. Komuś, kto ma taki uśmiech, niepotrzebne są koronki i falbanki.

Opalona, w niewyszukanym stroju, Kathleen nie wyglądała ani trochę modnie, ale była z niej całkiem ładna kobieta. Miała kształtną figurę i cieszyła się dobrym zdrowiem. W tej chwili była wesoła, szczerą i zrelaksowaną, ponieważ Amanda nie zdążyła się jeszcze pojawić i wprowadzić napiętej atmosfery. Przyjemnie było przebywać w jej towarzystwie. Marian z ulgą odkryła, że zdążyła ją już ogromnie polubić.

Co dziwne, atmosfera stała się napięta i bez udziału Amandy, kiedy pojawił się Spencer Evans, przyjechawszy zgodnie z obietnicą po powóz. Zjawił się tak późno, że Kathleen poczuła się w obowiązku zaprosić go nie tylko na kolację, ale także zaproponować nocleg. Brakowało jej już jednak wolnych pokoi, jako że na kolejną noc zostawał Stuart, a dwa dotychczas wolne zajęły dziewczęta.

- Wystarczy mi miejsce w baraku, Red - rzekł Spencer, gdy usadowił się wygodnie na sofie.

Marian poczuła się urażona tym, że tak bezpośrednio zwraca się do ciotki. Red było przezwiskiem Kathleen. Niczego to nie zmieniało, że Chad też tak do niej mówił. Od razu zniechęciła tego wytwornego bubka, ponieważ było oczywiste, że Chad za nim nie przepada.

Kathleen była jednak uprzejmą gospodynią, nawet jeśli nie znała dobrze Spencera. Stuart traktował go jak starego przyjaciela, ale wkrótce Marian miała się przekonać, że on traktował tak każdego, chyba że ten ktoś dał mu powód, by tak nie było. Chad prawie się do niego nie odzywał i vice versa, co prawdopodobnie było najlepszym rozwiązaniem. Napięcie między nimi dwoma było wręcz wyczuwalne.

Zazwyczaj Marian cieszyła się, gdy była ignorowana, jednak ostentację, z jaką Spencer jej nie zauważał, uznała za obraźliwą. Zachowywał się tak, jak gdyby w ogóle jej nie było. Mężczyźni zwykle nie zatrzymywali na niej wzroku, lecz Spencer nie zaszczycił jej ani jednym spojrzeniem.

Na szczęście Kathleen nie musiała ich sobie przedstawiać. Spencer oświadczył od razu na wstępie, że poznał już jej bratanicę. Bratanicę, nie bratanice. Kathleen uznała, że chodzi mu o tę, która akurat była obecna. Marian natomiast od razu się zorientowała, że miał na myśli jej siostrę, na której pojawienie czekał z niecierpliwością.

Amanda spóźniła się z zejściem na dół tak bardzo, że Kathleen nie mogła dłużej zwlekać z podaniem kolacji. Kucharka już trzy razy wysyłała swoją córkę Ritę, która oczami i głową dawała znaki, że czas przejść do jadalni. Podenerwowana Red, nieprzyzwyczajona do goszczenia tak wielu osób w swoim domu, cierpiała męki, trzymając gości o pustym żołądku, podczas gdy wokół rozchodziły się apetyczne zapachy.

Jak się można było spodziewać, Amanda pojawiła się, gdy tylko zasiedli do stołu. Efektowne wejścia były jej specjalnością. Uwielbiała, gdy wszyscy na nią czekali. Była przekonana, że jest tego warta. Niestety większość mężczyzn podzielała jej zdanie, a obecni tutaj nie stanowili wyjątku.

Nie można było jednak odmówić Amandzie tego, że wyglądała wyjątkowo pięknie i świeżo. Umyte włosy były umiejętnie wymodelowane. Ella Mae miała mnóstwo czasu na wyprasowanie jednej z jej ładniejszych sukien, Amanda bowiem większość popołudnia przespała.

Cała w uśmiechach oświadczyła:

- Przepraszam, panowie, że kazałam wam czekać. Ale rozumiecie przecież, że po takiej okropnej podróży potrzebowałam odpoczynku.

Spencer i Chad zerwali się z miejsc, a na ich twarzach malował się idiotyczny wyraz oszołomienia. Stuartowi opadła szczeka, gdy wpatrywał się w stojące przed nim zjawisko. Marian i Kathleen zauważyły, że zostały pominięte przy powitaniu.

Amanda brylowała w jadalni. Była w swoim najbardziej czarującym wcieleniu, co oznaczało, że postanowiła zauroczyć każdego obecnego tutaj mężczyznę, łącznie z ojcem Chada. Pomysłała sobie pewnie, że byłoby zabawnie, gdyby ojciec i syn walczyli o nią.

Czekała ją jednak niespodzianka. Stuart przez chwilę był pod wrażeniem jej urody, jednak wkrótce się okazało, że bardziej interesuje go jedzenie niż smarkula, która mogłaby być jego córką.

Marian znajdowała się wystarczająco blisko, by usłyszeć, jak szepcze do Kathleen:

- Czy byłabyś na mnie wściekła, Red, gdybym przekupił twoją kucharkę i zabrał ją do siebie?

- Jak diabli!

Zmarszczył zabawnie brwi, udając rozczarowanie.

- Wczoraj wieczorem myślałem, że jestem szczęściarzem, ale dzisiaj znalazłem się w rajku. No cóż, nie mogę zaprzeczyć, że to najlepsze żarcie, jakie kiedykolwiek znalazło się na moim talerzu. Jesteś pewna, że będziesz wściekła?

- Nie możesz tak po prostu ukraść dziewczynie kucharkę, zwłaszcza gdy ta dziewczyna nie potrafi gotować.

Mężczyzna zaśmiał się z jej upomnienia.

- W takim razie zrobię wszystko, żeby częściej tędy przejeżdżać. Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzać moje towarzystwo.

- W żadnym wypadku. Zawsze jesteś mile widziany.

Marian zauważyła rumieniec na twarzy ciotki i w ułamku sekundy pojęła, że Red jest pod wrażeniem Stuarta. Nie potrafiła powiedzieć, czy jest tego świadoma, czy też nie. Sygnały były subtelne, jednak czytelne: zaróżowione policzki, ukradkowe spojrzenia, gdy sądziła, że nikt tego nie widzi.

Boże! Marian miała nadzieję, że jej zachowanie nie było aż tak oczywiste, jeśli chodzi o Chada. Na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi, nie zanosilo się, by dowiedziało się o tym ktokolwiek poza Ellą Mae. A dzisiaj często się rumieniła, czego jedynym powodem było to, że siedziała przy stole obok Chada.

Ich kolana co chwila się stykały, łokcie zderzały. Marian za każdym razem wypowiadała szeptem przeprosiny. On jednak zdawał się w ogóle tego nie słyszeć, zajęty spijaniem każdego słowa wypływającego z ust Amandy. Celowo przydeptała mu stopę. Mocno. Nie zauważył tego.

Podawano deser, kiedy Chad powiedział do niej na stronie:

- Gdybym nie wiedział, że cierpisz na brak koordynacji, pomyślałbym, że stałem się celem ataku. I czemu, u diabła, się teraz czerwienisz? Ja się z tobą tylko przekomarzam.

Mężczyźni nie przekomarzali się z nią, ponieważ nie należała do kobiet, z którymi chcieliby się przekomarzać. A poza tym ona rzeczywiście atakowała Chada. Widać było jak na dłoni, że gapiąc się na Amandę, robi z siebie głupca.

Marian oszczędzona została konieczność udzielenia odpowiedzi, gdyż Amanda dostrzegła, że Chad na chwilę odwrócił uwagę od jej osoby, więc natychmiast postanowiła ją odzyskać. Zresztą ku irytacji Spencera, który próbował skupić jej uwagę wyłącznie na sobie. Amanda z całą pewnością mogła go już uważać za swoją zdobycz.

Spencer opowiadał jej o swoim saloonie. Marian uznała jego nazwę za dziwną, zapytała więc siedzącą po jej lewej stronie Kathleen:

- Czy ja dobrze usłyszałam? Naprawdę saloon nazywa się „Nie Tutaj”?

- Tak.

- Nie uważa ciocia, że to nieco dziwna nazwa?

- Nie bardziej niż inne. W tych okolicach im cudaczniejsza nazwa, tym lepiej.

- Teraz, kiedy ciocia o tym wspomniała, istotnie przypominam sobie, że podczas podróży dostrzegłam kilka doprawdy dziwnych szyldów - przyznała Marian. - Tak dziwaczne, że nie byłam sobie w stanie wyobrazić, czego tak naprawdę dotyczą.

Kathleen skinęła głową.

- Saloon nazywał się kiedyś „Nie Pukaj”. Sądzę, że stary Evans chciał po prostu mieć pewność, że klienci nie będą mieli wątpliwości, w jakiego rodzaju przybytku przebywają. Z biegiem lat na szyldzie zamazały się dwie litery, konkretnie „p” i „k”, i kiedy przez miasteczko przejeżdżał malarz, Evans kazał mu wykonać nowy szyld. Przed przystąpieniem do pracy malarz za dużo wypił, a potem opuścił miasto, zanim pan Evans przyjrzał się uważnie jego dziełu. Postanowił jednak powiesić nowy szyld, dopóki nie znajdzie nowego malarza.

- Czego nigdy nie uczynił - zakończyła Marian.

- Och, przez miasteczko przejeżdżało wielu malarzy, jeden się nawet tutaj osiedlił. Ale tymczasem wszyscy przyzwyczaili się do tej nazwy. Tak się składa, że na cmentarzu jest nagrobek z wyrytym napisem: „Andy zmarł «Nie Tutaj», ale tam, a może jeszcze gdzie indziej. Wie to tylko ten, kto także był w «Nie Tutaj», by to zauważyć”. W tej sytuacji szkoda byłoby zmieniać nazwę baru.

Marian uśmiechnęła się.

- Napis na nagrobku unieśmiertelnił nazwę saloonu?

- Co nie znaczy, by ktokolwiek znał Andy'ego - odezwał się Chad siedzący po jej drugiej stronie. - Był to po prostu biedny włóczęga, który przypadkiem zakończył życie w knajpie Evansa. Stało się to krótko po zawieszeniu nowego szyldu. Ludzie nabijali się z tej nazwy, a nasz miejscowy kamieniarz

uznał, że przyłączy się do zabawy z tą swoją kalamburową inkrypcją.

Marian znowu zarumieniła się. A więc Chad przysłuchiwał się jej rozmowie z ciotką, a nie paplaninie Amandy! Prawdę powiedziawszy, kiedy się nad tym zastanowić, nie było to aż tak bardzo zaskakujące. Amanda może i umiała przyciągnąć uwagę mężczyzn, ale czyniła to dzięki swej urodzie, a nie błyskotliwej osobowości czy też interesującej konwersacji. Rozmowa z nią szybko stawała się nudna. Jedynym tematem była bowiem ona sama.

22

Marian powitała nowy dzień z optymizmem. Słońce jasno świeciło. Na górę docierał zapach świeżo upieczonych bułeczek. Podobał jej się dom, w którym przyszło jej zamieszkać. Przydzielony pokój także. Był dosyć duży i na dwóch narożnych ścianach miał okna, co zapewniało przyjemny przepływ powietrza. Z jednego okna widać było barak, stajnię i ogród na tyłach domu, z drugiego rozciągał się bezkresny, niczym nieprzesłonięty widok aż po horyzont.

Może znowu zacznie malować, o ile dostanie w Trenton potrzebne materiały. W pokoju wystarczy miejsca na sztalugi, a poza tym było w nim bardzo dużo światła. Kilka lat temu porzuciła to sprawiające jej wiele przyjemności zajęcie. Chciała zawiesić swój najlepszy obraz w salonie, ale ojciec wyśmiał ten pomysł, a potem przyłączył się do Amandy i razem drwili z jej talentu. Od tamtej pory nie miała w ręku pędzla.

Teraz jednak pozostała już tylko siostra, która nadal mogła szydzić z jej artystycznych ciagot. Marian miała nadzieję, że nie potrwa to długo. Amanda otrzyma to, co chce. Wyjdzie za mąż i wróci na Wschód z błogosławieństwem Kathleen. Przyjmie pierwszą propozycję małżeństwa i zaciągnie męża do starego domu. Marian przypuszczała, że nastąpi to wkrótce. Sio-

stra nie miała zwyczaju ociągać się, kiedy już coś sobie postanowiła. Ta wizja nie pozostawała bez wpływu na dzisiejszy optymistyczny nastrój Marian.

A ona wreszcie będzie mogła wrócić do swojego naturalnego wyglądu i zacząć normalne życie. Była z tego powodu bardzo podekscytowana. Zmęczyło ją ciągłe udawanie i obrażanie mężczyzn, byle tylko jej unikali. W rodzinnym mieście spaliła za sobą mosty - pogardzał nią tam każdy stanowiący dobrą partię mężczyzna. Ale tutaj sprawy mogłyby się potoczyć inaczej, gdyby tylko Amanda wyjechała wystarczająco szybko.

Jak na razie tylko jeden tutejszy mężczyzna nią pogardzał i miała nadzieję, że na tym się skończy. Szkoda, że był to akurat ten, któremu udawało się przyspieszyć bicie jej pulsu. Optymizm Marian miał związek także z nim. Może Chad okaże zrozumienie, kiedy wyjaśni mu powody tej maskarady. Zaczyna wszystko od początku, już bez udawania z jej strony, o ile Amanda nie postanowi wrócić do domu właśnie z nim jako swoim mężem.

To, że aktualnie tak bardzo fascynowała go Amanda, nie stanowiło tak wielkiej przeszkody, jak mogłoby się wydawać. Większość młodych mężczyzn była nią oczarowana, dopóki Amanda nie odkryła przed nimi swojej prawdziwej natury. Poza tym Chad nie wydawał się znajdować zupełnie pod jej urokiem, w przeciwnym wypadku nie zwróciłby dwukrotnie swojej uwagi podczas wczorajszej kolacji na Marian. Przekomarzał się z nią nawet, a przynajmniej tak twierdził. Może więc jednak nie udało jej się sprawić, by nią pogardzał.

Takie były pobożne życzenia Marian, kiedy się ubierała, by zejść na dół. Mimo wszystko jej optymizm był spory. Prawdę powiedziawszy, nie pamiętała już, kiedy ostatnio była w tak dobrym nastroju.

Możliwe, że wcześniej, bardziej niż to sobie uświadamiała, denerwowała się tym, jak zostanie tutaj przyjęta. Kathleen była przecież siostrą Mortimera. Mogła być taka jak on. Ale nie była. W najmniejszym nawet stopniu. Wraz z ciepłym powitaniem wszystkie lęki Marian odeszły na bok.

Duża jadalnia była pusta. Udała się zatem do kuchni, ale przebywała w niej jedynie kucharka Consuela - potężna kobieta w średnim wieku, która wyraźnie lubiła jeść to, co ugotowała. Była pochodzenia meksykańskiego, ale przysłała na świat i wychowywała się w Teksasie, więc mówiła z tym samym leniwym, przeciągającym samogłoski akcentem, który Marian słyszała od chwili przyjazdu do tej części kraju.

Consuela bez słowa wcisnęła Marian talerz z jedzeniem, tak pełny, że niemożliwością było zjedzenie wszystkiego naraz. Dziewczyna usiadła jednak przy stole i zabrała się do jedzenia.

- Spóźniłam się?

Kucharka wzruszyła ramionami.

- Zależy co panienka ma na myśli. Jeśli chce panienka jeść razem z Red, będzie musiała wstawać razem ze słońcem. Tutaj wcześniej zaczyna się dzień. Nie mamy stałych godzin posiłków. Podaję śniadanie Red, kiedy wstaje, potem obiad koło południa, o ile się zjawi. Nie zawsze to robi. Kolację je już po zmierzchu. Jedzenia się nie zamyka. Kto zgłodnieje, może przyjść i sobie wziąć.

Kobieta wyglądała na zakłopotaną. Może speszyło ją to długie przemówienie, a może nie spodziewała się wizyty Marian w kuchni. Zwykle zaglądała tu tylko Kathleen i jej córka Rita.

Marian uśmiechnęła się,

- Dziękuję. Postaram się wstawać wcześniej, aby zjeść śniadanie razem z ciocią.

Kobieta w odpowiedzi także się uśmiechnęła. Marian miała przeczucie, że powiedziała to, co należało i że właśnie została zaakceptowana przez jednego z domowników.

Amanda oczywiście jeszcze spała. Spędzanie dwunastu godzin na dobę w łóżku stanowiło dla niej normę. Nieważne, czy wszystkie te godziny przesyiała, czy też nie. Odpoczywała dla urody, tak to nazywała. Marian wywnioskowała, że Stuart zdążył już wyjechać, a Spencer albo także wyjechał, albo późno wstawał, co miało związek z trybem życia, jaki prowadził, będąc właścicielem saloonu. Chad pracował na ranczu, tak więc nie spodziewała się go dzisiaj spotkać.

Po śniadaniu wyszła na dwór. Zaczynało się już robić gorąco, powietrze było suche, ale powiewał przyjemny wiaterek, tak że przebywanie na zewnątrz nie było zbyt uciążliwe - przynajmniej na razie.

Chmura kurzu na horyzoncie była sygnałem, że ktoś jedzie w kierunku rancza. Marian miała nadzieję, że to Kathleen, ale kiedy koń się zbliżył, na jego grzbiecie ujrzała jednego z jej pracowników. Stała przy stajni, on jednak nie pojechał w tym kierunku, lecz do znajdującego się w pobliżu baraku. Dostrzegł ją i grzecznie uchylił kapelusza, a nawet uśmiechnął się przyjaźnie.

Ten uśmiech zachęcił ją do tego, by podejść i przedstawić się, zanim mężczyzna zniknie w baraku. Zazwyczaj nie była tak śmiała, ale miała tu przecież zamiar mieszkać i nie chciała izolować się od pozostałych mieszkańców rancza.

- Dzień dobry! - zawołała, gdy mężczyzna zsiadał z konia. - Jestem Marian Laton.

Ponownie na nią zerknął i zaczekał, aż podejdziesz bliżej.

- Lonny Hudson, psze pani. Jestem zarządcą, to znaczy wkrótce nim będę. Chad uczy mnie tej roboty.

Był dość przystojny, miał dwadzieścia kilka lat, jasne włosy i zielone oczy. Nosił krótką brodę, o ton ciemniejszą od włosów. Pewnie myślał, że zarost sprawi, iż będzie wyglądał na starszego i tym samym wzbudzał w swoich przyszłych podwładnych większy respekt. Nie wyglądał, ale chłopcy oborowi, których widziała wczoraj, kiedy przyjechali na ranczo, nie wydawali się wiele młodszy od niego, tak więc nie miało to znaczenia.

- Bardzo miło pana poznać, Lonny. Nie wie pan, czy moja ciotka przyjedzie do domu na lunch?

- Wątpię, psze pani. W nocy zginęło kilka sztuk bydła. Od samego rana przeczesuje teren w ich poszukiwaniu.

Marian była rozczarowana. Miała nadzieję, że odbędzie z ciotką miłą pogawędkę i lepiej ją pozna.

- Często krowy oddzielają się od stada?

- Tak, psze pani, chociaż normalnie to one nie odchodzą zbyt daleko, chyba że ktoś im w tym pomoże.

- Pomoże?
- Zwędzi.
- Zwędzi?

Lonny zaśmiał się.

- Przepraszam. Niektóre słowa, których się tutaj używa, mogą być niezrozumiałe dla ludzi ze Wschodu. Zwęczenie oznacza kradzież bydła. Spryciarze uprowadzają tylko określone odmiany. Zdarza się, że nowe ranczo powstaje z kradzionego bydła. Częściej jednak kradnie się dla szybkiego zysku. Bydło jest przeganiane na południe i dalej przez granicę z Meksykiem.

Marian zmarszczyła brwi.

- Czy moja ciotka często ponosi takie straty?

- Nie, jej stado nie jest duże, w przeciwieństwie do rancza Kinkaida. Red zauważył brak nawet jednej krowy i rusza na jej poszukiwanie. Wielkie rancza, takie jak to należące do ojca Chada, mają tyle sztuk bydła, że trudno zauważyć brakującą setkę, tak więc złodzieje skupiają się raczej na nich.

- To jest niezgodne z prawem, prawda?

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Tak, psze pani, tylko że nie karze się za to tak surowo jak za kradzież koni. Wszystko zależy od ranczera. Red macha ręką na stratę, jeśli wie, że skradziona krowa wyżywi jakąś głodującą rodzinę. Jeśli przyłapie prawdziwych złodziei bydła, migiem prowadzi ich do szeryfa. To oczywiście nie jest wielka zbrodnia, ale można za to spędzić kilka lat za kratkami. Większość złodziei bydła to zatwardziałe typki wyjęte spod prawa.

- No cóż, bardzo panu dziękuję za te informacje, panie Hudson, naprawdę to doceniam.

- Wystarczy Lonny, bardzo proszę. W tych stronach nie zachowujemy się zbyt formalnie.

- W takim razie - Lonny. Martwię się jednak, że moja ciotka nie zje lunchu. Czy sądzisz...

- Na terenie wypasu mamy własnego kucharza - przerwał jej. - Na pewno przed końcem dnia przygotuje coś do jedze-

ilia. Nie trzeba się o nią martwić, ale jeśli panienka chce jechać, by ją znaleźć, mogę zaraz osiodłać konia.

- Nie, ja... no cóż, chciałabym, tak, ale jeszcze nie nauczyłam się jeździć konno.

- Szkoda, że Carl wyjechał już wozem, mogłaby panienka zabrać się z nim. Może panienka jechać na jednym koniu ze mną. Stado nie jest dzisiaj daleko.

Marian uśmiechnęła się promiennie.

- Z największą przyjemnością, dziękuję bardzo.

Lonny zarumienił się.

- Proszę dać mi kilka minut na przebranie się. Mam wilgotne ubranie, bo spadłem z konia do rzeki, gdy chciałem sprawdzić, czy po drugiej stronie nie ma śladów skradzionego bydła. Gdyby nie to, że nie chcę się przeziębnić, pozwoliłbym wyschnąć ubraniu na słońcu. - Spojrzał na bezchmurne niebieskie niebo. - Nie będzie musiała panienka siedzieć na terenie wypasu przez cały dzień. Wróci panienka z Carlem. Gdy przygotuje posiłek, nie zostaje zbyt długo.

- Bardzo mi to odpowiada.

Lonny skinął głową.

- W takim razie proszę zabrać ze sobą kapelusz z szerokim rondem i bluzkę z długimi rękawami. Nie chcę być odpowiedzialny za to, że się panienka spieczą na słońcu.

- Rękawy to nie problem, ale nie sądzę, by moje czepki miały takie rondo, o jakim mówisz. A parasolka się nie nada?

Lonny zaczął się śmiać.

- No cóż, raczej nie. Na jej widok chłopaki tak się będą pokładać ze śmiechu, że już nic dzisiaj nie zrobią. Nie widuje się tutaj pań jeżdżących na koniach z parasolkami. W domu powinien być odpowiedni kapelusz. Niech panienka poszuka. Za pięć minut czekam przed werandą.

Marian wbiegła do domu. Przypomniała sobie, że Consuela ma kapelusz z szerokim rondem. Wisi na kołku na kuchennych drzwiach. Na pewno będzie dla niej o kilka rozmiarów za duży, ale dzisiaj musi wystarczyć.

Już się nie mogła doczekać wycieczki. Czuła się nawet lekko podekscytowana, kiedy pośpiesznie zmieniała bluzkę. Może spotka tam Chada. Byłaby to miła odmiana. Nie wiedziała, czym zająć czas ani co się normalnie robi na ranczu. Porozmawia o tym z ciotką.

Stado paśło się półtora kilometra od domu. Jutro byłoby może być znacznie dalej. Lonny wyjaśnił Marian, że cały czas się przemieszcza, wędrując w głąb prerii i z powrotem do rzeki. To dobrze, że znajdowało się niedaleko, ponieważ Marian musiała siedzieć bokiem na grzbiecie konia. Trzymała się kurczowo Lonny'ego, ale pozycja ta nie dość, że niepewna, to jeszcze wyjątkowo stresująca.

Kiedy przyjęła propozycję Lonny'ego, nie sądziła, że problem może stanowić jej długa spódnica. On też nie. Nie miała jednak zamiaru z tego powodu zrezygnować z jazdy konno - gdyby to zrobiła, byłaby rozczarowana.

Kiedy podjechali na tyle blisko, że widać było stado, Marian ogarnęło zdumienie. Słyszała, że stado Kathleen jest małe w porównaniu z innymi, jednak to, co zobaczyła, przeszło wszelkie oczekiwania.

Jej spojrzenie przyciągnęło dziwne stworzenie.

- Co to takiego? - zapytała.

Lonny nie wiedział, o czym ona mówi, musiała mu pokazać ręką. Roześmiał się.

- To Sally. W tej okolicy nieczęsto widuje się bizona, nie zostało ich już wiele. Sally przybłąkała się pewnej zimy i postanowiła zostać. Jest tu już tak długo, że krowy przyzwyczyły się do niej, a ona myśli, iż jest jedną z nich.

Marian nie przestawała się jej przyglądać. Sally była prawie dwa razy większa od pozostałych krow. I brzydka. Nie istniało bardziej odpowiednie słowo, by ją opisać. No cóż, była brzyd-

ka, ale w jakiś majestatyczny sposób. Czegoś podobnego jeszcze do tej pory nie widziała i...

Wszystko stało się tak szybko. W jednej chwili ładnie sobie jechała, a w następnej wleczona była po ziemi. Nie powinna była zabierać ręki z pleców Lonny'ego, by wskazać na bizona. Powinna była zwracać baczniejszą uwagę na to, gdzie jadą i dostrzec, że przed nimi jest niewielki rów.

Rów nie był szeroki, ale koń najwyraźniej uznał, że należy go przeskoczyć. Wysadzona z siodła Marian zdążyła chwycić Lonny'ego za ramię, on przytrzymał ją mocno pod drugie ramię, mimo to zsunęła się z konia i wlokła nogami po pylistej ziemi. Lonny starał się zatrzymać konia, który kręcił się w kółko pod ciężarem Marian i przechylonego na bok kowboja.

Zwisła tyłem do niego, więc kiedy wreszcie koń zatrzymał się, po prostu opuścił ją na ziemię. Upadła tuż obok końskich kopyt. Nie było to bezpieczne. Nie zerwała się jednak od razu na równe nogi. Zbyt mocno była oszołomiona. Miała wrażenie, że jej ramię zostało wyrwane ze stawu. Za duży kapelusz zsunął się do przodu i zatrzymał na przekrzywionych na czubku nosa okularach. Drapało ją w gardle od kurzu, który sama wzniosła, szorując nogami po ziemi.

- A niech mnie! Mało brakowało - rzekł Lonny, zsiadając z konia. Zachowywał się tak, jakby to on uratował sytuację.

Uchronił ją przed twardym lądowaniem, jednak upadła i śmiertelnie się wystraszyła. Nie odczuwała więc na razie szczególnej wdzięczności.

- Może powinienes zastrzelić tego konia - warknęła. - Myśli sobie pewnie, że zrzucanie ludzi z grzbietu to coś niesłychanie zabawnego.

Do uszu Marian dobiegł wybuch śmiechu, który niestety rozpoznała. Poczwała, że jej policzki płoną.

- Miałem zamiar zapytać, czy nic ci się nie stało - rzekł Chad, wyciągając do niej rękę i pomagając wstać. - Ale skoro możesz mówić, to znaczy, że jesteś cała.

Marian z wahaniem ujęła jego dłoń. Pojawił się dosłownie znikąd. Słyszała odgłos pędzącego w ich kierunku konia, a to

oznaczało, że był świadkiem jej upadku. Z zakłopotania nie wiedziała, co powiedzieć. Jeśli wcześniej uważał ją za niezdarę, upadkiem umocniła go w tym przekonaniu.

Poprawiła okulary i kapelusz, ujęła jego dłoń i poczuła mocne szarpnięcie. Dobrze, że podała mu lewą rękę, a nie prawą, wywichniętą ze stawu. Gdyby pociągnął za nią, wrzasnęłaby z bólu. Pożyczony kapelusz ponownie zsunął się z jej głowy, tym razem do tyłu, i zatrzymał na koku. Ciasno spięte włosy rozluźniły się i swobodnie powiewały wokół jej zarumienionej twarzy.

W tym momencie miała ochotę zacząć krzyczeć, jednak jedno spojrzenie na Chada i jego rozbawioną minę sprawiło, że się powstrzymała.

- Podziwiałam twójgo bizona - oświadczyła cierpko tytułem wyjaśnienia.

Chad zsunął kapelusz na tył głowy.

- To nie mój bizon. To ciotka pozwoliła Sally zostać. Gdybym wtedy tu był, przywiózłbym ją do domu na kolację.

Słyszac tę dwuznaczną odpowiedź, Lonny zaczął rzeć ze śmiechu, Marian jednak nie pojęła żartu.

- Jest zbyt brzydka, by ją zjeść - oświadczyła.

To wywołało kolejną salwę śmiechu.

- Nie musi być ładna, żeby ją zjeść - wyjaśnił Lonny. - Ran-czerzy wołą wołowinę. Mięso bizona jest łykowane. A Chad tylko sobie żartował. Troszczy się o Sally tak samo jak Red. Twierdzi, że skoro staruszka tak wiele przetrwała, zasługuje na to, by dożyć swoich dni w spokoju.

Podejście godne podziwu, jednak Marian nie wypowiedziała swojej opinii na głos. Nadal była na Chada poirytowana za to, że się z niej śmiał.

- Co ona tutaj robi? - zapytał Chad, zwracając się do Lonny'ego.

- Przyjechała, żeby zobaczyć się z Red. Wróciła już?

- Jeszcze nie. Sam wiesz, jaka ona jest. Nie podda się, dopóki nie znajdzie krów. Zdaje mi się, że miałaś jej pomagać?

Pod spojrzeniem Chada Lonny zarumienił się.

- Musiałem się przebrać. Koń przestraszył się przepływającej gałęzi i zrzucił mnie na środku rzeki. Zrobię jeszcze jedną rundkę.

Marian została sam na sam z Chadem. Niedaleko znajdowali się robotnicy - jedni zajmowali się bydłem, drudzy siedzieli wokół ogniska - ale nie na tyle blisko, by przestała mieć wrażenie, że obok niej jest tylko Chad.

Była podenerwowana nie tylko z powodu upadku z konia.

- Co oni robią? - zapytała, żeby Chad wreszcie przestał się jej przyglądać.

Popatrzył we wskazanym przez nią kierunku.

- Znakują cielęta.

- Mogę podejść i popatrzeć?

- Jeśli jesteś w stanie znieść smród.

Zmarszczyła nos. Nie skojarzyła znakowania cieląt ze swędem palonej sierści i skóry.

- Nieważne. Powinam wrócić na ranczo, skoro ciotki tutaj nie ma. Czy kucharz prędko się pojawi? Lonny mówił, że mogłabym wrócić razem z nim.

- Carl już odjechał. Zjawił się dziś wcześniej niż zwykle, naszykował nam kocioł chili con carne i pojechał do jednego z okolicznych farmerów po świeży ser.

Marian zmarszczyła brwi, oglądając się za siebie w stronę rancza.

- Pewnie mogłabym dojść pieszo do domu.

Chad uniósł czarną brew.

- Wolisz maszerować półtora kilometra przez prerię, niż poprosić mnie, żebym cię podwiózł?

Marzyła o tym, ale twierdząca odpowiedź oboje wprowadziłaby w zakłopotanie. Nie znalazła jednak wymówki, by uniknąć bliskiego kontaktu z nim. Nie sądziła, by była w stanie to znieść. Przebywanie tak blisko niego przypominałoby jej o nocnym pocałunku...

- Wołałabym na razie nie wsiadać na konia - wyznała.

Uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem! Boisz się! Siedziałaś na koniu bokiem i w dodatku za jeźdźcem, dlatego spadłaś. Posadzę cię przed sobą. Przekonasz się, że koń nie jest tak niebezpieczny, jak myślisz. Nie mąj mowy, żebyś spadła.

Nie zwlekając, dosiadł konia, podjechał do niej i wyciągnął rękę. Marian wpatrywała się w nią, zagryzając wargi. Wiedziała, że ma w sobie tyle odwagi, by wsiąść na konia, lecz nie to stanowiło problem. Bardziej przerażały ją własne pragnienia. Do ujęcia jego dłoni i znalezienia się na końskim grzbiecie przekonała ją wizja samotnej wędrowki przez prerię, pośród kaktusów i innych suchych krzewów, z Chadem jadącym za nią na koniu i śmiejącym się z jej tchórzostwa.

Posadził ją przed sobą w siodle i objął mocno ramionami. Marian siedziała sztywno wyprostowana, starając się nie dotykać plecami do jego klatki piersiowej.

- Odpręż się - rzekł rozbawiony. - Nie gryzę. A poza tym jazda nie potrwa długo.

Ruszyli galopem. Ruchy konia były tak płynne, że Marian odnosiła wrażenie, iż frunie w powietrzu. Jednak nie myślała o tym. Serce jej waliło nie z powodu jazdy. Wiedziała doskonale, że tym razem nie spadnie.

Silne męskie ramiona podtrzymywały ją z obu stron, dając poczucie bezpieczeństwa. W pewnej chwili Chad machnął wodzami i jego dłonie musnęły jej piersi. Ze świstem wciągnęła powietrze. Miała nadzieję, że nie zdawał sobie z tego sprawy, ani z tego, jakie obudził w niej pragnienia.

- I jak ci się podoba? - zapytał.

Marian była mu wdzięczna za to, że tym pytaniem odwrócił jej uwagę.

- Prawdę mówiąc, bardzo - przyznała. - Podoba mi się tu prawie wszystko.

- Naprawdę?

Usłyszała w jego głosie zaskoczenie. Nie zdziwiło jej to. Amanda ciągle narzekała. Chad sądził zapewne, że ona myśli tak samo, ale nie powiedziała tego głośno.

- Tak, naprawdę - odparła. - Ludzie są tu tacy przyjacielscy. Z wyjątkiem zakradających się nocą łowców głów - zażartowała. - Widoki są po prostu wspaniałe. Otwarta przestrzeń bardzo się różni od krajobrazów na Wschodzie, a zachody słońca są tak piękne, że aż zapierają dech w piersiach.

- Dobrze już, wierzę ci - odparł ze śmiechem. - Rozumiem, że dogadujesz się z Red?

- A jak mogłoby być inaczej? Jest tak cudowna, jak mówiłeś. Dzięki niej poczułam się tutaj od razu jak w domu, jakbym mieszkała z nią od zawsze.

Rozmawiając z Chadem, nie spostrzegła, kiedy dojechali na miejsce. Przed domem objął ją ciasno ramieniem w talii i pozwoli opuścić na ziemię. Gdy jej stopy dotknęły twardego gruntu, prostując się, znowu dłonią przesunął po jej piersiach. Marian wciągnęła powietrze, puls ponownie przyspieszył, a w żołądku zaczęła odczuwać dziwne wirowanie...

Stała obok werandy, nie wiedząc, co począć.

- Strasznie głupio wyglądasz w tym kapeluszu - orzekł Chad.

Jego kpiące słowa pozwoliły jej odzyskać równowagę.

- Dziękuję, że mi to uświadomiłeś - odparła wyniośle. - Użyłabym parasolki, ale Lonny powiedział, że wyglądałabym strasznie głupio - wyjaśniła, akcentując trzy ostatnie słowa. - Prawdę powiedziawszy, ujął to znacznie uprzejmiej niż ty.

- Ja się tylko droczyłem - zapewnił Chad.

- Akurat - odparła, zdejmując kapelusz.

Pomaszerowała sztywno do domu, słysząc za plecami jego śmiech. Omal nie wpadła na Spencera i Amandę, którzy właśnie wychodzili z jadalni.

Pobiegła na górę, żeby uniknąć spotkania z nimi, ale zdążyła usłyszeć słowa siostry, wypowiedziane zapewne z nadaśaną miną:

- Musisz już jechać?

- Zamarudziłem tu dłużej, niż powinienem, skarbie. Ale nie mogłem odjechać, nie zobaczywszy się z tobą.

Marian zatrzymała się u szczytu schodów i przyglądała się, jak ramię w ramię podchodzą do drzwi wejściowych. Zachowanie tej pary sprawiało wrażenie zbyt swobodnego jak na taką krótką znajomość, ale gdy Amandzie ktoś się spodobał, nie zważała na formalności. Spencer był idealnym kandydatem - przystojny, wytworny i majątny. Miał własnych krewnych na Wschodzie i to czyniło jego kandydaturę na męża jeszcze odpowiedniejszą. Wyjdzie za niego, jeśli plan polegający na zirytowaniu ciotki do tego stopnia, że odesłałaby ją do Haverhill razem z jej spadkiem, spaliłby na panewce.

Zachowanie Spencera wczorajszego wieczoru nie pozostawiało wątpliwości, że jest zainteresowany jej siostrą. Został dzień dłużej, żeby ponownie spotkać się z Amandą. Teraz musiał się śpieszyć, aby zdążyć do miasta przed zmierzchem, dlatego zostawiał powóz. Będzie miał pretekst, by znowu się tutaj zjawić. Najważniejsze, że Amandzie wyraźnie się podobał. Gdyby przemyślała sobie wszystko i uznała, że jest wart jej ręki...

24

Marian siedziała na werandzie, kołysząc się na bujanym fotelu, i zafascynowana przyglądała się najbardziej niezwykłemu zachodowi słońca, jaki zdarzyło jej się oglądać. Widziała kilka bardzo ładnych w czasie podróży, ale żaden z nich nie umywał się do dzisiejszego. Niebo nad horyzontem zabarwiło się różem przechodzącym w pomarańcz i krwistą czerwień. Słońce, zanim zniknęło, zdawało się większe niż u nich na Wschodzie.

Marian wiedziała, że ciotka jest w domu i że powinna wejść do środka, by jej poszukać, nie chciała jednak stracić ani chwili z tego wspaniałego widowiska. Ucieszyła się, kiedy drzwi się otworzyły i ujrzała w nich ciotkę.

- Tu jesteś - odezwała się Kathleen i usiadła na drugim fotelu.

- Czy nie pogniewa się ciocia, jeśli będę ją nazywała cicią Kathleen? - zapytała z wahaniem Marian. - Wiem, że przyjaciele zwracają się do cioci Red, ale ciocia Red brzmi dziwnie.

- Słoneczko, możesz nazywać mnie, jak tylko chcesz. Tutaj nie troszczymy się zbytnio o kwestie formalne.

- Zdażyłam już to zauważyć. Prawdę mówiąc, nawet mi się to podoba. Nie spóźniłam się na kolację?

- Ależ skąd. Kolacja i tak będzie dziś nieco później - odparła z westchnieniem Kathleen.

Kiedy pojawiła się w drzwiach, miała zmarszczone brwi i wyglądała na zmęczoną. Na widok Marian otrząsnęła się natchmiast i uśmiechnęła na powitanie, ale teraz znowu na jej twarzy pojawił się wyraz znużenia.

Marian domyślała się, co jest tego przyczyną.

- Coś się stało? - zapytała z lękiem.

- Nie - zaprzeczyła Kathleen bez przekonania. - No cóż - westchnęła. - Właściwie tak, coś się wydarzyło. Consuela właśnie natarła mi uszu. Obawiam się, że nie darzy sympatią twojej siostry. Moja pokojówka odmawia sprzątania jej pokoju, nawet nie chce się do niego zbliżyć. Pół godziny trwało, nim ją jakoś udobruchałam i tyle samo, by przekonać Consuelę, aby posłała Amandzie kolację na górę, tak jak sobie życzyła, skoro najwyraźniej nie ma ochoty jeść z nami. Dlatego wszystko jest spóźnione.

Marian odchyliła się razem z fotelem i westchnęła.

- Zazwyczaj nie bawię się w wyjaśnienia, ale ciocia należy do rodziny, a ponadto jest naszą opiekunką, więc ma prawo wiedzieć pewne rzeczy. Amanda i ja nie przepadamy za sobą. Tak było, jest i będzie. Można to zresztą było wywnioskować z naszej wczorajszej bójki. Odkąd sięgam pamięcią, moje życie nie było szczęśliwe.

- Z powodu Mortimera?

- Tak, Amanda była jego ulubienicą i przypominała mi o tym bezustannie każdego dnia. Skąd ciocia...? - zaczęła Marian i urwała. - Nieważne. No tak, była ciocia przecież w Haverrhill, kiedy byłyśmy małe, i widziała to na własne oczy.

- Skarbie, to był główny powód, że wyniosłam się stamtąd tak szybko, jak tylko mogłam. Nie chciałam przyglądać się, jak dorastacie, dzieląc te same gorzkie uczucia, które stały się udziałem moim i mojej siostry.

- Ma ciocia siostrę? - zapytała ze zdziwieniem Marian.

- Miałam - poprawiła Kathleen. - Umarła, kiedy miałyśmy czternaście lat. Była moją siostrą bliźniaczką i ulubienicą Mortimera. Był od nas tylko dwa lata starszy. Cała nasza trójka powinna była być ze sobą blisko, ale żadne z nich nie umiało dzielić się swoimi uczuciami z więcej niż jedną osobą naraz. Bardzo szybko wytworzyła się między nimi więź, byli nierozłączni, wszystko robili razem, mnie z tego wyłączyli. I podobnie jak tobie, często mi o tym przypominali. Żadne z nich nie było miłą osobą.

- Przykro mi.

- Nie, to mnie jest przykro, ponieważ obawiałam się, że wy doświadczycie tego samego w relacji ojciec-córka, i wygląda na to, że tak właśnie się stało. To z całą pewnością nie była twoja wina. Mam nadzieję, że nigdy tak nie uważałaś.

- Nie. No cóż, może wtedy kiedy byłam jeszcze mała - przyznała Marian. - Mama pomagała mi przez to przejść. Wspierała mnie, dopóki żyła. Pamiętam, powiedziała mi kiedyś, że są ludzie o wielkich i małych sercach. Nie wszyscy zostali obdarzeni na tyle dużym sercem, że jest w nim miejsce na troskę o innych. Zapewniła mnie, że mam szczęście, bo moje jest wielkie.

Kathleen uśmiechnęła się.

- Lubiłam twoją mamę. Była dobrą kobietą. Żał mi jej było, że wyszła za mężczyznę, który jej nie kochał.

- Dlaczego w takim razie ożenił się z nią?

Kathleen wzruszyła ramionami.

- Nigdy go o to nie pytałam. Zapewne z tego samego powodu, dla którego większość bogatych mężczyzn bierze ślub - żeby mieć dzieci, którym zostawia swój majątek. Ona była tylko trochę rozczarowana, że nie okazał się idealnym mężem, ale z tego, co mi wiadomo, całkiem dobrze się z nim dogadywała.

Sądzę, że w dzieciństwie wpojono jej przekonanie, iż nie warto czekać na wielką miłość. Wiele kobiet uważa, że ważniejsze od miłości jest to, by mąż utrzymał rodzinę na odpowiednim poziomie. Z całą pewnością Mortimer ten warunek spełniał.

- A ciocię wychowywano w przekonaniu, że trzeba czekać na wielką miłość?

Kathleen zaśmiała się.

- Skarbie, mnie wychowywano w przekonaniu, bym nie czekała na nic. Mojego ojca zajmowały tylko interesy. Rzadko spędzał czas w gronie rodziny. Wychowywanie dzieci pozostawił żonie. Prawdę powiedziawszy, nie wychodziło jej to najlepiej. Jeśli można kogoś winić za to, jaki był Mortimer, to naszą matkę. Nauczyła go, że aby osiągnąć sukces, nie potrzebuje nikogo oprócz siebie, no może jeszcze jednej osoby. Sądzę, że miała nadzieję, iż to ona będzie tą osobą. Naprawdę go uwielbiała. Ale on ją w tym względzie rozczarował.

- Ale czyż nie tego uczy się chłopców? Że na sukces trzeba ciężko pracować?

- Zgadza się - przyznała Kathleen. - Jeśli kładłaby nacisk tylko na to, wtedy może okazałby się inny. Ale ona go hołubiła, rozpieszczała i sprawiła, że uwierzył, iż wszystko, co robi, jest właściwe.

- Tak jak za właściwe uznawał postępowanie ze mną i moją siostrą.

- I moją - przytaknęła Kathleen.

- Jestem zdumiona, że nigdy o niej nie słyszałam. Przez te wszystkie lata nie wspomniął o niej ani słowem.

- Prawdę powiedziawszy, wcale mnie to nie dziwi. Kiedy umarła, zapomniał, że kiedykolwiek istniała. Sądziłam, że po jej śmierci zbliżymy się do siebie z Mortimerem. Ale nie, wyrzucił mnie ze swego serca raz na zawsze.

- Sądzę, że Amanda uczyniła właśnie coś takiego, kiedy umarł nasz ojciec. Początkowo myślałam, że jest w szoku, ale zrozumiałam, że ona wymazała z pamięci wszystkie związane z nim wspomnienia, tak aby nie martwiło jej to, że odszedł.

- Nie pozwól, by to cię zasmucało.

Marian zamrugała oczami.

- Wyglądałam na smutną?

- Przez chwilę. Ale nie smuć się. Osobą, którą Mortimer kochał najbardziej, był on sam. Po ludziach takich jak on nie rozpacza się. Mogło się wydawać, że kocha moją siostrę i twoją, ale po latach zaczęłam wątpić, czy tak właśnie było. Traktował je jak ukochane zwierzątka, które trzeba pielęgnować, by mogły go rozbawiać. Oczywiście mogę się mylić w moich osądach - zakończyła Kathleen i wzruszyła ramionami.

- Nigdy nie dostrzegła ciocia podobieństwa? - zapytała z ciekawością Marian.

- W czym?

- Dwóch parach bliźniąt. Ciocia i jej siostra. Ja i moja Siostra. Może on po prostu nie chciał dzielić swoich uczuć pomiędzy dwoje ludzi, którzy wyglądali dokładnie tak samo?

- Bardzo niechętnie to mówię, słoneczko, ale ty raczej nie wyglądasz jak twoja siostra.

Marian przyglądała się ciotce, która skrzywiła się, zmuszona do tak niepochlebnej szczerości, po czym zaczęła się śmiać.

Kathleen odetchnęła z ulgą.

- Cieszę się, że uważasz to za zabawne. Przepraszam. Nie powinnam ci była tego mówić.

- Nic się nie stało, naprawdę - uśmiechnęła się szeroko Marian. - I tak miałam zamiar cioci o tym powiedzieć, ale naszą uwagę zajął temat mojego ojca. Widzi ciocia, ja wcale nie muszę ich nosić - rzekła, z przyzwyczajenia nasuwając okulary wyżej na nos.

Kathleen zmarszczyła brwi.

- Nie musisz? W takim razie dlaczego to robisz?

- Aby uczynić moje życie choć odrobinę znośnym. Widzi ciocia, Amanda jest bardzo zazdrosna. Nie toleruje jakiegokolwiek konkurencji, zwłaszcza jeśli chodzi o mężczyzn. Tak więc uznałam, że lepiej ukryć nasze podobieństwo.

- Ależ to niemądre! Cóż z tego, że utraciłaby na rzecz ciebie kilku konkurentów. Nie może oczekiwać, że każdy mężczyzna będzie jadł jej z ręki. Jej ręka nie jest na to wystarczająco duża.

Marian roześmiała się. Sama była zaskoczona, że można odnaleźć w tym wszystkim coś zabawnego. Punkt widzenia ciotki stanowił dla niej zupełną nowość. Ucieszyła się, że rozmawia o tym problemie z kimś innym niż Ella Mae.

- No cóż, o to właśnie chodzi. Ona...

- Psiakrew! - przerwał jej Chad, wyłaniając się zza rogu i dostrzegając je siedzące na werandzie. - Nie mówcie mi, że spóźniłem się na kolację.

Kathleen wstała.

- Skądże. Święci pańscy, nie zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno. Ucięłam sobie miłą pogawędkę z moją bratanicą i zupełnie straciłam poczucie czasu. Wchodźcie, dzieci. Consuela nie jest dzisiaj w dobrym nastroju, nie każmy jej czekać.

Marian nie weszła do domu od razu za ciotką. Potrzebowała chwili, by odzyskać równowagę. Wszystkie jej zmysły oszalały z podekscytowania - i niepokoju - na sam dźwięk głosu Chada. Czy on słyszał, o czym rozmawiały, zanim wyłonił się zza rogu budynku?

Z całą pewnością nie. Rozmawiały przecież przyciszonymi głosami. I mimo że stał teraz przy drzwiach, czekając, aż Marian wejdzie do środka, wyraz jego twarzy nie był taki jak zawsze. Ale przecież...

Uśmiechnął się do niej i zapytał:

- A gdzie kapelusz?

25

Potrawy przygotowane na kolację zupełnie wystygły, co wprawiło Kathleen w zakłopotanie, kucharka bowiem znana była z tego, że dania podaje w idealnej temperaturze, bez względu na to, jak długo goście zwlekają z zajęciem miejsca przy stole. Dzisiaj było inaczej. Consuela dawała w ten sposób domownikom do zrozumienia, że nie jest zadowolona.

Oczywiście powód jej niezadowolenia był nieobecny, by to zauważyć. Marian nie miała jednak wątpliwości co do tego, że jedzenie wysłane na tacy Amandzie było całkiem zimne. Obrażanie jedynej kucharki w tym domu było głupotą z jej strony. Choć trzeba przyznać, że Amanda miała ograniczony wybór. Kathleen do pomocy w prowadzeniu domu zatrudniała tylko dwie osoby.

Mimo że zimne, jedzenie i tak było pyszne - Consuela naprawdę doskonale gotowała. Rozmowa przy stole była bardzo swobodna. Kathleen rozgadała się i opowiedziała o tym, co robiła przez cały dzień. Z pewnością nie były to codzienne zajęcia, których można się było spodziewać po kobiecie - podejmowanie decyzji, które krowy rozmnożyć, a które zawieźć na targ, pielęgnowanie cieląt, szukanie zbłąkanych zwierząt.

- Chciałabym pomóc - zaoferowała się Marian. - To znaczy, jeśli sądzi ciocia, że mogłabym się okazać użyteczna. Nie mam nic przeciwko ciężkiej pracy.

Na twarzy Kathleen odmalował się sceptycyzm.

- Nie ma tu pracy odpowiedniej dla młodej damy. Masz może jakieś hobby? Czytanie, haftowanie, coś w tym rodzaju?

- Kiedyś malowałam - odparła Marian nieśmiało. Wydrwiona przez ojca i siostrę nie była już taka pewna swego talentu. - Pomyślałam, że mogłabym sprawdzić w Trenton, czy można tam kupić materiały malarskie. - Kathleen uśmiechała się, więc Marian dodała nieco obronnym tonem: - Zły wybór?

- Wprost przeciwnie. Widzę, że mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sądziłam. Ja także kiedyś malowałam. Prawdę mówiąc, gdzieś są jeszcze moje farby i pędzle. Ja nie mam czasu, ale ty, jeśli tylko chcesz, możesz się przez to przekopać i wziąć sobie wszystko, co mogłoby ci się przydać.

- Bardzo chętnie. Dziękuję. Chciałabym także nauczyć się jeździć konno. Czasami mogłabym dołączyć do cioci.

- Nigdy nie jeździłaś?

- Aż do dzisiaj, a moja pierwsza próba nie skończyła się zbyt dobrze, o czym, jestem pewna, ciocia słyszała. Ojciec miał trzy powozy, w tym jeden odkryty na lato, ale nie trzymał koni pod wierzch, więc Amanda i ja nie miałyśmy okazji siedzieć w siodle.

- No cóż, będzie trzeba się tym zająć - rzekła Kathleen i spojrzała na Chada. - Nauczyłybyś ją?

Mężczyzna z wahaniem odłożył widelec, po chwili zerknął na Marian, uśmiechnął się i odparł:

- Jasne, z przyjemnością. O ile nie będziesz mieć do mnie pretensji, kiedy kilka razy spadniesz, zanim nie załapiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

Marian wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Kathleen roześmiała się.

- On żartuje. Nie tak łatwo spaść z konia, gdy ma się nad nim kontrolę, a to wcale nie jest takie trudne.

Chad roześmiał się i Marian zrozumiała, że tylko się z nią droczył. Uśmiechnęła się, by pokazać, że jej to nie przeszkadza. Nie była przyzwyczajona do takiego swobodnego zachowania, aczkolwiek nie miała nic przeciwko temu.

Wciąż była zakłopotana, nie z powodu droczenia się, ale dlatego, że przed odpowiedzią na pytanie Kathleen Chad uczynił pauzę. To oczywiste, że nie chciał jej uczyć konnej jazdy i nie mogła mieć o to pretensji. Ciężko się napracowała, by doprowadzić do tego, aby jej unikał.

Trudno mu było jednak odmówić Kathleen. Marian potrafiła to zrozumieć. Dla niej byłoby to tak samo trudne. Nikt nie chciał sprawić zawodu tak miłej osobie jak Kathleen.

Marian także nie chciała, by Chad ją uczył, ale z zupełnie innego powodu. Coraz trudniej przychodziło jej przebywanie w jego towarzystwie i udawanie wobec niego obojętności.

Nie miała go jednak zamiaru obrazić w obecności Kathleen, odrzucając jego propozycję. Podziękuje mu za dobre chęci, gdy będą sami, bez wątpienia ku jego ogromnej uldze.

Byli w połowie głównego dania, kiedy Chad rozejrzał się wokół i zapytał z pewną dozą zdziwienia:

- Amanda do nas nie dołączy?

Marian parsknęła śmiechem. Rozbawiło ją to, że dopiero teraz zauważył nieobecność jej siostry. Widocznie nie jest jeszcze w niej rozkochany.

Kathleen odparła zwięźle:

- Większość dnia spędziła w swoim pokoju. Poprosiła, by tam zanoszono jej także posiłki. Biedaczka, musi być naprawdę wyczerpana po podróży, skoro potrzebuje tak dużo odpoczynku.

Mało brakowało, a Marian udławiłaby się. Biedaczka? Zastanawiała się, ile wody upłynie w rzece, nim Kathleen zda sobie sprawę z tego, że w Amandzie nie ma nic z „biedaczki”. Żałowała, że podczas pogawędki na werandzie nie zdążyła jej powiedzieć wszystkiego o swojej siostrze. Kathleen zasługiwała na ostrzeżenie, zanim Amanda przeprowadzi swoją kampanię na rzecz odesłania jej do domu razem z ciotczynym błogosławieństwem.

Miała nadzieję, że Chad wyjdzie zaraz po kolacji, tak by przed pójściem spać mogła spędzić trochę czasu sam na sam z ciotką. Było jeszcze wcześnie. Chętnie dokończy rozmowę z nią sprzed kolacji. Kathleen wyszła razem z nimi na werandę, zaczekała, aż młodzi rozsiądą się w fotelach, po czym ziewnęła i oznajmiła, że idzie spać.

Marian powinna była zrobić to samo, ale bała się urazić Chada. Gdyby stchórzyła i uciekła, miałyby o niej jeszcze gorsze zdanie niż dotychczas.

Kathleen zamknęła za sobą drzwi, po chwili ucichł odgłos jej kroków. Marian miała nadzieję, że Chad nie oczekuje od niej rozmowy. Nie, z pewnością nie. Nie lubili się nawzajem, więc dlaczego mieliby ze sobą rozmawiać? Dlaczego mieliby przebywać w swoim towarzystwie, skoro za sobą nie przepadają? Po co on tu jeszcze siedzi?

Na werandzie było ciemnowo. Nie zapalono światła, ponieważ lampy w jadalni nie zostały jeszcze pogaszone i nieco światła dochodzącego z okien oświetlało znajdującą się naprzeciwko werandę.

Marian starała się nie zerkać w kierunku Chada. To było trudne. Kiedy raz to uczyniła, zobaczyła, że on patrzy na nią, a dokładniej - na jej usta. Najprawdopodobniej zamyślił się i nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, że na nią patrzy. Mimo to jego spojrzenie wywoływało na jej ciele gęsią skórkę.

- Chad to skrót od jakiego imienia? - zapytała z czystego zdenerwowania.

- Skrót?

- To przezwisko, prawda?

- Nie, kochanie, moje imię nie jest ani odrobinę dłuższe.

Marian usłyszała w jego głosie kpiący ton, co ją zirytowało. To była przecież najnormalniejsza w świecie gafa. Zazwyczaj używa się zdrobnienia swego imienia. Powinna kazać mu się wytłumaczyć za słówko „kochanie”, ale sama słyszała, jak często go się tutaj używa, tak jak „panienko” czy „psze pani”. Nic nie znaczyło. Nie oznaczało czułości.

- Dziękuję za wyjaśnienie - rzekła nieco sztywno.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Odniosła wrażenie, że gdyby miał w tej chwili kapelusz na głowie, a nie trzymał go na kolanach, uchyliłby go. Miała ochotę mocno rozbijać jego fotel. Potrafił być tak koszmar- nie irytujący - nie, właściwie nie chodziło o niego, tylko o reakcję, jaką w niej wywoływał. Pragnęła go, choć wiedziała, że zdobycie kogoś takiego jak Chad pozostaje w sferze marzeń.

- A tak przy okazji - odezwała się Marian - nie musisz mnie uczyć jeździć konno. Jakoś sobie poradzę...

- Powiedziałem, że to zrobię - przerwał jej.

Zwalnia go z obietnicy. Czy on tego nie widzi?

- Ciotka nie powinna była ci tego proponować.

- To nic wielkiego - odparł, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Zrobiłeś dla mnie już wystarczająco dużo - zauważyła, tym razem ostrzejszym tonem, aby przełamać upór Chada. - Jestem pewna, że masz ważniejsze sprawy na głowie niż uczenie mnie jazdy konno.

- Powiedziałem, że cię nauczę - rzucił, tym razem głośniejsz.

- Nie musisz.

- Nauczę cię, do cholery!

- Świetne, proszę bardzo!

Marian wstała z pochmurną miną. Zamierzała odejść bez słowa, nie życząc mu dobrej nocy. Cóż za uparty, irytujący

i przekorny człowiek! W tym samym momencie Chad zerwał się na równe nogi i postąpił krok do przodu.

W drzwiach zderzyli się ze sobą. Męskie ramiona objęły ją, aby uchronić przed upadkiem, i natychmiast odsunęły od siebie. Chad wpatrywał się uważnie w jej usta, po czym mocno ją do siebie przyciągnął.

Całował ją. Ja! Tym razem nie mogło być mowy o żadnej pomyłce. Okulary Marian znajdowały się na swoim miejscu, włosy były tak samo ciasno spięte jak zawsze, na sobie miała jedną ze swoich brzydszych sukni.

Było to coś tak nieoczekiwanego, że stała zaszokowana i pozwalała jego ustom obejmować w posiadanie swoje wargi. Ale nie trwało to długo. W pocałunku było zbyt wiele namietności, by mogła pozostać obojętna, zwłaszcza że górę nad jej uczuciami brał gniew, by po następnej chwili ustąpić miejsca innym emocjom.

Chad odsunął ją od siebie.

- To byłaś ty tej nocy, kiedy znalazł nas Leroy - rzucił oskarżycielsko. - Udawałaś, że jesteś swoją siostrą.

Marian cała zeszytniała. Wiedział, że są bliźniaczkami? A tak dobrze się maskowała!

- Kto ci powiedział, że jesteśmy bliźniaczkami?

- Nikt mi nie musiał mówić, skarbie. To nie ja noszę okulary, tylko ty.

Dlatego ją pocałował? Aby porównać ten pocałunek z poprzednim, ponieważ nie miał pewności, czy wtedy to była ona? Niezbyt jej to pochlebiało, ale przecież Marian nie była tą siostrą, której schlebiano. Powinna jednak wiedzieć, że Chad nie pocałuje jej tylko dlatego, że tego pragnie.

Marian była rozczarowana tym odkryciem. Dużo by dała za to, żeby było inaczej

- Nigdy celowo nie podawałam się za moją siostrę - rzekła. - To Amanda lubi uprawiać takie gierki, nie ja.

Nagle Chad wydal się bardzo zakłopotany, jeśli to właśnie można było wywnioskować z jego zarumienionej twarzy. Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć.

- Ja... to znaczy... - zaczął, lecz zamilkł, zapewne w obawie, by nie powiedzieć czegoś, czego by potem żałował.

Marian uświadomiła sobie, że jest skonsternowany, ponieważ ona do niczego się nie przyznała. Po prostu stwierdziła fakt. I tyle. Nie chciała, by odgadł jej uczucia, skoro nadal miał zamiar zalecać się do Amandy.

- Nie ma potrzeby niczego wyjaśniać - rzekła. - Rozumiem, że to była pomyłka. - Otworzyła drzwi, by wejść do domu, i dodała szorstko: - Niech się to po prostu więcej nie powtórzy.

Usłyszała uderzenie w zamknięte drzwi. Nieco pocieszyła ją myśl, że Chad rzucił w nie kapeluszem. Miała nadzieję, że nie nadaje się już do noszenia. Dobrze mu tak - pomyślała mściwie. To niska cena za to, że podeptał jej uczucia.

26

Godzinę przed wschodem słońca Marian obudziło trzaśnięcie drzwi i krzyki na korytarzu. Wyglądało na to, że awanturowała się jej siostra.

W rodzinnym domu Marian po prostu odwróciłyby się na drugi bok, nakryła głowę poduszką i próbowała zasnąć. Ten dom był jednak nowy. Jego mieszkańcy nie przyzwyczaili się jeszcze do praktyk Amandy. Z pełnym niechęci westchnieniem wyczołgała się więc z łóżka i próbowała znaleźć w ciemności szlafrok.

- Muszę mieć inny pokój! - krzyczała na korytarzu Amanda. - Ten, który dostałam, jest nie do przyjęcia. W domu, nie dość, że prymitywnym jak chata z bali, jest gorąco jak w piecu.

Zdążyła się już pojawić Kathleen, która chciała się dowiedzieć, co jest powodem tego całego hałasu. Odpowiedziała niezbyt głośno, ale tak, że można ją było zrozumieć:

- Nie mam wolnych pokoi.
- To niech ciocia coś zrobi, bo będę spała na werandzie i wszyscy sąsiedzi to zobaczą.

- Mój mąż i ja też tak robiliśmy, kiedy było wyjątkowo gorąco. W pobliżu nie ma żadnych sąsiadów, którzy mogliby to zobaczyć.

- Chce mnie więc ciocia zmusić, żebym spała na werandzie? Tak właśnie zamierza ciocia sprawować nad nami opiekę? - rzuciła Amanda.

Znalazszy wreszcie po ciemku szlafrok, Marian wyszła na wąski korytarz. Ujrzała ciotkę z lampą w ręku i Amandę w cienkiej koszuli, z rękami na biodrach, doskonale udającą wściekłość.

- Oddałabym ci mój pokój, ale to nie uczyni większej różnicy - rzekła Kathleen spokojnie. - Nie zdążyłaś się jeszcze przystosować do cieplejszego klimatu. Dobrze pamiętam pierwsze miesiące tutaj. Przyjechaliśmy na wiosnę, latem zaczęliśmy budować ranczo. To było straszne. Ale w następnym roku gorąco nie było już tak dokuczliwe. Przyzwyczailiśmy się.

- Dlaczego mi ciocia o tym opowiada? - warknęła Amanda. - Nic mnie to nie obchodzi.

Marian westchnęła z irytacją. Po tylu latach powinna już być uodporniona na takie zachowanie siostry, a jednak było jej przykro.

Skrzyżowała ramiona na piersi i zapytała suchym tonem:

- Czuwałaś całą noc, Amando, żeby obudzić wszystkich przed świtem? Nie było to takie trudne, skoro cały wczorajszy dzień przespałaś.

- Nie mogę spać w tym koszmarnym upale!

- Możesz, możesz. Mnie się udało bez żadnego problemu.

- A skąd ty to możesz wiedzieć? - zawołała Amanda. - Przecież spałaś!

Osiągnawszy cel, jakim było postawienie domowników na równe nogi i wzbudzenie w ciotce poczucia winy, z trzaskiem zamknęła drzwi swojej sypialni. Kathleen opuściła ramiona w geście przygnębienia. Marian objęła ją i pchnęła lekko w kierunku schodów.

- Zaraz będzie świtać - rzekła. - Nie ma sensu wracać do łóżka. Zróbmy sobie kawę i dokończmy rozmowę, którą zaczęliśmy wieczorem.

Kathleen skinęła głową.

- Nie jestem zbyt dobra w parzeniu kawy - wyznała.

- Ja też nie, ale przyglądałam się, jak przygotowuje ją Chad. Powinno nam się udać zaparzyć coś, co będzie się nadało do picia.

Tak się jednak nie stało. Obie się z tego śmiały i dzięki temu napięcie nieco opadło. Marian wiedziała, że wkrótce w kuchni zjawą się Consuela, więc bezzwłocznie poruszyła właściwy temat.

- To, czego była ciocia świadkiem na górze, zostało zaaranżowane - zaczęła.

- Była cała złana potem - odparła Kathleen. - Sama pamiętam, jaka byłam nieszczęśliwa podczas pierwszych gorących miesięcy tutaj.

- Owszem, była złana, ale wodą - wyjaśniła Marian. - Skropiła sobie skronie, czoło, szyję i klatkę piersiową. Gdyby przyjrzała się ciocia uważniej, dostrzegłaby, że nie była mokra w miejscach, gdzie najpierw gromadzi się pot. Zrobiła przedstawienie na użytek cioci.

- Dlaczego?

- Żeby odesłała ją ciocia do domu z pozwoleniem poślubienia tego, kogo wskaże sama.

Kathleen zmarszczyła brwi.

- Nie mogę tego zrobić. Nie prosiłam się o ten obowiązek, został na mnie nałożony. Mortimer chciał mieć pewność, że nie zostaniecie wykorzystane przez łowców posagów.

- Wiem, ale widzi ciocia, to dla Amandy nie ma znaczenia. Ona jest bardzo egocentryczna.

- Tak jak mój brat?

- Tak, Ale w przeciwieństwie do niego ona potrafi być bardzo nieprzyjemna, gdy coś idzie nie po jej myśli. Nie chciała tutaj przyjeżdżać. Chce wrócić do domu. Naprawdę jest niezadowolona, że musi uzyskać zgodę cioci na zamążpójście. Gdyby ojciec żył, pozwoliby jej poślubić, kogo by chciała.

- Czy tak właśnie by zrobił?

- Pewnie tak - odparła Marian. - No cóż, to proste, według niego wszyscy konkurenci byli odpowiedni. Amanda jest

wściekła, że spadek otrzyma dopiero wtedy, gdy wyjdzie za mąż. Już dawno byłaby mężatką, gdyby nie to, że potrzebuje błogosławieństwa cioci. Nie może znieść tego, że ktoś śmie jej coś narzucać.

- Problemem jest moje błogosławieństwo, zastrzeżone w testamencie waszego ojca? Szkoda, że paru jej konkurentów nie zdecydowało się przyjechać tu za nią, tak bym mogła ich poznać. Mam przecucie, że w przeciwieństwie do mojego brata nie zyskaliby mojej akceptacji.

- Możliwe. Dla niego jedynym kryterium był majątek. Prawdę powiedziawszy, taki sam pogląd wyznaje moja siostra. Nawet nie spojrzy na mężczyznę, który nie jest dobrze sytuowany. Niejeden z jej konkurentów istotnie pojechałby za nią nawet na koniec świata, gdyby to oznaczało, że ją zdobędzie. Amanda jest mistrzynią w uwodzeniu mężczyzn i udawaniu zupełnie innej osoby.

- W takim razie może któryś z nich się tutaj zjawi? - zapytała Kathleen.

- Nie. Tego, który zaproponował, że to zrobi, ona natychmiast odrzuciła. Wyjechałyśmy tak szybko po pogrzebie, że nie zdążyłyśmy nikogo powiadomić o zmianie adresu.

- No cóż, mamy tu porządnych mężczyzn, z których może sobie wybrać męża, a kilku z nich jest nawet bogatych - oświadczyła Kathleen. - Do głowy przychodzi mi przynajmniej czterech, których zaaprobowałabym z czystym sumieniem. Jednego z nich zdążyła już poznać.

- Chada?

- Tak, w tych okolicach jest uważany za jedną z lepszych partii.

Niełatwo jej będzie rozmawiać o nim i o Amandzie jako ewentualnej parze. Marian starała się zachować bezstronność w tej kwestii i nie wyjawiać swoich prawdziwych uczuć.

- Amanda nie była dla niego szczególnie miła, gdyż sądziła, że to cioci pracownik, a takich ona po prostu nie zauważa. Co nie oznacza, że on się w niej nie zadurzył, jak większość mężczyzn, którzy ją poznali. Teraz, kiedy już wie, że Chad nie

jest prostym robotnikiem, może brać go pod uwagę jako ostateczność.

Kathleen zaśmiała się cicho.

- Chad najpewniej poczułby się głęboko urażony, gdyby usłyszał, że nazwałeś go „ostatecznością”.

Marian poczuła, że na jej policzkach wykwita rumieniec.

- Proszę, niech mu ciocia tego nie powtarza. To w żadnym wypadku nie jest moja opinia. Chodzi po prostu o to, że Amanda nie chce nikogo stąd. Uparła się, że zmusi ciocię do odesłania jej do domu. Dopiero gdy jej się nie uda do tego doprowadzić, wybierze sobie na męża kogoś tutejszego i dopnie swego.

- Dopnie swego? - powtórzyła Kathleen.

- Jeśli wyjdzie tu za męża, tak długo będzie wiercić dziurę w brzuchu i unieszczęśliwiać męża, dopóki ten nie wyrazi zgody na wspólny wyjazd do Haverhill. Amanda nie zostanie tu ani chwili dłużej, niż to konieczne.

- Przykro mi to mówić, skarbie, ale nie znam mężczyzny, który zgodziłby się przeprowadzić tylko dlatego, by zaspokoić kaprys swojej żony. Jako młoda dziewczyna odrzuciłam z pół tuzina oświadczyń, zanim doczekałam się tego, który zamierzał wyjechać z Haverhill. Inni nie chcieli nawet o tym słyszeć. W tej kwestii żona ma niewiele do powiedzenia.

. - Ja to wiem, ciocia to wie, ale Amanda widzi wszystko ze swojego punktu widzenia. Nie dopuszcza myśli, że mogłaby nie dostać tego, czego chce.

- Tak, ale mój brat jej na to pozwalał. Mąż nie będzie czegoś takiego tolerował.

- Mam nadzieję, że się ciocia nie myli. Żał mi tego, kogo tutaj poślubi. Prawdę mówiąc, żał mi każdego, kto zostanie jej mężem, bez względu na to, skąd pochodzi. To smutna prawda, ale naprawdę nie sędzę, by była z niej dobra żona. Ona nie jest w stanie troszczyć się o cudze szczęście. Za bardzo skupia się na samej sobie.

- To niedobrze. Wygląda na to, że pozwalając jakiemuś mężczyźnie ją poślubić, oddam mu niedźwiedzią przysługę.

Marian jęknęła w duchu. Nie miała zamiaru sprawiać, by Kathleen doszła do takiego właśnie wniosku. Ślubu Amandy nie mogła się doczekać tak jak ona sama.

- Nie, ciociu. On będzie wiedział, czego się po niej może spodziewać, a mimo to ożeni się z nią - zasugerowała.

- Pewnie tak - przyznała niechętnie Kathleen.

Marian westchnęła.

- Nie powiedziałam tego wszystkiego, by sprawić, że zadanie wyda się cioci niewykonalne, ale po to, by ostrzec, czego się można spodziewać po Amandzie, tak by nie dała się ciocia wmanewrować w coś wbrew rozsądkowi.

- Rozumiem, słoneczko, i naprawdę to doceniam. - Kathleen roześmiała się. - Gotowa jestem pomyśleć, że ustanawiając mnie opiekunką Amandy, Mortimer każe mi płacić za to, że uciekłam spod jego wpływu. Nie przepadał za mną, ale lubił mi przypominać, że uważa mnie za bezużyteczną.

- Jestem pewna, że nie chciał zrobić cioci na złość, umierając, zanim Amanda wyszła za mąż.

Kathleen uśmiechnęła się szeroko.

- Wiem.

Marian odwzajemniła uśmiech, rozumiejąc, że ciocia chciała po prostu nieco poprawić im nastrój. Musiała ją jednak ostrzec:

- Jeśli będzie ciocia pamiętać o tym, że to, co widziała ciocia do tej pory, to jeszcze nic w porównaniu z tym, co może nastąpić, łatwiej będzie z tym sobie później poradzić.

- No a co z tobą? Nie martwi cię to, że musisz czekać na swoją część spadku aż do zamążpójścia?

- Prawdę mówiąc, nie zastanawiałam się nad czymś, czego nie spodziewam się zbyt szybko. Nie traktuję małżeństwa jako sposobu na zdobycie niezależności, tak jak Amanda.

- Nie tęsknisz za domem?

- Nie, nie zmartwiłabym się, gdybym już nigdy nie miała zobaczyć Haverhill. Podoba mi się w Teksasie. Byłaby ze mnie dobra osadniczka.

Kathleen zaśmiała się.

- Wiem, co masz na myśli. Pokochałam Teksas w chwili, gdy opuściłam statek. Cieszę się, że tych kilka niefortunnych przygód, które przytrafiły się wam po drodze, nie wpłynęły niekorzystnie na twoją opinię o tej części kraju.

Marian uśmiechnęła się szeroko.

- Nie nazwałabym napadu na pociąg lub dylżans niefortunnymi przygodami, ale po zastanowieniu przyznaję, że były one bardziej ekscytujące niż przerażające. Czegoś podobnego z całą pewnością nie doświadczyłabym, siedząc w domu.

- Szkoda, że twoja siostra nie odbiera tego w ten sposób. - Kathleen potrząsnęła głową. - To niesamowite, jak wy się różnicie.

- Niezupełnie. Jej charakter jest wynikiem pobłażliwości naszego ojca. Mój - wynikiem jego obojętności.

- Przykro mi. Chociaż nie, prawdę powiedziawszy, to ty miałaś więcej szczęścia. Kiedy dorastałaś, nie wyglądało to tak różowo, ale jestem pewna, że zdążyłaś już to sobie uświadomić.

Więcej szczęścia? Jeszcze nie doszła do takiego wniosku. Ale już niedługo, chyba że będzie zmuszona stać i przyglądać się, jak Amanda bierze ślub z Chadem jako ostatecznością. Jednak ze względu na ciocię Marian skinęła głową. Dała już Kathleen wystarczająco wiele do myślenia. Ostrzeżenie było konieczne. Omawianie jej własnego żałosnego położenia - nie.

27

Później tego ranka Marian udała się do stajni z zamiarem zapytania pierwszego napotkanego robotnika, czy nie mógłby jej nauczyć jeździć konno. Kiedy Chad znajdzie czas na wymuszone lekcje, podziękuje mu i powie, że już się nauczyła.

Nie mogła się doczekać, kiedy będzie umiała jeździć konno. Mieszkając na ranchu, miała poczucie izolacji. Powóz Spencera nadal znajdował się w stajni, ale nie mogła go przecież użyć, nawet gdyby wiedziała, jak zaprzęga się konie i nimi kieruje.

Chodzenie pieszo odpadało. Twisting Barb to nie Haverhill, gdzie były alejki do spacerowania.

Jednak w przeciwieństwie do swojej siostry Marian pogodziła się z tym, że Teksas będzie od tej pory jej domem. Nie miała zresztą nic przeciwko temu. Ani trochę nie tęskniła za Haverhill. Nie czekało tam na nią nic oprócz złych wspomnień, więc nie miała ochoty tam wracać ani w ogóle na Wschód. Pomimo panującego gorąca podobało jej się tu.

Bezkresna przestrzeń, surowa, nieposkromiona natura mogła przerażać, ale była także emocjonująca. Nigdy nie było wiadomo, co może się zdarzyć za chwilę. Zamieszkali tutaj ludzie byli przyjaźnie nastawieni do świata, w którym przyszło im żyć. Nauczyli się obchodzić bez wielu rzeczy, pomagali sobie. Prze-trwali.

Tak, ona chętnie tutaj zostanie. Bez względu na to, jak skończy się ta przygoda, chciała nauczyć się wszystkiego, co potrafią miejscowi. U góry tej listy znajdowała się jazda konna.

Marian pożyczyla od ciotki spodnie do jazdy. Uszyte z niewyprawionej skóry, tak luźne i szerokie, że wyglądały jak spód-nica.

Z uczuciem zawodu przekonała się, że w stajni nie ma nikogo. W boksach stały cztery konie, w tym dwa należące do Spencera, na wybiegu było ich więcej. Skoro już tu jest, postanowiła zawrzeć z nimi bliższą znajomość. Chciała je pogłaskać, ale konie tylko machały ogonami i zupełnie ją ignorowały.

Bała się podejść bliżej, a tym bardziej wejść do boksu. W pa-mięci miała widok szalejącego na ulicy konia. Była wtedy małą dziewczynką. Koń wierzął, kopał i gryzł. Zranił pięciu męż-czyzn, którzy próbowali go okiełznać. Właściciel zastrzelił zwierzę. Usłyszała, jak ktoś powiedział, że to złe traktowanie doprowadziło je do buntu. Te konie nie wyglądały na źle trak-towane, ale mimo wszystko Marian trudno było wyrzucić z pa-mięci tamto wspomnienie.

- Następnym razem przynieś ze sobą coś słodkiego.

Marian odwróciła się gwałtownie. Wabiąc konia, nie usły-szała kroków. W drzwiach stajni widać było zarys sylwetki

jeźdźca, z kapeluszem nisko nasuniętym na czoło. Znała ten głos, znała bardzo dobrze. Serce забиło jej mocniej i zwilgotniały dłonie.

- Ja się im tylko przedstawiałam - wyjaśniła.

Chad roześmiał się i wjechał do środka, tak że słońce już nie stanowiło przeszkody w przyglądaniu mu się.

- To dobrze, ale bez poczęstunku nic nie zdziałasz, o czym zdążyłaś się już przekonać.

Marian uśmiechnęła się szeroko.

- Owszem, zachowywały się tak, jakby mnie tu wcale nie było.

- Raz i drugi przyniesiesz im jakiś smakołyk, to zapamiętają dźwięk twojego głosu. Nie jest dobrym pomysłem faworyzowanie ich wszystkich, chyba że chcesz mieć kieszenie wypchane łakociami. Wybierz sobie jednego konia.

- Którego?

- Żadnego z tych. Na wybiegu jest klacz, idealna dla początkującego jeźdźca. Jesteś gotowa?

Odpowiedź na to pytanie była raczej oczywista, mając na uwadze miejsce, w którym ją zastał. Marian nie miała zamiaru wdawać się z nim w kolejny spór typu „wcale nie musisz”.

Odpowiedziała więc:

- Jeśli nie jesteś zajęty.

Chad skinął głową i zsiadł z konia.

- Myślę, że Red ma wciąż to stare siodło, mniejsze niż te, których używają pracownicy. Powinno ci odpowiadać.

Zniknął w siodlarni. Po chwili wyszedł z siodłem i całą resztą końskiego wyposażenia.

- Chodź - rzucił przez ramię, kierując się w stronę bocznych drzwi, które wychodziły bezpośrednio na wybieg.

Były to drzwi dwuczęściowe, z otwartą górną połową. Marian stanęła z boku, przyglądając się, jak Chad zarzuca pętlę na szyję klaczy, a następnie wprowadza ją do stajni. Dwa pozostałe konie próbowały wejść do środka za nim. Jednemu na to pozwolił, ale zamknął drzwi przed klaczą. Marian zrozumiała, że pierwsza lekcja odbędzie się na wybiegu.

Klacz, z którą miała zawrzeć bliższą znajomość, nie należała do zbyt urodziwych. Miała siwą sierść pokrytą brązowymi plamami, ogon i grzywa może kiedyś były białe, ale teraz miały żółtawoszarą barwę. Była jednak mniejsza niż dwa pozostałe konie. Z niższego konia upadek jest mniej bolesny.

Chad wrócił po chwili i zaczął zbierać rynsztunek, który rzucił przedtem na ziemię.

- Patrz uważnie - nakazał, stojąc tyłem do niej. - Na wypadek, gdybyś musiała to kiedyś zrobić sama. Nie zanosi się na to, bo zawsze się tu ktoś kręci.

- Dlaczego teraz nie ma nikogo?

- Stajenny jest chory, a przynajmniej tak było rankiem, kiedy stąd wyjeżdżaliśmy. Dlatego właśnie wróciłem.

No cóż, powinna się była domyślić, że nie przyjechał z jej powodu. Najpewniej był nawet rozczarowany, kiedy zastał ją w stajni, może nawet pomyślał sobie, że ona na niego czeka. Ależ to krępujące! Ale nie dal po sobie poznać, że sprawia mu kłopot i wyjaśniał kolejne czynności.

Kiedy skończył, zamilkł, a Marian ze zdumieniem ujrzała, że zdejmuje z konia wszystko, co przed chwilą założył, i układa na ziemi.

- Teraz twoja kolej.

Test. Nie spodziewała się tego. Nie przyglądała się zbyt uważnie temu, co robił, bo kazał jej stanąć tak blisko siebie i obserwować. Na nim ta bliskość nie robiła żadnego wrażenia, na niej jednak zdecydowanie tak.

Jakoś udało jej się wyrzucić z głowy wspomnienie wczorajszego pocałunku. Nie zasnęłaby, gdyby tego nie zrobiła. A rano, dzięki siostrze, miała inne sprawy do przemyślenia. Teraz jednak, stojąc tuż obok niego, tak blisko, że czuła zapach jego ciała, nie była w stanie myśleć o niczym innym.

Wczoraj do kolacji Chad wypił trochę wina. Niewiele, ale przecież niektórzy ludzie po alkoholu stają się bardziej śmiali, a może raczej głupieją. Marian osobiście unikała alkoholu pod jakąkolwiek postacią. Zachowywała się wtedy idiotycznie. Amanda także nie brała wina do ust, ponieważ nie znosiła sy-

tuacji, w której nie miała nad sobą pełnej kontroli. Nieraz widziała, że z powodu nadużycia alkoholu kawalerowie Amandy stają się przesadnie głośni, a nawet uwodzicielscy do tego stopnia, że próbują skraść pocałunek w obecności innych osób.

Marian nie sądziła, by Chad kiedykolwiek nadużył alkoholu, ale wino prawdopodobnie nie pozostało bez wpływu na jego zuchwałą chęć porównania pocałunków. Naprawdę żałowała, że okazał się tak śmiały. On jedynie przeprowadzał test i nie przyszło mu do głowy, że może rozpaść tym w niej nadzieję - a potem gwałtownie ją ugasić.

Przejrzał ją! Wcześniej nikomu się to nie udało. Oczywiście nie wiedział, że okulary to tylko kamuflaż. Sądził, że są jej naprawdę potrzebne. Jednak udało mu się spostrzec, że ona i Amanda są bliźniaczkami. Nic dziwnego, że zaczął się zastanawiać, którą z nich pocałował tamtej nocy przy ognisku, zwłaszcza że następnego ranka Amanda zupełnie go ignorowała.

Mógł po prostu zapytać o to Marian. Powinien był to zrobić, a nie samemu dochodzić prawdy przez porównanie pocałunków. Przyznałaby się, skoro już wiedział, że są bliźniaczkami. Miał rację, ale co by się stało, gdyby było inaczej? Czy choć przez chwilę zastanowił się nad tym, czym to dla niej jest? Na dodatek oskarżył ją o to, że udawała Amandę, tak jakby robiła to celowo!

Najprawdopodobniej sam teraz nie wiedział, co myśleć, a może po prostu odczuł ulgę, że nie popełnił błędu i za drugim razem całował tę samą siostrę. Ale na szczęście żadne z nich nie wspominało o tym pocałunku. Prawdę powiedziawszy, Chad zachowywał się tak, jakby nic takiego nie miało w ogóle miejsca.

Marian to odpowiadało, tyle że jednak coś się stało. Chad był pierwszym mężczyzną, który pocałował ją dla niej samej, a nie dlatego, że pomylił ją z siostrą. Porównanie, tak, to niezbyt dobry powód. Tamten pocałunek przy ognisku nie był przeznaczony dla niej. Mimo to zarówno wtedy, jak i wczoraj było cudownie, choć ten drugi był bardziej namiętny.

I właśnie tę namiętność Marian miała teraz w pamięci. Potęgowały ją uczucia, które Chad w niej wzniecał samą swoją obecnością, nic więc dziwnego, że nie potrafiła się skupić. Jak urzeczona wpatrywała się w jego usta. Nie powinna patrzeć na jego ręce, którymi przy ognisku i na werandzie tak zdecydowanie przyciągnął ją do siebie, na włosy opadające mu na kark ani na grę mięśni pod koszulą, ale nic nie mogła na to poradzić.

Test. Co było najpierw? Derka. Podniosła ją, rozłożyła na grzbiecie klaczy, dłużej niż to konieczne wygładzała zagniecenia, przez cały czas próbując wyrównać oddech.

- Ona nie udaje się na swoje pierwsze końskie przyjęcie - usłyszała za sobą jego głos, w którym pobrzmiwało zniecierpliwienie. - Nie musi być idealnie.

Marian pochyliła głowę, by ukryć wpełzający na policzki rumieniec. Sięgnęła po siodło. Było cięższe, niż myślała, jednak udało jej się podnieść je z ziemi. Wątpiła, czy da radę zarzucić je na koński grzbiet.

- Weź zamach, będzie ci łatwiej - powiedział Chad, jakby czytał w jej myślach.

Zrobiła to tak zamazyście, że przerzuciła siodło na drugą stronę. Chad zaśmiał się. Obszedł spokojną klacz, podniósł siodło i przyniósł je w jednej ręce.

- Przynajmniej już wiesz, że jesteś w stanie je unieść - stwierdził z nutką rozbawienia w głosie. - Tym razem postaraj się nie wypuścić go z ręki. Zrób to delikatnie. Konie nie lubią być siodłane.

Czy on się z nią droczył? Raczej nie. Kazał jej to zrobić jeszcze raz, choć przyznał, że pewnie nie będzie zmuszona sama siodłać konia. Ta część lekcji była „tak na wszelki wypadek”. A może odgrywał się na niej za to, że musiał ją uczyć? W to akurat Marian była gotowa uwierzyć. Pełna determinacji postanowiła osiodłać klacz, nawet gdyby miało ją to zabić.

Potrzebne były dwa dodatkowe podejścia. Kiedy wreszcie siodło wylądowało tam, gdzie powinno, uśmiechnęła się z zadowoleniem. Chad także, co sprawiło, że surowo zganiła się za

to, iż przypisywała mu małostkowe motywy, które wcale nim nie kierowały.

Jej oddech stał się jeszcze bardziej przyspieszony. Spociała się podczas wykonywania tego zadania, ale nie z tego powodu zaczęła drzeć, kiedy Chad obrócił ją w stronę klaczy i kazał przypiąć popręgi.

Musiał wyczuć jej drzenie. Nie mógł też nie słyszeć jej oddechu i bicia serca, które waliło jak młotem.

Wciągnął gwałtownie powietrze, puścił ją, jakby była rozpaloną żagwią, i rzucił ostro:

- Nie rób tego.

Tak jakby mogła coś na to poradzić. Ale odsunęła się od niego i kilka razy głęboko nabrała powietrza w płuca. Nie pomogło. Ogień nie gaś w jej wnętrzu.

- Do diaska! - powiedział Chad półgłosem. - Nie mogłabyś wystosować bardziej jednoznacznego zaproszenia, nawet gdybyś się postarała. Czy ja jestem z kamienia? - Objął ją i wciągnął do stajni.

28

Lekcja nie została jeszcze zakończona, jak myślała Marian. To był dopiero początek. Tyle że nauka nie miała już nic wspólnego z końmi. Zanim się zorientowała, znalazła się w stajni, gdzie było znacznie chłodniej niż na wybiegu.

Przez chwilę nic nie widziała - nagłe przejście z nasłonecznionego wybiegu do mrocznego wnętrza sprawiło, że pociemniało jej w oczach. Gdy wzrok przyzwyczaił się do półmroku, odkryła, że leży na stercie siana, częściowo przykryta ciałem Chada, a jego usta uniemożliwiają jej wszelki protest.

Była oszołomiona. Wszystko stało się tak szybko. Nie była nawet pewna, co się dzieje. Coś mruczał o zaproszeniu i że nie jest z kamienia, ale nie miało to dla niej większego sensu. Także to, że ponownie ją pocałował. Oboje się zgodzili co do tego,

że wczorajszy pocałunek był błędem, a przynajmniej ona tak założyła. Tym razem Chad nie pił żadnego alkoholu, więc dlaczego chciał ją pocałować?

Nie tylko ją całował. Na początku Marian nie zdawała sobie z tego sprawy, obezwładniona jego nieposkromioną żądzą. Gdy jego dłoń nakryła jej pierś, poczuła wyjątkowe gorąco. To była dla niej wskazówka, że pomiędzy nimi nie ma już bariery, jaką stanowi ubranie. Bluzka została rozpięta, a krótka halczka na ramiączkach opuszczona.

Jej natychmiastową reakcją była panika, że znajduje się półnaga poza zapewniającą prywatność własną sypialnią! Udało jej się na chwilę przerwać pocałunek i wydyszeć:

- A jeśli ktoś tu wejdzie?
- Przejmujesz się tym? Ja nie.

Musiała się nad tym zastanowić, ale nie mogła myśleć, gdy Chad nadal pieścił jej pierś. Prawdę powiedziawszy, gdyby teraz przestał, chyba by się rozpłakała. O tej porze dnia raczej nikt im nie przeszkodzi. Nie, ona także się tym nie przejmowała. Będzie się martwić dopiero wtedy, gdy ktoś rzeczywiście się tutaj pojawi.

Pozwoliła mu ponownie odnaleźć swoje usta. W milczącej odpowiedzi otoczyła ramionami szyję Chada. Pocałunek stał się bardziej żarliwy, a język zagłębiał się głęboko we wnętrze jej ust. Marian ponownie straciła zdolność myślenia, wstrząsana nieznanymi uczuciami, znacznie wykraczającymi poza jej mizerne doświadczenie.

Począł sobie coraz śmieiej, oddychając nierówno tak jak ona. Odnosiła wrażenie, że pochłania go jego własna namiętność. Miała nadzieję, że ma nad wszystkim większą kontrolę niż ona.

Usta Chada przesunęły się niżej - teraz dotykał nimi jej szyi. Pobudzało ją to, rozpałało krew, sprawiało, że miała ochotę opleść go całą sobą. Po chwili męskie usta zawędrowały jeszcze niżej i otoczyły jej pierś. Wiedziała, że jego wargi nie są aż tak gorące, a jednak miała wrażenie, jakby parzyły, gdy próbował zmieścić w swych ustach całą wzgórek. To było niemożliwe,

gdyż jej piersi nie były znowu takie małe. Wyglądało jednak na to, że on tak łatwo się nie podda.

Wrażenia zaczynały się stawać coraz bardziej intensywne. Jak przez mgłę czuła, że Chad szamocze się z jej spódnicą. Zrozumiała, że chce ją zdjąć. Nie bardzo mu się to udawało, spróbował więc z innej strony.

- Powinien istnieć zakaz noszenia spódnic do konnej jazdy - mruknął, kiedy jego dłoń nie mogła się przesunąć dostatecznie wysoko.

Marian zachciało się śmiać. Zaskoczyła samą siebie tym, że dała upust tej ochocie, po czym postanowiła podroczyć się z Chadem:

- Czy naprawdę chcesz się rozebrać w stajni, na stercie siana? - zapytała z udawaną surowością.

- Zrób użytek ze swojej wyobraźni. Wiem doskonale, że masz ją niezwykle rozwiniętą. Wyobraź sobie, że leżysz na jedwabiu.

- Czy to była odpowiedź twierdząca?

Teraz Chad się zaśmiał. I to głośno. Przekreślił się na plecy, pociągnął ją za sobą i usadowił w taki sposób, że Marian siedziała okrakiem na jego klatce piersiowej, z kolanami po obu bokach, w zasięgu męskich dłoni. Bardzo szybko poradził sobie ze ściągnięciem z niej bluzki, którą następnie rozłożył na sianie obok siebie. Koszulkę ściągnął jej przez głowę. Ona także stała się częścią postania, które pospiesznie umościł.

Zdejmowanie koszulki spowodowało zsuniecie się okularów, które natychmiast z przyzwyczajenia ponownie nasunęła na nos. Ale on sięgnął także i po nie. Jej reakcja była automatyczna - odchyliła się, unikając jego ręki.

- Zdejmij je - rzekł otwarcie Chad.

- Nie.

Już miał zmarszczyć brwi, kiedy jego uwagę odwróciły jej piersi. Przykrył je dłońmi i delikatnie masował. Marian odrzuciła głowę do tyłu i wydała z siebie jęk, którego nie była w stanie powstrzymać. Siedząc na nim, poczuła nowy przypływ gorąca, które ogarniało całe jej ciało.

- Wstań, proszę - rzekł, a jego głos był bardziej ochryply niż zazwyczaj.

Nie chciała tracić kontaktu z jego dłońmi, jednak nie przychodził jej do głowy powód, dla którego miałyby mu odmówić. Nie była pewna, czy jest w ogóle w stanie wstać, ponieważ cała drżała. Jakoś jej się to udało, ale bez mała ugięły się pod nią kolana, kiedy tak stała i patrzyła, jak Chad powoli rozpina koszulę.

- Rozpuść włosy - nakazał.

Natychmiast spełniła polecenie: wyjęła spinki i potrząsnęła głową. Złota kurtyna włosów zakryła jej plecy aż do talii.

- Wiedziałem, że będą takie długie. I piękne. Koniec z kokami. Jeśli zobaczę, że upięłaś włosy, osobiście zarekwiruję wszystkie spinki.

Marian uśmiechnęła się na myśl o nim, zakradającym się do jej sypialni w złodziejskich zamiarach. Prawdę powiedziawszy, gdyby tak się złożyło, że ona też by tam akurat była...

- Rozepnij to ustrojstwo, które masz na sobie, tak bym mógł je z ciebie zdjąć.

Wciągnęła gwałtownie oddech, widząc, że on rozpina spodnie. Chwilę potrwało, nim dotarło do niej, że przez „ustrojstwo” miał na myśli spódnicę. Zaczęła się z nią szarpać, palce drżały jej jeszcze mocniej niż przed chwilą. Poradziła sobie wreszcie, rozpięła guziki z boku, a wtedy Chad pociągnął ją mocno w dół.

Błyskawicznie zdarł z siebie koszulę, pospiesznie dokładając ją do zaimprovizowanego pośłania. Przycisnął policzek do podbrzusza Marian i otoczył jej biodra ramionami. Jego dłonie prześlizgiwały się po jej plecach powoli coraz niżej, wzdłuż bioder, zahaczając o gumkę w pantalonach.

Mimo że do zamkniętej stajni nie miały wstępu poddmuchy wiatru, Marian poczuła lekki chłód, ale była to tylko chwila. Jego oddech parzył jej brzuch, a tors ogrzewał uda. Chad delikatnie uniosł jej jedną nogę, by wypłatać ją z ubrań. Położyła mu dłonie na głowie i przeczesała palcami włosy. Były miękkie i delikatne jak u dziecka, dotykanie ich sprawiało jej niezwykłą

przyjemność. Uświadomiła sobie, że pragnęła to uczynić, odkąd go poznała.

Kiedy uniósł jej drugą nogę, Marian straciła równowagę i osunęła się na kolana. Chad ujął jej głowę i przycisnął usta do jej ust. Całując ją, ściągnął jej buty.

Następnie została ułożona na prowizorycznym pościeliu, a jej towarzysz uśmiechnął się do niej szeroko:

- To jedwab, no nie?

Odpowiedziałyby, że jak najbardziej, w gruncie rzeczy przystałyby w tej chwili na wszystko, tyle że nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Chad wyglądał tak chłopięco z tym uśmiechem, był taki przystojny, że czuła w brzuchu baraszkujący rój motyli, który sprawiał, że robiło jej się słabo. A on musiał to wy czuć, ponieważ na jego twarzy pojawiła się taka zmysłowość, że Marian aż wciągnęła głośno powietrze.

Jego wargi na powrót znalazły się na jej ustach, a jego dłonie nieskończenie delikatnie pieściły i odkrywały to, co przedtem było niedostępne. Nie kwestionowała niczego, co czynił, po prostu akceptowała przyjemność płynącą z jego dotyku i starała się koncentrować na każdej chwili, na każdym nowym doznaniu, tak by zapamiętać je na zawsze. Wszystko działo się tak szybko i tak bardzo ogarnięta była wzbierającą w niej namiętnością, że zapamiętała jedynie gorąco, pragnienie i zdumienie, że coś takiego w ogóle się dzieje.

Chad przestał ją całować, dzięki czemu mógł obserwować, jak jego dłoń wędruje po jej ciele. Jego spojrzenie przepełnione było podziwem, czy też tylko to sobie wyobrażała? Ale on rzeczywiście wydawał się zachwycony widokiem jej nagiego ciała, a może po prostu zaskoczony, że pod bezkształtnymi sukniemi, które z upodobaniem nosiła, kryje się taka zgrabna postać. Może dziwił się, że Marian nie jest skępowana, kiedy on tak na nią patrzy. No cóż - może odrobinę była zawstydzona.

Męska dłoń kontynuowała wędrowkę wzdłuż jej uda, zsunęła się na jego wewnętrzną stronę i zatrzymała na złączeniu nóg. Marian westchnęła, na co on przycisnął swe usta do jej warg. Jednak to nie to akurat westchnienie starał się uchwycić.

Chodziło mu o te, które wiedział, że nastąpią, kiedy jego palce zagłębią się w jej wnętrzu. Marian znalazła się w stanie rozkosznego szoku, a jej ciało wygięło się w luk i przebiegły przez nie spazmy, nad którymi nie miała żadnej kontroli. Chad przysunął się jeszcze bliżej i całkowicie nakrył ją swoim ciałem. Zanim Marian zdała sobie sprawę, po co to robi, zaczął w nią wchodzić.

Ból był ostry, ale minął tak szybko, że w ułamku sekundy o nim zapomniała. Wynagrodziła jej to przyjemność, jaką sprawiało zagłębianie się Chada w niej, tak bardzo głębokie. Nigdy nie sądziła, że tak wielka przyjemność jest w ogóle możliwa. Przez chwilę Chad dał jej czas na to, by dostosowała się do jego tempa. Kiedy wreszcie zaczął się w niej poruszać, była bardziej niż gotowa. Jednak on mimo to starał się złagodzić jej ewentualny ból. Otoczył ramieniem jej szyję i delikatnie gładził policzek, ucho, włosy, aż wreszcie sięgnął do okularów i zdjął je.

Marian była pewna, że zrobił to celowo. Malujące się na jego twarzy zdziwienie nie miało związku z trzymanymi w dłoni okularami. Chad wpatrywał się w jej twarz. Oboje leżeli w zupełnym bezruchu. Bez okularów czuła się bardziej naga niż bez ubrania.

- Widzisz mnie? - zapytał.

- Tak.

- To dobrze, bo chcę, byś widziała, jak bardzo mi się podobasz.

Jego głos był ochrypły i niesamowicie na nią działał. Pozbyła się wszelkiej nieśmiałości i przypomniała sobie, że on nadal znajduje się w jej wnętrzu. Otoczyła ramionami jego szyję i odezwała się równie chrapliwie:

- W takim razie na co czekasz?

Chad wciągnął gwałtownie powietrze, ale po chwili zmarszczył z konsternacją brwi.

- Amanda?

Marian nie odpowiedziała, nieobecna duchem. Wchodził w nią bardzo głęboko raz po raz. Po chwili znalazła się na gra-

nicy najwspanialszej rozkoszy, jakiej zdarzyło jej się doświadczyć, przyjemności, która przepływała przez całe jej ciało. Kilka chwil później on też jej doświadczył.

Oboje milczeli, ciężko oddychając i powoli wracając do rzeczywistości. Marian próbowała nie dopuszczać do siebie żadnych myśli tak długo, jak tylko była w stanie, starając się rozkoszować tym, co bez wątpienia będzie doświadczeniem wyjątkowym, którego nigdy ponownie nie przeżyje - z nim. Czuła, jak wzbiera w niej gniew i podejrzewała, że Chad czuje to samo. Wydawał się nie spieszyć z uzewnętrznianiem swoich uczuć. Jednak oboje mieli w pamięci to, że on pomyślał, iż ona to Amanda. I mimo to kochał się z nią.

Chad odsunął się. Przez długą chwilę wpatrywał się w nią. A ona, nie zdając sobie z tego sprawy, również otwarcie mu się przyglądała. Jednak zanim którekolwiek z nich zdażyło się odezwać, w pobliżu wejścia do stajni usłyszeli głos:

- Jesteś tu, Chad? Trzeba nakarmić konie. Do diaska, wygląda na to, że sam będę musiał...

Głos zamilkł. To był ten chory pracownik. Chad zaklął pod nosem, kiedy chłopak dodał:

- Och, nie zauważyłem cię, Lonny.

Chad chwycił ubranie i założył je na siebie szybciej, niż się rozebrał.

- Ubierz się, a ja spróbuję się ich pozbyć - wyszeptał. - Później o tym porozmawiamy.

Później? Jeśli zobaczy go później, możliwe, że go po prostu zastrzeli - no cóż, kiedy tylko nauczy się strzelać.

29

Chad nie musiał się pytać Lonny'ego czy słyszał coś w stajni. Nietrudno było rozszyfrować szeroki uśmiech na jego twarzy. Odesłał chorego chłopaka do łóżka, a Lonny'ego wyprowadził na zewnątrz. Zatrzymali się w połowie drogi między stajnią i barakiem.

- Co ty tu robisz? - zapytał.
- To samo co i ty. No, może niezupełnie to samo. Lonny zachichotał, czym rozdrażnił Chada.
- Cokolwiek słyszałeś, zatrzymaj to dla siebie.
- No jasne - odparł Lonny. - Ale muszę powiedzieć, że cholerny z ciebie szczęściarz. Chyba jeszcze nigdy nie widziałem panny tak ładnej jak Amanda.
- Chwileczkę. To nie twoja sprawa, ale wiedz, że to była Marian.
- No coś ty. Marian jest zbyt sztywna i... i...
- Staropanieńska?
- No cóż, owszem, właśnie taka. A poza tym słyszałem, jak mówiłeś do niej Amanda.

Chad westchnął.

- To była pomyłka. Na krótką chwilę ogarnęły mnie wątpliwości, ale wcale nie chciałem wypowiadać ich na głos.
- To mówisz, że nie potrafiłeś ich rozróżnić? Tam nie było wcale tak ciemno, a one naprawdę nie są do siebie podobne.
- W zachowaniu są różne, to prawda, dlatego właśnie przez chwilę byłem w kropce. Jeśli jednak chodzi o wygląd, to są identyczne, Lonny. Bliźniaczki, rozumiesz?
- Taaa, akurat - odparł kpiąco Lonny.

Marian wybrała właśnie ten moment, by wybiec ze stajni. Nie zauważyła ich, stojących z boku. Wokół jej głowy powiewały długie jasne pukle. Sadziła wielkimi susami w rozpiętej bluzce i z butami w rękę. Było coś wyjątkowo seksownego w tym, że była potargana i zagniewana. Zdecydowanie wyglądała na zagniewaną. Chad dostrzegł rzucone mu gniewne spojrzenie, gdy leżeli na sianie. Z całą pewnością usłyszała, że nazwał ją Amanda.

Niech to wszyscy diabli! Później jej to wyjaśni i przeprosi. Po prostu zaskoczyła go jej śmiałość. I niecierpliwość. Nie spodziewał się po niej ani jednego, ani drugiego. Oczywiście nie spodziewał się także aż tak wielkiej namiętności.

- Nie mam nic więcej do dodania - odezwał się Lonny. - To była Amanda.

Chad przewrócił oczami i zapytał sucho:

- Nie dosłyszałeś? Powiedziałem, że są bliźniaczkami. Mam powtórzyć?

- Nie dosłyszałeś? Powiedziałem, że nie wierzę?

Chad wbrew sobie uśmiechnął się szeroko.

- W porządku, rozumiem twoje wątpliwości. Trochę potrwało, nim sam to zauważyłem. Te absurdalne okulary, które zniekształcają jej oczy, doskonale odwracają uwagę, a nikt, kto ma choć odrobinę poczucia przyzwoitości, nie będzie się w nią wpatrywać na tyle długo, by dostrzec, że jest naprawdę urodziwa - tak samo jak Amanda. Problem w tym, że czasami trudno dojść, z którą ma się w danej chwili do czynienia.

Wczoraj wieczorem, kiedy ją pocałował, był pewny, że całuje tę samą kobietę co przy ognisku. Ale Marian temu zaprzeczyła, a nawet się obraziła na taką sugestię. Chad już się ucieczył, że nareszcie pojął, o co w tym wszystkim chodzi, kiedy jej zaprzeczenie ponownie wprawiło go w konsternację. Sam nie wiedział, co o tym myśleć.

Bez problemu przyszło mu zaakceptowanie faktu, że to Marian próbowała mu wtedy przyjść z odsieczą i uczyniła to tak szybko i spontanicznie, iż zapomniała włożyć na nos okulary i doskonale bez nich widziała. Co oznaczałoby, że z jej wzrokiem jest wszystko w porządku. Prawdę powiedziawszy, najpewniej prawie nic nie widziała przez te głupie okulary, co by wyjaśniało jej wyjątkową niezdarność.

Chad nie bardzo uwierzył w to, że tamtej nocy to była Amanda. Wyglądała jak ona, to prawda. Wtedy nie było powodu, by sądził inaczej. Ale teraz wątpił czy byłaby zdolna do bezinteresownego czynu. No i było to jej jedyne takie zachowanie. Nie miał jednak żadnego problemu z tym, by coś takiego utożsamić z Marian. Owszem, niejednym raz udało jej się go obrazić, ale teraz musiał to wszystko jeszcze raz przemyśleć. Podejrzewał, że jej niegrzeczność mogła być celowa i wiązała się z siostrzaną zazdrością, o której mu napomknęła.

Teraz rozumiał, o co chodzi z tą zazdrością, a przynajmniej tę jej część, którą Marian próbowała mu Wyjaśnić bez wdawa-

nia się w szczególności. Nie miało to dla niego żadnego sensu, kiedy robiła wszystko, by uczynić się brzydszą. To było po prostu nie do pojęcia, by Amanda mogła być o nią zazdrosna. Ale one były bliźniaczkami. Jedna siostra ukrywała swoją urodę, druga pozwalała jej świecić pełnym blaskiem.

Na szczęście istniały sposoby, by je odróżnić. Dłonie Amandy były w ciągłym ruchu, aby zwrócić uwagę na jej twarz, jej piersi. Często się uśmiechała, ale jej uśmiech nie wydawał się szczery. Jeśli kiedyś miała poczucie humoru, straciła je gdzieś w drodze do Teksasu. Gdyby miała coś dobrego do powiedzenia o czymkolwiek, Chad już by to usłyszał. Jej nawyki były inne, podobnie jak temperament, tolerancja, cierpliwość. I wiecznie na coś narzekała. Prawdę powiedziawszy, w każdym calu była, jak to określił jego ojciec - urodzoną jędzą. Jej uroda najpierw go oślepiła, jednak dzięki Marian zobaczył wszystkie jej przykre cechy.

Chad nadal nie rozumiał powodu oszustwa. To było zupełnie pozbawione sensu, by kobieta tak piękna jak Marian pragnęła ukrywać swoją urodę. Ale nie potrafiła ukryć tego, co dzisiaj czuła - pełnego mocy pożądania, na które on zareagował w najbardziej prymitywny sposób.

Własna reakcja nadal go zdumiewała. Zazwyczaj kontrolował swoje instynkty. Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie stracił nad sobą kontroli do tego stopnia. A może po prostu nie chciał powstrzymać tego, co się między nimi działo. Przypominało to wczorajszy pocałunek, coś, czemu nie mógł się oprzeć. I za każdym razem, gdy ją całował, Marian ulegała i bez słów dawała do zrozumienia, że ona także go pragnie.

30

Marian poszła w ślady siostry i resztę dnia spędziła w swoim pokoju. Bała się, że oszaleje sam na sam ze swoimi myślami, poprosiła więc Ritę, by pomogła jej poszukać zapasów malar-

skich Kathleen. A kiedy udało im się je znaleźć, zaniósła wszystko do swego pokoju.

Po południu zjawił się Chad, by odbyć obiecaną rozmowę z „Amandą”, miał pecha, bo obie ukryły się w swoim pokoju, każda z innego powodu. Amanda uważała, że odmawiając innym swojego towarzystwa, w ten sposób ich karze.

Marian natomiast nie chciała znajdować się w pobliżu, gdy Chad będzie czekał na pojawienie się jej siostry albo poprosi ją, by sprowadziła Amandę na dół. Nie byłaby zdziwiona, gdyby tak uczynił. Przynajmniej dzisiaj nie powinien się dowiedzieć, że popełnił błąd w swych domysłach.

Wciąż nie mogła uwierzyć, że zrobił to z nią na sianie. Boże, była taka szczęśliwa, że pragnie jej - jej, a nie Amandy. Powinna była przewidzieć - od samego początku pragnął Amandy i nic się nie zmieniło. Po prostu pomylił się, wziął ją za jej siostrę bliźniaczkę.

Od rana Chad żył w przekonaniu, że w stajni baraszkował z Amandą, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że to jej, Marian, wina. Wczoraj wieczorem powiedziała mu, że w dzieciństwie Amanda nabierała ojca i zwałała przewinienia na nią. Na pewno miał to świeżo w głowie.

Powinna ostrzec Amandę, że Chad jest przekonany, iż kochał się z nią. Ale wtedy musiałaby wysłuchać kazania wygłoszonego triumfującym tonem na temat utraconej cnoty. Przyganiał kocioł garnkowi. Pomijając wszystko, Marian nie mogła odżałować, że stało się to właśnie dzisiaj. Dużo by dała za to, by odwrócić bieg wydarzeń. Chad nie zasługiwał na to, by któraś z Latonówien chciała spędzać z nim intymne chwile. Może na drugi raz ten tępy mężczyzna będzie zwracał większą uwagę na to, z kim się kocha.

Kilka godzin spędziła przy sztalugach, nim wreszcie odprężyła się na tyle, by zwrócić uwagę na to, co maluje. Była zdumiona. Nie zrobiła wcześniej szkicu, mimo że była w tym dobra, ale nie lubiła tego aż tak bardzo jak malowania. Równie dobrze umiała malować z pamięci, nie musiała się do tego specjalnie przygotowywać.

Prawdę mówiąc, nie powinna być zbyt zdziwiona tym, co pojawiło się na płótnie. Mimo że próbowała wyrzucić go ze swych myśli, on wciąż w nich tkwił. Tak więc odkrywszy, że na płótnie widnieje twarz Chada, potrząsnęła z niezadowoleniem głową.

Podobieństwo było naprawdę uderzające. Brak praktyki nie pozbawił Marian talentu. Trzeba popracować jeszcze nad oczami, nie kształtem, lecz kolorem. Podbródek zarysować nieco mocniej, bardziej zdecydowanie. Przyciemnić nieco karnację, by oddać odcień opalenizny. No i domalować kapelusz, nisko opuszczony na czoło, tak jak go najczęściej nosił...

O czym ona myślała, malując portret Chada? Nie miała zamiaru kończyć obrazu. Zdjęła płótno, postawiła je za sztalugami, tak by nie musiała na nie patrzeć, i rozłożyła świeże. Będzie musiała być bardziej uważna, dopóki nie kupi nowych płócien.

Miała do dyspozycji tylko cztery duże płótna, dwa średniej wielkości i jedno małe, ale nie należała do powolnych artystek. Jeśli pracowała w skupieniu i nic jej nie odrywało od sztalug, potrafiła wykończyć portret za jednym podejściem. Obecne zapasy nie wystarczą na długo.

Zdecydowała się na inny rodzaj portretu. Było to wspomnienie nadal świeże w jej pamięci, które, prawdę mówiąc, bawiło ją. Konterfekt z pewnością nie rozbawi Amandy, jeśli go oczywiście kiedykolwiek zobaczy.

Namalowała scenę napadu na pociąg, a konkretnie Amandę, siedzącą z wyrazem szoku na umazanej prochem twarzy. Pasażerowie stanowili niewyraźną plamę - tak zapamiętała tę scenę i tak ją namalowała. Na obrazku znajdowali się także dwaj rabusie - ten, który strzelił do Amandy, został odtworzony bardzo wyraziście, zwłaszcza oczy - bardziej złotawe niż brązowe, i wyjątkowo okrągłe. Dół twarzy zakrywała chustka.

Marian zaczęła się uśmiechać, zanim dotarła do połowy obrazu. Znacznie poprawił jej się nastrój. Mimo że w samym napadzie nie było nic śmiesznego, widok Amandy z twarzą umorusaną ciemnym pyłem i zaszokowanej tak bardzo, że nie odezwała się wtedy ani słowem, był doprawdy przekomiczny.

Pracowała z zapałem, niemal w uniesieniu. Może jednak pozwoli jej obejrzeć obraz, gdy go skończy.

Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl, wiedząc jednocześnie, że tego nie zrobi. Amanda zniszczyłaby go, tak jak zniszczyła ostatni namalowany przez Marian portret, który według niej nie był wystarczająco pochlebny.

Ze zdumieniem zauważyła, że światło staje się coraz bardziej przytłumione i uświadomiła sobie, że jest już prawie wieczór. Zawsze traciła poczucie czasu, gdy malowała. Chwilę później rozległo się pukanie do drzwi.

- Kolacja za piętnaście minut! - usłyszała wołanie Rity.

Marian nie planowała zejścia na dół, w każdym razie nie dzisiejszego wieczoru, ale chciała powiedzieć ciotce, że znalazła płótna i sztalugi. Założyła okulary. Malowanie było jedyną czynnością, podczas której ich nie nosiła. Swojej pasji oddawała się w zaciszu własnego pokoju, gdzie nikt jej nie widział, tak więc nie miało to większego znaczenia.

Zanim doszła do drzwi, po raz drugi rozległo się pukanie. Uznała, że to Rita chce się upewnić, że ją usłyszała, ale kiedy je otworzyła, po drugiej stronie stała Kathleen.

- Słyszałam, że zaczęłaś po południu malować - rzekła ciotka. - Mogę zobaczyć, jak ci idzie? Czy wolisz skończyć, zanim pokażesz swoje dzieło?

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiedziała Marian z nieśmiałym uśmiechem i otworzyła szerzej drzwi.

- O rety! - Gdy Kathleen zbliżyła się do sztalug, jej zdziwienie nie było udawane. - Czy ona naprawdę znalazła się w samym środku strzelaniny?

- Strzelono do niej, kiedy nie chciała oddać bez walki swojej portmonetki.

- To było z jej strony... dość odważne.

Marian uśmiechnęła się szeroko, słysząc wahanie w głosie ciotki.

- Nie, postąpiła głupio. Ich było czterech i wszyscy uzbrojeni. Miała szczęście, że ten, który do niej mierzył, chciał ją tylko nastraszyć.

- Albo spudłował.
- Możliwe.

Kathleen zakryła dłonią usta, by ukryć rozbawienie na widok malującego się na twarzy modela przerażenia.

- Uderzające podobieństwo. Wypisz, wymaluj Amanda, mimo tego prochu na twarzy.

- Dobrze się teraz śmiać, kiedy niebezpieczeństwo minęło. Siostra miała naprawdę niezwykle zabawną minę.

Kathleen pozwoliła sobie wreszcie na śmiech.

- Nadal. Jestem pod wrażeniem, skarbie. Przyglądając się twemu dziełu, odnoszę wrażenie, jakbym uczestniczyła w tym wydarzeniu i... o rety!

.- Co?

- Właśnie do mnie dotarło, że chyba znam tego rabusia. Święci pańscy, John Bilks jak żywy! Pamiętam go. Pracował w sklepie w miasteczku. Został zwolniony, kiedy się okazało, że w kasie brakuje pieniędzy. Właściciel wezwał szeryfa i chciał, żeby aresztował złodzieja, nie było jednak dowodu na to, że to John ukradł forszę. Wkrótce wyniósł się z miasteczka i wygląda na to, że teraz napada na pociągi. Założę się, że szeryf chciałby obejrzyć ten obraz.

- Jestem pewna, że Amanda zaprotestowałyby przeciwko temu - odpowiedziała z uśmiechem Marian.

Kathleen przyjrzała się obrazowi zmrużonymi oczami i rzekła:

- Tak myślisz? - Obie się roześmiały. - A może namalujesz miniaturę? - zasugerowała. - Samego Johna Bilksa? Pokażemy ją szeryfowi, kiedy w sobotę pojedziemy do miasteczka. Przy okazji kupimy więcej płócien. Jesteś zdecydowanie szybsza w tej robocie ode mnie. Czy już zużyłaś moje zapasy?

- Nie, ja...

Marian nie dokończyła. Kathleen odsunęła ją, by zajrzeć za sztalugi, gdzie leżały pozostałe materiały, i dostrzegła niedokończony portret Chada.

- O rety! - zawołała i odwróciła się do Marian. - Twój talent jest po prostu zdumiewający. Malujesz z pamięci? No oczywiście, że tak. To niesamowite. Cieszę się, że go lubisz. Nie ma po-

trzeby rumienić się. Spodobałby się każdej dziewczynie w twoim wieku. Zapewniam cię.

Marian spuściła głowę.

- To nie chodzi o to. Ja... Jeszcze nikt nie pochwalił moich prac. Ojciec twierdził, że nie mam talentu i że jedynie marnuję czas...

- Mortimer był draniem - przerwała jej ostro Kathleen. - Przykro mi to mówić, ale taka jest prawda. Skoro powiedział coś takiego, nie mam wątpliwości, że to dlatego, iż jego ulubienica nie miała w tym zakresie żadnych zdolności. Tak było, prawda?

- Prawda.

- Tak właśnie myślałam. Najpewniej złościło go, że ją w tym przewyższasz. Sama powinnaś wiedzieć lepiej. Spójrz na ten obraz. Uchwyciłaś najważniejsze cechy, a przecież jeszcze nie skończyłaś!

- On ma naprawdę interesującą twarz.

Kathleen wybuchnęła śmiechem.

- Interesująca, tak? Można to i tak ująć. A teraz chodź już, kolacja czeka. Zejdźmy na dół, zanim Consuela nie wyśle za nami oddziału pościgowego.

Marian nie ruszyła się. Zbyt długo ze sobą rozmawiały, by teraz mogła oświadczyć, że bardzo boli ją głowa, tak jak sobie zaplanowała. Nie miała zamiaru siadać do kolacji z Chadem, nie dzisiaj. Minie trochę czasu, nim odejdzie jej ochota zastrzeżenia go za to, co powiedział na sianie.

- Idź sama, ciociu Kathleen. Ja chyba wcześniej położę się spać...

- Och, daj spokój, musisz przecież coś zjeść. Będziemy tylko my dwie. Chad poszedł już do siebie. Pół popołudnia szwendał się po kuchni i Consuela nakarmiła go tak, że nie mógłby wcisnąć w siebie nic więcej. Nie ma na nią siły - przekarmi każdego mężczyznę, który znajdzie się w jej zasięgu.

- No cóż, w takim razie poddaję się.

31

Chad jednak pojawił się w jadalni. Były właśnie w połowie kolacji, kiedy wszedł, rozsiadł się przy stole i zapytał, co jest przewidziane na deser. Kathleen droczyła się z nim przez chwilę, twierdząc, że jego koń zaprotestuje przeciwko ilości jedzenia pochłanianego przez jeźdźca. Przekomarzali się przez jakiś czas i śmiali, dopóki nie poruszył nowego tematu.

- Czy Amanda źle się czuje?

- Nie, nie chciała się po prostu do nas przyłączyć - odparła Kathleen.

- Nie mów mi, że nadal potrzebny jej jest odpoczynek po podróży.

- Możliwe. Niezbyt dobrze znosi gorąco. Ty jesteś przyzwyczajony, nie zwracasz na to uwagi, ale...

- Ależ zwracam. Ostatnio po prostu nie jest aż tak gorąco, by opaść z sił. Nadał więc dąsa się, że musi tutaj być?

Kathleen zakaszłała znacząco. Marian wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Słyszeć z jego ust taką uwagę, no cóż, nie bardzo miało to dla niej sens. Do tej pory nigdy nie wyrażał się drwiąco na temat Amandy. No ale zapomniała, że najprawdopodobniej wciąż jest zły na jej siostrę za to, że według niego rankiem wypróbowała na nim swoje sztuczki. Przerobiła Polgara68.

Zdumiewał ją własny spokój od chwili, kiedy Chad wszedł do jadalni. Przekomarzając się z Kathleen i śmiejąc, zachowywał się tak, jakby nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego - dopóki nie wspomniał o Amandzie. Wtedy ton jego głosu raptownie się zmienił.

Gniew nadal w niej drzemał i nadał miała ochotę go zastrzelić. Oczywiście była świadoma, że jest niesprawiedliwa. Od początku wiedziała, że on pragnie Amandy.

- Cieszę się, że nie czekaliście na mnie - odezwała się Amanda, stając w drzwiach, niezbyt udanie imitując silny teksański akcent. - I nie dąsam się, kochanie - dodała, patrząc na Chada i jednocześnie energicznie się wachlując. - Boże mój,

chyba nie jesteś nadal zły, że nasza dzisiejsza schadzka w stajni została przerwana, co?

Marian gwałtownie wciągnęła powietrze. Skąd się, u diabła, Amanda o tym dowiedziała? I dlaczego celowo umacniała Chada w przekonaniu, że to właśnie z nią się kochał?

Chad zrobił się czerwony jak burak. Kathleen wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Właśnie takiego rodzaju sceny Amanda uwielbiała stwarzać, ale chociaż raz widowisko nie było wyreżyserowane. Z całą pewnością podsłuchiwała i teraz próbowała się na nim odegrać za mało pochlebne uwagi na swój temat. Nie weszła do jadalni od razu, ponieważ kilka chwil zabrało jej zapanowanie nad gniewem.

Marian również się zarumieniła. Boże, to znaczyło, że Amanda podsłuchiwała znacznie więcej niż ich rozmowę przy stole. Musiała rankiem być w stajni. W jakim innym sposobie wiedziałyby, co się tam wydarzyło?

Nie było jednak żadnego powodu, dla którego miałyby się tam znaleźć. Nie lubiła koni i nie wiedziałyby, w jaki sposób powozić, gdyby przyszło jej do głowy uciec powozem, który zostawił Spencer. Do stajni mogła ją przywieść nadzieja, że zostanie tam Chada. Widziała, jak wraca na ranczo i postanowiła się rozerwać, odgonić nudę, albo - co było bardziej prawdopodobne - wyglądała przez okno, kiedy ona z Chadem znajdowała się na wybiegu, ujrzała, jak Chad wciąga Marian do stajni i zainteresowało ją to na tyle, by zejść i dowiedzieć się, dlaczego to uczynił... i znaleźć ich kochających się. Wtedy też usłyszała, jak nazwał ją Amanda.

Więcej niż pewne, że uznała tę pomyłkę za przezabawną. Śmiała się z tego przez cały dzień i knuła, jak wykorzystać zdobytą wiedzę, by zranić Marian. Scena przy kolacji nie została odegrana na użytek Chada. Amandę nic nie obchodziło to, co on sobie pomyślał. Był jedynie narzędziem w jej ręku, i to w dodatku idealnym. Amanda teraz wiedziała już, że Marian pragnie go mieć dla siebie.

To było dla niej typowe. Miała zamiar pokazać Marian, że mężczyźni i tak wolą ją. Chciała także zgorszyć Kathleen, i do-

pięta swego. Chadowi uświadomiła, że jest pionkiem w tej grze. Nie wystarczy pokazanie mu konsekwencji, jakie grożą śmiałkowi, który odważy się wielbić inną kobietę. Marian nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Zbierało jej się na mdłości. Może i sama chciała zastrzelić Chada, ale nie życzyła mu, by stał się ofiarą mściwego charakteru jej siostry. Nie było sensu odzywać się teraz i wyznawać prawdę. Amanda nazwałaby ją kłamczuchą, Chad również, bo był pewny, z którą z nich się kochał.

Amanda była tylko częściowo ubrana. Marian nie dostrzegła na początku, że siostra daje w ten sposób do zrozumienia, iż w Teksasie jest dla niej za gorąco. Nie miała na sobie halki, najpewniej także pantalonów, jedynie szeroką spódnicę i cienką bluzkę, przez którą prześwitywał zarys piersi, które zresztą i tak było prawie widać w głębokim dekolcie. Najprawdopodobniej zeszła na dół, by zaszokować ciotkę i Marian swym strojem, a widząc Chada, uznała, że znalazła lepszy obiekt.

Marian miała nadzieję, że Kathleen zrozumie, iż jest to po prostu kolejne przedstawienie urządzone z myślą o niej, jednak jedno spojrzenie na ciotkę wystarczyło, by dojrzeć, że dopiero dochodzi do siebie po początkowym szoku i rumieni się z powodu stroju Amandy.

- Porozmawiamy o twoich... wyczynach później. A teraz idź na górę i ubierz się - oświadczyła surowo.

Amanda uniosła złotą brew i oparła się leniwie o framugę.

- Ależ ja jestem ubrana. Na ile to możliwe w takim skwarze. A poza tym od cioci oczekujemy jedynie małżeńskiego błogosławieństwa - dodała z cierpkim uśmiechem. - Na moje zachowanie i to, jak się ubieram, nie ma ciocia wpływu. Niech więc sobie ciocia nie myśli, że ma coś do powiedzenia. Jestem tutaj tylko dlatego, że w grę wchodzi pieniądze.

- Jesteś tutaj dlatego, że twój ojciec wyznaczył mnie na waszą opiekunkę.

- Czyżby ciocia jeszcze nie zauważyła, że nie jestem dzieckiem, któremu potrzebna jest opieka?

- W takim razie nie zachowuj się jak dziecko. A może w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że wybrałaś już sobie kandydata na męża?

- Wybrałam? Ma ciocia na myśli tego kowboja? - Amanda przeniosła spojrzenie na Chada. - Nie małżeństwo miałeś w głowie dziś rano, prawda, kochanie?

Chad ponownie oblał się rumieńcem, pewnie dlatego, że Kathleen przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami.

- Mogę to wytłumaczyć, Red. To była lekcja jazdy konnej, która wymknęła się spod kontroli.

- Lekcja jazdy konnej? - parsknęła Amanda. - Ciekawie ująłeś to, co robiliśmy.

Chad zignorował jej uwagę, mimo że rumieniec na jego policzkach zdradzał, iż dokładnie ją usłyszał. Ale to do Kathleen skierował swoje następne słowa:

- Ponoszę pełną odpowiedzialność za swoje czyny.

Kathleen westchnęła.

- Wiem, nawet przez moment w to nie wątpiłam. Przykro mi tylko, że tak rzeczywiście będzie.

Amanda miała zamiar nie dopuścić do żadnych dodatkowych kontaktów z Chadem. Marian była o tym przekonana. Urządziła tę scenę po to, by ukarać go za brak uwielbienia wobec niej. Jednak poparcie, jakiego udzieliła mu Kathleen, sprawiło, że zmieniła zdanie - przynajmniej na razie.

Marian często żałowała, że wie, jak pracuje umysł siostry. Amanda właśnie otrzymała środek do przedłużenia ich cierpienia - ich wszystkich. Jeśli Kathleen naprawdę nie chciała, by Chad poślubił Amandę, co sugerowała jej ostatnia uwaga, Amanda przekornie uznałaby to za warte rozważenia, dopóki nie pojawi się lepsze rozwiązanie. A poza tym dodatkową korzyścią będzie świadomość, iż najbardziej zrani tym Marian.

Amanda ziewnęła, ostentacyjnie okazując znudzenie tematem, machnęła nawet ręką, by to podkreślić, i oświadczyła:

- Pomyślę o tym.

- Wygląda na to, że już to zrobiłaś - zauważyła otwarcie Kathleen.

Amanda zaśmiała się i ruszyła w kierunku schodów. Zrobiła, co do niej należało, a teraz pójdzie do siebie, by triumfować w samotności.

Cisza, jaka zapadła przy stole po jej odejściu, była dojmująca. Marian nie mogła już tego dłużej znieść, wymamrotała więc pod nosem przeprosiny i także opuściła jadalnię.

Chwilę później z jej oczu popłynęły łzy. To było niemądre z jej strony pozwolić, by scena z Amandą tak bardzo wytrąciła ją z równowagi. Powinna była to przewidzieć. Prawdę mówiąc, tym razem nie była to wina Amandy. Zrobiła po prostu to co zwykle - zamieszała w kotle, że aż zawrzało. Tak naprawdę przejęła się tym, że Chad znalazł się chwilowo poza jej zasięgiem.

Gdyby go o to zapytać, zapewne wolałby dostać kulkę w łeb, niż zostać mężem Amandy.

32

Chad czuł się jak dziecko przyłapano z ręką w zakazanym słoju ze słodyczami. Nadal był mocno zakłopotany, mimo że teraz w jadalni pozostali tylko on i Red. Potrząsała głową i patrzyła na niego w sposób, który oznaczał: „Rozczarowujesz mnie, chłopcze”. Nic nie mógł na to poradzić. Nadużył zaufania, zabawiając się z jej bratanicą.

Z całą jaskrawością dotarły do niego konsekwencje tego, co się stało. Nadal był w szoku. Zrozumiał, że będzie się musiał ożenić z niewłaściwą kobietą. Jak, do wszystkich diabłów, mógł aż tak się pomylić?!

- Powinieneś był ją poznać lepiej, zanim... postanowiłeś się z nią ożenić.

W głosie Red słychać było ogromne rozczarowanie. Chad kiwnął głową.

- Niech cię nie zdziwi to, że zgadzam się z tobą w stu procentach.

- W takim razie dlaczego nie zastanowiłeś się przed uczeniem czegoś tak nieodwracalnego?

- Nie jestem pewny, czy miałem w tej kwestii jakiś wybór. Och, czuję, że zostałem wrobiony. Ona to wszystko ukartowała.

- Więc to nie był twój pomysł, żeby tarzać się z nią w sianie?

Sądził, że panuje nad sobą, ale zdradził go krwisty rumieniec wypływający na policzki.

- Przysięgam na naszą przyjaźń, że poszedłem do stajni w innym celu. Zastałem ją tam, więc zacząłem lekcję jazdy konnej, o którą mnie poprosiłaś...

- Chwileczkę, nie prosiłam cię, byś uczył jeździć właśnie ją - przerwała mu Kathleen.

- No właśnie, to nie była Amanda, cóż, to znaczy była, ale tak się ubrała i uczesała, że wyglądała jak Marian. Nawet była chętna do nauki, choć wiem, że nie lubi koni, co mnie przekonało, że mam do czynienia z Marian. Najwyraźniej więc zarówno mój wzrok, jak i zdrowy rozsądek na nic się nie zdały.

- No cóż, one są bliźniaczkami. Nie jest trudno jednej przebrać się za drugą - przyznała Kathleen.

Chad skrzywił się.

- Byłem prawie pewny, iż w stajni jest Marian. Przez jedną krótką chwilę miałem wątpliwości. Zaskoczyła mnie jej śmiałość i zapytałem, czy ona to Amanda.

- Rozumiem, że ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła? Mam rację?

- Nie, prawdę mówiąc, wściekła się. Pomyślałem sobie, że to dlatego, iż nazwałem ją Amandą, ale potem doszedłem do wniosku, że rozżłościła się, bo przejrzałem jej fortel.

Kathleen westchnęła.

- Tak więc sądziłeś, że uwiodłeś Amandę.

- Red, nie uchylam się od odpowiedzialności za swoje czyny, ale muszę ci powiedzieć, że to nie ja byłem stroną uwodzącą. Ona była niczym napalona kotka, wysyłała sygnały, że mnie pragnie. Mając na uwadze to, co wtedy myślałem, nie-szczególnie mocno starałem się jej opierać. Przyznaję się do te-

go. I nie cofam się przed konsekwencjami. Mogłem znaleźć w sobie tyle silnej woli, by dać stamtąd nogę. Nie zrobiłem tego. Ale to nie ja wszystko zacząłem.

- Tym gorzej dla ciebie.

- Nie wiesz nawet połowy. Ja przecież nie lubię Amandy. Ignorowałem jej wszystkie złe cechy, kładąc je na karb długiej podróży, przekonany, że kiedy się już tutaj zdomowi, będzie zupełnie inna. Podobała mi się, to prawda, nawet bardzo. Jest przecież diabelnie piękna. Ale powstrzymałem się z okazaniem jej tego, dopóki tutaj nie dotrze, ponieważ jej zachowanie podczas podróży było jak dla mnie zdecydowanie zbyt dziecinne i egoistyczne. Naprawdę sądziłem, że później się zmieni, ale nie na gorsze.

- Przykro mi to mówić, bo to moja bratanica, ale z tego, co widać, ona nie zamierza zmienić się na lepsze. Mój brat psuł ją ponad wszelką miarę.

- A Marian nie?

- Nie, to Amanda była jego ulubienicą - odparła Kathleen. - Marian nie istniała dla niego.

- Dlatego właśnie próbuje przejść przez życie niezauważona? Z przyzwyczajenia?

- Nie, myślę, że ma to związek z tym, że Amanda bywa o nią zazdrosna. Zaczęła mi to wyjaśniać, ale zboczyliśmy z tematu, rozmawiając o moim bracie.

Chad w zamyśleniu zmarszczył czoło.

- Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że otrzymałem wyjaśnienie w wieczór poprzedzający przyjazd tutaj. Musiałem to z niej wyciągnąć, ale potem po prostu jej nie uwierzyłem, widząc, że wygląda jak stara panna.

- Powiesz mi wreszcie, dlaczego Marian zadaje sobie tyle trudu, by nie narazić się na zazdrość swojej siostry?

Prychnął, słysząc zniecierpliwienie w głosie Kathleen.

- Właśnie do tego zmierzam. Chodzi o to, że Amanda potrafi być tak zazdrosna, iż kiedy tylko się dowie, że Marian podobą się jakiś mężczyzna, natychmiast uruchamia swój urok i próbuje go jej skraść, tak po prostu z czystej złości.

- Z czystej złośliwości? To znaczy nie chce go wcale zatrzymać?

Chad znieruchomiał, po czym zaklął.

- Do wszystkich diabłów! Myślisz, że o to właśnie chodziło jej dziś rano?

- Czy była dziewicą?

Chad po raz kolejny się zarumienił.

- Tak.

- W takim razie nie sądzę, by posunęła się aż tak daleko tylko z czystej złośliwości.

- No a jej zachowanie przed chwilą? Nie sprawiała wrażenia, że chce za mnie wyjść. To wszystko zaczyna do siebie pasować, Red.

Kathleen potrząsnęła głową.

- Gdyby wcześniej straciła niewinność, wtedy mogłabym się z tobą zgodzić. Ale mogła przecież osiągnąć cel i zwrócić ku sobie twe uczucia bez posuwania się aż tak daleko. A poza tym ona udawała, że jest Marian. Gdyby chciała cię oczarować, zrobiłaby to jako ona sama.

Chad westchnął.

- Pewnie tak, co sprawia, że znowu nic nie rozumiem. To znaczy ona mnie nawet nie lubi.

- Jesteś tego pewny?

- No cóż, poza tym przedstawieniem, które urządziła rano, że jest ogarnięta pożądaniem, tak, jestem jak najbardziej o tym przekonany.

- Nie zawsze łatwo odgadnąć kobiece uczucia - zauważyła Kathleen.

- Wiem, ale kiedy najczęstszym uczuciem, jakiego się od niej doświadcza, jest niechęć, nie trzeba być tęgą głową, by pojąć prawdę.

- W takim razie pozostanę przy moim pierwotnym przypuszczeniu.

- To znaczy?

- Postanowiła cię wykorzystać, aby zdobyć swoją część spadku - odparła.

- Ale czy i w tym przypadku nie pasuje twój wcześniejszy wniosek? Że nie posunęłyby się aż tak daleko, że zamiast tego spróbowałyby mnie oczarować?

- Powiedziała bym, że owszem, tyle że wiem, iż w tej chwili jej jedynym celem jest powrót do domu, z mężem czy bez niego, ale z moim błogosławieństwem poślubienia tego, kogo zechce. Nie mam zamiaru udzielić jej na to przyzwolenia i może wreszcie to do niej dotarło. Wie, że zaaprobowałabym twoją kandydaturę na męża. Nie może tego powiedzieć o żadnym mężczyźnie, którego tutaj poznała. Tak więc ślub z tobą będzie dla niej najszybszym biletem do domu, a uwiedzenie ciebie po prostu jej to zagwarantowało.

Chad zmarszczył brwi.

- Ślub ze mną nie oznacza podróży dokądkolwiek

- Cóż, ja to wiem - zapewniła go Kathleen. - I ty to wiesz, ale ostrzeżono mnie, że Amanda niezbyt dobrze przyjmuje odpowiedź przeczącą. Jeśli pochlebstwem nie może zdobyć tego, czego pragnie, obiera inną, znacznie mniej przyjemną taktykę.

- Na przykład nieustanne suszenie głowy? - mruknął Chad.

Kathleen przytaknęła i skrzywiła się.

- Albo skalenie twego dobrego imienia. Wcale bym się nie zdziwiła po tym, jak dzisiaj zobaczyłam jej szokujący strój.

- Nie ma wyjścia z tej sytuacji, prawda?

- Dla porządnego mężczyzny twojego pokroju? Nie.

Skinął głową i wstał.

- Kiedy więc zaczyna się moja odsiadka w piekle?

- W sobotę twój tato organizuje wielkie barbecue. Dzisiaj się o tym dowiedziałam. Porozmawiam wtedy z pastorem, by się dowiedzieć, kiedy będzie miał czas, albo zatrzymam się u niego w drodze powrotnej w niedzielę. Będziesz musiał powiadomić o tym swego tatę.

- O Boże!

- Przykro mi, Chad, naprawdę.

- Nawet w połowie nie lak jak mnie.

Chad nie mógł zasnąć. Wcale go to nie dziwiło. Dobrze by mu zrobił kieliszek czegoś mocniejszego, ale Red nie trzymała w domu żadnego alkoholu. Żałował, że mieszka tak daleko od miasteczka. Żałował, że tak bardzo chce się napić. Prawdę mówiąc, gdyby mogło się spełnić jego jedno życzenie, pragnąłby cofnąć zegar i na nowo rozegrać wydarzenia dzisiejszego dnia.

Tę nocy ktoś jeszcze nie mógł spać. Chad stanął w drzwiach baraku i wpatrywał się w okna domu, zastanawiając się, w którym pokoju pali się światło. I mimo że przyglądał się przez długi czas, nikt nie zbliżył się do okna, by udzielić mu odpowiedzi na to pytanie.

Złe przeczucia nie opuszczały go. Był w pułapce. Został wykorzystany. Wiedział o tym, ale ta wiedza w niczym mu nie pomagała. Mimo że Amanda tak naprawdę go nie chciała, mimo że sądził, iż kocha się z drugą siostrą, czuł, że zapadnia pod jego stopami lada chwila się otworzy. Ponieważ ona była dziewczyną. Ponieważ, czy mu się to podoba, czy nie, odebrał jej dziewictwo, a nie należał do mężczyzn, którzy potrafiliby przyjąć ten fakt obojętnie.

Ten drań, Spencer Evans, umiał. Uczynił już raz coś takiego, uczyniłby ponownie. Nie miał żadnych zasad moralnych, nie dbał o to, że w pogoni za własną przyjemnością mógł kogoś zranić. Szkoda, że to nie na niego Amanda zastawiła pułapkę - co nie znaczy, by w ten sposób zdobyła męża;

Chad porzucił myśl o zaśnięciu i tuż po północy nagryzmołił Lonny'emu krótki liścik z instrukcjami na następne kilka dni, dosiadł konia i pogalopował do miasteczka. Czuł, że musi wypić kilka drinków, bo inaczej zwariuje. Poza tym i tak musiał odwiedzić ojca, aby mu przekazać złe wieści - kolejny powód, dla którego najpierw wolał się porządnie upić.

Księżyc wyświadczał mu przysługę i świecił jasno. Okolica była skąpana w łagodnym, szarawym świetle. Nie miało to wielkiego znaczenia, gdyż i tak nie zwracał uwagi na drogę,

pograżony w niewesołych rozmyślaniach. Jego koń był jednak bardzo zmyślnym zwierzęciem. Około czwartej nad ranem zatrzymał się przed drzwiami saloonu.

„Nie Tutaj” był czynny do ostatniego klienta. Właściwie O'Mally nigdy nie zamykał podwojów swojego saloonu. Chad nie poszedłby do lokalu Spencera, nawet gdyby był otwarty.

Z saloonu właśnie wytaczali się dwaj ostatni klienci. Barman Archie pchnął w kierunku Chada butelkę oraz kieliszek i powrócił do lektury brukowej powieści.

Harry Sue była jedyną dziewczyną, która pracowała w saloonie na nocną zmianę. Dostała takie przezwisko z powodu obfitości ciemnych włosów porastających jej nogi, widocznych pod sięgającym kolan służbowym mundurkiem. Co nie znaczy, by nie można było podziwiać jej zgrabnych nóg. Ta całkiem ładna dziewczyna ochoczo zaoferowała Chadowi swoje usługi. Gdy odmówił, dała mu spokój.

Do świtu powinien już być zalany w pestkę, pracował nad tym usilnie, ale ciągle był trzeźwy - widocznie Archie dał mu butelkę z rozcieńczonym trunkiem. Harry Sue kręciła się w pobliżu, na wypadek gdyby Chad zmienił zdanie i zechciał obejrzeć jej znajdujący się na górze pokój. Ponieważ nie zaproponował jej rozmowy ani niczego innego, zasnęła z głową opartą na stoliku.

Wkrótce pojawi się jej zastępczyni, a za nią kilkoro mieszkańców miasteczka na poranną kawę, którą O'Mally od świtu do południa serwował w tej samej cenie co najtańszy zajzajer. Chad wołał, by nie zastał go tutaj nikt znajomy, jednak nie miał zamiaru wyjść, dopóki alkohol nie zadziała.

Jakby jego pech był niewystarczający, razem ze świtem w drzwiach pojawił się Spencer Evans. Bez wątplenia po to, by się dowiedzieć, co tu robi Chad. Jego obecność w saloonie zdradził koń przywiązany do barierki przed wejściem. Chad powinien rozsiodłać go i zaprowadzić do stajni, ale nie sądził, że zostanie u O'Mally'ego aż do świtu.

Na widok Spencera Archie czujnie uniósł głowę. Na jego twarzy malowało się zaniepokojenie, ale jeszcze trzymał język

za zębami. Zanim w ruch pójdą pięści, postara się wywabić dwóch rywali z lokalu.

Jak na Spencera, nocnego marką, pora była absurdalnie wczesna. Chad nie zdziwiłby się, gdyby obiecał połowie miasteczka kilka dolców za to, że dadzą mu znać, kiedy on się pojawi w saloonie. Podejrzanie często zjawiał się w tym samym miejscu co Chad.

Tym razem Spencer nie stwarzał pozorów, że przechodził tędy przypadkiem. Oparł się o bar tuż obok Chada, zsunął do tyłu kapelusz i zapytał prosto z mostu:

- Co tutaj robisz?

Chad nie odpowiedział, nawet nie spojrzął w jego kierunku. Spencer mruknął coś pod nosem.

Po chwili odezwał się głośniejsze:

- Osobiście wolałbym, aby ta rozmowa w ogóle nie miała miejsca, ale nie mam zamiaru udawać obojętności, kiedy chodzi o tę konkretnie damę. Czy wreszcie się stamtąd wyniesiesz? Wracasz do domu? Czy mogę się przestać martwić o to, że pod moją nieobecność próbujesz się do niej umizgiwać?

- Wyjdź stąd, Spencer.

- To miejsce publiczne.

- Więc usiądź przy stoliku i daj mi spokój.

- Lubię patrzeć jak się upijasz. Zawsze byłeś zabawny po kilku drinkach. Dała ci kosza, zgadłem? Wiedziałem, że tak będzie - prychnął Spencer. - Leczysz złamane serce, co?

Chad wreszcie spojrzął na swoją Nemezisz. O ironio, udało mu się pokonać rywala, choć w gruncie rzeczy wcale tego nie chciał. Spencer nigdy dotąd nie okazywał tak wyraźnie, że pragnie tej samej kobiety co Chad. Zawsze starał się ukrywać swoje zainteresowanie. W jego stylu było skradanie się i efektowny finał w ściganiu się o względy dziewczyny. Do diaska! Jakże oni są do siebie podobni, Spencer i Amanda. Nie znał nikogo, kto bardziej by na siebie zasługiwał jak tych dwoje. Wielka szkoda, że nie dotarło to do niej wcześniej, zanim postanowiła zmarnować mu życie.

W innych okolicznościach Chad powiedziałby Spencerowi prosto w oczy, że wygrał. Co nie znaczy, by zazwyczaj zwycię-

żał w grze, w której stawką była kobieta. Spencer był lepszy w składaniu obietnic, których wcale nie miał zamiaru dotrzymać. Chad chętnie choć raz rzuciłby mu to w twarz. Wet za wet, dokładnie to samo uczyniłby Spencer.

Ale pamiętając o tym, co wygrał, Chad nie czuł się zwycięzcą. I on, i Spencer byli w tym przypadku wielkimi przegranymi i nie miał ochoty teraz o tym rozmawiać. Jedynym powodem, dla którego się tutaj znalazł, było to, że chciał się upić i wymazać wszystko z pamięci.

Rzekł więc tylko:

- Powtarzam, Spencer, wyjdź stąd.
- Daj mi jasną odpowiedź, a tak właśnie zrobię. Ona jest ciągle wolna, zgadza się?
- Marian tak.
- A kim, u diabła, jest Marian?

Chad przewrócił oczami, mimo że nie był zdziwiony tym, iż Spencerowi nic nie mówiło to imię. Zwracał uwagę wyłącznie na Amandę. Może nawet nie wiedział, iż ona ma siostrę. Nie zauważył jej, tak bardzo był skupiony na Amandzie. A jeśli nawet dostrzegł Marian, najpewniej odniósł takie samo wrażenie jak Chad.

- Ta stara panna - odparł krótko.

Spencer parsknął.

- Mam to w nosie. Czy ty celowo starasz się mnie sprowokować, nie mówiąc mi tego, co chcę wiedzieć, czy też po prostu lubisz moje towarzystwo?

Chad nie miał ochoty mu odpowiadać, bo wiedział, że z całą pewnością doprowadziłoby to do bójki. Co nie znaczy, że w tej chwili bójka nie sprawiłaby mu przyjemności, ale w drodze tutaj nie myślał o tym, gdyż nie spodziewał się spotkać Spencera. Byłoby głupotą bić się, w sytuacji gdy on był na wpół pijany, a Spencer trzeźwy. Spencer i tak za kilka dni dowie się o ślubie, kiedy już Red odbędzie rozmowę z pastorem. Nie było więc właściwie powodu, by trzymać to w tajemnicy.

- Coś ci powiem - zaproponował wspaniałomyślnie. - Zamów sobie butelkę mocnego trunku i wypij go aż do tego miej-

sca. - Podniósł butelkę, by pokazać, że została w niej zaledwie ćwiartka whisky. - A potem zastanowię się, czy porozmawiać z tobą o mojej niedoli.

- Niedoli? - Spencer roześmiał się, wyraźnie odprężony. - Chyba wystarczy mi taka odpowiedź. Zostawię cię, byś mógł w samotności topić swoje smutki.

Spencer był już w połowie drogi do drzwi, kiedy usłyszał mruknięcie Chada:

- Proszę bardzo.

Zatrzymał się, zmarszczył brwi i przez kilka chwil wyraźnie bił się z myślami. Następnie gniewnym krokiem zbliżył się do baru i warknął do Archiego:

- Podaj mi butelkę, a jeśli zdradzisz komukolwiek, że piłem marny zajzajer O'Mally'ego, skopię ci tyłek.

Chad przyglądał się z zainteresowaniem, jak Spencer opróżnia butelkę, którą pchnął w jego kierunku Archie. Przerwał na chwilę, westchnął, widząc, że jest dopiero w połowie pusta, wypił jeszcze trochę, po czym postawił ją obok butelki Chada, by porównać zawartość obu, i przechylił ją jeszcze raz.

- A teraz mów, sukinsynu - warknął.

- Jestem pod wrażeniem twojego wyczynu - oznajmił Chad. - I nadal jesteś w stanie mówić?

- Czy muszę to z ciebie wydusić?

- Obaj wiemy, że to by nic nie dało. Masz szczęście, że dostrzymuję słowa. Nie spodoba ci się to, co się stało, tak samo zresztą jak i mnie, ale nie musi o tym wiedzieć całe miasto, wyjdźmy więc na zewnątrz.

Archie westchnął, wyraźnie rozczarowany tym, że został wyłączony z rozmowy. Po ich wyjściu powrócił do czytania powieści. Chad udał się na środek drogi. Nie chciał, by ktoś ich podsłuchiwał, na wypadek, gdyby pod wpływem whisky powiedział więcej, niż powinien.

Spencer chwycił go ze zniecierpliwieniem za ramię.

- jesteśmy wystarczająco daleko. Mów.

Chad skinął głową.

- Nie wiem, czy wiesz o spadku, którego Amanda nie otrzyma, dopóki nie wyjdzie za mąż.

- Coś niecoś słyszałem.

- No cóż, nie miała ochoty czekać. Starania o rękę trwają zwykle długo.

- Jeśli powiesz, że poprosiła cię, byś się z nią ożenił, chyba cię zabije.

- Nie, nie poprosiła mnie o to.

- Masz cholerne szczęście, że tego nie zrobiła.

- Podstępem skłoniła mnie, bym się z nią kochał, a to według Red przesądza sprawę.

Reakcja Spencera z powodu wypitego alkoholu była opóźniona. Przez całe pięć sekund wpatrywał się w swojego przeciwnika, co dało Chadowi czas, by uchylić się przed pierwszym ciosem. Rozwścieczony Spencer rzucił się na Chada i powalił go na ziemię.

- Uważaj, bo cię obrzygam - wykrztusił Chad.

Spencer wstał i warknął:

- Wyzywam cię. W samo południe.

- W południe będę spał, głupku - rzekł Chad, podnosząc się nieporadnie. - Czy topiłbym smutki, jak to ująłeś, gdybym jej pragnął? Mówiłem ci, że mnie oszukała.

- Łgarz! Jak mógłbyś jej nie pragnąć?

- Przebywałem w jej towarzystwie znacznie dłużej niż ty i poznałem ją od najgorszej strony. Jest piękna, to prawda, ale to nie wynagradza reszty. Obciąć jej język i może byłaby do zniesienia.

- To nie jest śmieszne.

- Nie miało być - odparł Chad. - To zepsuty bachor, Spencer, naprawdę zepsuty. Proszę bardzo, weź ją sobie, ale pospiesz się, zanim zaciągnie mnie do ołtarza.

Spencer przestał na chwilę się krzywić i zapytał wojowniczo:

- Mówisz poważnie?

Chad kiwnął głową i natychmiast tego pożałował. Nadal kręciło mu się w głowie.

- W najbliższy weekend Red będzie rozmawiać z pastorem. Spotkają się albo na barbecue na ranchu mojego taty w sobotę, albo w niedzielę po mszy - ostrzegł. - Nie masz więc zbyt wiele czasu. Mówię poważnie. Zyskałbyś moją dozgonną wdzięczność, gdybyś poślubił Amandę.

34

Marian obudziła się z podpuchniętymi oczami, kompletnie ubrana, łącznie z butami na nogach. Spała krótko i nerwowo. Nie spojrzała na zegarek, kiedy wsunęła swój ostatni obraz pod łóżko i zwinęła się na kołdrze w kłębek.

Wcześniej nigdy nie zdarzyło jej się malować przy sztucznym świetle, ale też nigdy dotąd nie malowała z oczami pełnymi łez. Nie była zbyt zadowolona z rezultatu - Chad, leżący na stercie siana, rozpinający koszulę, z wyrazem twarzy tak zmysłowym, że nie było wątpliwości co do tego, co mu chodzi po głowie albo też co zaraz zrobi.

Tej sceny nigdy nie zapomni, nawet gdyby nie przeniosła jej na płótno. Na obrazie widoczne były wszystkie szczegóły, łącznie z brązową plamą na rękawie i niewielką blizną w kształcie półksiężyca tuż nad pępkiem. Był tak bardzo do siebie podobny, że wystarczyło, by Marian przez chwilę na niego patrzyła, a zaczynała czuć łaskotanie w brzuchu. Ale nie był to obraz, który mogła kiedykolwiek komuś pokazać, tak więc na razie jego miejsce będzie pod łóżkiem.

Powinna go zniszczyć, ale nie potrafiła się na to zdobyć. Gdy zupełnie wyschnie, zwinie go i ukryje gdzieś, gdzie Rita i Ella Mae nie znajdą go podczas sprzątanía.

Siedziała na łóżku i rozmyślała o tym, kiedy bez ostrzeżenia otworzyły się drzwi do jej pokoju. Tylko Amanda miała w zwyczaju wpadać do niej bez pukania. Tak było i tym razem. Jej siostra opierała się swobodnie o framugę. Nadał była półnaga - tym razem miała na sobie spódnice i białą koronkową halkę. W dłoni trzymała złożony wachlarz.

Uśmiechała się z wyraźnym zadowoleniem, z domieszką triumfu i radości.

- Czego chcesz, Mandy?

- Och, niczego konkretnego - odparła Amanda, obracając wachlarz na sznureczku.

- W takim razie, wychodząc zamknij za sobą drzwi. Dziękuję.

- Co takiego? Żadnych gratulacji? Przyjdiesz chyba na ślub, prawda?

Amanda mówiła poważnie. Marian zastanawiała się, jak siostrze udaje się pohamować. Pewnie dlatego, że za chwilę powie coś, co uzna za znacznie zabawniejsze.

Marian była ubrana, łóżko pościelone, Amanda nie domyśliła się, że ona prawie całą noc nie spała. Podejrzanie, że Amanda wróciła tutaj po więcej krwi kompletnie Marian rozbudziło. Postanowiła utrzyć siostrze nosa, zanim ta zaatakuje.

- Nic mnie nie powstrzyma przed wzięciem udziału w twoim ślubie, Mandy. Od wielu lat czekam na ten moment. Zacznę wreszcie normalnie żyć.

- Obiecujesz, że nie będziesz głośno szlochać, kiedy będą sła z nim przez kościół?

- No cóż, łzy byłyby nie na miejscu. Nikt nie przystawił mu pistoletu do głowy Nikt nikogo do niczego nie zmusza. To jedynie kwestia braku zgrania w czasie. Bądź spokojna, potrafisz się pohamować.

Słyszając jej swobodny ton, Amanda skrzywiła się z irytacją.

- Nie udawaj, że cię to nic nie obchodzi.

- Jeszcze wczoraj rano pewnie by mnie to obchodziło. Dziś już nie.

- Kłamczucha! Wiem, że go pragniesz. W przeciwnym wypadku nie zrobiłabyś z siebie stajennej ladacznicy.

Ordynarne słowa Amandy wywołały rumieniec na twarzy Marian.

- I kto to mówi! Ty miałas już z pół tuzina kochanków. Teraz przynajmniej nie będziesz musiała plamić prześcieradła sztuczną krwią. Twój oszukany przyszły mąż sądzi, iż to on był

tym pierwszym. Brawo, siostrzyczko, to było doskonałe posunięcie, nawet jak na ciebie.

Tym razem to Amanda się zarumieniła.

- Nie dlatego to zrobiłam. Co mnie obchodzi, co sobie pomyśli mój mąż - parsknęła Amanda. - Mężczyzna, który się ze mną ożeni, będzie wdzięczny, że zechciałam go poślubić, bez względu na to, czy byłam dziewicą czy nie.

- Kiepsko kombinujesz. Już postanowione, kto zostanie twoim mężem - rzekła Marian.

- Owszem.

Amanda ponownie się uśmiechała. To był dla niej prawdziwy triumf - nie tracąc czasu na zaloty, zdobyć mężczyznę, którego Marian pragnęła dla siebie. W ten sposób wyrówna rachunki za każdą chwilę zazdrości i żalu, jaką od przyjazdu do Twisting Barb odczuwała w stosunku do Marian.

Doprowadzi do ślubu, bo dzięki temu uzyska to, czego chciała. A jeśli Chada nie uda się nakłonić pochlebstwami ani zrządzeniem do tego, by przenieśli się do Haverhill, znajdzie sposób, by mogła pojechać tam sama. On może przyjechać za nią. I pewnie tak zrobi, ponieważ jej pragnie. Kiedyś wreszcie znudzi mu się to wieczne ściganie jej i podda się. Amanda dostanie to, czego pragnie - spadek i absolutnie wolną rękę.

Marian wstała z łóżka i podeszła do drzwi. Chwyliła klamkę, co było sygnałem, że ma zamiar zamknąć je, bez względu na to, czy Amanda usunie się z drogi czy też nie. Niestety, Amanda zdażyła się usunąć, tyle że znalazła się wewnątrz, a nie na korytarzu.

- Idź sobie triumfować gdzie indziej, Mandy, mnie to naprawdę nie interesuje.

Amanda zaczęła się wachlować, mimo że przez otwarte okno wpadało do środka przyjemne chłodne powietrze, i przechadzać leniwie po pokoju.

- Jestem ciekawa - rzekła, zupełnie ignorując uwagę siostry - dlaczego wczoraj wieczorem nie odezwałaś się i nie wyjawiałaś prawdy? Taka jesteś szlachetna, że sama nie chcesz zaciągnąć go do ołtarza?

- Mam dla siebie więcej szacunku niż ty, by pragnąć...
- Mam dla siebie bardzo dużo szacunku - przerwała jej Amanda. - To ty wyglądasz jak brzydka stara służąca.

Rumieniec powrócił, ale tym razem był to rumieniec gniewu.

- Wiesz co, Mandy, masz absolutnie rację - przyznała Marian.

Zerwała z nosa okulary, przełamała na pół i odrzuciła je na bok. Wyciągnęła z włosów spinki i potrząsnęła głową.

Amanda nie spodziewała się, że jej prowokacja odniesie taki skutek. Przez chwilę stała bez ruchu, wpatrując się w swoje własne odbicie.

- Wiesz, że nie uda ci się odsłonić tak do końca - odezwała się z wahaniem, ale jednocześnie z odrobiną nadziei. - Zbyt długo nosiłaś przebranie.

- Święta prawda, zbyt długo. Dzięki za przypomnienie, że już go nie potrzebuję. Masz nareszcie obiecane go. Myślę, że spokojnie mogę się teraz zacząć rozglądać za mężem dla siebie, nie sądzisz?

- Nie sądzę - naburmuszyła się Amanda. - I nie myśl sobie, że nie wiem, o co ci chodzi. Masz zamiar spróbować odzyskać go z powrotem, ale to ci się nie uda, chyba że powiesz mu prawdę. A czemu, u diabła, tego nie zrobiłaś?

- Ponieważ nie uwierzyłyby mi. Słyszałaś, co powiedział w tajni. Myślał, że to ty. Pragnął, abyś to była ty. Będzie podskocytowany tym, że zdobył kobietę, której pragnął.

- Tak, to prawda - wymruczała Amanda, mile połączona w swej próżności. - Nie będzie mu przeszkadzało, że go oszukałam, o ile kiedykolwiek się o tym dowie. Szkoda tylko, że ty także go pragnęłaś.

- Owszem, ale przynajmniej uświadomiłam sobie swój błąd, zanim było za późno. Powinłam ci w gruncie rzeczy podziękować za to, że uratowałaś mnie przed tym całym zamętym. Uwierz mi, nigdy nie sądziłam, że powiem ci coś takiego.

Amanda zamrugała powiekami i zmarszczyła czoło.

- O czym ty mówisz? - zapytała. - Jaki zamęt?

- Ten, który powstał przez moją pomyłkę. Byłam na tyle głupia, iż sądziłam, że mogę mu się podobać. W stajni Chad był przekonany, że kocha się na sianie z tobą, nie ze mną. Gdybyś nie skłamała, byłabym na niego skazana.

- Do diabła, Mari, czy ty myślisz, że jestem głupia? Wiem, do czego zmierzasz, ale mnie nie oszukasz. Podobał ci się na tyle, byś mu się oddała. Nie udawaj, że jest ci obojętny.

- Podobał mi się, nie przeczę. Żałuję, że straciłam głowę i pierwszy raz w życiu dałam się ponieść namiętności. Najpierw powinnam była przekonać się o prawdziwości jego uczuć. Teraz już jestem pewna, że to była pomyłka i przysięgam - nie wyszłabym za niego nawet wtedy, gdybyś z jakiegoś powodu ty tego nie zrobiła.

- Nie wierzę ci.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Amanda zacisnęła usta, co było znakiem, że traci grunt pod nogami. Marian wysunęła decydujący argument:

- Wiesz, Mandy, niechętnie to mówię, ale ty i ja jesteśmy w tym względzie bardzo do siebie podobne.

- Jak diabli - prychnęła Amanda.

- Wiem, mnie także trudno w to uwierzyć - uśmiechnęła się Marian. - Ale nie dostrzegasz tego, że ja nie chcę być druga w kolejności dla żadnego mężczyzny, tak samo jak ty. A teraz wyjdiesz stąd wreszcie? Czeka mnie przejrzanie całej mojej garderoby i sprawdzenie, czy coś się nadaje dla „nowej” Marian. A może byłabyś tak miła i pożyczyła mi kilka swoich sukienek, dopóki nie znajdę w miasteczku krawcowej? Ostatnio chodzisz prawie naga, więc jestem pewna, że nawet nie zauważysz ich braku!

3 5

Amanda wyszła, trzaskając drzwiami. Marian ze zdziwieniem poczuła, że ma ochotę się uśmiechnąć. Jeśli przez te wszystkie lata nauczyła się czegoś od swojej siostry, były to umiejętności

aktorskie, a odegrane przedstawienie godne profesjonalisty. Pytanie jednak czy odniosło zamierzony skutek. Niczego to nie zmieniało, ale mogło ją uchronić przed triumfującymi uśmiezkami siostry.

Amanda nadal pragnęła wyjść za mąż, im szybciej, tym lepiej. Marian wykreśliła przed chwilą jeden z powodów, dla których jej siostra akceptowała w tej roli Chada. Pozostawały jednak inne: on tego pragnął, Kathleen zgodziła się na ślub, ślub odbędzie się wkrótce. Jeśli nikt nie przyciągnie jej spojrzenia ani nie zainteresuje przed ustaloną przez Kathleen datą ślubu, Amanda wyjdzie za niego.

Marian podniosła z podłogi połamane okulary. Przyglądała im się przez dłuższą chwilę. Mogła je zastąpić zapasową parą, ale po co? Nie zanosіło się na to, by wróciły do Haverhill, gdzie każdego dnia mężczyźni składaliby wizyty Amandzie i niektórzy woleliby zamiast niej Marian. Wrzuciła okulary do kosza na śmieci.

Natomiast potrzebna jej była nowa garderoba. Wybierała bure kolory nie dlatego, że takie jej się podobały, ale dlatego, że czyniły ją nieatrakcyjną. Ale teraz koniec z tą farsą. A jeśli Amanda poczuje się zagrożona - tym gorzej dla niej.

Zdjęła suknię, w której spała. Znalazła w swoich rzeczach białą bluzkę, w neutralnym kolorze. A jeśli chodzi o spódnicę - dostrzegła tę do jazdy konnej, którą pożyczyła od ciotki i miała na sobie wczoraj rano...

Nie będzie płakać. Co się stało, to się nie odstanie. Nadchodzący dzień przywita z podniesionym czołem.

Nadal chciała nauczyć się jeździć konno, ale nie zamierzała już pobierać lekcji od Chada. Poznała podstawy, dalej poradzi sobie sama. Co mogło być trudnego we wdrapaniu się na konia i pozostaniu na jego grzbiecie, skoro w tej części kraju konno jeździli wszyscy? Nauczy się tego bez niczyjej pomocy.

Wciągnęła na siebie spódnicę i ruszyła w kierunku drzwi. Ten właśnie moment wybrała sobie Ella Mae, by zapukać i nie czekając na zaproszenie, wsadzić głowę do środka.

- O tak! - stwierdziła, natychmiast pojmując, że zmiana w wyglądzie Marian jest umyślna. - Najwyższy czas.

Marian jakoś udało się nie zarumienić.

- Nie pozostał już ani jeden powód, dla którego miałabym nadal nosić niemodne suknie i ukrywać się za okularami.

- Słyszałam - odparła Ella Mae głosem zabarwionym niechęcią. - Powiedziała mi o tym wczoraj wieczorem Amanda, kiedy przyszłam, by zabrać do prania jej rzeczy. - Po chwili dodała z wahaniem: - Chcesz o tym porozmawiać?

- Nie.

- Tak myślałam. Jeśli jednak zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Ułożyć ci włosy czy chcesz mieć rozpuszczone tak jak teraz?

- Mam ochotę pozostać w rozpuszczonych, ale boję się, że przesadzę w drugą stronę.

- Trzeba będzie podciąć grzywkę - oceniła Ella Mae. - Niedużo. Będziesz mogła spać włosy tak jak Amanda.

Marian skinęła głową.

- Nie chcesz mnie tylko w jej ulubionym stylu. Te loczki są jak na mój gust zbyt przesłodzone.

Nie zabrało to Elli Mae zbyt dużo czasu. Była bardzo zręczna w układaniu włosów. Fryzura może nie była ostatnim krzykiem mody, ale za to niezwykle twarzowa. Przewięzała długie pukle niebieską wstążką. Odrobinę przycięła grzywkę, pozostawiając kilka wijących się kosmyków przy skroniach, co nadawało twarzy Marian zupełnie nowy wyraz.

- Na twoim miejscu ona poszłaby teraz złożyć wizytę, by się pokazać - zasugerowała Ella Mae. - Ale ty nie bawisz się w takie gierki.

Marian uśmiechnęła się szeroko. Nie musiały definiować, kim jest „ona”.

- Ona nigdzie nie wychodzi, siedzi zamknięta w pokoju, a poza tym już wie, że skończyłam z ukrywaniem się. Teraz idę spotkać się z koniem - zażartowała.

Liczyła na to, że w stajni nikogo nie będzie. Chłopak opiekujący się końmi nadal był chory i leżał w łóżku. Nie spozjrzała

na zegarek przed wyjściem z domu, więc nie była pewna, która jest godzina. Sądząc po położeniu słońca, koło południa.

Kathleen przyjechała na lunch i wprowadziła konia do stajni, co wskazywało na to, że dzisiaj nigdzie się już nie wybiera. Właśnie zamykała boks, kiedy usłyszała zbliżające się kroki.

- Dziwi mnie twoja obecność tutaj, Amando - odezwała się surowym głosem. - Przynajmniej ubrałaś się przyzwoicie.

- Jestem Marian.

- Akurat! - prychnęła Kathleen.

Marian zamrugała powiekami. Czegoś takiego się nie spodziewała. Od dawna nie musiała nikogo przekonywać, kim jest.

Zdażyła już zapomnieć, jakie to irytujące, gdy nie przychodziło jej nic do głowy, co mogłoby stanowić dowód, że ona to Marian. Wiele razy znajdowała się w takiej frustrującej sytuacji. Na szczęście odbyła z ciotką rozmowę od serca, której szczegóły znały tylko one dwie.

Postanowiła odwołać się do niej.

- Kiedy ciocia pożyczła mi tę spódnicę, powiedziała, abym ignorowała docinki kowbojów, którzy będą się ze mnie naśmiewać, że noszę babskie portki. Jestem pewna, że byliśmy same, kiedy ciocia to powiedziała.

Kathleen wyraźnie się odprężyła.

- Tak, i w dodatku na tyle daleko od drzwi, że jeśli nawet ktoś próbowałby nas podsłuchać, nic by nie wskórał. Tak więc to rzeczywiście ty. Cóż za zadziwiająca przemiana!

- Może ustalimy jako znak rozpoznawczy, jakieś słowo albo liczbę, żeby na przyszłość nie było wątpliwości.

- Koniec z okularami? - zapytała Kathleen, pomijając milczeniem sugestię bratanicy.

- Nie zamierzałam nosić ich po wyjściu Amandy za mąż, a skoro jest już prawie mężatką...

Nie miała zamiaru poruszać tego akurat tematu. Na szczęście Kathleen odparła jedynie:

- Owszem, niedługo będzie.

Aby szybko zająć myśli ciotki czym innym, Marian zapytała:

- W jaki sposób dostaniemy się do miasteczka? Nie nauczyłam się jeszcze jeździć konno.

- Zazwyczaj jadę tam w sobotę. Załatwiam sprawunki, zostaję na noc, w niedzielę idę do kościoła, potem składam krótkie wizyty znajomym i koło południa wracam do domu. Ale skoro wy, dziewczęta, nie umiecie jeździć konno, podróż zabierze nam znacznie więcej czasu. Mam starą furmankę, której używam do przewożenia produktów, ponieważ jednak Spencer nie zabrał jeszcze powozu, myślę, że możemy z niego skorzystać. Nasze plany nieco się zmieniły.

- Och?

- Stuart zdążył już wszystkich powiadomić o rychłym ślubie syna. Właśnie z tej okazji w sobotę urządza barbecue. Spodziewam się, że zjawi się tam większość mieszkańców miasteczka. Tak więc najpierw udamy się na ranczo Kinkaida, a do miasteczka pojedziemy w niedzielę. Będziemy musiały wyjechać w sobotę o świcie, a i tak na miejsce dotrzemy dopiero późnym popołudniem. Nie martw się, zabawa u Stuarta trwa zwykle do późnej nocy.

- Wiem, że to kłopot. Obiecuję, że przed następną wycieczką nauczę się jeździć konno. Prawdę powiedziawszy - uśmiechnęła się szeroko - dlatego właśnie tu dzisiaj przyszłam.

Kathleen zmarszczyła brwi.

- Nie ma tu teraz Chada, żeby mógł ci udzielić lekcji. Pojechał spotkać się z ojcem. Nie będzie go kilka dni. Prawdę mówiąc, nie spodziewam się, by wrócił przed naszym wyjazdem na barbecue. Ale skoro wróciłam już dzisiaj na dobre, może same stawimy temu czoło?

Marian z ulgą skinęła głową. Gotowa była sama się uczyć, ale ten pomysł nie bardzo jej się podobał.

Kathleen instruowała Marian, jak radzić sobie z koniem, ale duchem wydawała się nieobecna. Marian nie była tym zaskoczona. Kathleen miała o czym myśleć.

Podczas lekcji Marian zastanawiała się, czy powiedzieć ciotce prawdę. Kathleen prawdopodobnie by jej uwierzyła, ale pewności nie miała. Rzecz dotyczyła Amandy, ale była najdziwniejszą z historii, jakie Marian opowiedziałyby ciotce. Pomijając wszystko, jej najnowszy wyczyn może się okazać niełatwy do zaakceptowania. Poza tym Chad, który był przekonany, że kochał się z Amandą, zakwestionowałby to i kategorycznie odmówił, gdyby Kathleen nalegała, by zamiast niej ożenił się z Marian. Nie znaczy to, że Marian poślubiłaby mężczyznę, który został do tego zmuszony i że w ogóle chciała jeszcze Chada.

Nadal jednak uważała, że powinna coś zrobić, nie dlatego, by oddać Chadowi przysługę, ale dlatego, że zdecydowanie był pokrzywdzony, bez wątpienia z jej przyczyny. Mogła nie dopuścić do tego, co się stało w stajni, ale nie uczyniła tego. W tej chwili może i jest zadowolony, że zdobył Amandę, ale zrzędzie mu mina, gdy wezmą ślub, a Amanda zacznie nalegać, by wyjechali do Haverhill.

To byłoby właściwe, bez względu na to, czy ktokolwiek by jej uwierzył. Chciała po prostu, by Kathleen zrozumiała, iż ona nie wyszłaby za Chada, bo nie byłoby to uczciwe wobec niego, skoro sądził, że kochał się z kimś innym. To ona popełniła błąd i to ona będzie musiała żyć z jego konsekwencjami.

Boże, cóż za krępujący temat! Nie musiała się przynajmniej spieszyć. Miała kilka dni na to, by się zastanowić, jak się do tego zabrać. Może po barbecue. A może dopisze jej szczęście i Amanda znajdzie sobie tam kogoś, kto będzie jej odpowiadał bardziej niż Chad i sama się do wszystkiego przyzna.

Mając uwagę rozproszoną niechcianymi myślami, podobnie jak Kathleen, Marian ze zdumieniem odkryła, że siedzi na kłaczach z wodzami w dłoniach.

- No dobrze - oświadczyła ciotka. - Czas na test. Wyruszamy na przejażdżkę.

Chada obudziło walenie do drzwi. Cienie w hotelowym pokoju wskazywały na to, że słońce zaszło niedawno, ale noc jeszcze nie nadeszła. Zwlókł się z łóżka całkowicie ubrany. Kiedy rankiem wczołgiwał się na posłanie, nie był w stanie o niczym myśleć.

Walenie nie ustawało.

- Już idę - mruknął.

Przeczuwał, kto stoi po drugiej stronie drzwi, bez mała rozpoznał pukanie, dlatego gniewnie otworzył je na oścież. Nie mylił się.

- Do diabła, czy ja w tym mieście nie mogę zrobić niczego, o czym byś się zaraz nie dowiedział?

- Raczej nie. - Ojciec Chada roześmiał się, po czym niespiesznie wszedł do pokoju.

Chad zamknął za nim drzwi i przeciągnął dłonią po twarzy, próbując ztrzeć z niej resztki snu. To był błąd. W skroniach pojawił się ból, który przypominał mu, po co w ogóle przybył do miasteczka.

- Nie wyglądasz za dobrze - zauważył Stuart, rozsiadłszy się wygodnie w jedynym fotelu.

- Trochę za dużo wypiłem.

- Słyszałem. Dlaczego nie zatrzymałeś się w naszym domu w miasteczku? Nie utrzymuję go ot tak, dla kaprysu.

- Chciałem mieć dobry widok na ulicę.

- Czy poza powodem, dla którego się tutaj zjawiłeś, jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

- Dasz mi się dobudzić czy będziesz mnie zameczać pytaniami?

- Chyba dam - westchnął Stuart.

Chad podszedł do okna. Zmierzchało. W znajdującej się opodal stajni było jasno. Koń, którego przywiązał Spencer, nadal stał w tym samym miejscu.

Po rozmowie z nim miał szczerą nadzieję, że nie będzie musiał mówić ojcu, jak wielkim okazał się głupcem. Powinien był

jednak przewidzieć, że ktoś da znać Stuartowi, iż jego syn jest w mieście i że próbuje się zalać w trupa. Wbrew przewidywaniom Chada Spencer nie pojechał na ranczo Kathleen. Możliwe, że postanowił poczekać do barbecue i tam zalecać się do Amandy. A może uznał, że po tym, co powiedział mu Chad, już jej nie chce. Bądź co bądź, istniała taka możliwość.

Skoro wiedziony ciekawością ojciec pofatygował się do miasteczka, nie było sensu owijać niczego w bawełnę. Chad oświadczył więc otwarcie:

- Żenię się.

- Z jędzą? - zapytał Stuart i westchnął z niezadowoleniem. - Przyjechałeś do miasteczka, by to świętować? Dlatego tyle wypiłeś?

Chad potrząsnął głową, krzywiąc się.

- Zimno. Nie jestem zbyt szczęśliwy z tego powodu.

- Nie? - zapytał z konsternacją Stuart, po czym uśmiechnął się z ulgą. - Ach, więc wrócił ci zdrowy rozsądek? W takim razie wymigaj się. Ona może to zrozumie, a jeśli nie, tym gorzej dla niej. I tak pewnie będzie się do niej zalecać większość chłopaków z tego hrabstwa...

- Nie mogę się wymigać, tato. To już ustalone. Muszę się z nią ożenić.

Stuart wyprostował się na fotelu, a na jego twarzy pojawiła się irytacja.

- Musisz? Co ty takiego zrobiłeś?

- Straciłem rozum.

- To już zdążyłem zauważyć, ale jak to możliwe, że ty też tak myślisz? Sądziłem, że jesteś nią zainteresowany.

- Byłem. Kiedy jeszcze uważałem, że to, co mi się w niej nie podoba, ma związek z długą podróżą. Ale ona się nie zmieniła, a nawet stała się jeszcze gorsza. To przebiegła, manipulująca innymi suka.

- I jędza.

- Jędza także.

- Co więc sprawiło, że przejrzałeś na oczy? - zapytał Stuart.

- Postanowiła mnie wykorzystać, by zdobyć swoją część spadku. Doskonale wiedziała, że Red mnie zaakceptuje. Okazałem się dla niej najprostszym sposobem na osiągnięcie celu.

- Jeśli mi powiesz - warknął Stuart - że poprosiła cię, byś się z nią ożenił, a ty podskoczyłeś na samą myśl o tym, chyba ci spuszczę lanie za twoją głupotę.

Chad parsknął śmiechem.

- Nie. Żałuję, ale nie była tak bezpośrednia i uczciwa. Podstępem nakłoniła mnie, bym się z nią kochał, a potem doprowadziła do tego, że dowiedziała się o tym Red.

- Tego się właśnie obawiałem. - Stuart westchnął, po czym dodał: - Nie bądź dla siebie taki surowy, chłopcze. Pewnie każdy mężczyzna dałby się uwieść tak ładnej dziewczynie.

- Nadal nie usłyszałeś decydującego argumentu.

- Jest coś jeszcze?

Chad skinął głową.

- Ty pewnie tego nie zauważyłeś - trochę trwało, nim sam to pojąłem - ale te siostry są bliźniaczkami.

- Nie mów!

- Tak. Byłem przekonany, że kocham się z Marian. Amanda przebrała się, wyglądała jak Marian i udawała, że jest nią. Doskonale jej się to udało. Nigdy nie odgadłbym prawdy, na prawdę sądziłem, że to Marian. Aż do wczorajszej kolacji, kiedy Amanda zeszła na dół i powiedziała o wszystkim Red.

Stuart zerwał się z gniewem na równe nogi.

- Teraz to już mi naprawdę wszystko śmierdzi. Red nie każałaby ci ponosić konsekwencji, gdyby się dowiedziała całej prawdy. Wracaj tam i powiedz...

- Amanda była dziewczyną, tato.

- Jasny gwint!

- Zgadzam się z tobą. Ale zapaliło się we mnie światełko nadziei. Jeśli będę miał szczęście, prawdziwe szczęście, Spencer pomoże mi się z tego wywinąć.

- No i czemu od tego nie zacząłeś? Ty i on znowu jesteście przyjaciółmi?

- Na Boga, nie!

- W takim razie walczyście o tę samą kobietę? - domyślił się Stuart.

- Nie ma żadnej walki - odparł Chad. - On jest na tyle głupi, by ją chcieć. Ja nie.

Stuart zmarszczył brwi.

- Ale w jaki sposób ma to pomóc? Szkoda została już wyrażona.

- Tak, ale on o wszystkim wie i mimo to ją chce - wyjaśnił Chad. - Pojawił się rankiem w saloonie O'Mally'ego i nie dał mi spokoju, dopóki mu nie powiedziałem, dlaczego tutaj jestem. Gdybym był trzeźwiejszy, najpewniej zachowałbym to dla siebie. Przy odrobinie szczęścia będę się cieszył, że tego nie zrobiłem.

- Ale czy Red się nie upiera, by ta dziewczyna wzięła z tobą ślub? - zapytał Stuart.

- Red jest z tego powodu równie szczęśliwa jak ja. Jeśli Spencerowi uda się przekonać Amandę, by wyszła za niego zamiast za mnie, sądzę, że Red da im swoje błogosławieństwo. Wie, że zostałem wzięty podstępem.

- Do diabła, ulżyło mi trochę - uśmiechnął się wreszcie Stuart. - Już myślałem, że będę musiał zamówić dla ciebie tarcicę, byś mógł wybudować własny dom.

Chad przewrócił oczami i przypomniał ojcu:

- Powiedziałem: jeśli uda mu się ją przekonać. Nie ma żadnej gwarancji, tato. Amanda równie dobrze może kazać Spencerowi odczepić się od niej. Ma już przecież obiecanego męża. I zadała sobie dużo trudu, by mnie upolować.

- Tak, ale jest nadzieja - nie poddawał się Stuart. - To mi na razie wystarczy.

- Spencer potrafi uwodzić i mówić kobiecie dokładnie to, co ona pragnie usłyszeć.

Stuart roześmiał się.

- Wygląda na to, że ci dwoje są dla siebie stworzeni.

- W pełni się z tobą zgadzam.

Stuart wstał z fotela, ale nie miał zamiaru jeszcze wychodzić.

- Masz coś przeciwko temu, bym zamówił kolację do pokoju? - zapytał.

- Masz coś przeciwko temu, że się nie przyłączę? - odparł Chad. - Prawdę mówiąc, wolałbym, żebyś dał mi jeszcze po-spać.

- To niemożliwe, byś nadal był zmęczony - zaprotestował Stuart. - Spałeś przez cały dzień.

- Nie cały dzień. Przez całe przedpołudnie stałem przy oknie i czekałem na decyzję Spencera. Nie pojechał jednak na ranczo Kathleen.

Stuart ponownie zmarszczył brwi.

- Myślisz, że dał za wygraną?

- Nie sądzę. On nigdy nie daje za wygraną. Myślę, że czeka do barbecue i tam zakręci się koło Amandy.

Twarz Stuarta rozpogodziła się.

- Pomogę mu w tym, osobiście zabawiając Red.

37

Trwały gorączkowe przygotowania do wielkiego barbecue. Amanda udawała znudzenie. Pomijając wszystko, była to tylko wiejska zabawa. Marian jednak widziała, że siostra jest podekscytowana, aczkolwiek nawet nie w połowie tak bardzo jak ona sama. W Haverhill była już na kilku balach razem z siostrą, ale ukrywała się wtedy za okularami i nie była w stanie dobrze się bawić. Na tym teksańskim przyjęciu miała wyjść z cienia.

Nie było czasu, by uszyć nowe stroje, a balowe suknie nie były odpowiednie na barbecue. Marian nie miała co na siebie włożyć. Bluzki Amandy jak na jej gust były zbyt eleganckie. Red znalazła trochę koronki i Ella Mae zdziałała cuda. W starej sukni Marian w kolorze beżowym odpruła wysoki kołnierzyk i rękawy, brzegi obszyła białą koronką. Suknia Amandy była strojnieszka, ale Marian ładniejsza dzięki swej prostocie.

Gdy tylko Marian skończyła malować miniaturowy portret rabusia z pociągu, Red wysłała go przez jednego ze swych ludzi do szeryfa. Mogły zawieźć go osobiście w niedzielę, kiedy będą przejeżdżać przez miasteczko, ale Red uznała, że nie należy z tym zwlekać. Nie zdążyły się jeszcze dowiedzieć, czy obrzązek przyda się w pojmaniu przestępcy, ale zapytają o to szeryfa na barbecue, gdzie z całą pewnością się pojawi.

W sobotę wstały na długo przed świtem, by mieć czas na przebranie się i zjedzenie szybkiego śniadania. Na rancho Kin-kaida dotarły wczesnym popołudniem. Większość mieszkańców miasteczka, którzy mieli zamiar wziąć udział w przyjęciu, była już obecna. Niektórzy przyjechali nawet poprzedniego dnia wieczorem, by niczego nie stracić z zabawy.

Dziewczęta zostały uprzedzone, że rancho Stuarta jest wielkie, ale nie przypuszczały, że aż tak. Rezydencja przypominała pałac i górowała nad budynkami w okolicy. Barbecue odbywało się na jej tyłach.

Stoły zbudowano z długich desek. Opodal znajdowała się scena i specjalne miejsce do tańczenia. Muzycy już grali, ale nikt na razie nie tańczył. Nad ogniem obracały się różna pełne mięsiva, polewane wytworzonym sosem. Służący pielgrzymowali od domu do stołów, donosząc przykryte kraciatymi ściereczkami półmiski z jedzeniem, żeby nie wyschło, zanim przyjdzie czas na rozpoczęcie biesiady. W powietrzu unosiły się wyjątkowo apetyczne zapachy.

Większość gości zgromadziła się przy wybiegu obok stajni, gdzie odbywało się ujeżdżanie mustanga. Słychać było okrzyki i śmiechy. Wszyscy zdawali się doskonale bawić, z wyjątkiem kowboja, który próbował utrzymać się na grzbiecie narowistego konia. Wyglądało to niebezpiecznie. Kowboj nie pozostał na nim długo.

Marian trzymała się z daleka od rodeo. Jak na jej gust było tam zbyt hałaśliwie. Dowiedziała się, że odbędą się jeszcze wyścigi konne, a może także turniej strzelecki i zawody w łapaniu na lasso - mnóstwo okazji, podczas których kowboje będą mogli popisać się swymi umiejętnościami.

Kathleen przedstawiła dziewczęta przybyłym gościom. Amanda dobrze się bawiła, ale ona zawsze błyszczała na wszelkiego rodzaju spotkaniach i wkrótce została okrzyknięta królową barbecue. Marian nie zazdrościła jej tego. Może wreszcie wyszła ze swej skorupy, ale nigdy nie będzie miała pewności siebie Amandy. Osoby, które widziały ją zaraz po przyjeździe do miasteczka, były zaskoczone przemianą, jaką się w niej dokonała. Tydzień temu wyglądała zupełnie inaczej.

Gospodarz uraczył Kathleen tyloma komplementami, że aż zaczęła się rumienić - ciotka rzeczywiście wyglądała wyjątkowo uroczo w haftowanej bluzce i spódnicy z podwójnymi falbanami.

Spencer prezentował się niezwykle szykownie w czarnym surducie, z fularową chustką pod szyją. Odszukał Amandę i zajął rozmową. Marian zastanawiała się, czy Amanda powie mu, że wychodzi za Chada. Pewnie nie, za to chętnie z nim po-flirtuje.

Marian uznała za ironię to, iż zawsze zakładała, że jej „ujawnienie się” zmieni wszystko, podczas gdy w rzeczywistości zdawało się nie zmieniać niczego. Była teraz ładna, to prawda, nadal jednak nie przyciągała do siebie ludzi ani nie bawiła się lepiej niż na przyjęciach, w których brała udział wcześniej.

Amanda odciągnęła ją na bok i rzuciła ze zniecierpliwieniem:

- Nie garb się. Masz ładną figurę, pokaż ją. I przestań zerkać w dół, jakbyś próbowała dojrzeć coś zza tych głupich okularów. Już ich przecież nie nosisz.

Niesłychane! Amanda chce pomóc siostrze, by zrobiła lepsze wrażenie? Zanim Marian otrząsnęła się z szoku, Amanda dodała:

- Jak mam z tobą konkurować, skoro nadal próbujesz się ukrywać?

- Nie ukrywam się.

- Oczywiście, że tak - odparła Amanda. - Tak się do tego przyzwyczaiłaś, że stało się to twoją drugą naturą. Otwórz się, Mari. Pokaż, jaka jesteś naprawdę.

Po tych słowach Amanda oddaliła się, pozostawiając Marian w stanie szoku. Otrzymała siostrzaną radę, tyle że nie była pewna, jak ją odebrać. Próbowwała rozszyfrować ukryte motywy Amandy, ale poza uwagą o konkurowaniu nic jej nie przychodziło do głowy. Nie bardzo to wszystko do siebie pasowało. Amanda i tak pozostanie w centrum zainteresowania, bez względu na wszystko. Jej żywy temperament i pewność siebie przyciągały wzrok.

Marian odeszła dalej. Pograżona w myślach, nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się obok stajni. Ocknęła się w porę, by ujrzeć, jak Chad podskakuje na grzbiecie nieujeżdżonego mustanga.

Wstrzymała oddech. Trzymał się grzywy jedną ręką. Drugie ramię wyciągnął w bok, pewnie po to, by zachować równowagę. Koń robił, co mógł, by go zrzucić. Pełen determinacji wiergał i podskakiwał.

Marian zacisnęła powieki. Nie była w stanie znieść widoku spadającego Chada, a wiedziała, że to nieuchronne. Koń był dziki i przerażony. Nasłuchiwała okrzyków tłumy. Kiedy to się stało, ludzie wydawali się poirytowani, tak jakby spodziewali się, że Chadowi uda się poskromić zwierzę.

- Utracił koncentrację.
- To jej wina, patrzył na nią.
- . Co za pech.

Marian rozejrzała się, chcąc się przekonać, o kim mówią, ale tuzin stojących w pobliżu mężczyzn wpatrywało się w nią. Zamieniła się i zamierzała odejść.

- A niech mnie, jeśli to nie ta panienka ze Wschodu. Co słychać, psze pani?

Jęknęła w duchu. To ten olbrzym, Leroy. Nie przypuszczała, że jeszcze kiedykolwiek go spotka. Wziął ją za Amandę - no cóż, może niezupełnie, ale nie miała ochoty niczego wyjaśniać.

Posłała mu chłodny uśmiech.

- Czy my się znamy? Jestem Marian Laton. Być może chodzi panu o moją siostrę bliźniaczkę?

Uniósł z powątpiewaniem brew. Wyglądało to dość zabawnie - taki potężny mężczyzna próbujący okazać sceptycyzm.

- Bliźniaczka, co?

- Daj jej spokój, Leroy - rzucił Chad, podchodząc do nich i otrzepując spodnie.

Marian z uczuciem ulgi zobaczyła, że jest jedynie zakurzony. Nigdzie nie widać krwi ani śladów po końskich kopytach.

- Jeszcze tu nie rządzisz, żebyś wydawał mi polecenia, chłopcze. - Leroy nie wydawał się przejęty.

- Ojciec ostrzegął cię, byś nie zbliżał się do gości.

Leroy roześmiał się.

- Zgadza się. Ale dowiedziałem się, że masz zamiar ujarzmić mustanga, którego przyprowadziłem. Miałem nadzieję, że ten koń wyrówna nasze rachunki.

- Jeśli chcesz się na mnie odegrać, Leroy, powiedz tylko słowo.

- Zastanawiam się nad tym.

- Mówią, że na myślenie dobra jest kąpiel. Może byś spróbował? - zasugerował Chad. - Tata kazał zbudować kilka wani w południowej stodole.

- Wiem. Zawieruszyłem się tam przez pomyłkę i ten mały człowieczek zajmujący się wannami tylko na mnie spojrzał i od razu chwycił za broń. Powiedział, że trzeba by użyć wody ze wszystkich tych wani, żeby mnie domyć. Kazał mi poszukać sobie jakiegoś strumienia.

- Nie obraż się, Leroy, ale wszyscy byśmy się ucieszyli, gdybyś to zrobił.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- To zapach wypracowany. Całe lata zabrało mi jego ugrunтовanie. Podkrađłem się do tego mustanga na odległość ręki tylko dlatego, że nie pachniałem jak człowiek. Kiedy dam sobie spokój z polowaniami, wtedy się wykąpię.

Chad przewrócił oczami.

- Wybaczysz nam, jeśli będziemy unikać twojego odoru?

Leroy wzruszył ramionami.

- Większość ludzi tak robi.

Chad ujął Marian pod ramię, by zaprowadzić ją do stołów z jedzeniem. Przysłuchując się tej rozmowie, wstrzymywała oddech, ale nie z powodu okropnego zapachu Leroya. Sprawiał to sposób, w jaki Chad prowokował olbrzyma, jakby w ogóle nie czuł przed nim strachu.

- Jeśli nie chciałaś patrzeć, dlaczego w takim razie tam przysłałaś? - zapytał.

- Słucham?

- Miałaś mocno zaciśnięte powieki. Martwiłaś się, że spadnę?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła sztywno. - Po prostu dostał mi się do oczu kurz. I nie poszłam tam, by oglądać ciebie. Tak sobie tylko chodziłam, zatopiona w myślach.

- Coś interesującego?

- Słucham?

- W twoich myślach?

Czy on ją obrażał? Sugerował, że jej myśli są zazwyczaj nudne? Pewnie tak. A może sądził, że ona to Amanda. No jasne! W przeciwnym wypadku uczyniłby jakąś uwagę na temat tego, że zmieniła swój wygląd. A jego pytanie mogło być próbą flirtowania z przyszłą panną młodą. Bez wątpienia spodziewał się, iż Amanda odpowie mu, że to on królował w jej myślach.

- Słyszałam, że pastor nie przybędzie - rzekła. - Jego żona nie czuje się dobrze. Nie chciał zostawiać jej samej.

Chad westchnął z rozczarowaniem. Ponieważ zaprzepaściła szansę flirtowania z nim? Czy też dlatego, że tak mu spieszo z ustaleniem daty ślubu?

Powinna mu wyjaśnić, ale zbyt była poirytowana tym, że bierze ją za Amandę - po raz kolejny. Rozwścieczyło ją to, że się o niego bała, nie raz, ale dwa razy w ciągu zaledwie kilku ostatnich minut. Musiała przestać się przejmować tym, co mu się przytrafiało. Bez względu na to, czy poślubi Amandę, czy też nie, dla niej i tak był stracony.

Chad stał oparty o drzewo. Kapelusz miał nisko nasunięty na czoło i sączył ciepłąwą whisky. Jakaś para zbliżyła się do niego, trzymając w rękach talerze z jedzeniem, z zamiarem urządzenia sobie pikniku pod drzewem, ale kiedy go tam dojrzeli, odeszli, by poszukać innego miejsca. Nie był w towarzyskim nastroju i najpewniej rzucało się to w oczy.

Miał zupełny mętlik w głowie. Obserwował bliźniaczki, wiedział, która jest która, a jednak tamtego dnia w stajni popełnił tak kolosalny błąd. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie miał całkowitą pewność. Amanda zachowywała się krzykliwie, wszędzie jej było pełno, a Spencer łąził za nią niczym szczeniak za swoją panią. Marian prowadziła cichą rozmowę z kilkoma paniami z miasteczka, zachowywała się skromnie i uśmiechała wtedy, kiedy trzeba.

Chad nie miał dzisiaj wątpliwości, która jest która. Spencer także z całą pewnością ich nie miał. Asystował Amandzie od pierwszej chwili, gdy się pojawił, i wpatrywał się w nią jak w obrazek. Chad nie był w stanie powiedzieć, czy Spencer zaleca się do niej, nie miał nawet pewności, czy taki był jego zamiar. Ale bez wątpienia rozbawiał ją, a jej flirtowanie z nim wyraźnie się podobało.

Amanda trzymała się od Chada z daleka. Sprytna dziewczyna. Zastawiła na niego sidła i wiedziała, że zasłużyła sobie na porządne natarcie uszu. Nie znała go po prostu na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie potrafiłyby skrzywdzić kobiety, ale nie zaważałyby się przed powiedzeniem, co myśli o niej i jej szatańskim planie zaciągnięcia go przed ołtarz.

- Sądziłem, że mnie nabierasz, kiedy powiedziałaś, że siostry Laton to bliźniaczki - odezwał się Lonny, podchodząc do Chada. - To znaczy wiem, że bliźniaczki są do siebie bardzo podobne, ale te były jak noc i dzień... aż do dzisiaj. Jak ty je, do diaska, rozróżniasz?

- Marian ma dzisiaj na sobie beżową suknię.

- Tak, wiem. Powiedziałem jej, że bardzo ładnie wygląda, a ona zarumieniła się aż po skronie. A gdyby były w takich samych sukniach?

- Wtedy trzeba by zwrócić uwagę na zachowanie. Marian jest nieśmiała, Amanda wprost przeciwnie.

- A jeśli obie zachowywałyby się nieśmiało? - nie dawał za wygraną Lonny.

- Wtedy miałbyś pecha.

Lonny spojrzął na niego krzywo, ponieważ ostatnią odpowiedź Chad wycedził przez zęby. Wreszcie pojawił się, że gdyby jedna z bliźniaczek chciała udawać, że jest tą drugą, uczyniłaby to bez żadnego wysiłku.

Lonny zmarszczył w zamyśleniu brwi, po czym rzekł:

- Musi być jakiś inny sposób. Z pewnością rodzice nie mieli problemu z ich odróżnieniem.

Chad wzruszył ramionami i dopił whisky.

- Pewnie nie, ale rodzice mają nad nami tę przewagę, że żyją z nimi od chwili ich narodzin. Nam pozostaje zgadywanie...

- Widzę, że nie wydajesz się z tego powodu szczególnie zadowolony.

- A ty byłbyś? Gdyby kobieta, z którą się kochałeś, okazała się kim innym?

Lonny zamrugał powiekami, po czym zagwizdał z triumfem.

- Mówiłem ci wtedy, że to Amanda!

- Zamknij się, Lonny - warknął Chad i odszedł.

Udał się prosto w kierunku Marian. Nie był pewny, co jej powie, ale mętlik w głowie doprowadzał go do szaleństwa. W głębi duszy czuł, że to jednak ją zastał tamtego dnia w stajni. Kochanie się z nią wydawało się po prostu takie naturalne. Jednak wszystkie fakty przemawiały za tym, że się mylił, i nie mógł znieść tej świadomości.

Tymczasem Marian została porwana do tańca. Na scenie wirowało już wiele par, nie wyłączając jego ojca, który tańczył z Red. Spencer wykorzystywał taniec jako pretekst, by obejrzeć Amandę.

Chad przyglądał się przez chwilę bliźniaczkom i z zadowoleniem skonstatował, że można je rozróżnić. Trzeba je po prostu obserwować, kiedy nie wiedziały, że ktoś na nie patrzy, a wtedy dostrzegało się te wszystkie drobne różnice w wyglądzie.

Co nie znaczy, by to spostrzeżenie pomogło mu w wydostaniu się z bagna, w które się sam wpackował. Tylko Spencer mógł to zrobić. Ale gdyby nawet Spencerowi udało się nakłonić Amandę, by za niego wyszła, Chad i tak nie miał już teraz u Marian żadnych szans. Nie kocha się z jedną siostrą, a prosi o rękę drugą.

Lonny ponownie się do niego zbliżył, tym razem z wyraźnym wahaniem.

- Winien ci jestem przeprosiny.
- Przyjęte - odparł z roztargnieniem Chad.
- Nie chcesz wiedzieć dlaczego?
- Wiem dlaczego, trzymaj więc buzię na kłódkę i nic nie mów.

- Dzięki - westchnął Lonny. - Będziesz się musiał ożenić z niewłaściwą kobietą?

- Na to wygląda.
- Nie powiesz Spencerowi, żeby się od niej odczepił?
- A skąd! Byłem głupi i ślepy, nie zdając sobie sprawy z tego, że mnie wrobiła, teraz Spencer jest moją jedyną nadzieją. Wie, co się stało, i nadal chce się ożenić z Amandą. Życzę mu szczęścia.

- Do diaska, jeśli chciałeś, by zdobył ją ktoś inny, dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Z największą przyjemnością oddałbym Ci tę przysługę.

Chad przewrócił oczami.

- Nie życzyłbym tego najgorszemu wrogowi, ale ciebie nie uważam za wroga. Nie miałbyś ochoty wiązać się z taką kobietą, chłopcze. A poza tym będziesz miał ręce pełne roboty. Nie wracam do Red.

- Z powodu tego, co się narobiło?
- Nie, dlatego że teraz ty możesz już przejąć nad wszystkim nadzór.

Lonny wyprostował z dumą ramiona.

- Nie zawiodę ani ciebie, ani Red.
- Wiem.

Muzyka umilkła. Lonny oszedł, by poszukać partnerki do następnego tańca. Chad nadal stał z boku i tylko się przyglądał. Marian zdawała się dobrze bawić - mężczyźni czekali w kolejce, by z nią zatańczyć, a niektórzy, ci bardziej niecierpliwi, odbijali ją w tańcu. Nie miał zamiaru się narzucać, nie chciał psuć jej zabawy swoim podłym nastrojem. Powinien był odejść, ponieważ czuł narastającą irytację i sam nie wiedział, kiedy przeschodził jej w tańcu.

Marian spodziewała się szybkiej zmiany partnera, co zadziało na jego korzyść. Nie miała szansy odmówić mu tańca. Natychmiast wyczuł w niej zmianę, nie miał tylko pewności, czy przemawiało przez nią napięcie, złość czy może zwykła niechęć.

- Odpuść się, nie mam zamiaru deptać ci po palcach - rzekł.

- Nie powinienesz teraz tańczyć z Amanda?
- Ona ma już partnera.
- Ja też miałam.

- Tak, ale ty tańczyłaś z mężczyzną znanym z tego, że na parkiecie go ponosi: obraca swymi partnerkami i wyrzuca je w powietrze. Kobiety, które go znają, kryją się, gdy tylko widzą, że się zbliża. Skąd mogłaś o tym wiedzieć - powiedział z najzupełniej poważnym wyrazem twarzy.

Marian zmrużyła oczy.

- Żartujesz sobie, prawda? Czy też istotnie jestem ci winna podziękowanie?

Uśmiechnął się do niej. Westchnęła, ale tylko dlatego, że nie otrzymała jednoznacznej odpowiedzi. Dostrzegł, że lekko drgnęły jej kąciaki ust, co było sygnałem, że powstrzymuje się, żeby nie parsknąć śmiechem.

- Tylko nie pęknij - rzekł z poważną miną.

Marian roześmiała się i natychmiast zaszła w niej zmiana - szttywność minęła, w oczach pojawiły się błyski. Boże, jaka ona

jest piękna! A na parkiecie było wystarczająco dużo ludzi, by nikt nie zwrócił uwagi na to, że trzymał ją nieco bliżej siebie, niż powinien. Co zresztą okazało się błędem. Czując jej zapach, dotykając jej, ogarnęło go pożądanie, z trudem oparł się pragnieniu pocałowania jej. Muzyka ucichła. Marian odsunęła się od niego.

- Dziękuję, było mi bardzo miło.

Chad nie zdążył jej odpowiedzieć. Zeszła z parkietu, nieświadoma tego, jak mało brakowało, by uczynił z nich obojga widowisko.

39

Ujeżdżanie dzikiego mustanga skończyło się już jakiś czas temu, ale w ogólnej wrzawie nikt nie zauważył czterech jeźdźców, którzy zajechali na ranczo Kinkaida i przywiązali konie za stajnią.

Dwóch z nich usiadło na ziemi i rzucało kostką. Gdyby ktoś akurat tamtędy przechodził, ich obecność nie wydawałaby się podejrzana. Trzeci trzymał straż po drugiej stronie budynku, a czwarty, wyraźnie skacowany, opierał się o ścianę. Wczorajszego wieczoru wypił za dużo i nie bardzo wiedział, dlaczego się tu znalazł.

- Masz cholerne szczęście, że mój kuzyn Bill załapał się do roboty u szeryfa. Może uda mu się zdobyć informacje, na których ci zależy - odezwał się Arnie Wilson, rzucając kostką. To na jego farmie urządzili sobie kryjówkę. - Bill gotów jest zrobić wszystko, by się do nas przyłączyć.

- Jest za młody - odparł John Bilks, przyglądając się tłumowi w oddali. - A poza tym czterem łatwiej się rozdzielić niż pięciu.

- Taaa, ale on dużo ryzykował, kradnąc ten obrazek z biurka szeryfa - przypomniał Arnie.

- Zrobił dobry uczynek - rzekł John. - Podziękowałem mu, no nie?

- Nasz przyjazd tutaj to szaleństwo - narzekał Snake Donally, gdy przyszła jego kolej rzucania kostką. - Połowa z tych ludzi na pewno cię zna, John.

John wzruszył ramionami.

- Nigdy mi nie udowodniono, że to ja ukradłem te pieniądze, i nikt nie wie, czym się od tamtej pory zajmuję.

, - Dzięki mojemu kuzynowi - mruknął Arnie.

- Wątpię, czy ktoś cię na tym obrazku rozpozna - dodał Snake. - Billy mówił, że jest mały.

- Billy powinien przynieść go do mnie, wtedy miałbym pewność, a on go zniszczył.

- Uznał, że tak będzie lepiej. Jeszcze by ktoś go zobaczył - bronił kuzyna Arnie.

- On mnie na nim rozpoznał.

- No pewnie. Dobrze cię zna i wie, że to my obrobiliśmy pociąg.

- Ale kowboj, który go dostarczył, nie wiedział - rzekł Snake. - Co my tutaj w ogóle robimy?

- Billy kręcił się w pobliżu, kiedy szeryf szukał „zawieruszonego” obrazka. Wreszcie dał sobie spokój. Słyszał, jak szeryf powiedział, że w takim razie powie tej Latonównie, Marian, żeby namalowała jeszcze raz - wyjaśnił Arnie.

- Może odpowiesz w końcu Snake'owi - rzucił Dakota Jack, mocno zaciskając powieki, co i tak nie pomagało na ból głowy. Był w ich grupie szybkim strzelcem, oczywiście wtedy, gdy był trzeźwy. - Sam już trzy razy o to pytałem. Co, u wszystkich diabłów, robimy na ranczu Kinkaida?

- Gdybyś tyle wczoraj nie wypił, dotarłoby do ciebie, że John chce uprowadzić tę malarkę.

- Powinniśmy zaczekać, aż pojedzie do domu - zasugerował Snake. - Za dużo kręci się tu ludzi.

- Dlatego właśnie nikt niczego nie zauważy - wyjaśnił John. - W domu szybciej spostrzegą, że jej nie ma.

- To nie tłumaczy, po co chcesz ją pojmać.

- Aby ją zabić, rzecz jasna.

Dakota Jack wyprostował się i otworzył szeroko oczy.

- Akurat!

- Muszę - upierał się John. - Namalowała mnie z pamięci na tyle dobrze, by szeryf wysłał za mną listy gończe. Jeśli zrobi to jeszcze raz, złapią najpierw mnie, a potem was.

Dakota Jack nie odezwał się więcej ani słowem, ale tylko dlatego, że pękała mu głowa z bólu.

- Jak masz zamiar ją podejść? - zapytał Snake.

- Ty to zrobisz. Wyglądasz wyjątkowo schludnie. Możesz dołączyć do gości. Kowboje pomyślą, że przyjechałeś z miasta, ludzie z miasta - że jesteś jednym z kowbojów. Nigdy nie byłeś w Trenton, więc nie ma obawy, nikt cię nie zna. Tylko mi przyprowadź właściwą pannę. Billy mówi, że ona ma siostrę bliźniaczkę. Przyprowadzisz tę drugą, to odstrzelę ci łeb.

Marian nie wiedziała, co o tym myśleć, kiedy szła w kierunku stajni. W tej chwili to miejsce wyglądało na opuszczone. Dowiedziała się, że wyścigi konne rozpoczną się najwcześniej za godzinę. Goście siedzieli przy stole albo tańczyli. Jakiś chłopak przekazał jej, że pan Kinkaid prosi, aby za kilka minut przyszła do stajni. Wspomniał coś o miocie szczeniąt, które suka tam urodziła. Następnie szybko wmieszał się w tłum, za nim mogła go o cokolwiek zapytać.

Ruszyła w kierunku wzgórza, rozglądając się uważnie za Chadem i jego ojcem, ale nie dostrzegła żadnego z nich. Nie żeby miała ochotę natknąć się po drodze na Chada. Jak zwykle wytrąciłoby ją to z równowagi. Dobrze jednak było mieć pewność.

Może Stuart chciał jej sprezentować szczenię. Nigdy dotąd nie miała własnego psa ani kota. Ojciec nie życzył sobie w domu żadnych zwierząt. Przez kilka lat po podwórku błąkał się kocur, którego Marian uważała za swojego. Bardzo jej go brakowało, kiedy przestał się pojawiać.

Pomysł posiadania własnego psa wydał jej się całkiem przyjemny. Nie sądziła, by Kathleen miała coś przeciwko temu. Zresztą pewnie Stuart najpierw z nią o tym porozmawiał. Mia-

ła nadzieję, że Amanda także dostanie szczeniaka. Nie chciała, by siostra czegokolwiek jej zazdrościła.

Stajnia była pusta. To znaczy nie było w niej ludzi. Frontowe i tylne drzwi były otwarte na całą szerokość. W każdym boksie stał koń. Zastanawiała się, gdzie suka mogła się oszczenić. Z całą pewnością nie w boksie, w zasięgu kopyt, gdzie maluchom groziłoby stratowanie.

- Panie Kinkaid?! - zawołała.

- Tutaj jestem.

Głos był obcy, przytłumiony i dochodził z za stajni. Udała się w tamtym kierunku, wyszła na zewnątrz i wciągnęła gwałtownie powietrze, gdy ujrzała wycelowaną w siebie broń. Natychmiast ktoś podbił rękę z pistoletem, ale Marian nie miała czasu, by poczuć ulgę, gdyż ten sam osobnik zakrył jej usta i obezwładnił chwytem pod brodę.

- I po co to zrobiłeś? - warknął John Bilks.

Marian rozpoznała go od razu, gdy tylko przyjrzała się jego oczom. Pociągowi rabusie, cała czwórka. Czy przybyli tutaj, by okraść gości? Czy ona i pan Kinkaid mieli takiego pecha, że pierwsi na nich wpadli? Może leży gdzieś ranny albo nawet zabity. Otaczające jej szyję ramię nie pozwalało odwrócić głowy.

- Zastrzelisz ją tutaj i wszyscy zwałą się nam na głowę.

Marian rozpoznała ten głos. Należał do chłopaka, który powiedział jej, by poszła do stajni. Oblediał ją strach, bez mała zwałający z nóg. Przyjechali tu po nią! Z powodu obrazka. Z całą pewnością tak właśnie było.

- Wiem - odparł cierpko John. - Chciałem mieć tylko pewność, że nie będzie krzyczeć.

- Nie wiem - rzekł leniwie trzeci mężczyzna. - Gdybym był kobietą i ujrzał wycelowaną w siebie broń, wrzeszczałbym na całe gardło.

- Jak w takim razie masz zamiar ją zabić, jeśli nie chcesz jej zastrzelić? - zapytał trzymający ją mężczyzna.

- Powiedziałem: nie będzie żadnego strzelania - rzekł zło-wrogo czwarty głos. - Ty byłąs drugi w kolejności.

John chciał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Ku uldze Marian wyraźnie nieufnie odnosił się do swego przedmówcy.

- Skłonny jestem przyznać ci rację, teraz, kiedy ją zobaczylem - oświadczył ten, który miał taki leniwy głos.

- Nikt nie mówił, że jest taka ładna - wtrącił ten, który ją trzymał. - Może odetniesz po prostu jej rękę, żeby już nic więcej nie mogła namalować.

- Zrozum, John, jesteś przestępcą. Nie możesz oczekiwać, że nierozpoznany wmiszasz się w tłum. Masz zbyt charakterystyczne oczy. Ona może i nie namaluje drugi raz twojego portretu, ale i tak wszyscy, których obrabowałeś, zidentyfikują cię. Jaki więc sens tego wszystkiego?

John wyraźnie zaczynał odczuwać frustrację, wywołaną sprzeciwem wobec jego planów.

- Listy gończe, o to mi chodzi - warknął. - W tej chwili nie ma na nich żadnej twarzy. I wolałbym, żeby tak pozostało.

- Ładuj ją na konia i wynośmy się stąd. Później się zastanowimy, co z nią zrobić.

- Ktoś idzie.

- Zajmę się tym. Zjeżdżajcie stąd.

- Piśnij słowo, a skręcę ci kark - wyszeptał Marian do ucha trzymający ją mężczyzna, ciągnąc ją jednocześnie w kierunku konia. - Ja nie będę z tego zadowolony, ty nie będziesz zadowolona, tylko John będzie.

Nie krzyknęła, gdy pomógł jej wgramolić się na koński grzbiet. Gorączkowo się jednak nad tym zastanawiała. Może on tylko blefował, by była cicho. Czekwała ją perspektywa śmierci albo obciętej dłoni i sam Pan Bóg wie czego jeszcze.

Już otworzyła usta, by krzyknąć ile sił w płucach, ale kowboj udaremnił to, zakrywając jej usta dłonią. Popędził konia do galopu, tak że po chwili znajdowali się na tyle daleko, że i tak nikt by jej nie usłyszał.

Chad ocknął się, kaszłąc przy tym. Przez chwilę niczego nie był w stanie dojrzeć. Kiedy się poruszył, poczuł pulsowanie z tyłu głowy, które przywołało wspomnienie eksplozji bólu, który go powalił. Ujrawszy stojącego nad nim Leroya z pustym wiadrem w dłoni, uświadomił sobie, że ocucił go zimny prysznic.

- Czy w ten właśnie sposób wyrównujesz rachunki? - warknął rozżłoszczony. - Zakradasz się i...

- Znalazłem cię tutaj, a nie powaliłem - wyjaśnił Leroy, nieco urażony.

- Przepraszam - mruknął Chad, po czym usiadł i potarł tył głowy.

- A poza tym - dodał Leroy - wcześniej tylko sobie żartowałem. Mogłeś mnie przecież tamtego dnia zostawić na prerii, żebym zgnił, ale tego nie zrobiłeś. Myślę, że nasze rachunki są teraz wyrównane.

- Widziałeś, kto walnął mnie pistoletem w głowę?

- Nie, ale na twoim miejscu przestałbym się nad tym zastanawiać i osiodłał konia. Są świeże ślady czterech wierzchowców, z których jeden niesie dwóch jeźdźców.

- W takim razie to ich spowolni.

- Niezupełnie - rzekł Leroy i wydłubał resztki jedzenia z zębów. - Widziałem, jak krótko przed tobą szła tu twoja pani, a teraz jej nie ma. A ona waży pewnie tyle co nic.

Chad zbladł, zerwał się na równe nogi i zmełł w ustach przekleństwo. Nie zważając na ból rozsadzający mu czaszkę, podbiegł do przywiązanego przed stajnią konia. Chwycił pierwsze z brzegu siodło, mimo że nie należało do niego.

- Masz ochotę na towarzystwo?! - zawołał za nim Leroy.

- Jeśli zaraz będziesz gotowy. Przekażę tylko tacie, że Marian została uprowadzona. Widzisz, w którą stronę pojechali?

- Nie próbowali zacierać za sobą śladów. Na razie. Z łatwością sobie z tobą poradzili, sądzą więc pewnie, że zyskali kilkogodzinną przewagę, zanim ktokolwiek ruszy za nimi w pościg.

Chad skrzywił się na myśl o tym, jak łatwo dał się podejść.

- Naprawdę? Jak długo leżałem nieprzytomny?

- Powiedziałbym, że koło godziny. Uznałem, że ty i ta pan-
na dobrze się bawicie, nie chciałem wam przeszkadzać. Ale za-
ciekawiło mnie, kiedy tak długo się nie pojawiałeś.

Chad żałował, że nie zaciekawiło to Leroya wcześniej. Do
diabła, naprawdę szkoda, że on sam nie był szybszy. Może do-
goniłby Marian, zanim dotarła do stajni. Nie przychodził mu
do głowy powód, dla którego została uprowadzona. Gdyby
chodziło o jednego mężczyznę, nie miałyby to może tak zło-
wroźnych konsekwencji, ale czterech? Zdzielenie go przez
głowę znaczyło, że nie chcieli, by ktokolwiek o tym wiedział.

- Masz dodatkową broń? - zapytał. - Moja jest w domu,
a nie chcę tracić więcej czasu niż to konieczne.

- Chyba żartujesz - zaśmiał się Leroy i otworzył szeroko
poły swej kapoty z niedźwiedziej skóry.

Jechali szybko, ale to samo czynili ścigani przez nich ludzie,
więc w rzeczywistości niewiele się do nich zbliżyli. Z upływem
godzin Chada coraz mocniej ścisnęło ze strachu w żołądku. Im
więcej czasu zabierało im uratowanie Marian, tym większe by-
ło prawdopodobieństwo, że przytrafi jej się coś złego. A potem
zrobiło się ciemno, co opóźniło ich jeszcze bardziej.

Leroy chciał zatrzymać się na nocleg i podjąć pościg ran-
kiem, ale Chad nie miał zamiaru się zatrzymywać, dopóki nie
odnajdzie Marian i nie będzie miał pewności, że nic jej się nie
stało. Wiedział, że zachowuje się niemądrze. W nocy nie byli
w stanie podążać dokładnie śladem uciekających, mogło się to
nawet skończyć tak, że zupełnie go zgubią. Ale przed zapad-
nięciem ciemności dotarli na otwartą przestrzeń i miał nadzie-
ję, że porywaczy wyda ognisko, jeśli je rozpalą.

Tak się jednak nie stało. Zdradziło ich światło w oknie. Śła-
dy prowadziły prosto na farmę położoną na pustkowiu. Poza
widocznym w jednym oknie światłem miejsce wydawało się
opuszczone. Połamane drzwi od stodoły, zapadająca się we-

randa, nieuprawiane pole. Wątpliwa sprawa, by ktoś mieszkał tu na stałe.

W stodole znaleźli cztery konie, nadal osiodłane, przywiązane do pala przed stogiem starego siana. Chad i Leroy zostawili tam swoje konie, zastanawiając się przy tym, w jaki sposób niezauważenie przekraść się do domu. Nie odzywali się do siebie. Obaj wiedzieli, co trzeba robić. Wtedy Leroy zauważył jeszcze jednego konia i odezwał się cicho:

- To miejsce nie jest opuszczone. Ktoś tu mieszka.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, stóg zaczął się ruszać. Obaj byli przekonani, że jakieś zwierzę urządziło sobie w nim posłanie. Na pewno nie dzikie, ponieważ konie nie były wystraszone. Odwrócili się i zamierzali wyjść ze stodoły, gdy uwagę Chada przyciągnęło dochodzące ze stogu jakby ciche miauknięcie. Odwrócił głowę, w samą porę, by dojrzeć wyłaniający się z niego kształt. Było zbyt ciemno, by od razu rozpoznać, co to jest, ale dostrzegł jaśniejszą plamę złocistych włosów.

Leroy odezwał się swobodnym tonem:

- Wygląda na to, że zostawili ją tutaj, a sami poszli coś zjeść. Ciekawe dlaczego?

Chad podbiegł do Marian, która próbowała wydostać się spod siana.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Odpowiedz mi!

Nie mogła mówić z zakneblowanymi ustami.

- Nic mi nie jest - wysapała, gdy Chad usunął knebel. - Chyba.

- Co, u diabła, znaczy „chyba”? - zażądał wyjaśnienia, potrząsając ją za ramiona.

- Nie czuję dłoni, długo były związane.

Chad nieco się odprężył. Rozwiązał jej ręce, a następnie nogi. To cud, że udało jej się zasygnalizować, gdzie jest.

- Wiesz, kim oni są? - zapytał, gdy wreszcie wygramoliła się spod siana.

- To oni napadli na pociąg, którym jechałam. Dowiedzieli się, że sportretowałam jednego z nich. Chcieli mieć pewność, że nie namaluję go drugi raz.

- Nie skrzywdzili cię?
- Nie, Bilks chciał mnie zgwałcić. Nie sędzę, by pozostali też tego chcieli. Zastanawiali się nad obcięciem mi dłoni. - Zadrżała, wypowiadając te słowa.

Chad przytulił ją mocno do siebie.

- Jesteś już bezpieczna.
- Wiem - odparła z westchnieniem.
- Dlaczego tak cię tutaj zostawili? - zapytał Leroy.
- Właściciel farmy nie chciał, by jego żona dowiedziała się o tym, co mają zamiar ze mną zrobić. Postanowili zaczekać, aż pójdzie spać i wtedy podjąć ostateczną decyzję. Ukryli mnie w stogu i kazali siedzieć cicho.

- Wydostanę cię stąd, ale najpierw pozabijam tych sukinsynów - oświadczył Chad. - Zaczekaj tutaj.

- Nie! - Chwyciła go za rękę i zaczęła się trząść. - Nie, nie zostawiaj mnie samej. Pozwól mi iść z wami.

- Mari, to nie potrwa długo...

- Nie! Czy masz pojęcie, co przeżyłam, słuchając, jak porywacze rozprawiali o zabiciu mnie! Jeśli nie zostaniesz ze mną, ucieknę. Nie chcę być sama ani przez chwilę!

Leroy zaśmiał się cicho do siebie.

- Wróciła jej odwaga. Sam sobie poradzę z tymi opryszkami. Wracajcie do domu.

- Ich jest czterech, Leroy - przypomniał Chad.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

- Łatwizna. Już się nie mogę doczekać, żeby komuś przyłożyć. Myślisz, że jest za nich nagroda?

- To bardziej niż prawdopodobne. Kolej wyznacza nagrodę za złapanie każdego, kto zakłóca porządek w pociągu, aby uchronić się przed tego typu incydentami w przyszłości.

- W takim razie zostaw ich mnie. Może dostanę pięć stówek, których przez ciebie nie zarobiłem u starego Kinkaida.

Chad przewrócił oczami.

- Są twoi.

Po tak wstrząsających przeżyciach Marian chciała jechać prosto do domu, nieważne jak długo miałyby to potrwać, bez zatrzymywania się na noc. Chad nie zgodził się na to. Wypatrzył rosnące samotnie drzewo i postanowił urządzić pod nim nocleg.

Marian przysięgła, że nie potrzebuje odpoczynku, i upierała się jechać dalej.

- Ty nie jesteś zmęczona, ale mój koń tak - odparł Chad.

Nie wzięła tego pod uwagę, że wierzchowiec może być zmęczony. Chad gnał na nim nieprzerwanie przez pół dnia, by ją odnaleźć. Okazała należytą skruchę i więcej nie narzekała.

Nie była jednak w stanie odprężyć się. Wolałaby mieć pewność, że bandyci są już niegroźni, że nie uprowadzą jej po raz drugi. Czterech przeciwko jednemu - cóż, jeśli tym jednym był Leroy, to walka mogła okazać się wyrównana, a może nawet szala przechylała się na jego korzyść.

Przeszkodę stanowił jednak fakt spędzenia nocy na teksańskiej prerii w towarzystwie Chada Kinkaida.

- Myślisz, że Leroy chce ich wszystkich zabić? - zapytała, siedząc przy niewielkim ognisku, które rozpałił Chad.

- Najpewniej nie ma zamiaru zabić żadnego z nich - odparł Chad. - To byłoby zbyt proste, zaskoczyć ich we śnie i wystrzelać jak kaczki. Większą sztuką jest pojmanie przestępców i doprowadzenie ich żywych do szeryfa. Leroy szczyli się swoim sprytem. A poza tym nie byłby sobą, gdyby nie skorzystał z okazji otrzymania za nich nagrody, której wysokość zależy od tego, czy zostaną dostarczeni żywi czy martwi.

Marian wciąż nie mogła uwierzyć w to, że Chad przybył jej na ratunek. Na barbecue było wielu mężczyzn - Chad nie musiał stawać na ochotnika.

- Czy szuka mnie ktoś jeszcze?

- Nie wie o tym nikt z wyjątkiem mojego taty, no i zapewne Red - odparł.

- Ach, więc wysłał cię twój ojciec!

- Nie, dałem mu tylko znać, co się dzieje.

- Ale jak się dowiedziałeś?

- Zauważyłem, że idziesz w kierunku stajni. Zaciekało mnie to, bo nie działo się tam nic godnego uwagi. Znienacka ktoś rzucił się na mnie i powalił. Nieprzytomnego znalazł mnie Leroy i ocucił. Reszty się domyśliliśmy. Trzeba było działać szybko. Nie było czasu na wezwanie oddziału pościgowego i powiadomienie szeryfa.

Marian skinęła głową. Z żalem pomyślała, że Chad popędził za bandytami nie ze względu na nią. Ruszyłyby w pościg niezależnie od tego, kto zostałby uprowadzony, ponieważ takim był człowiekiem.

Siedziała skulona z podciągniętymi nogami, z brodą opartą na kolanach, i żuła plaster suszonej wołowiny. Posiłek nie był zbyt obfity, ale musiał wystarczyć. Chad przeprosił za to, że przyjechał nieprzygotowany, ale nie zdążył uzupełnić zapasów. Dwa koce nie wystarczą, by przykryć ich oboje, chyba że będą spać bezpośrednio na ziemi. Mało pociągająca perspektywa. Ognisko zaraz się dopali i zgaśnie.

Marian cała drżała, choć nie było zimno, ale miała na sobie jedynie suknię bez rękawów. Trzęsa się raczej po przeżytych emocjach. Nie była w stanie przestać szczełkać zębami.

- Chodź tutaj - powiedział Chad.

- Po co?

Posłał jej zniecierpliwione spojrzenie.

- Naprawdę potrzebujemy chociaż kilku godzin snu. Wyruszamy zaraz o świcie. Mamy tylko dwa koce. Na jednym się położymy, drugim przykryjemy. Przed wschodem słońca zrobi się zimno.

Przytulić się do siebie i grzać własnym ciepłem - to właśnie proponował. Bała znaleźć się tak blisko niego. Pamiętała, co czuła, gdy jechali razem na koniu. Nawet gdyby zdołała zaplanować nad zmysłami, leżenie pod jednym kocem z nim byłoby niestosowne. Chad należał do Amandy, już niedługo ją poślubi. Dostrzegł rozterkę na jej twarzy.

- To nic osobistego - dodał. - Jedynie zdrowy rozsądek.

Skoro tak to ujął, niemądrze byłoby się sprzeciwiać. Czy jemu też było zimno? Chyba nie. Chciał jej po prostu dać trochę swojego ciepła.

Wstała i usiadła obok niego, sztywna niczym deska. Usłyszała, jak wzdycha. Po chwili przyciągnął ją do siebie. Jego ramię stało się poduszką. Nakrył dłonią jej dłoń, którą z wahaniem położyła na jego piersi. Wkrótce zaczęła czuć płynące od niego ciepło. Zasnęła.

Śniły jej się koszmary, w których na nowo przeżywała porwanie i strach. Widziała, jak John Bilks ostrzy topór. We śnie żona farmera była czarownicą i przywódczynią rzezimieszaków. Chciała odraść jej obie dłonie.

Marian usiadła wyprostowana. Cała drżała i ciężko oddychała.

- Co się stało? - zapytał Chad, wyrwany ze snu.

Objął ją i przyciągnął do siebie. Gładził ją po ramionach i plecach, ale drżenie nie ustawało.

- Nie pozwolę nikomu cię skrzywdzić, Mari - odezwał się uspokajająco. - Przysięgam, jesteś teraz bezpieczna.

- Wiem - odparła. - To był tylko zły sen.

- Zapomnij o nim.

- Staram się.

Ale nie była w stanie przestać się trząść. Zbyt wiele wydarzyło się tego dnia. Otaczały ją jego ciepłe ramiona. To powinno pomóc. Ale nie tylko zimno sprawiało, że cała drżała. Nie chodziło także o Chada. To strach, który czuła wcześniej, powrócił razem z koszmarem sennym i nie chciał jej opuścić.

Chad wciąż delikatnie ją głaskał, starając się uspokoić, nic to jednak nie pomagało. Marian usłyszała, jak mruczy:

- Niech to diabli.

Po czym ją pocałował.

To podziałało. W jej głowie nie było miejsca na strach, wszystkie myśli były przepełnione nim. Odniosła wrażenie, że taki był właśnie jego zamiar. Podobnie jak tamtego dnia w stajni, jej podniecenie wzrastało z niesamowitą szybkością. Jego także. Pocałunek miał ją uspokoić, ale nie było w nim nic uspokajającego.

Chad rozdzielił ustami jej wargi, otwierając wrota do świata wypełnionego pożądaniem. Pragnęła smakować go i czuć, całe jej ciało drżało z wyczekiwania. Ułożył ją na kocu, nadal namiętnie całując. Pochylił się nad nią, przerzucając nogę Marian przez swoje biodro. Zamknął w dłoni jej pierś, co jeszcze bardziej ją rozpałiło. Nie była w stanie myśleć rozsądnie i wcale nie chciała być rozsądna. Tuliła się do niego z całych sił, jej jedyną obawą w tej chwili było to, że Chad oprzytomnieje i przestanie ją pieścić i całować.

Nie uczynił tego. Jeśli to w ogóle możliwe, pocałunki stały się jeszcze bardziej namiętne, jakby i on się bał, że Marian zechce go powstrzymać. Powinna tak zrobić. W głębi duszy wiedziała, że naprawdę powinna to uczynić, ale za każdym razem, kiedy ta myśl próbowała się przedostać na powierzchnię, odpychała ją. A jego dłoń kontynuowała wędrówkę po jej biodrach i udach. Ten dotyk ją zniewalał.

Dłoń Chada odnalazła nagą skórę powyżej pończoch. Zatrzymała się dopiero na złączeniu jej nóg. Serce waliło jej z wyczekiwania na pieśczętę. Ogarnęło ją jeszcze większe gorąco. I wtedy dotknął jej tam, gdzie pragnęła. Poczwała falę niezwyklej rozkoszy, takiej jak wtedy na sianie. Była pełna niedowierzania. Wystarczyło, że jej dotknął...

Czy on wiedział, co zrobił? Marian nie była tego pewna. Obciągnął jej spódnicę, czule pocałował i przytulił do siebie. Puls uspokajał się. Całe ciało ogarnął rozkoszny bezwład. Po chwili spała jak niemowlę.

42

Marian gotowa była przysiąc, że obudziła się z rumieńcem na policzkach. Natychmiast powróciło wspomnienie tego, co wydarzyło się w nocy. Starła się nie patrzeć na Chada, który szykował konia do jazdy.

Musiał jednak zauważyć jej rumieniec, ponieważ rzekł:

- Posłuchaj, w nocy byłeś w szoku. Chciałem ci pomóc, ale obawiam się, że nieco mnie poniosło. Wiem, że wolałabyś o tym nie rozmawiać, ale muszę cię za to przeprosić, Mari.

Nie wiedziała, czy odczuwa wdzięczność, czy rozczarowanie. Miał rację, rozmawianie na temat tego, co się między nimi wydarzyło, byłoby zdecydowanie zbyt krępujące. Poniosło go? Powinna się była domyślić, że dla niego to tylko gra zmysłów i nic ponadto.

Jechali szybko, by dotrzeć do domu przed południem. Na miejscu przekonali się, że Kathleen i Amanda jeszcze nie wróciły. Widocznie uznały, że gdy Chad odnajdzie Marian, przywiezie ją na ranczo Stuarta. Kathleen wróciła dopiero późnym popołudniem - bez Amandy.

Marian nie uczyniła żadnej uwagi na temat nieobecności siostry - Kathleen nie pozwoliła jej na to, zasypując gradem pytań, tak była ciekawa tego, co jej się przydarzyło. Amanda zapewne czeka, aż Kathleen wyśle po nią wóz.

Kiedy Marian opowiedziała swoją historię, Kathleen zrelacjonowała, co się działo po jej uprowadzeniu.

- Twoja siostra wykorzystała zamieszanie i wymknęła się, ze Spencerem.

- Wymknęła się?

- Do tej pory jej nie ma.

Oczy Marian rozszerzyły się.

- Nie wróciła na noc? Dokąd oni pojechali?

- Myślę, że do miasta wziąć ślub. Najpierw pomyślałam sobie, że może namówiła go, żeby przywiózł ją tutaj, ale ślady powozu prowadziły do Trenton. Jutro pojedę tam i oświadczę jej, że ma moje błogosławieństwo.

Marian postanowiła towarzyszyć ciotce w podróży do miasta. Chciała kupić materiały malarskie, a poza tym uznała, że stosownie będzie złożyć siostrze gratulacje z okazji zamążpójścia. Nie była ani trochę zdziwiona, że Amanda porzuciła Chada dla Spencera. Od samego początku wolała właśnie jego, bo z nich dwóch on był bardziej wytworny i „miastowy”. Nie musiała jednak od razu z nim uciekać.

Kiedy następnego dnia dotarły do miasteczka, czekała je jeszcze jedna niespodzianka. Plotkowano, że Amanda spędziła noc w saloonie. Marian nie mogła zrozumieć postępków siostry, ale była zbyt obolała po jeździe i postanowiła zaczekać w hotelu, aż Kathleen wszystkiego się dowie.

Chadowi udało się złapać Red, zanim dotarła do saloonu. Przyjechał, by osobiście się przekonać, że ma wreszcie święty spokój. Słyszał, że Amanda uciekła ze Spencerem, i pragnął potwierdzenia tej informacji. Był zdruzgotany, kiedy się dowiedział, że jednak nie wzięli ślubu. Wyglądało na to, że mieli taki zamiar, ale przełożyli uroczystość z powodu kłótni. Tak czy owak, Amanda spędziła noc w saloonie, a czy w łóżku ze Spencerem nie miało znaczenia.

Red zdenerwowała się, kiedy o tym usłyszała, ale nie dała tego po sobie poznać. Do „Nie Tutaj” zmierzał całkiem spory tłumek. Szeryf wykonał swój obowiązek i wyprosił z lokalu zarówno klientów, jak i pracowników. Jego zastępcy zajęli miejsca przy drzwiach. Ludzie Red tylko czekali na rozkaz sprowadzenia pozostałych uczestników barbecue.

Chad stał z boku i przyglądał się temu całemu przedstawieniu. Nie spodziewał się, że Red ma zamiar zmusić Spencera do ślubu. Sądził, że wcześniej z nim porozmawia, spróbuje go nakłonić do uczynienia tego, co w zaistniałej sytuacji byłoby „właściwe”. Widocznie doszła do wniosku, że nie będzie marnować czasu i że broń przemówi głośniejsz niż słowa.

Tak też się stało. Spencer nie musiał pytać, dlaczego jego saloon został zajęty. Gdy sprowadzono go na dół, zaczął się śmiać. Rozbawił go widok pastora i Red.

- To ma być jakiś żart? - zapytał.
- Obawiam się, że nie - odparła krótko Red.

Po chwili u szczytu schodów pojawiła się Amanda. Przy najmniej była w pełni ubrana. Miała na sobie różowo-czarną suknię, zbyt wymyślną jak na tę porę dnia, bardziej przypominającą wieczorowe stroje, które nosiły pracownice Spencera. Najwyraźniej chciała się dopasować do atmosfery saloonu.

W przeciwieństwie do Spencera nie roześmiała się. Kiedy zobaczyła, że obok człowieka z Biblią w dłoni stoi Red, próbowała się wycofać do pokoju w głębi korytarza. Droga została jednak zablokowana przez kowbojów Red. Obrażona, zeszała sztywno po schodach.

- Sądziłam - zwróciła się do Kathleen - że wyraziłam się jasno, iż ciocia nie ma nic do powiedzenia na temat mojego postępowania - rzekła wyniośle. - Pamiętam, jak to mówiłam. Wszyscy słyszeli. Go więc ciocia tutaj robi?

Kilka osób gwałtownie wciągnęło powietrze. Jeśli do tej pory komuś było żal Amandy, teraz już na pewno nie. Red nie podjęła jednak rękawicy, nawet się nie zarumieniła ani nie rozłościła. Może i przyszło jej podjąć trudną decyzję, ale raz to uczyniwszy, miała dość hartu ducha, by przy niej wytrwać.

- Naprawiam zło, skarbie - odpowiedziała spokojnie.

- Nie stało się nic złego - próbowała upierać się Amanda, ale Red jeszcze nie skończyła.

- Naprawiam także błędne przekonanie - dodała. - Kiedy wasz ojciec uczynił mnie twoją opiekunką, na moje barki złożył decyzję, kogo możesz poślubić. Trudno w to uwierzyć, ale nie chciał, by decyzja należała do ciebie. Można to było osiągnąć w jeden z dwóch sposobów. Mogłaś spokojnie rozejrzeć się za ewentualnymi kandydatami na męża i razem wybrałybyśmy jednego z nich, albo ja mogłam im się przyjrzeć i podjąć decyzję w twoim imieniu. Tak czy inaczej, decyzja należała ostatecznie do mnie. Okoliczności zmusiły mnie do podjęcia jej bez dalszego zastanawiania się, ale przynajmniej wzięłam pod uwagę twoje preferencje.

- Wcale nie! - zawołała Amanda. - Czy zapytała mnie ciocia o to? Nie! W przeciwnym wypadku oświadczyłabym, że nikt w okolicy nie spełnia moich wymagań. Tak więc jedź, proszę, do domu, ciociu Kathleen. Nic ciocia nie wskóra.

Red nadal nie wpadła w gniew. Chad zaczynał odczuwać wobec Amandy odrazę. Spencer zazgrzytał zębami, słysząc ostatnią uwagę Amandy. Ale Red nie miała zamiaru dać się sprowokować.

- Możesz mówić to tak długo, jak ci się podoba, tak głośno jak tylko masz ochotę czy też dopóki ktoś cię nie zaknebluje - oświadczyła. - Jasno określiłaś swoje preferencje, kiedy przyjechałaś tutaj razem ze Spencerem Evansem i poszłaś z nim do łóżka. Ani jedna obecna tutaj osoba, łącznie ze mną, nie ma wątpliwości co do tego, że sama dokonałaś wyboru. A teraz go zalegalizujemy.

- Jeśli o tym mowa, wiesz, że to się nie uda, jeśli jedno z nas nie wyrazi zgody, Red - zauważył Spencer. - Ona tego nie zrobi, ja z całą pewnością też nie. Było miło, ale możesz ją zabrać ze sobą do domu. Sprawia więcej kłopotów, niż jest tego warta.

- Jak śmiesz! - Amanda wpatrywała się z oburzeniem w Spencera.

- Ma ktoś może knebel? Z przyjemnością zrobię z niego użytek - rzekł Spencer.

Amanda zarumieniła się. Spencer poczuł się dotknięty, gdy powiedziała, że żaden z tutejszych kawalerów nie spełnia jej wymagań. Kilka osób zaśmiało się, słysząc jego słowa, ale większość spojrzeń zwróciła się z powrotem w kierunku Red, czekając na jej odpowiedź w kwestii „legalności”.

Gdyby z bronią w ręku stał tutaj ojciec dziewczyny, wtedy nie byłoby żadnych wątpliwości. W Teksasie pojęcie „opiekun” miało inne znaczenie niż na Wschodzie. Czci dziewczyny bronił ojciec lub brat.

Red była wprawdzie krewną Amandy, ale nikt nie słyszał, by kobieta, grożąc bronią, doprowadziła do ślubu. Tylko mężczyzna mógł postawić sprawę jasno: „Powiedz «tak» albo zginięsz”. Red nie była nawet zdenerwowana! Gdyby okazywała wzburzenie, wtedy może...

- Będę mówiła w imieniu mojej bratanicy, Spencerze.

- Będę mówiła sama za siebie, dziękuję bardzo - prychnęła Amanda.

- Już to zrobiłaś - odparła Red. - Teraz milcz!

- No cóż, w takim razie dzięki Bogu, że on nie ma zamiaru zgodzić się na tę farsę - rzuciła Amanda, wskazując ruchem głowy Spencera.

- Och, ależ zrobi to - odpowiedziała Red głosem, w którym brzmiała pewność, kierując jednocześnie lułą pistoletu, do tej pory skierowaną ku podłodze, w klatkę piersiową Spencera. - Albo powie „tak” po dobroci, albo go do tego zmuszę.

Spencer nie wziął jej słów poważnie. Roześmiał się.

- Nie strzeliłabyś do mnie, Red, dobrze o tym wiesz.

- Mylisz się - odparła. - Nie zabiję cię jednak. Masz na to moje słowo. Ale przestrzelenie ci skóry w kilku miejscach nie stanowiłoby dla mnie większego problemu. Mam nadzieję, że śrut nie pogruchocze ci kości - powiedziała beztrzesko.

Spencer nie znał Kathleen na tyle, by mieć pewność, czy blefuje, czy nie. Wołał się jednak o tym nie przekonywać na własnej skórze. A poza tym, pocieszał się w duchu, akt ślubu bez trudu można unieważnić.

Kazał jednak wszystkim czekać prawie pięć minut, zanim zrezygnowany powiedział:

- Miejmy to już za sobą. A wy poszukajcie sobie innego lokalu, ponieważ nazwa „Nie Tutaj” od dzisiaj będzie dla was miała takie właśnie znaczenie.

43

Nazajutrz po przyjeździe do Trenton Marian miała wrażenie, że boli ją całe ciało, od czubka głowy po palce stóp. Kathleen ostrzegała ją, że tak będzie, ale ona jej nie wierzyła. Przed kilkoma dniami przyszło jej przejechać konno kawał drogi i nie bolały ją potem żadne mięśnie. Jednak dosiadać konia po męsku i próbować utrzymać równowagę to nie to samo, co siedzieć na nim bokiem przed Chadem.

Resztę dnia najchętniej spędziłaby w hotelowym pokoju, gdyby nie to, że zgłodniała. Nie było Elli Mae, która zesłaby na dół i przyniosła coś do jedzenia. Wołała zostać na ranczu, ponieważ nie jechały do miasta wozem, a ona także nie nauczyła się jeszcze jeździć konno.

Marian była ciekawa, co się dzisiaj wydarzyło w saloonie. Kathleen nie wróciła jeszcze do hotelu, by jej wszystko opowiedzieć, albo też nie przyszła po prostu do jej pokoju. Pora była taka, że najpewniej jadła teraz samotnie obiad, sądząc, że Marian odpoczywa albo śpi.

Hotelowa pokojówka, która wcześniej przyniosła wodę na kąpiel, zabrała przywiezione z Twisting Barb dwie suknie i oddała je wyprasowane. Marian ubrała się teraz w jedną z nich, w burym kolorze, której jedyną ozdobą były białe kwiatki wyhaftowane wzdłuż rękawów i skraj sukni. Bez pomocy Elli Mae jej fryzura pozostawiała wiele do życzenia. Marian umiała je uczesać jedynie w ciasny kok, który jednak teraz, po obcięciu grzywki, nie wydawał się już tak bardzo surowy. Nie miała zamiaru robić na nikim wrażenia, chciała jedynie coś zjeść.

Kiedy udało jej się w końcu pokonać schody, jej ruchy stały się nieco szybsze, aczkolwiek nadal dość sztywne. Miała nadzieję, że zastanie ciotkę w hotelowej jadalni, ale jeśli tak się nie stanie, nie miała nic przeciwko jedzeniu w pojedynkę. Jej ciekawość zaczynała się jednak potęgować - w tej chwili znajdowała się na równym poziomie z głodem.

Poszczyściło jej się w obu przypadkach - no, może niezupełnie. Kathleen siedziała w jadalni, ale nie sama. Razem z nią posilał się Chad. Marian zupełnie się tego nie spodziewała i o mało nie zrezygnowała z posiłku. Nie miała ochoty patrzeć, jak Chad leczy złamane serce i cierpi z powodu utraty Amandy.

Usiadła na krześle ostrożnie, tak aby nie urazić obolałych mięśni. Unikała patrzenia na Chada, choć sama wyraźnie czuła na sobie jego wzrok.

Zignorowała go.

- Znalazła ją ciocia? - zapytała.
- Tak.
- I?
- Teraz są już małżeństwem - odparła Kathleen.
- Naprawdę? Nie sprzeciwiała się?

- Oczywiście/że tak. On zresztą także. Ale kule są bardzo pomocne w zmianie zdania.

- Postrzeliła ich ciocia!

Kathleen roześmiała się. Chad także, przyciągając tym samym spojrzenie Marian. Coś jej się w tym wszystkim nie zgadzało. Czyż nie powinien być zdruzgotany utratą Amandy na rzecz innego mężczyzny? Z całą pewnością nie wyglądał na zdruzgotanego, choćby odrobinę. No, ale mógł przecież ukrywać swe uczucia.

Jedno było oczywiste: nadal nie wiedział, że to ona była z nim tamtego dnia w stajni, a nie Amanda. Nie było to coś, co jej siostra uzna za stosowne wyjaśnić, ponieważ nadal chciała, by łączyły ją z nim pewne więzi i pragnęła triumfować, na wypadek gdyby Marian okłamała ją, że już go nie chce.

Marian pozwoliła sobie nie podjąć najważniejszego tematu. Amanda była zamężna. Z wyboru czy też nie, będzie mieszkała gdzie indziej niż ona. Z chwilą wyprowadzki siostry stanie się naprawdę wolna. Zawsze uważała, że dzień ten będzie dniem radości. I taki rzeczywiście był. Szkoda tylko, że zbyt wiele innych kwestii umniejszało tę radość.

- Żałuję, że ominęła mnie ceremonia - rzekła, kierując swą uwagę z powrotem ku Kathleen.

- Niewiele straciłaś. Prawdę mówiąc, to nie był typowy ślub.

- A jednak uważam, że powinnam tam być, a nie użalać się nad sobą i z powodu takiego głupstwa nie uczestniczyć w ceremonii - upierała się Marian. - To przecież moja siostra.

- Szczerze wątpię, by doceniła twoją obecność, skarbie.

To prawda. Zapomniała, że Amanda została zmuszona do małżeństwa, więc na pewno krzywo patrzyłaby na Marian, biorąc udział w uroczystości.

Na szczęście zjawiła się kelnerka, by jej powiedzieć, jakie potrawy kuchnia serwuje dzisiejszego wieczoru, nie musiała więc czynić żadnych więcej uwag na temat ślubu. Niestety pojawiła się także nieszczęśliwie poślubiona para.

- Macie coś przeciwko temu, że do was dołączymy? - zapytał Spencer, siadając obok Chada i przysuwając krzesło od sąsiedniego stolika, na którym mogłaby usiąść Amanda.

- Owszem, mamy - odparł bez ogródek Chad.

- Nie szkodzi - rzekł Spencer z cierpkim uśmiechem.

Chad oparł się wygodnie i zapytał:

- Czy nie powinniście się teraz cieszyć nocą poślubną? W samotności?

- Zrobiliśmy to ubiegłej nocy. Czy też może przeoczyłem ten główny punkt farsy, jaka się dzisiaj rozegrała?

Same słowa były naprawdę gorzkie, ale ton, którymi je wypowiedział, nie. Marian miała przeczucie, że Spencer, gdyby nie to, że Amanda go rozzłościła, byłby całkiem zadowolony, że został młodym żonkosiem. Red wcale nie musiała zmuszać go do ślubu.

- Jak sobie pościelesz... - zaczął Chad.

- Oszczędź mi, proszę, kazania - przerwał mu Spencer. - Chciałbym cię o coś zapytać, Red. Czy naprawdę postrzeliła-bys mnie, ubrudziła krwią siebie i całą resztę, słuchała, jak krzyczę, a potem powtórzyła to, gdybym nadal odmawiał współpracy?

- Nie prowadzi się rancza, tak jak ja i reaguje mdłościami na widok krwi. Owszem, zrobiłabym to. A teraz pozwól, że cię zapytam: czy naprawdę sądziłeś, że uda ci się bez końca rujnować reputację porządnych kobiet, nie płacąc wreszcie za to? Ojciec Clare Johnson nie miał odwagi wystawić ci rachunku, ale ja ją mam.

- Niechętnie ci o tym przypominam, Red, ale reputacja twojej bratanicy została już wcześniej zrujnowana.

- Nic nie szkodzi, wszyscy o tym wiemy. Wszystko już było ustalone. Z kim innym miała stanąć przed ołtarzem. Niepotrzebnie się wtrąciłeś.

- Właśnie. - Zaśmiał się, po czym skierował swoją uwagę na Marian, choć do tej pory zdawał się jej nie dostrzegać: - No no, poczwarka wreszcie wydostała się z kokonu.

Marian nie udało się powstrzymać rumieńca. Naprawdę nie lubiła znajdować się w centrum uwagi. Amanda też nie znosiła, kiedy tak się działo, więc jej natychmiastowa reakcja nie była zaskoczeniem.

- Obawiała się konkurować ze mną - wyjaśniła. - Wiedziała, że nie ma żadnych szans. Ale teraz, kiedy droga jest wolna, sądzi, że może pójść moim śladem.

- Wydajesz się zazdrosna, kochanie - rzekł Spencer, zaskakując tym wszystkich. - Nie ma takiej potrzeby. I tak jesteś ładniejsza.

- Nie to piękne, co piękne, ale co się komu podoba - oświadczył Chad, po czym dodał z ironią: - Dobrze, że Spencer jest ślepy.

Amanda syknęła z oburzeniem. Red próbowała ukryć uśmiech. Spencer nawet nie próbował, tylko wybuchnął głośnym śmiechem. Marian spoglądała wokoło, nie mając pewności, dlaczego Chad przyszedł jej na ratunek, chyba że w ten sposób odgrywał się na Spencerze za to, że skradł mu Amandę. Najpewniej tak właśnie było, jako że od dawna nie darzyli się sympatią.

Amanda nie lubiła być obiektem żartów, zwróciła się więc z gniewem do Chada:

- Jeśli ktoś jest ślepy, to...

- Przypomnij sobie naszą rozmowę, kochanie - przerwał jej Spencer - i ugryź się w język.

Amanda zacisnęła usta i popatrzyła na niego spod oka. Marian nie mogła uwierzyć. Spencerowi udało się uzyskać kontrolę nad jej siostrą. Jak on tego dokonał? Groził jej? Czy też obiecał to, czego chciała? Tak czy inaczej, było to niezwykle. Nawet ojciec nie miał na Amandę aż tak wielkiego wpływu.

Marian nie miała wątpliwości, co Amanda miała zamiar oznajmić. Z czystej złośliwości. Teraz, kiedy już była zameżna, niechętnie widziałaaby Marian w otoczeniu konkurentów, którzy powinni zalecać się do niej. Posiadała też broń, dzięki której mogła ją zmusić do małżeństwa. Oczywiście na tym etapie nikt by jej nie uwierzył, włącznie z Chadem.

Nie było takiej możliwości, by Marian mogła wrócić konno na ranczo, dopóki jej obolałe mięśnie nie dojdą do siebie. Ani furmanką, ani powozem, nawet gdyby Spencer był tak miły i ponownie go użyzył. Obydwa środki transportu zbyt mocno podskakiwały na wyboistych drogach. Nie była więc gotowa do powrotu nazajutrz, kiedy Kathleen postanowiła jechać do domu.

Ciotka zgodziła się, żeby Marian została w mieście. Na prośbę Kathleen gościny bratanicy udzielił pastor. Nie było mowy, by zatrzymała się u swej świeżo zamężnej siostry, nawet gdyby Amanda nie mieszkała nad saloonem.

Marian zamierzała zrobić w Trenton sporo zakupów, poza tym umówiła się z krawcową, która miała jej uszyć zupełnie nową garderobę. Zostało jej trochę pieniędzy, które przywiozła z Haverhill, aczkolwiek ciotka sugerowała, by wstrzymała się z ich wydawaniem, dopóki nie otrzymają wiadomości od prawnika. Kathleen wysłała już telegram do Alberta Bridgesa, informując go zarówno o tym, że potrzebne będą fundusze na zaspokajanie podstawowych potrzeb Marian, jak i o ślubie Amandy. Marian na razie nie mogła otrzymać swojej części spadku, ale przysługiwały jej środki na pokrycie codziennych wydatków. Trudno oczekiwać, żeby Kathleen za wszystko płaciła z własnej kieszeni.

Marian bardzo podobało się wybieranie wzorów i ładnych materiałów. Dawniej zamawiała dla siebie brzydkie i nieciekawe ubrania i za każdym razem, kiedy to robiła, była rozżalona i przygnębiona. Nikt jej do tego nie nakłamał, sama uznała to za konieczne. Na szczęście te czasy wreszcie minęły.

Kathleen planowała odebrać ją z miasteczka w przyszły weekend. Do tego czasu powinna nadejść odpowiedź od prawnika. Na razie Marian nie miała pewności, czy dysponuje większą kwotą. Nim pieniądze zostaną przelane do banku w Trenton, musiała być oszczędna. Niczego nie kupowała, dokonywała jedynie wyboru tkanin na stroje.

Podczas tego tygodnia w mieście udało jej się uniknąć spotkania z Amandą. Siostra rzadko opuszczała swój nowy dom. Marian słyszała, że wieczory spędza w saloonie, odgrywając rolę gospodyni. Nie wiedziała, czy Amanda i Spencer dogadują się ze sobą i pomimo ciekawości nie miała zamiaru ich odwiedzić, by się tego dowiedzieć.

Amanda i tak nie przyznałaby się do kłopotów. Gdyby nawet w jej małżeństwie działo się coś niedobrego, udawałaby, że jest zadowolona. Chodziły słuchy, że raz Spencer, zbiegając ze schodów, o mało nóg sobie nie połamał, a za nim poleciała waza, i że przez resztę dnia unikał żony, jednak był to przypadek odosobniony. Przeważnie sprawiali wrażenie zadowolonych ze wspólnego życia.

Odpowiedź od Alberta Bridgesa nie nadchodziła. Marian zbyt nie martwiła. Mógł przecież wyjechać z miasta i nie otrzymać telegramu Kathleen. Nadszedł piątek i nadal nie było żadnej odpowiedzi. Kathleen miała przybyć nazajutrz i zabrać bratanicę z powrotem na ranczo, a jak na razie Marian załatwiła niewiele - kupiła materiały malarskie i kilka gotowych bluzek. Amanda także zaczynała się niecierpliwić. Dopóki Albert nie dowie się o jej zamążpójściu, nie przekaże należącej jej części spadku.

List od Bridgesa dotarł do Trenton jakieś pół godziny przed planowanym przyjazdem Kathleen. Nie spodziewano się go. Skoro dotarł już teraz, wysłany zwykłą pocztą, prawnik nadał go przed otrzymaniem telegramu Kathleen. Koperta była dość okazałych rozmiarów, stąd wniosek, że nie zawierała jedynie krótkiego listu z zapytaniem, jak dziewczęta sobie radzą.

Wzmogło to ciekawość Marian, ale list był zaadresowany do Kathleen, nie miała więc prawa go otwierać. Najprawdopodobniej były to jakieś formularze do podpisania, nic, czym trzeba by się denerwować. Zaczęła się więc pakować, ponieważ następną noc miała spędzić z ciotką w hotelu.

Kathleen zjawiła się godzinę później. Razem z nią przyjechała większość parobków z rancza, którzy mieli zamiar spędzić w miasteczku sobotnią noc. Z tego samego powodu przy-

był także Chad razem z kilkoma kowbojami z rancza Kinkaida. Marian miała nadzieję, że teraz, kiedy nie pracuje dla jej ciotki, nie będzie się z nim musiała spotykać. Nie chodziło o to, że nie tolerowała jego obecności, po prostu tego nie chciała. I bała się, że skoro Amanda jest już niedostępna, on zwróci swoją uwagę ku niej. Naprawdę nie chciała, by do tego doszło. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego już go nie pragnie. Tak po prostu było. Już go nie chciała.

Pragnęła mężczyzny, którego mogłaby nazwać swoim własnym, owszem, ale dla żadnego nie chciała być dziewczyną drugą w kolejności. Nadal ją bolało, że ostatecznie wygrała Amanda. Nadal ją bolało, że Chad nawet nie wiedział, iż to z nią się kochał.

Nigdy się o tym nie dowie, chyba że jej siostra przyzna się do kłamstwa, co było mało prawdopodobne. Marian z całą pewnością mu tego nie powie. Co innego, gdyby został zmuszony do poślubienia Amandy, lecz takie zagrożenie już nie istniało. Nie chciała, by myślał, że teraz musi się z nią ożenić. Za nic na świecie nie dopuści do tego, by ciotka doprowadziła do kolejnego wesela, tym razem trzymając na muszce Chada.

- Słyszałam, że nie nadeszła telegrafem odpowiedź od Bridgesa - rzekła Kathleen, kiedy zjawiła się w domu pastora, by odebrać Marian. - Wie już o tym całe miasteczko. Eddy przekazał mi tę wiadomość, kiedy szłam ulicą.

Marian uśmiechnęła się. Trudno zachować tajemnicę w takiej miejscinie jak Trenton, skoro Eddy obwieścił ją, krzycząc na całe gardło. Już się pewnie plotkuje o tym w każdym sklepie i saloonie.

- Niedawno dostarczono mi to - odparła Marian, podając Kathleen list. - Spodziewano się cioci dzisiaj.

- Tak, to nie była tajemnica. - Zerknęła na list, po czym wcisnęła go do torby przy siodle. - Zazwyczaj zatrzymują dla mnie pocztę. Jeśli w weekend się nie pojawiają, dostarczają mi ją w poniedziałek. Jesteś gotowa, skarbie? Chad zaproponował, byśmy noc spędziły w domu należącym do Kinkaidów. Pojechał powiadomić służbę.

Czy była gotowa spotkać się z nim? Nie. Skinęła jednak głową i pożegnała się z rodziną pastora, u której spędziła miniony tydzień.

Dom Kinkaidów znajdował się po drugiej stronie miasteczka. Pojechały tam z ciotką na jednym koniu. Kathleen zostawiła bratanicę u krawcowej, bo jednak kazała jej uszyć dla niej kilka strojów. Umówiły się, że spotkają się w sklepie obok.

Gdy Marian wyszła od krawcowej, zastała Kathleen na ławce przed sklepem. Czytała list Alberta. Marian nie przerywała jej, usiadła po prostu obok i uśmiechała do przechodzących ludzi. To było naprawdę przyjazne miasteczko, gdzie wszyscy się znali i gdzie każda obca osoba od razu była zauważona.

Kobiety stanowiły mniejszość i prawie każda miała już męża. Może dlatego podczas krótkiego pobytu w Trenton Marian otrzymała aż cztery propozycje małżeństwa. Przez dom pastora przewinęło się dziewięciu kawalerów, którzy zjawiali się pod byle pretekstem, by spędzić z nią trochę czasu.

Znalezienie męża mogło się okazać znacznie prostsze, niż sądziła. Musiałyby jedynie nabrać ochoty do rozpoczęcia poszukiwań. To przez Chada nie była w stanie wyzbyć się gniewu ani rozczarowania. Niech to wszyscy diabli!

Spojrzała na Kathleen. Siedziała z zamkniętymi oczami, z głową opartą o mur. Nie wyglądała na zmęczoną, raczej zmartwioną tym, o czym się właśnie dowiedziała.

- Coś się stało? - zapytała z wahaniem Marian.

- Zależy jak na to spojrzeć. Z teksańskiego punktu widzenia nic wielkiego. Ludzie tutaj dobrze sobie radzą bez pieniędzy i nikt nie oczekuje od kobiety, że będzie je miała. Tutejsi mężczyźni nie żenią się dla majątku.

Marian znieruchomiała.

- Jakiś problem z testamentem, prawda?

Kathleen westchnęła i otworzyła oczy. Skrzywiła się i spojrzała na bratanicę.

- Można to tak ująć. Okazuje się, że Mortimer umarł jako bankrut.

Tak jak ciotka Marian oparła głowę o mur i siedziała z zamkniętymi oczami. Zbierało jej się na mdłości na myśl, że w jednej chwili przeistoczyła się ze spadkobierczyni pokaźnego majątku w nędzarke. Nic na to nie wskazywało. Przed udaniem się w swoją ostatnią podróż ojciec zachowywał się najzupełniej normalnie. Z pewnością okazałby jakoś, że wszystko stracił.

- Skarbie, nie pozwól, by to cię załamało. Tutaj naprawdę jest inaczej. Mężczyźni, którzy będą chcieli cię pojąć za żonę, zrobią to ze względu na ciebie, a nie pieniądze, które mogłabyś wnieść do małżeństwa.

- Rozumiem, ciociu Kathleen. Nie rozumiem jednak, jak ojciec mógł stracić wszystkie pieniądze. Według testamentu był człowiekiem bogatym, prowadził rozliczne interesy, nieruchomości przynosiły dochód znacznie większy niż Amanda i ja sobie wyobrażałyśmy, dysponował pokaźnym kontem w banku.

- Wiem, i tak było, kiedy sporządzał testament. Wtedy prowadziło mu się doskonale. Ale wygląda na to, że w przeciągu ostatnich kilku lat nieco przeholował. Przeprowadził zbyt wiele zmian w systemie zarządzania nieruchomościami, nie zważając na opłacalność. Kupował je, licząc na zysk, ale nie znajdowały nabywców. Jego zamiarem było znaczne pomnożenie majątku, lecz niestety zabrakło mu czasu. Ostatnio zaczął wyprzedawać nieruchomości, ponosząc przy tym duże straty, by pokryć wydatki. Inwestycje nie przynosiły spodziewanych zysków, musiał się więc zapożyczać.

- Nigdy nie wspominał, że ma kłopoty.

- Rozumiem Mortimera. Prawdopodobnie sądził, że uda mu się odkuć, dlatego nie uaktualnił testamentu. Prawdę mówiąc, z listu Bridgesa dowiedziałam się, że celem jego ostatniego wyjazdu było pożyczanie pieniędzy.

- Jak ciocia myśli, czy majątek da się odzyskać? - zapytała z nadzieją Marian.

Kathleen westchnęła.

- Niestety nie. Nic nie zostało. Po śmierci Mortimera wszystko zostało sprzedane, a pieniądze poszły na spłatę.

Marian z trudem przychodziło przyswojenie tych wiadomości. Była zaskoczona. Podczas tygodni poprzedzających tragiczny wypadek ojciec nie wyglądał na zmartwionego, nie widać było po nim frustracji ani gniewu wywołanego tym, że interesy nie idą dobrze.

Niedawno wybudował nowy sklep obuwniczy, a ona i Amanda wzięły udział w jego hucznym otwarciu. Ojciec cieszył się, że interes kwitnie.

- Czy Albert Bridges wiedział cokolwiek na temat tego, co się dzieje? - zapytała Marian. - Dlaczego nas nie ostrzegł?

- Och, wiedział - odparła z wyraźną dezaprobatą Kathleen. - Ten drań nie miał odwagi, by powiedzieć wam o tym przed wyjazdem z Haverhill. No cóż, w liście wspomina, że nie chciał mieć do czynienia z komedianstwem Amandy, co można zrozumieć. Wszystko jest w tym oto liście, skarbie. Albert miał nadzieję, że gdy na dobre się u mnie zdomowicie, łatwiej przyjmiecie złe wieści.

- A pieniądze, które dał nam na podróż?

- Były jego. Niska cena, jaką musiał zapłacić za swoje tchórzstwo. To są dokładnie jego słowa. Proszę bardzo, przeczytaj ten list.

Marian tak właśnie uczyniła. Sam list nie był długi. Potem następowały wyliczenia wszystkich nieruchomości, które zostały sprzedane, oraz wszystkich narosłych długów. Dom rodzinny Latonów przeszedł w obce ręce za śmiesznie niską cenę, by spłacić ostatnich wierzycieli.

- Będę musiała wycofać zamówienie, które właśnie złożyłam u krawcowej - uświadomiła sobie Marian.

Kathleen przewróciła oczami.

- Nie bądź niemądra. Kilka sukienek nas nie zrujnuje. Ostatnio powodzi mi się całkiem nieźle. Chad pracował u mnie tylko trzy miesiące, ale pod jego ręką Twisting Barb rozkwitło. Nie dalej jak wczoraj dostałam kilka zamówień na wołowinę z sąsiednich hrabstw. Finansowo stoję teraz mniej więcej tak

jak przed śmiercią Franka, a dzięki Chadowi wkrótce będzie jeszcze lepiej.

Marian nic na to nie powiedziała. Nie chciała słyszeć ani słowa więcej na temat tego, jak wspaniały jest Chad Kinkaid. Sama się już o tym przekonała. Gdyby był inny, jej uczucie do niego nie byłoby aż tak silne.

- Nie brakuje ci przecież pieniędzy - kontynuowała pragmatyczna Kathleen. - A ściślej mówiąc, środków do ich zdobycia.

- Chodzi cioci o znalezienie pracy? Tak, pewnie mogłabym poszukać sobie płatnego zajęcia.

- Nie, nie - roześmiała się Kathleen. - Chodzi mi o to, że możesz sprzedać kilka swoich obrazów, jeśli zajdzie taka potrzeba. Uwierz mi, to miasto pragnie czegoś takiego. Obrazy w sklepie wielobranżowym Orvila schodzą na pniu, jeszcze przed rozładowaniem. Sprowadza materiały malarskie, bo ma nadzieję, że ktoś w miasteczku stworzy coś, co będzie warte sprzedania.

- A więc rozumiem już, dlaczego był tak zadowolony, kiedy mi pokazywał te wszystkie materiały - uśmiechnęła się Marian.

- Bez wątpienia. Czujesz się już nieco lepiej?

Tak też było w istocie. Jej życie nie zależało przecież od spadku. Chodziło po prostu o to, że była przyzwyczajona do bogactwa i nigdy nie przypuszczała, że będzie zmuszona obejść się bez niego i żyć ze świadomością, że nie może pozwolić sobie na wszystko, na co ma ochotę, ale uznała, że jakoś sobie z tym poradzi.

- Powoli osuwam się z tą myślą - rzekła. - Ale naprawdę wątpię, czy tak samo stanie się w przypadku Amandy.

Kathleen nie wybiegała tak daleko myślami.

- Tak, dla niej spadek miał wielkie znaczenie - przyznała.

- Liczyła, że za pieniądze ze spadku kupi sobie męża, który będzie traktował ją w taki sam sposób, jak to czynił papa.

- To znaczy pozwalał jej na wszystko?

- Właśnie.

- Ale ona jest już zamężna - uznała za stosowne przypomnieć Kathleen.

- Sama się za taką nie uważa - odparła Marian. - Nie wiem, czy przypadkiem nie zaczęła już myśleć o rozwodzie.

- Nie widziałas się z nią od tamtej wspólnej kolacji?

- Nie, celowo jej unikałam.

Kathleen zmarszczyła brwi.

- Ale na rozwód będzie musiał wyrazić zgodę Spencer.

- Niech mi ciocia wierzy, już Amanda wie, jak sprawić, by nie marzył o niczym innym. Może moja siostra ma taki właśnie plan. Teraz będzie musiała wszystko na nowo przemyśleć. Nie spodoba jej się to. Nie spodoba jej się to, że będzie jej musiało wystarczyć to, co ma.

- No cóż, przynajmniej jest już jakoś ustawiona, a Spencer nie należy do biednych. Trafiła lepiej, niż jej się zdaje.

- Ona nie będzie patrzeć na to w taki sposób - ostrzegła Marian.

- Wiem. - Kathleen jęknęła w duchu. - Każę jej dostarczyć ten list jutro, kiedy nas już nie będzie w miasteczku. Nie ma powodu, byśmy były świadkami jej furii.

46

Kathleen żartowała, że każe dostarczyć Amandzie list od Alberta Bridgesa po wyjeździe jej i Marian z Trenton. Nie była tchórzem, którym okazał się Albert. Wysłała nowożeńcom zaproszenie na wieczór, na kolację w miejskim domu Kinkaidów. Dziwne, ale oboje odmówili.

Może nie takie jednak dziwne. W sobotni wieczór było zawsze najwięcej klientów w saloonie „Nie Tutaj”, a Amanda stała się główną atrakcją tego miejsca. Jej uszczypliwości i złośliwości sprawiały, że nie tylko w sobotę, ale przez cały tydzień lokal Spencera był tłumnie odwiedzany. A robiła przecież tylko to, w czym była najlepsza - obrażała wielbicieli, którymi nie była zainteresowana.

Może się to wydawać zdumiewające, ale urodzeni Teksaszczycy uznawali jej obelgi za zabawne. Nie miało znaczenia to, że Amanda jest już kobietą zamężną - mężczyźni i tak gromadzili się wokół niej, flirtowali, wprost wychodzili ze skóry, by zwrócić na siebie uwagę i wsłuchiwali uważnie w każde słowo. Żaden z nich się nie obrażał, kiedy rozprawiła się z nim bez pardonu. Reszta wybuchała wtedy śmiechem - nawet ci, których obrażała. Niepochlebne docinki brali za komplement i przyjmowali jako wyróżnienie.

Amanda doskonale wpasowała się w pikantne nocne życie. Wszystko wskazywało na to, że dobrze się bawi, grając rolę królowej saloonu. Spencer nie narzekał. Traktował to jako dodatkowy sposób na rozkręcanie interesu.

Marian nie mogła się nadziwić, kiedy usłyszała o tym od cioci. Kathleen zdążyła już zrobić rundkę po mieście i wysłuchać najświeższych plotek, tak więc nie była zaskoczona, że kolację zjedzą same.

- Nie jest to tryb życia, jakiego pragnęłabym dla moich bratanic, ale wydaje się, że Amanda czuje się w tym środowisku jak ryba w wodzie.

- Tak, ale zastanawiam się, czy dotarło już coś do niej, czy nadal całą swoją energię poświęca na znalezienie sposobu, jak wrócić do Haverhill - odparła Marian.

Chad niewiele się na razie odzywał. Wieść o utraconym spadku nie zrobiła na nim większego wrażenia. No tak, przecież teraz, kiedy Amanda nie mogła być już jego żoną, spadek nie miał z nim nic wspólnego. Co nie znaczy, by kiedykolwiek był nim zainteresowany, sam będąc dziedzicem największego rancza w okolicy.

Tego wieczoru wydawał się dziwnie nieobecny. Nadal cierpiał z powodu złamanego serca? Możliwe. Z jej strony nie miał co oczekiwać współczucia. On z całą pewnością także nie współczuł Marian jej najnowszej straty.

- Wstąpię jutro rano do saloonu, zanim pojedziemy do domu - postanowiła Kathleen.

- Będą jeszcze spali - zauważył Chad.

- No to będą się musieli obudzić - odparła Kathleen. - Naprawdę nie znoszę być posłańcem złych wieści, ale w tym wypadku nie mam wyjścia.

- Chcesz, żebym ja to zrobił? - zaproponował Chad.

Och, pewnie, nie może się wprost doczekać spotkania z Amandą - pomyślała z odrazą Marian. Kathleen przez chwilę rozważała jego propozycję, po czym potrząsnęła głową.

- Nie, ten obowiązek spoczywa na mnie. - Po chwili uśmiechnęła się szeroko. - Powiem jej tylko to, co muszę, a potem trzeba będzie od razu jechać, żeby zdążyć do domu przed wieczorem. W ten sposób uniknę napadu jej złości.

Tak się jednak złożyło, że nie było żadnego napadu. Na początku Amanda uznała wieści z Haverhill za żart. Zgoda, na wół spała, kiedy je usłyszała. Kathleen zapewniła ją, że to prawda. Doznała szoku, ale nie odezwała się ani słowem.

Marian sceptycznie odniosła się do tego, że Amanda milczy z powodu doznanego szoku. Odkąd pamiętała, jej siostra miała zwyczaj ignorować to, co nie było po jej myśli. Po prostu nie przyjęła do wiadomości, że nie ma żadnego spadku.

Kathleen zostawiła list Spencerowi. Będzie miał za zadanie sprawić, by jego żona pojęła wszystkie tego konsekwencje - jeśli w ogóle będzie go to obchodziło. Tak jak i Chad, nie uważał czegoś takiego za katastrofę, więc możliwe, że wcale się tym nie przejmie.

Widocznie jednak wyjaśnił całą sytuację Amandzie, ponieważ zaraz następnego dnia przyjechali razem do Twisting Barb.

Obaj Kinkaidowie także tam byli. Podczas barbecue między Stuartem a Red nawiązały się bardziej przyjacielskie stosunki. Przyjechał po południu, by jej przekazać, że za kilka dni wyjeżdża do Chicago. Prawdę mówiąc, przyjechał do niej na kolację, ponieważ z samą wiadomością mógł wysłać jednego z pracowników. Mimo że obecnie nie konwojował już bydła, do Chicago jeździł raz w roku, aby wystawnie podjąć stałych odbiorców żywca z jego rancza. A jeśli chodzi o Chada, Marian uznała, że miał po prostu ochotę na przejażdżkę i dlatego zjawił się u ciotki razem z ojcem.

Kiedy tuż przed zapadnięciem zmroku przyjechali Amanda i Spencer, Kathleen i jej goście siedzieli właśnie w czwórce na werandzie i obserwowali zachód słońca. Amanda wyskoczyła z powozu i wymachując listem od Alberta, zawołała:

- To jeden wielki stek kłamstw!

Marian westchnęła. Zastanawiała się, czyby nie wymknąć się cichaczem z werandy i umknąć do siebie na górę. Naprawdę nie miała ochoty wysłuchiwać wściekłych wrzasków siostry. Oczywiście będzie musiała zamknąć wszystkie okna w swoim pokoju, by jej nie słyszeć. Amanda potrafiła być naprawdę głośna.

Kathleen próbowała ją uspokoić.

- Usiądź, Amando. Rozumiemy twoje niedowierzanie. Mnie samej wydało się niewiarygodne, by Mortimer mógł powziąć tyle błędnych decyzji, i to jedną po drugiej.

- W takim razie nie powinna ciocia akceptować tych bredni bez żadnego...

- Dowodu? - przerwała jej Kathleen, starając się zachować spokój. - Dowód trzymasz w ręku. Do listu dołączono pełne wyliczenie. A może je przeoczyłaś?

Amanda prychnęła.

- Ma ciocia na myśli te sfałszowane dane? Ciociu Kathleen, ciocia mnie nie słucha. Nie przyjechałam tutaj, ponieważ nie chcę uwierzyć w to, co sugeruje wuj Albert. Przyjechałam tutaj, ponieważ wiem, że to nieprawda. Mój Boże, czy myśli ciocia, że papa nigdy ze mną nie rozmawiał? Dzielił się ze mną swoimi sukcesami, bez względu na to, czy miałam ochotę go słuchać, czy nie.

- Możliwe, ale czy kiedykolwiek dzielił się swymi porażkami? - odparowała Kathleen. - A widzisz! Zachowywał je dla siebie, bo się wstydził i nie chciał pozwolić, by ktokolwiek o nich wiedział.

- Ciocia nadal mnie nie słucha - nie dawała za wygraną Amanda. - Jego interesy kwitły. Same na siebie zarabiały. Nie istniały żadne ukryte koszty, które mogłyby wyczerpać jego majątek.

- Nieprzemyślane inwestycje mogą zniszczyć każdego. Dokonał ich zbyt wiele w krótkim czasie.

- To nieprawda! - zawołała Amanda. - W tym właśnie tkwi sedno. Gdyby znała ciocia ojca tak jak ja, wiedziałyby, że zbyt cieszyły go zyski, aby je trwonić na polepszanie warunków pracy. Ale ciocia oczywiście nie widziała się z nim od wielu lat, skąd więc miałyby to wiedzieć? - zakończyła Amanda z drwiącym uśmiechem.

- Odniosłam się do przedstawionych nam faktów - odparła sztywno Kathleen.

- To ja przedstawiam cioci fakty. Jeśli pracownikom się nie podobało, mogli sobie poszukać pracy gdzie indziej. Setki razy słyszałam, jak to mówił. Marian też. A dlaczego nie odchodzili? Wiele osób czekało w kolejce, aż u Latona zwolni się miejsce. Chcieli u niego pracować, bo dobrze płacił, a nie ze względu na idealne warunki pracy. W ciągu ostatnich kilku lat otworzył jedynie sklep z obuwem, gdy do miasta sprowadził się szewc. Papa nie miał zamiaru pozwolić skraść sobie swych długoletnich klientów. I w tym sklepie interes kwitł.

Amanda zasiała w Kathleen ziarno niepewności. Ciotka odwróciła się ku Marian, szukając w jej oczach potwierdzenia tych słów. Marian niechętnie przyznawała swej siostrze rację w czymkolwiek, ale w tym wypadku zmuszona była przytaknąć.

- To prawda, często tak mówił - oświadczyła. - Rzeczywiście doskonale opłacał swoich pracowników i dlatego nie przejmował się tym, gdy narzekali, że nie modernizuje sklepów i panują w nich przeciągi. Jego filozofia była taka, że ludzie zawsze będą potrzebować nowych butów. Kupią je, bez względu na to, czy sklep z obuwem jest nowoczesny, czy stary. Nie przypominam sobie, aby wprowadzał udogodnienia w którymkolwiek z istniejących sklepów, co nie znaczy, że tak właśnie było, gdyż nieczęsto bywałam w handlowej części miasta.

- A ja owszem - dodała Amanda. - I od lat nic się w nich nie zmieniało.

- Doszły jednak zakupy nieruchomości, które okazały się nietrafione - zauważyła Kathleen. - Za pożyczone pieniądze.

- Dlaczego miałyby pożyczać pieniądze? W banku miał ponad siedemset tysięcy dolarów. A jeśli chodzi o nieruchomości, o których pisze Albert Bridges - Amanda dla podkreślenia swych słów uniosła dłoń z listem - tak się akurat składa, że wiem, iż przynajmniej jednej z nich, mam na myśli hotel „Pod Sową”, papa wcale nie kupił. Miał jedynie taki zamiar. Albert powinien o tym wiedzieć. Był przecież jego prawnikiem. Ktoś złożył atrakcyjniejszą ofertę i papa wycofał się. Hotel był położony w mieście, do którego nie przyjeżdżało zbyt wielu odwiedzających. Kupiłby go za cenę wywoławczą, bo byłby to dobry interes, ale za wyższą już nie. Papa nie nabywał nieruchomości, by nimi spekulować...

- Ona ma rację - wtrąciła Marian, wyraźnie przejęta. - Przypominam sobie, jak kiedyś papa śmiał się podczas obiadu, że ktoś próbuje windować się na jego plecach do sukcesu, ale przepłacając, zamiast szukać dobrych okazji, zakłada sobie stryczek na szyję. Nie po raz pierwszy ten sam anonimowy kupiec kładł łapę na nieruchomościach, którymi ojciec był zainteresowany. Papa śmiał się w kułak, ponieważ ten człowiek był na tyle głupi, że nie pojął gry, w którą papa go wciągnął. Specjalnie interesował się nieruchomościami, o których wiedział, że nie stanowią dobrej inwestycji. Pomagał w ten sposób wykopać sobie temu kupcowi własny grób. Papa potrafił być mściwy.

Kathleen przyglądała się Amandzie z niedowierzaniem. Do Marian powoli docierała prawda. Wnioski nasuwały się same. Amanda obrzuciła je triumfującym spojrzeniem i nie poprzestała na tym.

Nie byłaby sobą, gdyby nie oświadczyła z triumfem:

- A nie mówiłam!

Tego wieczoru podczas kolacji wszyscy wysuwali całe mnóstwo sugestii - wszyscy, którzy nie mieli w tym swojego inte-

resu. Nawet Stuart dał się wciągnąć w dyskusję, a na boku zwierzył się synowi, że już od lat się tak dobrze nie bawił.

Osobiście był za wysłaniem oddziału pościgowego i zlincowaniem tego krętacza prawnika, jak nazywał Alberta Bridgesa. Albert mieszkał na Wschodnim Wybrzeżu, dla oddziału pościgowego byłoby to nieco za daleko. A poza tym, mimo że nikt już nie wątpił w to, że Albert ukradł dziewczętom spadek, zanim cokolwiek się zrobi, trzeba mu to udowodnić.

Sfałszowane wyliczenie nie stanowiłoby wystarczającego dowodu. Albert mógł twierdzić, że nie wysłał ani wyliczenia, ani listu. Możliwe, że nieruchomości przedstawione w wyliczeniu nie zostały sprzedane, a Bridges czeka, aż uzyska wyższą cenę.

Miał nadzieję, że jego list zakończy sprawę spadku. Doprowadził do tego, by dziewczęta znalazły się daleko od domu. W liście tłumaczył się tym, że nie miał odwagi powiedzieć im w oczy, że pozostały bez środków do życia. Uznał, że w tej sytuacji nie wrócą do Haverhill i nie dowiedzą się, co zrobił. Może już sprzedał wszystko i uciekł z pieniędzmi. Równie dobrze mogło go już nie być w kraju.

I to właśnie była kwestia zasadnicza. Nie dowiedzą się tego, jeśli nie wynajmą detektywów albo same nie wysłędzą Alberta. Amanda nie miała zamiaru składać sprawy spadku w ręce detektywów.

- Jak szybko możemy wyjechać? - zapytała ciotkę.

- My? - odparła Kathleen. - Nie powinnaś zapytać o to swego męża?

Amanda machnęła lekceważąco ręką.

- On nie jedzie, nie ma żadnego interesu w tym, by mi pomóc.

Kilka par oczu zwróciło się ku Spencerowi, ale on jedynie wzruszył obojętnie ramionami i rzekł:

- Wciąż powtarzam, że niepotrzebne jej są te pieniądze. Ona jednak uważa, że pomogą jej pozbyć się mnie.

Amanda zarumieniła się. Marian uznała to za bardzo interesujące. Czyżby jej siostra chciała wypłatać się z tego małżeń-

stwa? Nie wydawało się jednak, by coś takiego mogło wywołać rumieniec na jej policzkach, chyba że to nie była prawda. Gdyby była, nie przejmowałaby się tym. Jeśli powiedziała to Spencerowi, wcale tak nie myśląc, nie chciałyby wydobywać małżeńskich tajemnic na światło dzienne.

Amanda często mówiła coś, co stanowiło zaprzeczenie tego, co naprawdę myślała. To było jedno z jej narzędzi do manipulowania ludźmi. Może miała swoje powody, żeby Spencer myślał, iż nie jest zadowolona z małżeństwa. I rzeczywiście nie była. Mniej oczywiste było to, że Spencer także nie okazywał zadowolenia. Możliwe, że próbowała zmusić go do wyraźnego określenia swoich uczuć. Obojętność męża doprowadzała Amandę do szaleństwa.

- Nieważne - odezwał się Stuart - czy potrzebuje tego spadku, czy też nie, temu krętaczowi kradzież nie może ujsć na sucho. To tak, jakby się podało wodze koniokradowi, mówiąc: „I tak nie lubiłem tego konia, proszę bardzo, możesz go sobie wziąć”.

- Zgadzam się z tobą - poparła go Kathleen. - Nie chodzi o pieniądze, ale o zuchwałość, której dopuścił się ten prawnik. Przyznaję, że dałam się zwieść jego kłamstwom. Myślał pewnie, że dziewczęta nie połapią się w przysłanych wyliczeniach. Chodziło o to, bym ja w to wszystko uwierzyła. Doprowadza mnie do szału, że tak łatwo mu się udało. Nie miałam żadnych wątpliwości.

- To nie twoja wina, Red - mruknął Stuart. - Wszystko wyglądało na zgodne z prawem, a ty nie widziałas się z bratem od wielu lat. Nie mogłaś niczego podejrzewać.

- Czy w takim razie pojedziesz z nami, ciciu Kathleen? - zapytała ponownie Amanda.

- O, tak! Nie pozwolę, by mnie to ominęło.

- A co z ciami obowiązkami? - zapytała Marian. Nie chciała, by przez tę wyprawę ciotka naraziła się na komplikacje.

- Dzięki naukom Chada Lonny poradzi sobie z prowadzeniem rancza przez kilka miesięcy - odparła Kathleen, po czym spojrzała na Chada i zaśmiała się. - Nie, nie miałam zamiaru prosić cię o przejęcie kontroli nad ranczem.

- Mogę zapłacić za podróż - dodała Amanda, ściągając na siebie spojrzenia. - No cóż, nie miejcie tak zaskoczonych min. Mam zamiar odzyskać spadek.

- Sądziłem, że straciłaś wszystkie pieniądze podczas napadu na pociąg - zauważył Stuart, po czym zaśmiał się. - Właściciele dyliżansów nie sprzedają biletów w zamian za obietnice, oni chcą zapłaty gotówką.

- Wiem - prychnęła Amanda. - Odzyskałam pieniądze, kiedy ten Leroy ujął rabusi. Nie zdążyli jeszcze zrobić użytku ze swego łupu. Przyczaili się na jakiś czas, jak to ujął szeryf. Leroy oddał mi pieniądze, nie zatrzymał ich dla siebie.

- Leroy może i jest starym, cuchnącym łobuzem, ale uczciwy z niego chłop - wtrącił Stuart.

- Otrzymałam całkiem sporą nagrodę, a ja odzyskałam pieniądze - kontynuowała Amanda. - A wszystko z powodu jednego z głupich obrazów mojej siostry. No cóż, prawdę mówiąc, ten akurat nie był taki głupi.

Tym razem wszystkie spojrzenia skierowały się na Marian, co sprawiło, że jej policzki stały się jaskraworóżowe.

- To był pomysł cioci Kathleen - wyjaśniła.

- Całkiem dobry zresztą. - Kathleen pokiwała głową i uśmiechnęła się szeroko. - Marian ma niezwykły talent malarski. Namalowała portret zupełnie z pamięci.

Rumieniec stał się jeszcze bardziej jaskrawy, zwłaszcza, kiedy Chad spytał:

- Masz może jakąś gotową pracę, którą moglibyśmy obejrzeć?

- Nie - mruknęła Marian, a on zmarszczył brwi.

Amanda, która podczas tej wymiany zdań siedziała cicho, pragnęła wtrącić swoje trzy grosze.

- W takim razie to już ustalone, tak? - zwróciła się do Kathleen. - Możemy liczyć na cioci towarzystwo? Mój mąż nie będzie potrzebny?

Kathleen chrząknęła, słysząc to.

- Tak, jeszcze dziś się spakuję - odparła. - Rankiem możemy jechać do miasta razem z wami.

Spencer nie miał zamiaru zignorować kąśliwej uwagi Amandy i postanowił odegrać się.

- Sądzę, że przed udaniem się dokądkolwiek potrzebna jest ci moja zgoda, żono.

- Jak cholera... - zaczęła Amanda.

- Spokojnie, spokojnie - przerwał jej Spencer, aby nie dopuścić do tego, by z ust żony wydostał się stek wyzwisk. - W tym całym ambarasie interesuje mnie jedna sprawa.

- Na przykład? - zapytała Kathleen.

- Dziwi mnie zuchwałość tego prawnika.

- Może wymyślił cały ten plan z desperacji - zasugerował Chad.

- Tak właśnie pomyślałem - dodał Stuart. - Zastanawiam się, czy tym anonimowym kupcem, którego wrabiał wasz tato, nie był przypadkiem Bridges. Miał informacje z pierwszej ręki, którymi nieruchomościami interesuje się Laton. Bridges zorientował się, że zamiast szybko się wzbogacić, może skończyć jako bankrut. Muszę więc zapytać, czy śmierć waszego taty nie była mu na rękę? W jaki sposób on umarł?

Patrzył na Marian, oczekując odpowiedzi, a ona obawiała się, że wie, do czego zmierza.

- Wypadł z pociągu.

- Wypadł? A może został wypchnięty...

Słyszając to przypuszczenie, Amanda zbladła, a Spencer przestał udawać obojętność.

- Jutro wyjeżdżamy, Mandy - oświadczył.

- Zaczekajcie - odezwał się Stuart, nie uzyskawszy odpowiedzi na swoje pytanie. - Dylizans odjeżdża dopiero za dwa dni. Chyba że macie zamiar jechać powozem. Ja też jutro wyjeżdżam. Możecie jechać ze mną. W Kansas City mam swój prywatny wagon, z którego korzystam, udając się na północ. Chyba że szybciej dotrzecie do Haverhill statkiem.

- Mnie nie bardzo odpowiada podróżowanie statkiem - odparł Spencer. - O czym ze smutkiem przekonałem się, kiedy mój tato wysłał mnie na Wschód. Z przyjemnością skorzystamy z pańskiej propozycji.

Szybko postanowiono, że udadzą się do Haverhill w czwórkę. Stuart będzie im towarzyszył tylko do Chicago. Chad w ogóle nie wybierał się w podróż. Nie miał ku temu powodu, absolutnie żadnego.

Marian już za nim tęskniła.

48

Wyjechali nazajutrz, kiedy ledwie zaczęło świtać. Bagaż miał zostać dowieziony furmanką. Siostry wraz z pokojówką jechały ze Spencerem jego powozem. Kathleen zdecydowała, że pojedzie konno, mimo że w powozie znalazłoby się miejsce także i dla niej.

Wyjeżdżając z Twisting Barb, Marian była nieco przygnębiona. Nie miała pewności, czy jeszcze tu wróci. Wprawdzie ciotka nadal pozostawała jej prawną opiekunką, ale wszystko zależało od tego, czy ona i Amanda odzyskają spadek. Jechała z powrotem na Wschód, ale wracała do Haverhill odmieniona. Kto wie, co się może wydarzyć. Już nie ukrywała się za okularami i nie odpychała mężczyzn od siebie.

Stuart zaproponował, by czekając na dyliżans, zatrzymali się w jego domu w Trenton. Sam wrócił na ranczo, by się spakować. Chad pojechał z nim. Miną całe miesiące, zanim Marian znowu go ujrzy. O ile to w ogóle nastąpi. A on się nawet nie pożegnał.

Rozmawiał z Kathleen. Nawet ze Spencerem zamienił kilka słów, choć go nie lubił. Do niej nie odezwał się ani słowem. Siodłał konia i nie spojrzął w jej kierunku, mimo że stała nieopodal i przyglądała załadunkowi bagażu na furmankę.

Rozzłościło ją to. Zachowywał się tak, jakby teraz, kiedy ona stała się lustrzanym odbiciem Amandy, nie mógł znieść jej widoku. Bez wątplenia przypominała mu to, co utracił. Marian nie mogła zaprzeczyć, że oczekiwała, iż okaże jej choć odrobinę zainteresowania. Wykorzystałaby tę sposobność, by go od-

rzucić. Powiedziałyby z dumnie podniesioną głową: „Nie. Dałam ci szansę, ale wybrałeś moją siostrę”.

W głębi duszy wiedziała, że byłoby to niesprawiedliwe. Robiła przecież wszystko, by wyglądać tak nieładnie, jak to tylko możliwe. To oczywiste, że wybrał Amandę. O to właśnie chodziło. Marian nie mogła mu zapomnieć ani wybaczyć, że nadal wolał Amandę, gdy pokazała się z najgorszej strony. Mężczyźni, nie wyłączając Chada, zaślepieni urodą kobiety, nie zwracają uwagi na nic innego.

On nie miał jednak zamiaru dać jej okazji, by wyrzuciła z siebie całe swoje cierpienie i dzięki temu może przestała odczuwać żal. Była zła na siebie. Nie powinna się tak czuć, skoro nie chciała już Chada, i cieszyć się, że udało jej się wyjść z tego wszystkiego bez szwanku.

Krawcowa pracowała dzień i noc, by uszyć dwie suknie, które zamówiła Marian. Niepotrzebnie się spieszyła. Na podróż przydałyby się innego rodzaju ubrania. Marian była podniekcytowana perspektywą jazdy pociągiem. Poprzednio doznała wielu wrażeń.

Chad pojawił się razem ze Stuartem w dniu wyjazdu, pewnie po to jedynie, by pożegnać ojca. Marian sądziła, że już go więcej nie zobaczy, i jego widok tak wytrącił ją z równowagi, że zachowywała się niezdarnie: upuściła podręczną torbę z odzieżą na zmianę, potknęła się o nią i potrąciła chłopaka, który załadowywał bagaże na dach dylizansu. Kufer wypadł mu z rąk, otworzył się i wysypała się z niego połowa zawartości.

Tak się złożyło, że był to kufer z jej rzeczami. Marian gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy na środek ulicy potoczyły się zrolowane płótna. Natychmiast za nimi pobiegła i omal nie została stratowana przez pędzącego konia z kowbojem na grzbiecie.

Chad odciągnął ją na bok.

- Może nie powinnaś się była pozbywać tych swoich okularów - warknął.

Zarumieniła się. Stała bezradnie i patrzyła, jak podnosił z ziemi jej obrazy. Wstrzymała oddech, modląc się, by sznurki

przytrzymujące płótna nie pękły, i żeby Chad nie zapytał, co na nich jest...

- Co na nich jest?

Nie odpowiedziała. Odebrała rulony z jego rąk i wcisnęła je z powrotem do kufra. Chłopak, który go upuścił, bardzo ją przeproszał, więc chwilę zabrało jej zapewnianie go, że nie stało się nic złego. Następnie Marian pozbierała resztę porozrzucanych rzeczy. Chad próbował jej pomóc. Odepchnęła jego ręce, a gdy nie chciał dać za wygraną, spojrzała tak, że roześmiał się i wrócił do siodłania konia.

Marian zaczęła znowu normalnie oddychać - dopóki nie wrócił Chad z własną torbą, którą rzucił chłopcu układającemu bagaże na dachu dylizansu. Przyglądała się tej scenie z otwartymi ustami. Powoli docierało do niej znaczenie tego, czego właśnie była świadkiem.

- Dokąd ty się wybierasz?

- Teraz, kiedy Red nie potrzebuje mnie już na ranczu, wracam do interesów - odparł.

- To znaczy, że jedziesz z ojcem do Chicago?

- Właśnie.

- Och!

Okrzyk wymknął jej się z ust. Chyba nie udało jej się ukryć zdziwienia. Chad już go jednak nie usłyszał. Odszedł, by pomóc przepakować resztę bagażu z furmanki do dylizansu. Marian surowo zganiła się za to, co sobie pomyślała: że jedzie z nimi, bo chce pomóc, albo - co było jeszcze mniej prawdopodobne - nie może znieść rozłąki z nią...

Jak daleko jest w stanie posunąć się w swej próżności? Jeśli nie mógł znieść z kimś rozłąki, to tym kimś była Amanda.

Może miał nadzieję, że jej siostra rozwiedzie się, gdy odzyska spadek? Pomijając wszystko, Amanda nie wysyłała żadnych sygnałów, że jest ze Spencerem szczęśliwa. Chad może myślał, że nadal ma u niej szansę i dlatego nie chciał dopuścić, by odjechała bez niego.

Dylizans, który zwykle przejeżdżał przez Trenton, nie pomieściłby ich bagażu, a siedmiu osobom byłoby w nim bardzo

ciasno. Okazało się, że raz w roku Stuart lubił podróżować z wygodami i do miasteczka przybył zamówiony przez niego dylizans sieci Concord, w którym swobodnie mieściło się nawet osiem osób.

Stuart zawsze podróżował w obstawie wynajętych strzelców. Tym razem też tak było. Kiedy wczesnym rankiem wyjeżdżali z miasteczka, dwóch ochroniarzy jechało obok woźnicy, a czterech - za dylizansem.

Zapowiada się długa podróż, pomyślała żałośnie Marian, siedząc w dylizansie naprzeciwko Chada. Była pewna, że zdrętwieje jej szyja od wykręcania głowy w bok, żeby nie patrzeć na niego, albo większość dnia spędzi z zamkniętymi oczami, udając, że jest zmęczona. Następnym razem zajmie miejsce po tej samej stronie co on, ale nie tuż obok. To byłoby jeszcze gorsze.

Do diabła! Naprawdę zanosilo się na koszmarną podróż.

49

Dziwne, ale tym razem Amanda w ogóle nie uskarżała się na trudy. Podróż odbywała się w jej interesie, a to wszystko zmieniało. Wszyscy towarzyszyli jej po to, by pomóc, tak to przynajmniej postrzegała. Amanda nie narzekała, podróż była więc całkiem znośna, a nawet przyjemna.

Dla wszystkim z wyjątkiem Marian. Konieczność przebywania z Chadem w tak małym pomieszczeniu nie była ani odrobinę przyjemna. Prawdę mówiąc, Marian była przygnębiona, sfrustrowana i poirytowana tymi jakże niechcianymi odczuciami. Za każdym razem, kiedy spoglądała na Chada, on akurat patrzył na Amandę. Włączał się do każdej zainicjowanej przez jej siostrę rozmowy.

Wszystkim podobało się to nowe przeżycie, ale nie Marian. Gdyby była choć trochę podobna do swojej siostry, znalazłaby całe mnóstwo powodów do narzekań. Ponieważ nie była, więc wszystkie swoje żale zatrzymywała dla siebie. Prawie w ogóle

się nie odzywała, aż wreszcie Chad nawiązał do tego, kiedy w hotelu spotkali się przelotnie na korytarzu.

- Martwisz się, że nie odzyskasz spadku?
- Dlaczego miałabym się martwić?

Chad wzruszył ramionami.

- Wydajesz się zaabsorbowana. Nigdy nie milczałaś tak długo. Dzisiaj nie usłyszałem z twoich ust ani słowa.

Rano śmiał się, gdy Amanda usiłowała być zabawna, podczas gdy próba ta była kompletnie nieudana. Za zabawną mogli uznać ją jedynie mężczyźni, którzy ją adorowali. I jeszcze dziwił się jej milczeniu?

Marian gryzła się tym przez cały dzień. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Chad wciąż ma nadzieję zdobyć Amandę. Spencer także nie uważał, że jego żona jest zabawna. Nie mogło być inaczej, skoro wypowiadała pod jego adresem cięte uwagi.

Tych dwoje niezbyt dobrze się dogadywało. To było oczywiste. Aczkolwiek dziwne było to, że Amanda zachowywała się zaskakująco powściągliwie wobec kogoś, kogo tak wyraźnie nie lubiła.

Przytyki wygłaszane pod adresem męża były jak na nią naprawdę grzeczne, a ich celem było bardziej przyciągnięcie jego uwagi niż danie mu po nosie. Wydawało się bez mała, że wcale nie jest tak, że go nie lubi albo też Spencer znalazł jakiś sposób na poskromienie złośnicy.

Marian zdała sobie sprawę, że blokuje przejście w hotelowym korytarzu. Chad cierpliwie czekał na odpowiedź, więc zmuszona była coś powiedzieć.

- Pomijając to, że zostałam ograbiona ze spadku, naprawdę mam o czym myśleć. Dostałam cztery propozycje małżeństwa i muszę je rozważyć.

- Co takiego?!
- Słyszałaś. Powiedziałam, że się nad tym zastanowię, więc... teraz o tym myślę.
- Kto podczas podróży cię nagabywał?
- Nikt.

- W takim razie kto cię poprosił o rękę?
- Och, to się stało jakiś czasu temu, zanim wyjechaliśmy z Trenton.

- Kto? - Chad nie dawał za wygraną.

Marian zmarszczyła brwi.

- Naprawdę nie pamiętam nazwisk, z wyjątkiem tego miłego doktora Willaby'ego.

- Mógłby być twoim ojcem - prychnął Chad.

Wzruszyła ramionami.

- Jest bardzo sympatyczny.

Chad przyjrzał jej się spod zmrużonych powiek.

- Nabierasz mnie, Mari?

- Nie, ani mi się śni - odbiła piłeczkę. - A poza tym to nie twoja sprawa. Nie powinno cię to obchodzić. I może następnym razem lepiej będzie, jeśli zachowasz pytania dla siebie, skoro odpowiedzi tak cię niepokoją.

- Wcale nie.

- W takim razie pomyliłam się. Rzeczywiście nie wydajesz się zaniepokojony - powiedziała. Odsunęła Chada i poszła do swojego pokoju.

Tego dnia nie odezwała się już do niego ani jednym słowem, następnego zresztą także. Skoro nie potrafiła z nim rozmawiać, bez złości - za co surowo się ganiła - lepiej trzymać buzię na kłódkę. Chad chyba czuł to samo, ponieważ znowu zaczął ją ignorować.

Kiedy dotarli do linii kolejowej łączącej Zachód ze wschodnią częścią kraju, skończyła się najdłuższa i najbardziej uciążliwa część podróży. Obyło się bez przykrych incydentów. Uzbrowiona eskorta nie miała nic do roboty - nikt nie próbował napaść na dyliżans i ograbić podróżnych. W mijanych miasteczkach nie byli świadkami żadnej strzelaniny ani burdy.

Pewnego ranka Marian wstała wcześniej niż zazwyczaj i przyłapała ciotkę, jak wymykała się z pokoju Stuarta. Była tym znacznie bardziej skrepowana niż Kathleen.

Ciotka uśmiechnęła się i rzekła:

- Poprosił mnie, bym za niego wyszła.

- Ni z tego, ni z owego?

- Niezupełnie. My... eee, jakby ci to powiedzieć... Dzielimy łożę od tej nocy, kiedy zostałam porwana. Strasznie się wtedy o ciebie martwiłam. Stuart był pełen determinacji, nie chciał pozwolić, bym dopuszczała do siebie czarne myśli. Dlatego przyjechał wtedy na kolację. Nie tylko po to, by mi powiedzieć, że wybiera się do Chicago, ale by poinformować mnie, że po powrocie zacznie się do mnie zalecać na poważnie.

- Wyjdzie ciocia za niego?

- Och tak. Jestem w nim zakochana od dnia, kiedy go poznałam, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, by coś z tym zrobić. Nawet po śmierci Franka nie śmiałam marzyć, że Stuart okaże mi zainteresowanie.

- Dlaczego? - zapytała Marian. - Jest przecież ciocia ładną kobietą.

- Ale z małym stadem, podczas gdy on ma aspiracje, by stać się największym ranczerem w całym Teksasie. Z takim majątkiem może mieć każdą kobietę, jakiej zapragnie, dlaczego miałby więc chcieć za żonę taką, która w wianie wniesie zaledwie kilkanaście sztuk bydła?

Marian przewróciła oczami i zachnęła się w duchu. Ci Teksasńczycy mierzą uczucia wielkością stada.

- W takim razie myliła się ciocia.

- Stuart mówi - odparła Kathleen - że to jedyny sposób na sprowadzenie do jego domu mojej kucharki.

Marian zamruwała powiekami. Już chciała wyrazić swoje oburzenie, gdy ciotka wybuchnęła śmiechem. Zreflektowała się i zakryła usta dłonią. Nie chciała o tak wczesnej porze nikogo budzić. Wzięła Marian pod ramię i wciągnęła do swojego pokoju.

- Żartował - rzekła przyciszonym głosem.

- Jest ciocia pewna?

- W stu procentach. Na razie zachowaj to dla siebie. Stuart chce wziąć ślub w wielkim stylu. Zaprosi całe hrabstwo i urządzi wesele, jakiego świat nie widział. Tymczasem chcielibyśmy

trzymać nasze szczęście w ukryciu. Inaczej nie wypada, skoro tyle spraw pozostało nierozwiązanych.

Amanda z całą pewnością zepsułaby całą przyjemność, skoro to szczęście jej nie dotyczy. Ale tego nie trzeba było mówić, obie rozumiały się bez słów.

Marian była zdumiona, że niczego nie zauważyła. Pochłonięta rozczulaniem się nad sobą, nie dostrzegała znaczących spojrzeń, jakie ciotka wymieniała ze Stuartem. Nie zorientowała się, że noce spędzają razem. No, może nie każda, gdyż część hoteli, w których się zatrzymywali, nie miała wystarczającej liczby pokoi i nie zawsze jedno z nich miało pokój tylko dla siebie.

Marian bardzo się cieszyła szczęściem Kathleen. Jej rozterki stały się jednak tym większe. To oznaczało, że dopóki sama nie wyjdzie za mąż, będzie musiała mieszkać z ciotką na ranchu Stuarta. Oznaczało to również życie pod jednym dachem z Chadem. Ta perspektywa była dla niej tak trudna do zaakceptowania, że nawet nie chciała o tym myśleć.

Wniosek nasuwał się jeden: przed powrotem do Teksasu musi znaleźć sobie męża, co nie było takie niemożliwe. Pomijając wszystko, wracała do swego rodzinnego miasta, gdzie znała wszystkich ze swej sfery. Zanim wyjechała z Haverhill, zraziła do siebie większość stanowiących dobrą partię mężczyzn, ale od tamtej pory stała się inną kobietą - przynajmniej jeśli chodzi o wygląd - mogła więc zacząć wszystko od nowa.

Problemem był czas. Możliwe, że pobyt w Haverhill będzie krótki, a nie jechali tam z myślą o przyjmowaniu konkurentów. Marian mogłaby jednak nad tym popracować, gdyby była wystarczająco zdeterminowana. A była. Wszystko jest lepsze od konieczności znoszenia ciągłej obecności Chada.

.. 50 ..

Prywatny wagon Stuarta był aż do przesady elegancki. Nie korzystał z niego jednak na tyle często, by kłopotać się zmianą

aranżacji. Miejsc do spania nie wystarczyło dla wszystkich podróży, ale można się było przespaciać na jednym z kilku przepastnych pluszowych foteli w saloniku. A zresztą według planu w pociągu mieli spędzić tylko jedną noc, poprzedzoną dłuższym postojem na stacji, tak aby mogli zjeść kolację.

W wagonie znalazło się miejsce na dobrze zaopatrzone barek, a nawet na pianino.

- Było w wyposażeniu - wyjaśnił Stuart, wzruszając ramionami. - Jakoś nie pomyślałem, by się go pozbyć.

I dobrze się stało, bo Red umiała im podróż grać na tym instrumencie. Chad wolał przysłuchiwać się muzyce, niż grać z ojcem i jego ludźmi w pokera. Nie był w stanie skoncentrować się na kartach, przez co stał się przedmiotem żartów. Nie miał żadnej wymówki dla takiego stanu ducha, przynajmniej takiej, którą miałby ochotę wyjawiać.

Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że ojciec i syn jadą na tym samym wózku - obaj sprawiali wrażenie nieobecnych. Chad już jakiś czas temu odgadł, dlaczego ojciec jest taki roztargniony. To było dość oczywiste. Zaczekał, aż Stuart sam mu powiedział, że on i Red zamierzają wziąć ślub, a wtedy oświadczył:

- Czas najwyższy.

Tworzyli z Red idealną parę. Chad zauważył to już dawno, nim Stuart sam zdał sobie z tego sprawę. Po latach żałoby, jakie upłynęły od śmierci matki, oglądanie ponownie zakochanego ojca sprawiłoby mu niezwykłą radość, gdyby nie był tak bardzo rozdrażniony własnym żalosnym położeniem.

Nie powinien był brać udziału w tej podróży. Nigdy dotąd nie jeździł z ojcem do Chicago. Był tylko jeden powód wyjaśniający jego obecność w pociągu. Nie mógł znieść myśli, że kobieta, której pragnął, odjedzie w stronę wschodzącego słońca bez niego. To było naprawdę głupie, ponieważ ona nie wiedziała, że on jej pragnie. Udawanie się w tę podróż nie miało więc żadnego sensu, chyba że chciał się umartwiać. A to szło mu naprawdę dobrze.

Na początku nie było tak źle. Jego uwagę odwracali Spencer i Amanda i ich dziwny związek. Nie lubił Spencera, sprzeczki nowożeńców nawet go bawiły. Z każdym dniem coraz gorzej znosił obojętność Marian - zupełnie go ignorowała.

Jej zachowanie wymownie świadczyło o uczuciach, jakie żywiła wobec niego. A właściwie o ich braku, mimo że wcześniej, zanim Amanda zastawiła na niego pułapkę, miał u niej sporą szansę. Gdyby jednak teraz okazał Marian zainteresowanie, poczułaby się urażona. Tamtej nocy pod gwiazdami była w szoku i mimo że celem Chada nie było wykorzystanie jej stanu, dał się ponieść pożądaniu. Powinien jej to po prostu powiedzieć, ale ona była tak bardzo zakłopotana, że nie chciał pogarszać sytuacji. Nawet gdyby z jakiegoś powodu przyjęła jego zaloty, zawsze stałby między nimi ten incydent w stajni z jej siostrą. Najlepiej będzie, jak zupełnie o niej zapomni.

Na ostatnim nocnym postoju przed Chicago Chad zastał Spencera samotnie spożywającego kolację w hotelowej jadalni. Sam zszedł coś zjeść późno, mając nadzieję, że wszyscy rozeszli się już do swoich pokoi. Wcześniej Stuart oświadczył, że pojedzie z paniami aż do Haverhill. Chada nie zaskoczyła jego decyzja. Zastanawiał się, czy nie uczynić tego samego.

Przypominało to przedłużanie agonii. Jeśli Marian nie wyjdzie w Haverhill za męża, wróci do Teksasu i zamieszka z Red na ranchu ojca. Zastanawiał się, czy nie zostać w Chicago, dopóki Marian nie zniknie z jego życia.

Nie pytając o pozwolenie, dosiadł się do Spencera. W Trenton zawarli rozejm i próbowali się ze sobą dogadywać, o ile można tak nazwać niewszczywanie bójek. Odkąd podróżowali razem, Chada ciekawiło, co kryje się za dziwnym zachowaniem Spencera. Na początku wydawał się poirytowany, a ostatnio wyraźnie powstrzymywał rozbawienie.

Spencer spojrział przelotnie na swego dawnego rywala, po czym kontynuował krojenie mięsa na talerzu. Chad uznał, że nie pozwoli się ignorować. Miał już tego po dziurki w nosie.

- Gdzie twoja żona? - zapytał.
- Położyła się wcześniej. Rozboliła ją głowa. Często ją boli.

- Akurat - odparł sucho Chad. - Powód dobry jak każdy inny, żebyś mógł posiedzieć w spokoju.

Spencer uśmiechnął się tajemniczo i nie rozwinął tego tematu.

- Pyszne jedzenie. Zamówiłem dokładkę.

- Cieszy mnie to. Umieram z głodu. - Chad przywołał kelnerkę i poprosił, by podała mu to samo, co Spencerowi. - Weźmiecie rozwód, gdy tylko wyjaśni się ta sprawa z prawnikiem? - rzekł od niechcienia.

Spencer omal się nie zakrztusił, słysząc to nieoczekiwane pytanie, ale szybko doszedł do siebie.

- Małżeńskie życie zaczyna mi się podobać - odpowiedział enigmatycznie.

- Każdego możesz oszukać, ale nie mnie.

Spencer roześmiał się.

- To, co się widzi, może być mylące. O czym zresztą obaj się przekonaliśmy.

- Żałujesz, że wcześniej nie wiedziałeś, iż Amanda i Marian są bliźniaczkami?

- A skąd! Marian jest - jak by to ująć - zbyt miła jak na mój gust.

- Zbyt miła dla ciebie, ale nie dla mnie - mruknął Chad.

Spencer rozparł się na krześle, napił wina i rzucił nonszalancko:

- Rozumiem, nie możesz jeszcze rościć sobie do niej żadnych praw. Zawsze wiedziałem, że jesteś głupcem.

Chad zeszytniał i przypomniał mu:

- Kochałem się z jej siostrą. Nie jest to coś, na co kobieta byłaby skłonna przymknąć oko.

- Od kiedy to stałeś się ekspertem od kobiet? - uśmiechnął się z wyższością Spencer. - Chowasz głowę w piasek. To pewne jak w banku, że nie próbując, niczego nie osiągniesz.

- I kto to mówi! Masz żonę, którą na sam twój widok boli głowa.

Spencer wybuchnął gromkim śmiechem. Chad zacisnął zęby. Gdyby w tej chwili nie pojawił się przed nim talerz z zamó-

wionym jedzeniem, całkiem możliwe, że walnąłby Spencera pięścią w nos.

Spencer nigdy nie zachowywał się tak zagadkowo ani nie taił tego, co go bawi. A coś go teraz bawiło, mimo że tym razem nie odbywało się to kosztem Chada. Diabelnie irytujące było to, że nie chciał się podzielić przyczyną swej wesołości.

Zaskoczył Chada, gdy wciąż uśmiechając się szeroko, wyznał:

- Bardzo mi przykro, że muszę cię rozczarować, ale „ból głowy” nie jest taką wymówką, o jakiej myślisz. No cóż, Amanda ma nadzieję, iż przyjdę do sypialni zaraz po niej. Wymawia się bólem głowy, żeby nikt nie zwrócił uwagi na to, że ostatnio chodzi spać wcześniej, albo nie zaczął się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje.

Chad zmarszczył brwi.

- To, co mówisz, jest pozbawione sensu.

- Nie kojarzysz? Jak mam to ująć? Ona uwielbia się kochać.

Chad parsknął.

- A poza tym szczerze cię nienawidzi?

Uśmiech Spencera stał się jeszcze szerszy.

- Ależ ona wcale mnie nie nienawidzi. Wprost przeciwnie.

- Jesteś w takim razie jej aktualnie ulubionym workiem treningowym?

- Chodzi ci o jej dąsy? Wszystkie te uszczypliwości biorą się stąd, że nie dogadzam jej ani nie daję wszystkiego, czego sobie zażyczy. Nie byłaby sobą, gdyby się nie dąsała. Jest bądź co bądź porządnie zepsuta.

- I ty się tym nie przejmujesz? Nieważne. Twoje rozbawienie mówi samo za siebie.

Spencer roześmiał się.

- Na to także narzeka. Ale nie jestem w stanie się powstrzymać. Nigdy nie spotkałem tak zepsutej kobiety. Bawią mnie jej wygłupy i manipulacje.

- Mnie by tylko rozgniewały.

- No cóż, dzięki Bogu nie jesteśmy do siebie ani trochę podobni.

- Ty sukinsynu! - Chad wreszcie sobie wszystko uświadomił. - Ty przez cały czas chciałeś się z nią ożenić, no nie? Twoje protesty były tylko na jej użytek?

- Oczywiście.

- Powiesz jej kiedyś o tym?

- A po co. - Spencer wzruszył ramionami. - To by ją jeszcze bardziej zepsuło. Nie jestem głupi.

- To ty tak sądzisz - odparł Chad. Obrażanie Spencera było głęboko zakorzenionym nawykiem.

Spencer zignorował tę uwagę.

- Nie palę się do tego, by popełnić ten błąd. A poza tym to wcale by jej nie ucieszyło. Psując ją, ojciec doprowadził do tego, że stała się jędzą. Szybko się uczy. Dość późno, ale zrozumiała, że lepiej samemu na coś zapracować niż otrzymać podane na tacy. A ja mam zamiar cieszyć się każdą chwilą z nią spędzoną.

Chad potrząsnął głową.

- Zdziwiasz mnie, Spencer. Nigdy bym nie pomyślał, że masz w sobie takie pokłady cierpliwości.

- Nie trzeba do tego cierpliwości. Ta moja żonka jest zbyt przewidywalna. Przez całe życie manipulowała innymi i nigdy nie zdała sobie sprawy z tego, jak prosto można manipulować nią.

- Szkoda mi jej.

Spencer wybuchnął śmiechem.

- Dlaczego? Że dostaje to, na co sobie zasłużyła?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie oszukuj samego siebie. Przed poznaniem mnie nigdy wcześniej się tak dobrze nie bawiła.

51

w trakcie długiej podróży do Haverhill był czas na to, by omówić plan konfrontacji z Albertem Bridgesem. Po przeanalizowaniu wszystkich możliwości postanowiono, że dopóki nie

uda się zlokalizować Alberta, siostry pozostaną w ukryciu - zakładając, że nie zdążył jeszcze wyjechać do innej części kraju razem z nieuczciwie zdobytym majątkiem. Jeśli nadal przebywał w Haverhill, nie chcieli, by dowiedział się o ich przyjeździe, aż nie ustalą ostatecznego sposobu konfrontacji. Nie chcieli dopuścić do tego, by uciekł.

Marian nie podobał się pomysł ukrywania się w hotelowym pokoju. W ten sposób na pewno nie znajdzie sobie męża. Trzeba, żeby została dostrzeżona przez dawnych znajomych, wtedy istniała szansa, że otrzyma jakąś propozycję małżeństwa, zanim będzie zmuszona wracać do Teksasu.

Amandzie to nie przeszkadzało. Chciała jedynie odzyskać spadek - o ile w ogóle coś z niego zostało. A jeśli ukrywając się, będzie miała większą na to szansę, tak właśnie uczyni.

Do północy obie pozostały w prywatnym wagonie Stuarta, po czym przekradły się do hotelu, w którym wcześniej tego dnia zameldowała je Kathleen. Choć raz Marian miała oddzielny pokój, mogła więc w spokoju rozczulać się nad sobą.

Chad także był nadal razem z nimi. Marian nie pytała, dlaczego postanowił zostać z nimi do końca. Nie dlatego, że nie była tego ciekawa, ale ponieważ w ogóle się do niego nie odzywała. Zbyt zawiedziona była tym, że nawet na krótko nie odpocznie od jego irytującej obecności.

Następny dzień przyniósł dobre i złe wieści. Wszyscy zebraли się w pokoju Kathleen, by zjeść obiad i przekazać dziewczętom, czego się dowiedzieli. Spencer i Amanda spali do późna, więc on nie miał niczego do zakomunikowania, ale Chad i jego ojciec wcześniej opuścili hotel z zamiarem ustalenia miejsca pobytu Alberta.

W pokoju Kathleen zjawili się ostatni.

- Bridges nadal mieszka w mieście - oznajmił Chad.
- No cóż, w ten sposób usunięta zostaje główna przeszkoda - odparła Kathleen.
- To głupie z jego strony - dodał Stuart. - Ale jest najwyraźniej zupełnie pewny tego, że dziewczęta nigdy się nie zjawia, by go o cokolwiek oskarżyć.

- Na początku nie wyglądało to obiecująco - ciągnął Chad. - W jego dawnej kancelarii rezyduje teraz buchalter, myśleliśmy więc, że Albert dawno już opuścił miasto.

- Ale tak się nie stało? - zapytał Spencer.

- Nie - odparł Stuart. - Większość pracowników nie wiedziała, kim jest Albert Bridges, ale tuż przed naszym wyjściem pojawił się człowiek, który kiedyś pracował dla niego, i znał jego nowy adres, zresztą w jednej z lepszych dzielnic. Narzekał, że były chlebodawca nie zatrudnił go w nowej kancelarii. Z tego powodu ma o nim jak najgorsze zdanie.

Plan był następujący: gdy tylko odnajdą Alberta, zaprowadzą go prosto przed oblicze władz.

Następne pytanie zadała Kathleen:

- Zakładam, że w nowym miejscu także go nie było?

Stuart potrząsnął głową.

- Ta nowa kancelaria robi wrażenie. W dawnej rządziła wilgoć, w tej pluszowe fotele. Wygląda to niezwykle kosztownie.

- Urządził się za moje pieniądze - warknęła Amanda.

Spencer poklepał ją uspokajająco po ramieniu.

- Gdzie to jest? - zapytała Marian.

- Taki wielki budynek obok banku, dwie kondygnacje...

Amanda gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Wiem! To jedna z nieruchomości należących do papy!

- Nie denerwuj się tak, Mandy - poprosił Spencer. - To do wód, którego potrzebujemy, by pogrążyć tego człowieka. Ten budynek powinien zostać przekazany wam. Zanosi się na to, że zakończymy sprawę i wrócimy do domu szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Amanda, słysząc jego słowa, posłała mu uśmiech. Marian nie mogła się temu nadziwić.

- Nastąpi krótkie opóźnienie - kontynuował Chad. - Wygląda na to, że to bardzo zajęty człowiek. Wyjechał na północ, by sfinalizować umowę zakupu ziemi dla jednego ze swoich klientów. Jego sekretarz twierdzi, że pan Bridges nie wróci przed piątkiem.

- To dopiero za trzy dni! - jęknęła Amanda.

Marian choć raz w pełni zgadzała się z siostrą, mimo że prawdopodobnie z zupełnie innego powodu.

- Skoro Alberta nie ma w mieście, nie widzę powodu, dla którego miałybyśmy się ukrywać. Chciałabym się spotkać z kilkoma osobami...

- Nie - przerwał jej krótko i stanowczo Chad.

Uniosła brew i zapytała cierpko:

- A kto dał ci prawo podejmowania decyzji?

Zmarszczył czoło, słysząc jej ton, i już miał zamiar coś powiedzieć, ale ubiegł go ojciec.

- Mój syn ma rację. Możliwe, że znajdują się ludzie, którzy orientują się w matactwach prawnika.

- Kto?

Stuart wzruszył ramionami.

- Wspólnik, przekupiony urzędnik. Może nawet rodzina.

- To mało prawdopodobne - odezwała się Marian.

- Dlaczego? - zapytał Chad. - Z całą pewnością musiał kogoś przekupić, by przejąć majątek Latona. A masz pewność, że nie ma tutaj żadnej rodziny? Żony? Rodziców?

- Nie - mruknęła Marian.

- Raz kiedyś wspomniał coś o siostrze, ale ona nie mieszkała tutaj, w Haverhill - wtrąciła Amanda.

- Świetnie, idę się ukryć z powrotem w moim pokoju - naburmuszyła się Marian. - Ale naprawdę wątpię, by nasza obecność w mieście długo dało się utrzymać w tajemnicy. Zdażyłam już wpaść na pokojówkę. Zapytała: „Czy pani nie jest...?” Nie pozwoliłam jej dokończyć zdania i zaprzeczyłam. Akurat mi uwierzyła! Twarz Mandy jest dobrze znana w mieście.

Marian wymaszerowała gniewnie, ledwo się powstrzymując, by nie trzasnąć drzwiami. Kiedy dotarła do swego pokoju, który mieścił się w głębi korytarza, na jej policzkach malował się rumieniec. Zawstydziała się. To, co zrobiła, było z jej strony bardzo niegrzeczne.

Zaczynała się zachowywać jak Amanda i nic nie była w stanie na to poradzić. Zbyt była zmęczona udawaniem, że wszystko jest w porządku, podczas gdy w jej wnętrzu szalało

tak wiele emocji. Straciła wszelką cierpliwość. Wyrzuciała także. Potrafiła trzymać uczucia na wodzy, kiedy miała nadzieję, że niedługo odzyska spokój. Okazało się jednak, że o wytechnieniu może sobie tylko pomarzyć.

Chad nadal znajdował się w pobliżu, widywała go codziennie i dłużej nie mogła oszukiwać samej siebie, że nie odczuwa już w stosunku do niego gniewu. Co więcej, gniew ten ani odrobinę nie zmalał.

Tak doskonale udało mu się owinać ją sobie wokół palca. W nocy poprzedzającej incydent w stajni pocałował ją, każąc jej sądzić, że naprawdę ma u niego szanse. Gdy kochał się z nią, myślała, że pragnie właśnie jej, tymczasem on był przekonany, że jest z Amandą. Zraniło ją to wtedy, ale teraz odczuwała z tego powodu nie tylko gorzkość. Także urazę i zazdrość. Tego też nie mogła się dłużej wypierać. Złościło ją to, że Amanda zawsze wygrywa. Nie musi nawet walczyć, a i tak dostaje to, co chce.

Zamknęła za sobą drzwi i rozpłakała się z bezradności. Nie była tym zdziwiona. Samotność ostatnimi czasy nie była jej dobrą przyjaciółką. Im dłużej przebywała sama, tym gorzej zachowywała się w towarzystwie innych osób - stała się wybuchowa i opryskliwa. Nigdy taka nie była. Nie poznawała siebie.

Może poczułaby się lepiej, gdyby mogła się podzielić z kimś swymi odczuciami, ale nie miała z kim na ten temat porozmawiać. Nie chciała, by Kathleen dowiedziała się, że to ją Chad pozbawił dziewictwa, a nie Amandę. A poza tym ciotka była taka szczęśliwa dzięki świeżo odnalezionej miłości. Marian nie chciała zakłócać jej szczęścia.

Mogła się wypłakać na ramieniu Elli Mae. Powinna to była zrobić. Pokojówka potrafiła okazywać współczucie. Jednak tak naprawdę Marian nie pragnęła współczucia. Ella Mae specjalizowała się także w dziwnych pomysłach, które jak na jej gust były zbyt śmiałe. A choć raz Marian była na tyle wytrącona z równowagi, że pewnie by je zrealizowała, wolała nie dać się skusić i zachowała to, co ją martwiło, dla siebie.

To był błąd. Ukrywała to wszystko już zbyt długo i zaczynała się przekształcać w kogoś, kto jej się zupełnie nie podobał. A przebywanie w samotności wcale nie pomagało. Oczywiście, że mogła wrócić do pokoju Kathleen i ponownie zachowywać się jak nienormalna.

Wzdrygnęła się na tę myśl. Wyciągnęła z kufra stary czepek i przyczepiła do niego woalkę. Nikt jej pod nią nie rozpozna, a ona nie będzie się zbliżać do osób, które znała. Nie zniesie dłużej siedzenia w hotelowym pokoju.

52

Może porozmawiałybyś z nią? - zasugerował Stuart.

W pokoju Kathleen zostali już tylko oni dwoje. Spencer i Amanda wrócili do siebie, a Chad wyszedł krótko po nich. Nie planując tego specjalnie, nagie zostali zupełnie sami. Kathleen nie musiała pytać, kogo Stuart miał na myśli.

- Pewnie powinnam to zrobić. Coś bez wątpienia ją trapi.

- Nie o to mi chodzi, miałem na myśli mojego chłopaka. Żywi wobec niej silne uczucia, ale ona doprowadza go do szału. Traktuje go, jakby był niewidzialny.

- Oczywiście, że tak - odparła Kathleen, biorąc Marian w obronę. - Zrobiłabym to samo, gdyby mężczyzna, który kochał się z moją siostrą, nagłe zaczął mi okazywać zainteresowanie.

Stuart westchnął.

- Wiesz, że to był błąd. Do diabła, Red, chłopak został oszukany. Ty to wiesz. Ja to wiem. Czas najwyższy, by Marian się o tym dowiedziała.

- Wątpię, czy ma to jakieś znaczenie.

- A może wprost przeciwnie - upierał się. - Powiedz jej.

Kathleen potrząsnęła głową.

- Jeśli miałaby to od kogoś usłyszeć, to właśnie od niego. Skoro żywi wobec niej silne uczucia, jak twierdzisz, dlaczego sam jej tego nie powie?

- Ponieważ myśli dokładnie w ten sam sposób co i ty, że to niczego nie zmieni. Ty mogłabyś się przynajmniej dowiedzieć, czy ma u niej w ogóle jakąś szansę.

Kathleen przewróciła oczami.

- On też może to zrobić. Jeśli nie są w stanie sami się porozumieć, to znaczy, że nie są sobie pisani. Nie jestem swatką. Ty zresztą też nie.

- Młodzi ludzie popełniają błędy, których potem żałują - mruknął Stuart. - Ty tak zrobiłaś. Wyszłaś za mężczyznę, którego nie kochałaś, byle tylko wydostać się z Haverhill. Chad także popełnił błąd, kochając się z niewłaściwą kobietą. Oczywiście o tym nie wiedział i to właśnie w tej całej sprawie najbardziej śmierdzi. Nie mogę patrzeć, jak mój syn żałuje straconej szansy u dziewczyny, której pragnie.

- Na litość boską dlaczego więc nie przekonasz go, żeby coś z tym zrobił?

- Próbowałem, wierz mi - przyznał niechętnie Stuart. - Ale znasz go chyba na tyle, by wiedzieć, jakiej udzielił mi odpowiedzi. Kazał mi pilnować własnego interesu.

Kathleen roześmiała się i z wdziękiem usiadła Stuartowi na kolanach.

- Rozsądna rada. Masz teraz przecież własny interes do pilnowania.

Wiedziała, że to wywoła uśmiech na jego twarzy. Tak bardzo do siebie pasowali, że zdawało się, iż od zawsze są razem. Ona najczęściej z wyprzedzeniem wiedziała, co on powie. A poza tym, mimo szorstkiego obejścia, miał złote serce.

Byli szczęśliwi, a to sprawiało, że pragnęli, by wszyscy wokół także byli szczęśliwi. Nic więc dziwnego, że Stuart przejmował się dylematami swego syna. Ona w takim samym stopniu martwiła się tym, co trapi Marian, ale uznała, że ma to związek z miejscem, w którym aktualnie przebywają. Z tym miasteczkiem jej bratanicę łączyło wiele nieprzyjemnych wspomnień. Kathleen także, ale mieszkała z dala od niego już tak długo, że nie miało to na nią żadnego wpływu. W przeciwieństwie do Marian.

W ogóle nie przyszło jej do głowy, że nieoczekiwanie zły nastrój Marian może mieć jakikolwiek związek z Chadem. Doskonale udawała obojętność. Kathleen obawiała się, że Chad może mieć w tym przypadku wielkiego pecha i jego uczucia pozostaną nieodwzajemnione. Naprawdę wielka szkoda, że tak się stało.

W imię przyjaźni powinien był jej powiedzieć, co czuje do Marian, i poinformować o tym, co naprawdę wydarzyło się w stajni, że sądził, iż wtedy była z nim Marian. Od tamtego incydentu upłynęło tyle dni, a on w ogóle nie poruszył tego tematu. Jak każdy mężczyzna, zwlekał.

Kathleen na tę myśl zarumieniła się. Sama postąpiła dokładnie tak samo, nie pozwalając, by Stuart dowiedział się o jej uczuciach do niego. Zmył jej za to porządnie głowę. Gdyby tamtego wieczoru podczas barbecue nie próbował odwrócić jej myśli od zamartwiania się o Marian, możliwe, że nigdy by się nie przekonali, co czują do siebie nawzajem.

Uściskała mocno Stuarta, wdzięczna za to, że tak się jednak nie stało. Wciąż oszałamiała ją poczucie szczęścia. Podobała jej się podróż do Haverhill, ponieważ towarzyszył jej ukochany mężczyzna.

- Znowu dajesz się ponieść uczuciom, Red? - zapytał ze śmiechem Stuart.

Kathleen odchyliła się i uśmiechnęła do niego.

- Dobrze, że ci coś takiego nie przeszkadza.

Przyciągnął ją do siebie. Ich usta spotkały się, najpierw delikatnie, po chwili ogarnęła ich namiętność. Wkrótce nieświadomi byli miejsca, w którym się znajdują, dostrzegając tylko i wyłącznie siebie. Kochanie się ze Stuartem było jak kochanie się po raz pierwszy w życiu. Kathleen nigdy nie przypuszczała, że to może być takie cudowne - z właściwym mężczyzną.

Marian nie zdziwiła się, kiedy odkryła, że znalazła się w pobliżu swego domu. Swego dawnego domu.

Przez dłuższą chwilę stała przed dużym dwupiętrowym budynkiem i przyglądała mu się. Nie był pusty. Okna od frontu przyozdabiały nowe zasłony. Ktoś w nim zamieszkał. Albert? To by oznaczało, że dom nie został sprzedany i że może uda się go odzyskać.

- Przepraszam - odezwał się kobiecy głos. A po chwili nieco ostrzej: - Przepraszam, blokuje pani wejście.

Marian zorientowała się wreszcie, że kobieta mówi do niej i pospiesznie usunęła się z drogi.

- Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Dziwne miejsce sobie pani wybrała - prychnęła kobieta. „ Otworzyła furtkę i pchając przed sobą wózek, poszła ścieżką do domu.

Marian zmarszczyła brwi, kiedy stało się oczywiste, że kobieta ma zamiar wejść do środka.

- Proszę chwileczkę zaczekać! - zawołała, szybko podchodząc za nią do drzwi. - Wie pani, kto tutaj mieszka?

- Ja - odparła ze zniecierpliwieniem nieznajoma.

- Och! - W głosie Marian słychać było rozczarowanie.

Tak więc wszystko stało się jasne. Nie odzyska domu. Ta kobieta, ubrana zgodnie z najnowszą modą, nie była służącą. Nawet jeśli niektóre służące mogły sobie sprawić drogie stroje, to nie z tak kosztownych materiałów. A poza tym zachowywała się zbyt opryskliwie jak na służącą.

Marian odwróciła się, by odejść, ale przyszło jej do głowy, by zadać jeszcze jedno pytanie.

- Czy zna pani Alberta Bridgesa?

- Oczywiście. To mój brat.

Marian powstrzymała okrzyk zdumienia. A więc jednak się nie myliła. W domu Latonów zamieszkał Albert i wyglądało na to, że wprowadził się razem z całą rodziną - siostrami, szwagrami, siostrzeńcami i Bóg wie kim jeszcze.

Kobieta przestępowała niecierpliwie z nogi na nogę. Dziecko w wózku zaczęło grymasić.

- Przepraszam, że zawracałam pani głowę - rzekła Marian i odwróciła się, by odejść.

- Chwileczkę - zatrzymała ją nieznajoma. - Ma pani jakąś sprawę do Alberta?

Marian na poczekaniu wymyśliła historyjkę, tak by nie wzbudzić podejrzeń.

- Mój mąż pragnie skorzystać z usług prawnych pana Bridgesa. Udał się do jego kancelarii, ale powiedziano mu tam, że pan mecenas aktualnie przebywa poza miastem.

- Bo tak jest. Nie wróci przed końcem tygodnia.

- Nie jestem pewna, czy możemy czekać tak długo. Sprawa jest dość pilna.

- Nie moje zmartwienie - odparła krótko siostra Alberta. - Albo pani mąż umówi się na spotkanie w kancelarii mojego brata, albo znajdzie sobie innego prawnika. Tak czy inaczej, proszę przestać mnie nachodzić. Do widzenia.

Drzwi zatrzęsły się dosłownie przed nosem Marian. Cóż za nieuprzejma i niesympatyczna baba! Ciekawe, czy zawsze taka była, czy odmieniło ją poczucie winy wywołane postępkami Alberta.

Marian szła do hotelu, mijając tętniące życiem ulice, zatopiona w myślach. Musiała podjąć decyzję, czy przyznać się, że wbrew ostrzeżeniom ciotki i Kinkaidów opuściła hotel. Będzie musiała to zrobić, jeśli chce im powiedzieć, czego udało jej się dowiedzieć. A może nic nie mówić?

To przecież nieistotne, że Albert zamieszkał w ich dawnym domu. Miało to znaczenie tylko dla Amandy. Do piątku i tak się wszystkiego dowiedzą. W dniu jego spodziewanego powrotu do Haverhill Stuart, Chad i Spencer zamierzali obstawić kancelarię, dom i drogę dojazdową do miasta. Ten drań im się nie wymknie.

Marian zrobiła, co w jej mocy, by pomóc w zatrzymaniu oszusta. Namalowała z pamięci trzy portreciki Alberta i wręczyła każdemu z nich, żeby wiedzieli, kogo szukają. Ten człowiek nie miał szans - wpadnie w sidła zastawione przez wytrawnych myśliwych.

3

Chad zapukał energicznie do drzwi. Nie pamiętał, by kiedykolwiek odczuwał takie zdenerwowanie, ale zagrożone było jego przyszłe szczęście.

Postanowił wyłożyć karty na stół. W podjęciu decyzji pomogła mu zwłoka w sprawie Bridgesa. Jeszcze trzy dni miałyby żyć w niepewności?! Wielkie dzięki. Tak więc zapukał do drzwi. Albo każe mu pójść do diabła, albo uczyni go szczęśliwym człowiekiem.

Chad wreszcie się zorientował, że na jego pukanie nie ma żadnego odzewu. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Pokój był pusty. Co to, u licha, ma znaczyć?

Wiedział, że nie ma jej u Red. Zapukał do pokoju Amandy. Usłyszał zirytowany głos Spencera:

- Śpimy!

Akurat! To oczywiście, czym się ta para zajmuje, ale to oznaczało, że Marian nie ma także u nich. Gdzie się więc, u diabła, podziewała?

Zszedł na dół. Foyer było prawie puste. Udał się do hotelowej jadalni. Było wczesne popołudnie, zdecydowanie za wcześnie na kolację. Powoli zaczynał się martwić.

Chodził nerwowo tam i z powrotem po hotelowym korytarzu. Był w rozterce. Nie wiedział, czy szukać jej w mieście, którego zupełnie nie znał - co oznaczało, że miał niewielkie szanse na jej znalezienie - czy czekać na nią przed recepcją. Zanim podjął decyzję, w drzwiach pojawiła się Marian.

Rozpoznał ją mimo woalki osłaniającej twarz. Już się przed nim nie ukryje. Już nigdy nie będzie miał wątpliwości, z którą siostrą ma do czynienia. Poza tym, że miały takie same twarze, pod względem charakteru różniły się zasadniczo.

Zauważyła go dopiero wtedy, gdy stanął przed nią, blokując przejście.

- Właśnie miałem wysłać za tobą oddział pościgowy.
- Bardzo śmieszne - odparła i próbowała go ominąć.

Zagroził jej drogę.

- Miałaś nie wychodzić z hotelu.
- Powzięłam środki ostrożności - odparła sztywno. - A może sądzisz, że lubię patrzeć na świat przez czarną koronkę?
- Sądzę, że lubisz doprowadzać do tego, bym się niepokoił - rzucił Chad.
- Czyżby? Nie poświęcam ci ani jednej myśli - odpowiedziała zimno.
- Chodź - warknął i pociągnął ją za rękę.
- Zostaw mnie!

Nie posłuchał. Tylko tak mógł zareagować na jej zachowanie. Nie wiedział, dlaczego ta dziewczyna postępuje z nim w taki sposób. Nie odpowiedział jej ani słowem. Zatrzymał przejeżdżającą dorożkę i wepchnął Marian do środka w chwili, gdy zatrzymała się przy krawężniku.

- I dokąd mnie zabierasz? - zapytała pozornie opanowanym tonem.
- W żadne konkretne miejsce, po prostu gdzieś, gdzie będziemy mogli bez przeszkód porozmawiać.
- No cóż, może w takim razie udzielisz woźnicy jakichś wskazówek. Bez nich raczej nie ruszy.

Chad zrozumiał, że ona nie zamierza mu niczego ułatwić.

- To twoje miasto - rzekł. - Masz jakieś propozycje?
- Proponuję, byś pozwolił mi wrócić do pokoju. Chcę odpocząć przed kolacją.

Zignorował jej dramatyczny ton.

- Właściwie masz rację. Twój pokój idealnie się do tego nadaje. Idziemy?
- Och, teraz mnie pytasz, tak? - warknęła i wysiadła z dorożki. Stojąc na chodniku, dodała: - Dla mnie jest idealny, jak to ująłeś, ale ty nie jesteś zaproszony.

Pomaszerowała w stronę hotelu, nie oglądając się za siebie. Chad zacisnął zęby, rzucił woźnicy kilka monet, przeprosił za zamieszanie i pośpieszył za Marian. Wchodziła szybko po schodach, starając się dotrzeć do pokoju przed nim i zamknąć mu drzwi przed nosem. Podbiegł i uprzedził jej zamiar.

Otworzył drzwi. Marian westchnęła, przeszła obok niego, zdjęła czepek i rzuciła go na jedyne znajdujące się w pokoju krzesło. Subtelny sygnał, że nie oczekuje, iż on zabawi tu długo.

Chad wszedł do środka i przekręcił klucz w zamku. Skrzyżował ramiona na piersiach, oparł się o drzwi i czekał. Usłyszawszy ten dźwięk, Marian zesztyniała. Wreszcie odwróciła się, by na niego spojrzeć, ale tylko przelotnie. Zdążył się już przyzwyczaić do takiego traktowania, jakby był niewidzialny, ale tym razem nie miał zamiaru na to pozwolić.

- Spójrz na mnie.

Uczyniła to, nawet uniosła brew. Spodziewał się kolejnej kłótni, dającej mu pretekst do zapytania, dlaczego na niego nie patrzy, naprawdę na niego nie patrzy. Odpowiedź okazałaby się prawdopodobnie interesująca, ale wolał nie pytać. Nie chciał, by Marian stała się jeszcze bardziej defensywna niż do tej pory.

- Nie denerwuj się - oświadczył. - Zapewniam, że nie zabiorę ci dużo czasu.

- Jestem spokojna jak nigdy - odparła, mimo że ton jej głosu i postawa temu przeczyły. Zdawała sobie z tego sprawę. - Twój pobyt w tym pokoju jest wysoce niestosowny.

- A kto się o tym dowie?

- Nie o to chodzi - odparła, prychając, po czym westchnęła. - No dobrze, powiedz, co masz mi do powiedzenia i wyjdź stąd.

- Miałem zamiar zaczekać, dopóki nie pozałatwiasz spraw tutaj, w Haverhill. Gdybyś nie odzyskała spadku, miałbym przewagę.

- O czym ty mówisz?

- Właśnie do tego zmierzam. Chcę po prostu, żebyś wiedziała, dlaczego wcześniej się nie przyznałem...

- Nie jestem twoim spowiednikiem - przerwała mu. - Byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał opuścić mój pokój.

- Czy możesz choć raz dać sobie spokój z tym sarkazmem? Byłbym ci dozwonnie wdzięczny - rzekł ironicznie.

Marian była tak zaskoczona, że przez chwilę zapomniała języka w gębie. Wpatrywała się w niego z napięciem.

- Jeśli masz zamiar powiedzieć mi, że darzysz mnie uczuciem, proszę, byś tego nie czynił. Określiłeś swoje preferencje i to nie na mnie się zdecydowałeś.

- Czy tak właśnie myślisz?

- Ja to wiem - odparła. - Byłam świadkiem...

- Och, przestań, Mari. Naprawdę niczego się nie domyślasz?

Przyglądała mu się z natężeniem. Schowała ręce za siebie, żeby nie widział, jak nerwowo wykręca palce. Zupełnie nie miała ochoty wysłuchiwać tego, co miał do powiedzenia. Chad uznał, że powinien być jednak zaczekać z tą rozmową. Już od tygodnia coś ją trapiło. Z każdym dniem robiła się coraz bardziej drażliwa i nie była w nastroju sprzyjającym miłosnym podchodom.

Skoro doczekał się jej przyjścia i wszedł za nią do pokoju, nie zrezygnuje tak łatwo. Gdyby nie kontynuował tego, co sobie zamierzył, nigdy by sobie nie darował.

Przeszedł więc przez pokój i stanął przed Marian. Pragnął zamknąć ją w swych ramionach. Miał jej tak wiele do powiedzenia, ale teraz zyskał pewność, że ona nie ma ochoty tego słyszeć. Wyraźnie żywiła do niego niechęć, a powodem była jej siostra. Przyszła pora, żeby wreszcie wszystko sobie wyjaśnić...

- Podobała mi się Amanda, owszem, nie wypieram się. Myślałem, że poznam ją lepiej, kiedy już zadamowi się w Twisting Barb i jej zachowanie zmieni się na lepsze. Przekonywałem sam siebie, że gdy podróż się skończy, przestanie być taka irytująca. Tak się jednak nie stało. Jeśli to możliwe, zrobiła się jeszcze gorsza. Odstąpiłem więc od zamiaru zalecania się do niej, zanim doszło do tego, co wydarzyło się w stajni.

- Proszę cię, nie podejmuj tego tematu.

Chad potrząsnął głową.

- Muszę. Chcę, byś wiedziała, że to była pomyłka.

- Nareszcie w czymś się ze sobą zgadzamy

- Nie, to była większa pomyłka, niż jesteś to sobie w stanie wyobrazić. Nie miałem powodu, by podejrzewać, że ona po-

daje się za ciebie, więc jak sądzisz, z kim myślałem, że się kocham? No powiedz!

Marian mocno się zarumieniła.

- Wiem, kogo pragnąłeś.
- Naprawdę? - Zmarszczył brwi. - Nie sądzę. Zapomniałaś, że wcześniej dwa razy cię pocałowałem?

- Raz - poprawiła go.

- Dwa razy - upierał się Chad. - Nie zaprzeczysz, że tamtej nocy to byłaś ty. To ty, a nie ona, próbowałaś przyjść mi wtedy na prerii z pomocą. Owszem, w pierwszej chwili przypuszczałem, że to twoja siostra, a ty mnie w tym utwierdziłaś. Masz rację, że gniewasz się na mnie za to, iż całując cię, myślałem, że to Amanda. Tamtego wieczoru na werandzie nie miałem już wątpliwości, kogo tulę do siebie.

Jej rumieniec stał się jeszcze bardziej intensywny. Odwróciła się plecami do Chada. Próbował ją nakłonić, żeby spojrzała mu w oczy, ale strząsnęła jego dłoń ze swojego ramienia.

- Niepotrzebnie wszystko płączesz - oświadczyła.

- Bo to wszystko jest cholernie poplątane. Chciałbym to teraz wyjaśnić.

Odwróciła się twarzą ku niemu i rzekła oskarżycielskim tonem:

- Wszystko jeszcze bardziej pogarszasz! Pocałowałeś mnie tamtego wieczoru na werandzie po to tylko, by mieć porównanie, a nie dlatego, że miałeś na to ochotę. A ja ostrzegłam cię, że Amanda lubi bawić się ludźmi i stwarzać pozory, tak więc tamtego dnia w stajni od początku uważałeś, że to ona. Powiedziałeś nawet... - Urwała i odwróciła wzrok. - Wiem od Amandy, co wtedy powiedziałeś.

- Co? I ty jej uwierzyłaś, mimo że wiesz, jaka z niej kłamczucha?

- Jeśli już ktoś kłamie, to ty! - Marian nie zamierzała dać za wygraną.

- Do diabła! Mari, przysięgam, byłem pewny, że to z tobą się kocham. Tamtego wieczoru, kiedy Amanda wyznała, że w stajni była ona, doznałem szoku. Już wtedy nie chciałem

mieć z nią nic do czynienia, nie mówiąc o poślubieniu jej. Zastawiła pułapkę, a ja dałem się w nią złapać. Gdyby nie Spencer, zmuszony byłbym ożenić się z niewłaściwą kobietą. To ciebie pragnąłem i nadal pragnę. Tak bardzo, że nie jestem w stanie rozsądnie myśleć. Dlatego tak się płaczę w wyjaśnieniach.

- Problem w tym, że ja ci nie wierzę. Może więc uczynisz nam obojgu przysługę i...

Chad przyciągnął ją do siebie. Jego pocałunek był pełen napięcia, rozpacz i gniewu. I żalu, ponieważ był pewien, że całuje ją ostatni raz.

Wiele spodziewał się po tym spotkaniu, nawet tego, że Marian powie, iż jest już za późno i wszystko stracone, ale nie niedowierzania. To było takie frustrujące! Gdyby zdołał ją przekonać o swojej prawdomówności, obawiał się, że usłyszałyby zapewnienie, iż „jest już za późno”. Przegrał i to doprowadzało go do furii. Marian była dla niego ważna, nie mógł jej stracić.

Odsunął się od niej i rzucił szorstko:

- Zrozum wreszcie, że cię kocham, zanim naprawdę nie będzie za późno.

54

Chad wybiegł z pokoju Marian. Udało mu się nawet nie trzasnąć za sobą drzwiami. Ona za to otworzyła za nim drzwi i zamknęła je z hukiem. Chad odwrócił się i uśmiechnął. Skoro potrafiła zrobić coś tak pełnego emocji i głupiutkiego, istniała nadzieja. Przynajmniej nie był jej obojętny.

Hałas na korytarzu sprawił, że otworzyło się kilkoro drzwi. Osoby mieszkające w tych pokojach obrzuciły wzrokiem korytarz, zobaczyły, że nie dzieje się nic interesującego, i wróciły do swoich zajęć. Z wyjątkiem Amandy. Stała oparła o framugę i czekała na Chada. Była jednak ostatnią osobą, z którą miałyby ochotę rozmawiać.

Jej widok obudził w nim uspiiony gniew. Amandzie może i w głębi duszy podoba się małżeńskie życie ze Spencerem, ale w życie uczuciowe Chada wprowadziła bałagan swoją egoistyczną kampanią na rzecz spadku. I w żaden sposób za to nie zapłaciła. Czy ona zawsze wychodziła bez szwanku z pozostawionego za sobą piekła?

Chad poszedłby inną drogą, byle uniknąć spotkania z nią, ale niestety nie miał wyjścia. Pokój, z którego przed chwilą wyszedł, znajdował się na samym końcu korytarza, a jego mieścił się za pokojem Amandy. Mógł po prostu stać i czekać, aż ona znudzi się i pójdzie sobie, ale wyglądała na zdecydowaną nie przepuścić okazji i znowu omotać go pajęczą siecią intryg.

Postanowił stawić jej czoło. Podeszedł bliżej i rzekł:

- Gdybyś nie była jej siostrą, skreśliłbym ci kark. Nie mów więc ani...

- Więc wreszcie powiedziała ci prawdę? Sporo czasu jej to zabrało.

- Jaką prawdę? Że po tym, co zrobiłaś, ona nie może znieść mojego widoku?

- Jeśli w to wierzysz, to prawdziwy z ciebie głupiec, kowboju. Mnie też próbowała to wmówić. Nawet jej wierzyłam, dopóki nie otworzyłam...

- Coś ci powiem, Amando. Kłamałaś, oszukiwałaś i manipulowałaś mną i Marian. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Oszczędź więc sobie fatygi.

- A właśnie że nie - warknęła z oburzeniem i uniosła podbródek. - Wyjątkowo jestem w życzliwym nastroju i miałam zamiar oddać ci przysługę.

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że kochałem się z nią, czy też sądziłem, że właśnie z nią, bo mi na niej zależało? Chciałem się z nią ożenić. Z nią, nie z tobą. Jediną więc przysługą, jaką możesz mi oddać, to powiedzieć, że tamtego dnia to nie byłaś ty. Ale to chyba niemożliwe...

Urwał, kiedy Amanda zaczęła się śmiać.

- Nie ufasz zbyttno swemu instynktowi, prawda, kowboju? Niechętnie to mówię, ale spełnia się twoje życzenie. To nie by-

łam ja. Skłamałam - dodała, wzruszając ramionami. - Nie musiałeś mnie poślubić, więc nie stało się nic złego.

Chad przyglądał się jej z niedowierzaniem.

- Co, u diabła, masz na myśli, mówiąc, że to nie byłeś ty?

- Dokładnie to, co mówię. Zobaczyłam, jak wchodzie do stajni, a ponieważ nudziłam się jak mops, z ciekawości poszłam za wami. Podśluchałam, jak się kochacie, i postanowiłam zrobić użytek z tej wiedzy. To była gra. Od was zależało, czy się powiesz. Mari była w zbyt wielkim szoku, by nazwać mnie kłamczucha, a ty zbyt tępy, by mieć pewność, z którą siostrą się kochałeś. Jak już powiedziałam, powinieneś być zaufać instynktowi. Gdybyś mnie zmusił do odsłonięcia kart, Mari najprawdopodobniej by się przyznała, że była wtedy z tobą na sianie. Spadłeś na cztery łapy, więc nie stało się nic złego.

- Kłamiesz.

- Mówię prawdę. Zapytaj Marian. Jeśli zaprzeczy, będziesz wiedział, że kłamię. Nie umie kłamać. Zajrzyj do jej kufra. Trzyma tam kilka obrazów, jeden jest naprawdę wiele mówiący. Znalazłam je, kiedy Kathleen uczyła ją jeździć konno. Owszem, myszkowałam. I co z tego? Na ranczu dostawałam białej gorączki z nudów.

Zaśmiała się, widząc wyraz jego twarzy, po czym wycofała się do swego pokoju i zamknęła mu drzwi przed nosem. Osiągnęła cel - Chad stał zaszokowany w bezruchu, niezdolny do racjonalnego myślenia.

Zamieszała mu w głowie. Jaki inny mogła mieć powód? Przysługa? Nie oddała w swym życiu nikomu ani jednej.

Pragnął jej uwierzyć, ale wiedział, że nie powinien. Amanda uwielbiała szokować. Oczywiście, że to nie była prawda. Marian by mu o tym powiedziała. Nie pozwoliłaby, by tak długo gryzł się tym, że popełnił pomyłkę.

Odwrocił głowę. Marian była sama w pokoju. Amanda dała mu powód, by ponownie z nią porozmawiać. Razem mogliby rozzłościć się na Amandę. Znaleźć jakąś wspólną płaszczyznę.

Chad nie zapukał. Prawdę powiedziawszy, spodziewał się, że drzwi będą zamknięte. Tak się nie stało. Marian zbyt była na

niego wściekła, by myśleć o zamykaniu drzwi na klucz, kiedy je za nim zatrzasnęła.

Siedziała na łóżku i wpatrywała się w rozwinięte płótno. Tak była zatopiona w myślach, że nie słyszała, jak Chad wszedł i zamknął za sobą drzwi. Usłyszała dopiero jego kroki, kiedy się do niej zbliżał. Podniosła głowę i gwałtownie wciągnęła powietrze. Błyskawicznie zwinęła płótno i rzuciła je za siebie na łóżko. Wstała i wbiła w niego rozogniony wzrok.

- Co tutaj znowu robisz?

Nie odpowiedział na pytanie. Ruchem głowy wskazał leżący za nią rulon i zapytał:

- Masz coś przeciwko temu, żebym to obejrzał?

- Owszem.

Stał teraz obok niej.

- Poradzono mi, bym na to spojrział, więc sądzę, że tak właśnie uczynię.

- Nie! - zawołała Marian.

Jej protesty nie były w stanie go powstrzymać. Jeśli będzie musiał po wszystkim przeprosić, uczyni to z radością, miał jednak zamiar bezzwłocznie zobaczyć, co ona przed nim ukrywa. Chwycił rulon i odwrócił się od Marian, żeby mu go nie wyrwała.

Rozwinął go.

- Niech cię diabli! Nie masz prawa.

Poczuł się zawiedziony. Portret przedstawiał Chada Kinkaida. No więc namalowała go. Takie miała hobby, tym lubiła się zajmować i była w tym bardzo dobra.

Odwrócił się do niej i zarumienił nieco, oddając jej płótno.

- Przepraszam. Mój ojciec z pewnością chciałby to od ciebie kupić. Niesamowite podobieństwo.

- Moje obrazy nie są na sprzedaż - odparła zimno.

Już miał zamiar wzruszyć ramionami, kiedy przypomniał sobie, że powinny być dwa płótna i zapytał:

- A gdzie jest drugi obraz?

•- Jaki drugi?

- Namalowałaś dwa obrazy z moją podobizną.

- Nieprawda - zaprzeczyła, ale zaczerwieniła się przy tym. - Kto ci to powiedział? ;'

- Twoja siostra.

- I ty jej uwierzyłeś? - prychnęła Marian.

Chad zmarszczył brwi.

- Gdybyś się nie zarumieniła, miałbym wątpliwości. Amanda ma rację, nie umiesz kłamać.

- Za to potrafię wyrzucić nieproszonych gości z mojego pokoju. Jeśli zaraz nie wyjdiesz, zacznę krzyczeć.

- Proszę bardzo. Niech się wszyscy dowiedzą, co ukrywasz.

Ruszył w kierunku kufrow stojących w rogu pokoju. Marian nie zaczęła krzyczeć. Obiegła go i usiadła na kufrze.

- Dość tego! Nie będziesz grzebał w moich rzeczach.

Chad potrząsnął głową.

- Mari, czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak dziwacznie się zachowujesz? Dlaczego? Masz wyjątkowy talent i pragniesz to ukryć przed światem?

Nie czekał na odpowiedź. Jedną ręką objął Marian w pól i podniósł z kufra, drugą go otworzył. Na wierzchu leżały dwa zwinięte płótna. W chwili gdy po nie sięgał, Marian zatrzasnęła wieko. Chad zawył z bólu.

Wyszarpnął dłoń i odwrócił się do niej. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Marian rzuciła się na niego i pocałowała go. Wiedział, że robi to dlatego, by odciągnąć jego uwagę od tego, co znajduje się w kufrze.

Chad przyciągnął ją do siebie, ich ciała splótły się w jedno. Marian objęła go ramionami za szyję. Była gotowa na wszystko i zarazem namiętna - nie wiadomo gdzie przebiegała granica. Nie miał zamiaru odrzucać tego, co mu oferowała, zwłaszcza że usychał z tęsknoty za smakiem jej ust.

Uniósł ją, a ona oplótła nogami jego biodra. Jej jęk znikł w wnętrzu jego ust. Chad ruszył w kierunku łóżka, dotarł do niego i osunął się na nie razem z nią, nie przerywając łączącego ich uścisku. Ciasno spleceni, stanowili jakby jedno ciało. Marian oddawała pocałunki. Tym razem wiedziała, co czyni.

Pozwolił, by ogarnęło go niepohamowane pożądanie. Dotykał jej i wiedział, że nigdy nie będzie miał dość pieszczot. Całował szyję, gorącą skórę tuż obok ucha. Sięgnął pod spódnicę...

Marian natychmiast zerwała się i zeskoczyła z łóżka. No i dlaczego jego to nie zdziwiło?

- Wiesz, kochanie, nie możesz tak sobie poczynać z mężczyzną - ostrzegł ją.

Stała, ciężko dysząc, z ustami nabrzmiałymi od pocałunków, a jej niebieskie oczy tak pociemniały, że wydawały się prawie czarne. Ogarnięta pożarem zmysłów, Marian jakąś częścią mózgu wciąż pamiętała o tym, co chciała przed nim ukryć. Trzeźwość myślenia charakteryzowała obie Latonówny, choć każdą na swój sposób.

- W porządku - odezwała się, nie zwracając uwagi na jego słowa. - Powiem ci, co jest w kufrze, jeśli przestaniesz zachowywać się tak absurdalnie. Nie jest to coś, co ukrywam specjalnie przed tobą, nie chcę, by ktokolwiek to oglądał. To akt - pierwszy, jaki namalowałam. Nie miałam modelu, nie jest więc zbyt wierny. Z łatwością potrafię malować z pamięci, ale w tym przypadku zrobiłam użytek z wyobraźni. Zawsze chciałam namalować akt, ale wcześniej nikt mnie nie zainspirował. Szukałam interesującego tematu i dopiero ty...

Marian nie dokończyła. Nie musiała. Zarumieniła się, ale możliwe, że tym razem powodem był temat rozmowy, a nie to, że kłamała.

Uznała go za interesującego - w sensie artystycznym. Biorąc pod uwagę okoliczności, było to mało pochlebne.

Chad poczuł się jak głupiec. No więc namalowała jego akt. Akty nie były niczym nadzwyczajnym. Wszyscy artyści je malowali. Nadal chciał go zobaczyć, choć niczego to nie dowodziło. Amanda swoimi sugestiami jak zwykle narobiła bałaganu.

Oboje byli zakłopotani. Zapytał więc z przekornym uśmiechem:

- Potrzebny ci model?

- Nie!

Wzruszył ramionami.

- Tak myślałem. - Odwrócił się, by wyjść, ale zatrzymał się. - Przepraszam cię, Mari. Pomyślisz o tym, co ci powiedziałem?

- Bezwzględnie - rzekła z mocą, a to oznaczało, że tego nie zrobi. Tak jak się obawiał, wszystko przepadło w chwili, gdy Marian dowiedziała się, że kochał się z jej siostrą.

55

Co robiłaś? Przykładałaś ucho do drzwi?

- Oczywiście - przyznała Amanda, po czym dodała z pretensją: - Lepiej by było, gdyby mój pokój znajdował się naprzeciwko pokoju Marian, a nie obok.

Otworzyła drzwi dokładnie w chwili, gdy Chad znalazł się na korytarzu. Tym razem nie udało się uniknąć spotkania z nią.

- Podśłuchiwałaś? - rzucił z sarkazmem.

- Nie musiałam. Mówiliście podniesionym głosem - przyznała, po czym uniosła brew. - Co mam zrobić, przeprowadzić cię przez to za rączkę krok po kroku? Bądź mężczyzną!

- Mogłabyś pilnować swojego nosa, czy też proszę o zbyt wiele?

- To przestań robić z siebie głupca?

- To ty zrobiłaś ze mnie głupca. I nadal robisz. Gdybyś była mężczyzną, zaraz bym...

- Tak, tak, jestem pewna, że tak właśnie byś uczynił - Amanda przerwała mu ze zniecierpliwieniem. - Nie zapytałeś jej, prawda? Zobowiązałeś się powiedzieć prawdę. Jedyne w ten sposób mogłeś sprawić, by przestała się wszystkiego wypierać. Sama nigdy się do tego nie przyzna, gdyż czuje się mocno zraniona. Jest na to zbyt dumna.

- Znowu ci się nudzi, co? - zapytał Chad. - Trzy dni do powrotu Bridgesa, a ty nie masz nic do roboty. O to chodzi, nie-

prawdą? Nowy pomysł, by się rozerwać, ponieważ uwielbiam bawić się uczuciami innych ludzi.

Amanda westchnęła.

- Staram się pomóc. Gdybyś choć na chwilę porzucił swoje żale, dostrzegłbyś to. Powiedziałam, jak było naprawdę. Powiedziałam nawet, gdzie możesz znaleźć dowód na potwierdzenie moich słów. Ale ty pewnie nawet się nie pofatygowałeś, by zobaczyć te obrazy, prawda?

Tym razem Chad westchnął.

- Namalowany akt niczego nie dowodzi, Amando.

- Słucham?

- Mari powiedziała mi, że namalowała mój akt, ponieważ uznała mnie za interesujący temat. Niezbyt to dla mnie pochlebne i zdecydowanie nie stanowi żadnego dowodu.

Amanda zaczęła się śmiać.

- O rety, to naprawdę przezabawne. Powiedziała ci to zamiast pozwolić obejrzeć akt? Mądrze z jej strony. Udało jej się nie dopuścić do tego, byś go zobaczył. Nie sądziłam, że moja siostrzyczka umie aż tak dobrze kłamać.

- Za to ty umiesz.

- Oczywiście. Ale czasami nie opłaca się kłamać i to jest właśnie jedna z takich sytuacji. Mówiłam, że jestem w życzliwym nastroju, więc pozwól, że opowiem ci o obrazie. Uwieczniła cię leżącego na stercie siana w rozchełstanej koszuli. Na twojej twarzy maluje się takie pożądanie, że nie ma wątpliwości, iż patrzysz na kobietę. Musiała stać nad tobą, by uchwycić taką pozę. Tak właśnie było? Ja jedynie podsłuchiwałam i tak naprawdę was nie widziałam. Ale ten obraz ukazuje wszystko, jest na nim naprawdę uderzające podobieństwo, nawet blizna koło pępka. Nie mogła sobie tego wyobrazić, chyba że w rzeczywistości nie masz tam blizny. Masz?

- Powinnaś to wiedzieć - warknął Chad. - To ty przecież stałaś nade mną.

Amanda przewróciła oczami.

- Ja nie maluję. Raz spróbowałam i byłam tak zawstydzona, że już nigdy więcej nie sięgnęłam po pędzel. Zawsze za-

zdroszciałam Mari zdolności. Przyznaję się bez bicia. Musiałam więc odkryć także w sobie jakiś talent.

- Talent do manipulowania ludźmi.

- Tak, jakie to z twojej strony przenikliwe - odparła sucho. - Obudź się, kowboju. Nie to w tej chwili czynię. Co cię powstrzymuje przed dostrzeżeniem prawdy?

Wyrzucił z siebie to, co ona wyraźnie przeoczyła:

- To, że ona by mi o tym powiedziała. Nie pozwoliłaby na to, by kłamstwo ci się upiekło.

- Ale to zrobiła. Dowiedz się dlaczego, a wtedy najpewniej odkryjesz ból, który będziesz musiał uleczyć.

Po raz czwarty tego dnia Chad przekręcił gałkę przy drzwiach pokoju Marian. Tym razem były zamknięte. Nie miał już cierpliwości, by pukać. Natarł na nie ramieniem. Nie puściły.

Usłyszał wołanie po drugiej stronie drzwi:

- Ani się waż!

Ponownie uderzył w nie ramieniem. Przeklęte drzwi nadal nie chciały ustąpić. Marian otworzyła je, zanim zdążył na nie natrzeć po raz trzeci. Stała i wpatrywała się w niego z wściekłością.

- Nie wierzę, że to zrobiłeś! - wyszczała.

- A ja nie wierzę, że pozwoliłaś mi choć przez chwilę sądzić, że kochałem się z Amandą!

Marian gwałtownie wciągnęła powietrze. Chad minął ją, przeszedł przez pokój tak wściekły, że przez dobrą chwilę nie mógł z siebie słowa wydobyć.

Odwrócił się do niej.

- Pozwoliłabyś mi ożenić się z nią!

Marian spuściła wzrok.

- Nie, nie pozwoliłabym. Odezwałabym się, gdybyś został do tego zmuszony, mimo że nie sądziłam, byś to docenił, ani że będzie to miało jakies znaczenie.

- Jak mogłoby to nie mieć znaczenia?

- Gdybyś mi nie uwierzył. Wtedy byłam pewna, że tak właśnie by się stało. W sytuacji podbramkowej mimo wszystko spróbowałabym. Nie miało to już jednak sensu, kiedy Amanda wyszła za Spencera.

- Nie miało sensu? Nie miało sensu! Pozwoliłaś, bym cierpiał z powodu największej omyłki mojego życia? Ty nie miałeś zamiaru mi powiedzieć, prawda?

- Prawda.

- Dlaczego, u diabła?

- Wiesz dlaczego. Sądziłam, że wiesz, iż kochasz się ze mną, ale tak nie było. Ty myślałeś, że tą dziewczyną na sianie jest Amanda.

- Mówiłem ci już, że to nieprawda.

- A ja mówiłam ci, że nie wierzę w to. Byłam tam przecież! Tak, to byłam ja. Nie możesz więc wyprzeć się tego, że nazwałeś mnie jej imieniem. Byłeś pewny, że to ona!

- Do diabła, Mari, czy o to ci właśnie chodzi? - zapytał z niedowierzaniem. - Tak, przez krótką chwilę rzeczywiście byłem zdezorientowany i pomyślałem, że to Amanda. Po prostu zaskoczyła mnie twoja śmiałość. Ale tylko przez krótką chwilę.

Gdy odwracała się od niego, zobaczyła, jak Chadowi bezradnie opadają ramiona. Już o to nie dbała. Tak jak tamtego dnia w stajni nie miała zamiaru odezwać się ani słowem.

56

Marian milczała, ponieważ nie wiedziała, co powiedzieć, ale również dlatego, że przez zaciśnięte gardło nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Czy mogła mu wierzyć, skoro była przekonana, że on nadal marzy o Amandzie?

Wszystko, co powiedział Chad, brzmiało sensownie. W tym właśnie tkwił problem. Jednak nie mogła się z nim zgodzić, skoro sama doszła do zupełnie innego wniosku. Zachowała się jak idiotka. Posunęła się za daleko.

Winna była Chadowi wyjaśnienie. Odwróciła się, by mu to powiedzieć, ale już nie było go w pokoju.

Zaskoczona ze zdumienia wstrzymała oddech. Nie słyszała, jak wyszedł. I uczynił to, wyciągnąwszy niewłaściwe wnioski. Tak być nie może. On kilka razy wtargnął dzisiaj do jej pokoju, ona może raz pójść do niego.

Ale Chad wyszedł z hotelu. W panice zastanawiała się, co on sobie teraz myśli. Powinna poczekać na jego powrót, ale nie mogła usiedzieć w miejscu. Nie miała pojęcia, dokąd poszedł, mimo to postanowiła go poszukać. Wyszedł niedawno, może go jeszcze dogoni.

Natknęła się na niego w centrum miasta. Stał na rogu ulicy z rękami w kieszeniach spodni. Tak jak ona wcześniej tego dnia, włóczył się bez celu, pogrążony w myślach. Było późne popołudnie, prawie wieczór. Ludzie spieszyli z pracy do domu, na chodnikach panował tłok. Wszyscy gdzieś pędzili, tylko Chad stał w miejscu.

Przechodnie przyglądali mu się z zaciekawieniem, nieprzyzwyczajeni do widoku mężczyzny w płaszczu w zachodnim stylu, wysokich butach i kapeluszu z szerokim rondem. Dobrze, że nie miał przy sobie broni. Nie nosił jej, odkąd dojechali do Chicago.

Marian podeszła do niego od tyłu. Miała na tyle przytomności umysłu, że założyła woalkę. Zdążyła już dostrzec troje znajomych, na szczęście oni jej nie rozpoznali.

Zatłoczona ulica nie była wymarzonym miejscem do rozmowy, ale tu przynajmniej nikt nie podsłuchiwał. Kilka razy została potrącona, nim wreszcie zebrała się na odwagę, by wydożyć z siebie głos.

- Byłam przekonana, że wtedy na sianie myślałeś, iż ja to Amanda.

Na dźwięk jej głosu Chad odwrócił się. Uświadomiwszy sobie, gdzie się znajdują, ujął ją za ramię i zaczął iść, tak by żaden z przechodniów nie usłyszał więcej niż słowo bądź dwa.

- Wiedziałem, że jesteś na mnie zła. Miałem zamiar wszystko wyjaśnić, ale Amanda nie dała mi szansy. Byłem za-

szokowany ponad wszelką miarę, kiedy oznajmiła, że to była ona. W głębi duszy czułem, że to z tobą się wtedy kochałem, ale kiedy ty nie sprostowałeś, nie wiedziałem, co, u diabła, mam myśleć.

Na policzki Marian wypełzł rumieniec.

- Zabrakło mi odwagi. Nie byłem w stanie uwierzyć w to, że mógłbyś zamiast Amandy pragnąć mnie.

- Ale tak właśnie było - upierał się Chad.

- Pozwól mi skończyć. Nie oczekiwano ode mnie, że pierwsza znajdę sobie męża. Robiłam wszystko, by tak się nie stało.

- Dlaczego?

- Aby zapobiec temu, co się wydarzyło. Jak myślisz, dlaczego Amanda tak się zachowała? Nie chodziło jej jedynie o spadek. Była zazdrosna o mnie. Od najmłodszych lat. Dlatego ukrywałam to, że jesteśmy bliźniaczkami. Nosiłam przebranie i obrażałam mężczyzn, by dostrzegali wyłącznie ją.

- Mówisz, że była o ciebie zazdrosna, ale to jeszcze nie powód, żebyś tak drastycznie zmieniła swój wygląd i bez końca żyła w kłamstwie.

- Uważałam, że to był powód. Widzisz, zawsze, ale to zawsze było tak, że jeśli jakiś mężczyzna okazał mi choćby najmniejsze zainteresowanie, lub odwrotnie - mnie się ktoś spodobał, Amanda wabiła go do siebie, nie przebierając w środkach, była nawet gotowa kochać się z nim, żeby osiągnąć swój cel. Gdy tylko tracił dla niej głowę, odrzucała go, wymierzając mu tym samym srogą karę za to, że w ogóle ośmielił się o mnie pomyśleć. Nie chciałam, by spotkało to ciebie.

- Nie mogłaś mi wtedy tego wszystkiego powiedzieć?

- Że się w tobie zakochałam? Nie. Zanim mogłabym coś takiego wyznać, najpierw Amanda musiałaby wyjść za męża.

Chad zatrzymał się, uśmiechnął się szeroko i uniósł jej podbródek, tak by na niego spojrzała.

- Ty mnie kochasz?

- Ja tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że... Nie mieszaj teraz wszystkiego. Próbuję wyjaśnić...

- Skarbie, nic innego nie ma znaczenia, jeśli mnie kochasz.

Marian powinna zgodzić się z nim, złapać swe szczęście i przestać się przejmować czymkolwiek.

- Ależ ma. Pomijając moje uczucia, wciąż nie rozumiem, jak mógłbyś mnie pokochać, skoro nawet mnie nie znasz. To po prostu ta twarz, jej przekłeta twarz...

- Pora, byś zamilkła, Mari - rzekł łagodnie Chad i uniósł woalkę, by dotknąć jej policzka. - Uważasz, że cię nie znam? To ty się o mnie martwiłaś, gdy na prerii napadli na nas rabusie. Ty jesteś tą osobą, która wykazała się niewiarygodną odwagą graniczącą z brawurą, kiedy nie bacząc na nic, stanęłaś do walki z olbrzymem cztery razy większym od siebie, żeby mi pomóc. Jesteś życzliwa, uprzejma, liczysz się z uczuciami innych - może nawet aż za bardzo. Podziwiam twoją odwagę; podziwiam twój talent. Prawdę mówiąc, uważam, że jesteś cudowna. To w tobie się zakochałem, Mari, i stało się to, zanim zobaczyłem twoją prawdziwą twarz, zanim się przekonałem, że jesteście bliźniaczkami podobnymi do siebie jak dwie krople wody.

Marian wpatrywała się w niego oszołomiona.

- Ty naprawdę tak myślisz?

Ujął w dłoń jej twarz.

- Pragnę, byś została moją żoną. Wyjdiesz za mnie?

Zarzuciła mu ramiona na szyję i roześmiała się.

- Och tak, tak! Gdybyś mnie o to nie poprosił, sama bym ci się oświadczyła.

Chad także się roześmiał i zaczął ją całować. Ktoś na nich wpadł i powiedział głośno: „Przepraszam”. Marian natychmiast uświadomiła sobie, że znajdują się na ulicy. To naprawdę nie było stosowne miejsce do okazywania sobie czułości. A poza tym ten głos wydał jej się dziwnie znajomy. Odwróciła się, ale w tłumie nie dojrzała nikogo, kogo by znała. Raptem zniechęciła się.

- Co się stało? - zapytał Chad.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami. Potrząsnęła głową.

- Nic. Wyobraźnia płata mi figle.

- Bridges?

- Nie, to... - Nie dokończyła i marszcząc brwi, ponownie spojrzała w głąb ulicy. - Wiem, że to głupie, ale pozwól mi się upewnić. Zaraz wracam.

Ruszyła pospiesznie za jakimś mężczyzną. Chad podążał za nią, ale ona na niego nie czekała. Musiała się przekonać, kim jest człowiek, którego głos wydał jej się znajomy.

Zrównała się z nim i pociągnęła go za łokieć.

- Papa?

Odwrocił się, obrzucił ją pełnym irytacji spojrzeniem, po czym ruszył dalej, pozostawiając ją w stanie zupełnego szoku.

57

Marian nie bardzo wiedziała, w jaki sposób dotarła z powrotem do hotelu. Jak przez mgłę pamiętała, że Chad pomagał jej wsiąść do dorożki. Była oszołomiona, tak wiele myśli przebiegało jej przez głowę. Jak to możliwe? Nic się nie zgadza. To nie ma żadnego sensu! Wszystko sprowadzało się do jednego: ojciec ją poznał, a mimo to poszedł dalej.

Zniszczył najszcześniejszy dzień w jej życiu. Jedyne wydarzenie tego dnia, które jej nie zaskoczyło. To było takie typowe dla ojca i zarazem niesłychanie ironiczne, że choć raz nie zrobił jej przykrości celowo.

Chad zaprowadził Marian prosto do pokoju Kathleen. Ciotce wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, że wydarzyło się coś niezwykłego.

- Co się stało? - zapytała.

Odpowiedział Chad, gdy już usadowił Marian na sofie.

- Ona sądzi, że zobaczyła swego ojca.

- To niemożliwe!

- Wiem, ale podobieństwo musiało być na tyle duże, że...

- To był papa - wtrąciła cicho Marian, podnosząc spojrzenie na ciotkę. - Patrzył na mnie, stał na wyciągnięcie ręki. To był papa.

Kathleen westchnęła.

- No cóż, nie mogę powiedzieć, by ucieszyła mnie ta wiadomość. Najlepsze, co Mortimer zrobił dla was, dziewczęta, to to, że umarł. Nawet tego nie potrafił uczynić porządnie?

Marian powoli dochodziła do siebie. Zerwała się ze wzburzeniem na równe nogi. Kiedy Chad ją tutaj przyprowadził, ciotka była sama, ale zbliżała się pora kolacji i zaraz zbierze się cała reszta. Pokój Kathleen był największy i w nim ustawiono stół do posiłków.

- Mandy oszaleje, gdy usłyszysz nowinę - powiedziała w zdumieniu Marian.

- Będzie uszczęśliwiona - dodała Kathleen.

- Sądziłem, że go pochowaliście - odezwał się Chad.

- Bo tak było. Trumna była zamknięta. Nie przyszło mi do głowy, by kazać ją otworzyć.

- Został więc pochowany zupełnie obcy człowiek. Wasz ojciec wtedy zaginął. Amnezja? - wysunął przypuszczenie Chad.

- To by wszystko wyjaśniało - zgodziła się Kathleen.

- Też tak myślę - dodała Marian, marszcząc z namysłem brwi. - Do dzisiaj nie odzyskał pamięci.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Ponieważ w naszym domu mieszka siostra Alberta, co oznacza, że Albert także - wyjaśniła. - Papa prawdopodobnie jeszcze o tym nie wie.

- A jak się tego dowiedziałaś, skoro miałaś nie wychodzić z hotelu? - zapytała Kathleen.

Marian skrzywiła się.

- Wyszłam na spacer. Nie planowałam iść w tamtym kierunku. Spacerowałam po prostu bez celu i tak się akurat stało, że natknęłam się na wracającą do domu siostrę Alberta. Ale powzięłam środki ostrożności - dodała, poklepując wymownie czepek z woalką, który nadal miała na głowie. Po chwili zdjęła go. - Nikt mnie nie rozpoznał.

Kathleen skinęła głową i rzekła:

- Wiecie co, przyszło mi do głowy jeszcze inne wytłumaczenie.

- Jakie?

- Mężczyzna, którego spotkałaś, mógł być bratem bliźniakiem waszego ojca.
- Ale on nie miał brata.
- A może miał. W naszej rodzinie często rodzą się bliźnięta. Nie było mnie na świecie, kiedy on się urodził. Skąd mam wiedzieć, jak było naprawdę. Mogło ich przyjść na świat dwóch. Nasza matka była na tyle egoistyczna i tak bardzo pozbawiona uczuć macierzyńskich, że nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby oddała jedno z dzieci, żeby nie zajmować się dwojgiem.
- To dość naciągane - orzekł Chad.
- Zgadza się. Ale ludziom przytrafiają się bardziej szalone rzeczy - upierała się Kathleen.
- On mnie poznał - przypomniała Marian.
- Kathleen zamrużyła powiekami, po czym rzekła:
- No tak, mówiłaś, że stałaś na wyciągnięcie ręki od niego. Co ci powiedział?
- Nic. Poszedł dalej, a ja byłam zbyt zaszokowana, by go ponownie zatrzymać. Spojrzał tym swoim pełnym irytacji spojrzeniem mówiącym nie-przeszkadzaj-mi, jakie zawsze rezerwował wyłącznie dla mnie.
- Chad poklepał miejsce na sofie obok siebie, zapraszając Marian, by usiadła. Posłuchała go. Kathleen przyglądała im się z uniesionymi brwiami, zdziwiona, że bratanica pozwoliła Chadowi objąć się.
- Czy macie jeszcze jakieś nieprawdopodobne wieści do przekazania? - zapytała.
- Tak - odparła Marian, lekko się rumieniąc. - Ale to nie najlepsza pora, by o tym mówić.
- Kathleen roześmiała się.
- Tak czy inaczej, moje gratulacje.
- Z jakiego powodu? - zapytała Amanda, wchodząc bez pukania do pokoju. Spencer deptał jej po piętach. Zanim ktoś zdążył jej odpowiedzieć, dodała: - Nie ma jeszcze kolacji? Umieram z głodu.
- Podczas obiadu jadłaś za dwóch. Słońce nie zdążyło jeszcze na dobre zająć, a ty jesteś już głodna? Co ty robiłaś, że

masz taki wilczy apetyt? - zapytała Kathleen niewinnie. Amanda mocno się zaczerwieniła, a Spencer uśmiechnął znacząco. Nie czekając na wyjaśnienie, przeszła do odpowiedzi na pierwsze pytanie Amandy. - Mari i Chad wreszcie zrozumieli, że się lubią.

- To moja zasługa - oświadczyła Amanda.

Zarówno Kathleen, jak i Marian przyglądały jej się z niedowierzaniem.

- Później ci wszystko wyjaśnię - szepnął Chad Marian do ucha - ale to rzeczywiście jej zasługa. Uświadomiła mi, że muszę być uparty.

- Amanda miałyby oddać mi przysługę? - zdziwiła się Marian. - Od kiedy krowy umieją...

- Przeciągasz strunę, kochanie - przerwał jej Chad. - Powiedz to wreszcie i miejmy to już za sobą.

Marian zamrugała powiekami. Jak dobrze ją znał. Spodziewała się, że siostra po usłyszeniu nowiny wpadnie w szal, rozłoszczona, że podróż na Zachód i z powrotem odbyła zupełnie niepotrzebnie. Nie chciała być świadkiem jej wybuchu w najszczęśliwszym dniu swojego życia. Ale Amanda musiała poznać prawdę.

- Papa żyje, Mandy. Widziałam go na własne oczy. Nie ma mowy o pomyłce, to był on. Doszliśmy z Chadem do wniosku, że stracił pamięć.

- I co powiedział? - To była cała odpowiedź Amandy.

Marian zmarszczyła brwi. Reakcja Amandy zdziwiła ją. Przypomniała sobie, że siostra równie spokojnie przyjęła wiadomość o śmierci ojca.

- Ty wiedziałaś! - zawołała oskarżycielsko.

- Nie, po prostu nigdy nie przyjęłam do wiadomości, że on nie żyje - odparła Amanda, wzruszając ramionami. - To nic wydawało się rzeczywiste, jeśli rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. I teraz już wiem dlaczego, skoro on wcale nie umarł. Naprawdę sądzicie, że stracił pamięć?

Marian była zaskoczona opanowaniem Amandy.

- Pochowałyśmy niewłaściwego człowieka - powiedziała.

- Nikogo nie pochowaliście - oświadczył Stuart, wchodząc do pokoju.

- Co to ma znaczyć? - Kathleen spojrzała na niego pytająco.

- Trumna była pusta.

Kathleen wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Mój Boże, chyba jej nie wykopałeś?

Stuart parsknął śmiechem.

- Nie musiałem. Właśnie wracam z posterunku policji. Patrzyli na mnie jak na wariata, gdy powiedziałem, że Mortimer Laton zmarł kilka miesięcy temu. Wygląda na to, że Bridges zaaranżował całą sytuację. Urządził cichy pogrzeb, a po wyjeździe dziewcząt z miasta zatarł wszelkie ślady. Wszystko zostało upozorowane. Mortimer Laton nie ruszył się z Haverhill na krok i przez cały czas doglądał swych interesów.

- To niemożliwe - upierała się Amanda, potrząsając głową. - Albert musiałby znaleźć kogoś łudzaco podobnego do ojca. Papa wrócił. Nie ma znaczenia, gdzie przebywał ani dlaczego Albert wmówił nam, że on nie żyje. Papa sprawi, że Bridges za wszystko zapłaci - o ile już tego nie uczynił.

58

Trzeba było wynająć dwie dorożki, by wszyscy się pomieścili. Nikt nie chciał pozostać w hotelu i nie być świadkiem konfrontacji z siostrą Alberta. Szkoda tylko, że nie będzie tam samego Bridgesa. Możliwe jednak, że zastaną Mortimera. Podażał przecież w tamtym kierunku. Może zjawią się i ujrzą, jak ta kobieta i jej rzeczy są wyrzucane na ulicę. Z drugiej jednak strony Mortimer mógł nawet nie wiedzieć, że cały jego majątek znalazł się w rękach jego prawnika. To naprawdę możliwe, że dopiero niedawno odzyskał pamięć i dzisiaj wrócił do Haverhill.

Chad powstrzymał Marian przed wejściem do pierwszej dorożki. Gestem przywołał jeszcze jedną. Dość sprytnie posunięcie, by w tym rozgardiaszu znaleźć się z nią sam na sam. Jej to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, była zadowolona, że

choć przez chwilę odpocznie od rozprawiania na temat cudownego powrotu ojca ze świata martwych.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Chad, obejmując ją i przyciągając do siebie.

- Świetnie. Naprawdę. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Przygotuj się na to, że będziemy musieli uciec, by wziąć ślub. W przeciwieństwie do ciotki Kathleen papa najpewniej nie zaakceptuje cię, a teraz to on będzie miał przecież decydujący głos.

Uniósł brew.

- I ciebie to bawi?

- Nie, w ogóle mnie nie obchodzi to, czy on cię zaakceptuje, czy też nie. Jego powrót właściwie nic dla mnie nie znaczy. Wszelkie uczucia, jakie do niego żywiłam, umarły na długo przed jego rzekomą śmiercią. Był dobrym żywicielem rodziny, ale w roli ojca zupełnie się nie sprawdził.

- Chciałbym się z tobą ożenić przed naszym powrotem do Teksasu. Chyba mimo wszystko mógłbym go zapytać o pozwolenie, kiedy już wszystko zostanie wyjaśnione.

- Nie trudź się. A poza tym w tych stronach nie da się tak szybko wziąć ślubu.

Chad jęknął.

- Zrób coś Mari. Myśl o tym, że muszę czekać choćby kilka dni...

Nie dokończył i zaczął ją całować. W pocałunku zawarł cały ogrom pożądania i trawiącej go od tygodni frustracji. Jej odpowiedź była równie namiętna. Daremne okazało się wypieranie się miłości do niego. Kochała Chada Kinkaida całym sercem. Cudownie się czuła, mogąc wreszcie wyznać swoje uczucia i mieć pewność, że są odwzajemnione.

To był naprawdę najszcześniejszy dzień w jej życiu - i najbardziej pogmatwany. Dorożka zatrzymała się przed dawnym domem Latonów, niestety niezbyt daleko położonym od hotelu. Wtulona w ramiona mężczyzny, zapomniała o ponurej rzeczywistości.

Marian przerwała pocałunek i rzekła:

- Ślubu mógłby nam udzielić kapitan na statku. Prawdę powiedziawszy, podoba mi się ten pomysł - tylko my dwoje w niewielkiej kabinie na środku oceanu. Nie musimy wracać razem ze wszystkimi pociągiem, prawda?

Chada zachwyciła myśl, że przez kilka tygodni na pełnym morzu mógłby ją mieć na wyłączność.

- Oczywiście. Tutaj także nie musimy pozostawać.

Marian zaśmiała się.

- Ależ ty jesteś niecierpliwy.

- Zgadza się - mruknął i westchnął. - No dobrze, dokończmy tę sprawę. Nie poświęcisz mi całej swojej uwagi, dopóki ta cała dziwaczna sytuacja nie zostanie wyjaśniona. Powinniśmy byli przyprowadzić ze sobą oddział pościgowy. Ci ludzie znani są z tego, że szybko wszystko załatwiają.

Marian śmiała się, gdy wysiadała z powozu, ale natychmiast spoważniała, widząc, jak jej siostra maszeruje ścieżką prowadzącą do ich dawnej rodzinnej siedziby. Amanda nadal uważała ją za swój dom. Gotowa wejść do środka bez pukania. Nie był to dobry pomysł, ponieważ prawnie dom nie należał już do nich i nie odzyskają go, dopóki Albert nie zostanie aresztowany i osądzony.

Marian postanowiła ubiec Amandę i pierwsza dotarła do drzwi. Zastukała w nie. Otworzyły się prawie natychmiast. Stał w nich nieznany żadnej z nich kamerdyner.

Amanda otworzyła usta, by zażądać wpuszczenia do środka, ale uprzedził ją kamerdyner.

- Proszę wejść - odezwał się. - Są panie oczekiwane.

Gdyby Marian nie była tak rozproszona jazdą dorożką, przyjęłaby słowa kamerdynera jako ostrzeżenie i nie byłaby taka zaskoczona widokiem ojca i siostry Alberta, siedzących przy stole i w milczeniu spożywających kolację.

- Porozmawiajmy w cywilizowany sposób, dobrze? - odezwał się Mortimer i gestem wskazał krzesła ustawione wzdłuż długiego stołu. - Usiądźcie.

Nikt się nie poruszył. Amanda była w szoku. Nawet ona zrozumiała, że myliła się. Ojciec zachowywał się tak, jakby

nie uczynił niczego niewłaściwego. Jakie to dla niego typowe. Nie lubił konfrontacji. To był jeden z powodów, dla którego tak bardzo zepsuł Amandę. Nie chciał mieć do czynienia z jej napadami złości, więc dostawała wszystko, czego zapragnęła.

- Wygląda na to, że trafiłeś w dziesiątkę, Stuarcie - rzekła Kathleen, potrząsając głową.

- Czy to ty, Kathy? - zapytał z ciekawością Mortimer.

- Owszem, braciszku. - Kathleen zajęła miejsce na przeciwnym końcu długiego stołu. - Ale nie martw się, nie zabawię tu długo.

Mortimer wzruszył ramionami.

- Ładnie się zestarzałaś. Nie byłem pewny, czy to ty.

- Oczywiście, że byłeś - prychnęła Kathleen. - Grałeś po prostu na zwłokę.

Zaczerwienił się lekko. Siedząca obok niego kobieta rzuciła gniewnie serwetkę na stół i zawołała:

- Wynoście się stąd! Wszyscy. Nie jesteśmy wam winni żadnych wyjaśnień!

Amanda otrząsnęła się z szoku.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - wrzasnęła.

- To siostra Alberta - wyjaśniła Marian.

Ale kobieta wyraźnie sama chciała udzielić odpowiedzi.

- Jestem waszą macochą, choć miałam nadzieję, że nigdy nie wypowiem tego słowa.

- Ożeniłeś się z nią? - zapytała ze zdumieniem Amanda.

- Tak, to było konieczne - odparł Mortimer.

Trochę dziwna odpowiedź, pomogła jednak Marian w odgadnięciu prawdy.

- Była twoją kochanką, prawda?

- Mortimer! - zawołała jego żona. - Pozwolisz mnie obrażać w moim własnym domu?!

- To żadna obraza, skoro to prawda, dziewczyno - odezwała się Kathleen.

Marian uświadomiła sobie, że ciotka dobrze się bawi, stawiając brata w niezręcznej sytuacji i traktując to jako swego ro-

dzaju zapłatę za krzywdy, jakich doznała od niego przed laty. Potrafiła czytać między wierszami. Gdy otrząsnęła się ze zdumienia, że dziecko, które widziała w wózku, jest jej przyrodnim braciszkiem, była już tylko ciekawa, jak ojciec wybrnie z tego opresyjnego położenia.

- Porozmawiajmy spokojnie - zaproponował Mortimer. - W przeciwnym razie będę zmuszony poprosić was o opuszczenie mojego domu - oznajmił, patrząc na Amandę. Następnie dodał, zwracając się do żony: - To się tyczy także ciebie.

Kobieta zrobiła się czerwona na twarzy, położyła serwetkę na kolanach i powróciła do jedzenia. Potrafiła być nieuprzejma, ale było oczywiste, że w obecności Mortimera nie pozwalała sobie na takie zachowanie.

Kathleen i Stuart usiedli przy stole. Amanda była zbyt wzburzona, by to uczynić. Marian uznała, że nie zabawią tu na tyle długo, żeby się rozsiadać. Spencer i Chad wspierali swoje kobiety, stojąc wiernie u ich boku.

Kathleen oparła się wygodnie i odezwała swobodnym, aczkolwiek nieco sarkastycznym tonem:

- Tak więc ożeniłeś się ze swoją kochanką. No i dobrze. Ale dlaczego musiałeś umrzeć, by to uczynić?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- To był pomysł Alberta. Ja miałem wydać obie córki za mąż, zapewniając mały posag, i mieć je z głowy. Ale on zwrócił mi uwagę na temperament Amandy i musiałem przyznać mu rację. Bez ciebie, moja droga, było tu bardzo spokojnie. Miałem dość twoich wrzasków i trzaskania drzwiami.

Amanda na chwilę zaniemówiła, co pozwoliło zabrać głos Kathleen.

- Tak więc zorganizowałeś to wszystko tylko dlatego, ponieważ uznałeś, że Amanda podniesie raban z powodu twojego ponownego ożenku? To chyba lekka przesada, nie sądzisz, braciszku?

Mortimer roześmiał się.

- Ty zawsze ujmowałeś rzeczy w dziwny sposób, Kathy. Nie, to był tylko jeden z powodów.

- Są jakieś inne?

- W rzeczy samej. Pragnąłem nie tylko zacząć wszystko od początku z drugą żoną. Chciałem mieć syna;

- Dlatego ożeniłeś się ze swoją kochanką?

Nie odpowiedział na to pytanie wprost.

- Nie widziałem powodu, dla którego miałbym oddawać córkom dorobek swojego życia. Wyjdą za mąż, zmieniają nazwisko i już nie moim zmartwieniem będzie łożenie na ich utrzymanie. To jedna strona medalu. Majątek Mortimera Latona dostałby się w ręce mężów Amandy i Marian, a na to nie mogłem pozwolić, mając syna.

- Rozumiem, że udało ci się wprowadzić w błąd dziewczęta - odezwała się Kathleen. - Ale jak to możliwe, że dało się oszukać całe miasto?

Mortimer uśmiechnął się.

- Ponieważ oprócz Bridgesa nikt nie wiedział, że umarłem.

- Nie rozumiem. Człowiek z taką pozycją...

- Pozwól mi skończyć - przerwał jej. - Wiadomość o mojej śmierci i pogrzebie zaplanowaliśmy co do minuty, tak by dziewczęta wsiadły na statek, zanim będą miały okazję z kimkolwiek porozmawiać. Żałobnicy z kondolencjami byli odprawiani od drzwi. W gazecie ukazującej się w Haverhill nie zostało zamieszczone zawiadomienie o moim zgonie, ale one i tak rzadko ją czytały, by się nad tym zastanawiać. Tylko jeden z zalotników Amandy wiedział o mojej „śmierci”. Przygotowaliśmy dla niego stosowną bajeczkę, ale on i tak wyjechał z miasta zdruzgotany odrzuceniem przez Amandę.

- A twoja służba? Czy zapłaciłeś im za to, by trzymali buzię na kłódkę?

- To byłoby już naprawdę marnotrawienie pieniędzy. Nie, bajeczka wymyślona na użytek zalotników Amandy wystarczyła: umarłem, ale mojego ciała nie znaleziono.

- Tak, rzeczywiście nikt nie zastanawiał się, kto właściwie został pochowany.

- Właśnie. A ja udawałem, że złamana noga była przyczyną, że nie dotarłem na czas, by nie dopuścić do pogrzebu.

- Kiedy nastąpił twój „cudowny” powrót?
- Dzień po wypłynięciu statku z moimi córkami na pokładzie. Wszystko było ustalone tak, by odpłynęły, zanim wyjdzie na jaw nasza mała mistyfikacja. Kilku moich współpracowników zostało poinformowanych o mojej „śmierci”, w przeciwnym wypadku uznałyby za dziwne to, że żaden z nich nie pojawił się na pogrzebie.
- Ja nie - wtrąciła Marian.
- Mortimer puścił uwagę mimo uszu.
- Ci, którym powiedziano o mojej „śmierci” - kontynuował - zostali starannie wyselekcjonowani pod kątem tego, by nie byli zbyt inteligentni. Przyjęli moje wyjaśnienie, ciesząc się, że wróciłem, i o nic nie pytali.
- A konkurenci Amandy? - zapytała Marian. - Jak im wyjaśniłeś jej nieobecność?
- Podróż po Europie przed planowanym ustatkowaniem się.
- A to, że nie przechwalała się tym przed wyjazdem? - zapytała drwiąco Marian.
- Nie chciała robić im przykrości, że wyjeżdża na kilka miesięcy.
- A gdy nie wróciła w wyznaczonym terminie?
- Mortimer machnął lekceważąco ręką.
- Małżeństwo, rzecz jasna.
- Kathleen potrząsnęła głową.
- Taki misterny plan i po co to wszystko? Jeszcze nie umarłeś, Mort. Twój majątek należy do ciebie i możesz zrobić z nim, co tylko zechcesz. Nie musiałeś robić takiego zamieszania, żeby ustanowić tego chłopca twoim jedynym spadkobiercą.
- I pozwolić, by moje dzieci walczyły o spadek, kiedy prawdę odejdę? Amanda i Marian sądziły, że są jedynymi spadkobierczyniami. Starający się o rękę Amandy spodziewali się uszczknąć kawałek tortu. Nie mogłem pozwolić, by po mojej rzeczywistej śmierci ktokolwiek bił się o mój majątek. Nie będzie żadnych sporów. I nie byłoby, gdyby dziewczęta pozostały w Teksasie, dokąd zostały wysłane. Dlaczego wróciły? - zapytał z irytacją.

- Ponieważ twój człowiek od doskonałych pomysłów ale wykazał się sprytem, przysyłając mi listę nieruchomości, Amanda zorientowała się, że to stek bzdur. Sądziłyśmy, że Bridges ograbił dziewczęta ze spadku. To jedyny powód, dla którego się tutaj znaleźliśmy.

Mortimer westchnął.

- Tak, czasami potrafi być naprawdę głupi.

Jego żona syknęła z oburzenia, ale nie odezwała się ani słowem. Mortimer ożenił się z nią, żeby mieć syna, ale czy łączyło ich prawdziwe uczucie? Należało wątpić. On całą swoją miłość przelał na tego chłopca.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego po prostu nie zaczekałeś, aż dziewczęta wyjdą za mąż i wyprowadzą się stąd. Ludzie zaczynają życie od nowa nawet w późnym wieku, Mort. Często tak się dzieje.

- To prawda, teraz myślę, że tak byłoby najlepiej. Ale wolałem, żeby Amanda wyjechała z Haverhill. Trudno byłoby ją tutaj wydać za mąż, a sama z własnej woli nigdy nie opuściłaby tych stron. Poza tym jest zazdrosna. Tak łatwo nic pozwoliłaby mi ożenić się po raz drugi. Nie pogodziłaby się z tym, że uczyniłem mojego syna Andrew jedynym spadkobiercą.

- Chcesz mi powiedzieć, że musiałeś upozorować własną śmierć, bo tak zepsułeś swoją córkę, że nie wiedziałeś, jak sobie z nią poradzić?

- W zasadzie tak.

Zaczerwienił się, przyznając się do swojej słabości. Marian doskonale to rozumiała - przez wiele lat mieszkała z nim pod jednym dachem. Wiedziała, że Amanda potrafi wpaść w furję, a ojciec nie lubił tego rodzaju scen. W gruncie rzeczy nawet jej nie zdziwił jego pomysł, żeby usunąć Amandę na zawsze ze swego życia. Miał już nowego ulubieńca. Amanda nic już dla niego nie znaczyła i traktował ją jak kulę u nogi.

Marian nieszczęśliwie się tym wszystkim przejęła, ale prawdę mówiąc, trochę było jej szkoda siostry. Zasłużona kara? Nie jego postępowanie okazało się czymś więcej. To oznaczało, że

ojciec, którego ona uwielbiała, upozorował własną śmierć po to, by się jej pozbyć. Wychował Amandę na wielką egoistkę, faworyzując ją, ale nie przyznałby się do tego, nie uznałby, że wina leży po jego stronie. Pieniądze były kwestią poboczną. Nie zależało mu już na córce, zmęczył go trudny charakter jednej z bliźniaczek. Teraz mały Andrew stał się oczkiem w głowie Mortimera.

Byłoby znacznie, znacznie lepiej, gdyby Amanda i Marian nadal sądziły, że papa nie żyje.

Marian zerknęła na siostrę. Oczy Amandy były nieco szkliste od targających nią uczuć. Pięści miała zaciśnięte, ale panowała nad sobą.

- Jesteś żalosnym tchórzem, papo - odezwała się wreszcie, nadspodziewanie spokojnym tonem. - Wiedziałam, że nie umarłeś. Nie przyjmowałam tego po prostu do wiadomości. Od tej chwili nie istniejesz dla mnie.

Odwróciła się i opuściła jadalnię i dom. Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Spencer zbliżył się powoli do krańca stołu, przy którym siedział Mortimer. Starszy mężczyzna zaczął się podnosić, zaalarmowany wyrazem twarzy młodszego. Malował się na niej cały gniew, który nie pojawił się na twarzy Amandy. Pięść Spencera usadziła go z powrotem na krześle, łądując dokładnie między nosem a ustami.

- Nie martw się - rzekł z odrazą Teksańczyk. - Ja już skończyłem. To za moją żonę. Ona jest zbyt wielką damą, by samej to zrobić. Niepotrzebne jej twoje pieniądze, starcze. Przy mnie niczego jej nie zabraknie.

Spencer nie czekał na odpowiedź. Splunął Latonowi pod nogi i wyszedł w ślad za żoną.

Stuart wstał, przeciągnął się i wyciągnął ramię do Kathleen.

- Miałas szczęście, że udało ci się uciec przed tą zarazą, zanim nie zostałas zainfekowana, skarbie. Gotowa, by wracać do domu?

- Jak diabli! - Posłała mu szeroki uśmiech i przyjęła oferowane ramię. Zatrzymała się przy drzwiach, by po raz ostatni spojrzeć na brata.

- Wiesz co, Mort, wcale mi ciebie nie żal. Dostałeś to, na co sobie zasłużyłeś. Cóż za ironia, nie sądzisz, że właśnie opuściła cię jedyna osoba, która przejęłaby się tym, że nadal żyjesz. Cieszę się, że Amanda wykazała zdrowy rozsądek.

Wjadalni pozostali już tylko Marian i Chad. Do tej pory Mortimer nie zaszczycił córki ani jednym spojrzeniem. Jego żona nadał ją. To było bez mała komiczne. Mąż tak mało ją obchodził, że nawet nie dbała o to, by udawać troskę o jego rozbity nos.

Chad stanął za Marian, położył dłonie na jej ramionach i odezwał się na tyle głośno, by Mortimer usłyszał:

- Chcesz, bym go zastrzelił w waszym imieniu? Zrobię to.

Marian wybuchnęła śmiechem, ani trochę nie zaskoczona tym, że jest w stanie się śmiać w takich okolicznościach. Po prostu ojciec nie miał już na nią żadnego wpływu.

- Jesteś naprawdę słodka.

Przewrócił oczami. Słowa Marian uświadomiły mu, że to, co się wydarzyło, nie zraniło jej w takim stopniu jak Amandę.

- Ufam, że wiecie, gdzie są drzwi - odezwał się Mortimer lodowato.

Marian rzuciła mu krótkie spojrzenie przez ramię. Nie odezwałaby się, naprawdę nie odczuwała potrzeby konfrontacji z ojcem, zmieniła jednak zdanie. Ignorował ją, zamienił dzieciństwo w koszmar, cierpiała przez niego.

- Byłoby mi ciebie szkoda - rzekła swobodnym tonem. - Ale nie jesteś tego wart. Żal mi twego syna, bo wiem, że wychowasz na własne podobieństwo. O ile Andrew jest twoim synem...

- Wynoś się! - wrzasnął z wściekłością Mortimer.

- A może jest to jeszcze jedna farsa obmyślona przez przebiegłego prawnika, który najwyraźniej woli kłamstwa od prawdy - zakończyła Marian. Zauważyła, że siostra Alberta zrobiła się czerwona na twarzy. - Och, to naprawdę prze zabawne - dodała ze śmiechem. - Życzę ci szczęścia z nową rodziną, papo.

Statek odpływał następnego dnia. Pasażerom kazano stawić się na pokładzie wieczorem, gdyż kapitan wypływał w morze wraz z porannym odpływem. Stuart miał coś do załatwienia w Chicago, tak więc on i Kathleen wracali do Teksasu pociągiem. Spencer i Amanda zabrali się z nimi. Ella Mae zdecydowała, że skoro dziewczęta zamieszkają osobno, zostanie z Marian i będzie jej towarzyszyć w podróży poślubnej.

Marian przygotowywała bagaże do odtransportowania na statek. W hotelowej jadalni trwały przygotowania do pożegnalnej kolacji. Spotkają się dopiero za kilka tygodni w Twisting Barb. Pierwszy raz dziewczęta rozstaną się na dłużej niż jeden dzień.

Początkowo Marian ignorowała Amandę. Nie miała ochoty rozmawiać z siostrą o ojcu. Chciała zapomnieć o jego istnieniu. Pragnęła jedynie skupić się na swym nowym życiu i przyszłym mężu. Amanda otrzymała tego dnia druzgocący cios, jej życie nie było jeszcze ustabilizowane. Spencer wstawił się za nią w domu Mortimera i oświadczył, że zapewni jej dostatek, ale ona tego nie słyszała.

Od tamtej chwili nie odezwała się ani słowem. Chodziła po pokoju, dotykając z roztargnieniem przedmiotów. Marian wreszcie skończyła to, czym się zajmowała, i z westchnieniem usiadła na łóżku.

- Wiesz, że wychodzę za mąż. Jestem szczęśliwa. Kocham Chada. Pragnę zostać jego żoną. Znaleźliśmy drogę do siebie pomimo twoich wysiłków, by zniszczyć...

- Cieszę się, że wszystko sobie wyjaśniliście - przerwała jej Amanda. - Sądziłam, że od razu powiesz mi prawdę. Nie przyszło mi do głowy, że tak długo będziesz zwlekała z wyjawieniem jej i bezsensownie cierpiała.

Marian przyglądała jej się uważnie.

- Chad wspomniiał, że dzięki tobie ta historia zakończy się happy endem. Nie poznaję mojej siostry. Co cię tak odmieniło?

- Moim celem nie było zniszczenie waszego małego romansu. Koszmarne się nudziłam, czekając na ponowne odwiedziny Spencera. Myślałam, że natychmiast zdemaskujesz moje kłamstwo, będziesz tym wszystkim skrępowana, przestaniesz się wreszcie ukrywać, wyjdiesz za męża...

- Chwileczkę - przerwała jej Marian. - Jeśli próbujesz mi powiedzieć, że uknułaś tę intrygę, żeby wyswatać nas ze sobą, nie uwierzę. Pamiętaj, z kim rozmawiasz, siostrzyczko. Za dobrze cię znam.

- Nie bądź głupia. Sama się wyswatałaś. To przecież ty się z nim kochałaś. Oddałaś mu się z miłości. Ja jedynie nieco przyspieszyłam bieg wydarzeń, żeby było bardziej interesująco.

- Ponieważ się nudziłaś,

- Tak powiedziałam, ale to nieprawda. Przepraszam, Mari. Byłam podła, niepotrzebnie narażając cię na cierpienie.

- W porządku, czego chcesz, Mandy?

- Niczego.

- Akurat! Ty nie przepraszasz bez powodu. Nie czynisz także niczego tylko dlatego, aby być miłą.

- Mari, wiem, że mam wiele wad. Nie musisz ich teraz wymieniać. Można powiedzieć, że przebywając w Teksasie, z dala od ojca, wreszcie się przebudziłam. Gdy nie było go w pobliżu, by spełniać każdą moją zachciankę i utwierdzać mnie w przekonaniu, że wszystko mi się należy, zaczęłam dostrzegać, że niektóre z moich uczynków są po prostu... okropne.

Marian na chwilę zaniemówiła, po czym zapytała:

- O co w tym wszystkim chodzi?

- O Spencera - westchnęła Amanda. - On nigdy mnie nie pokocha tak, jakbym tego pragnęła, jak ciebie kocha Chad. Bawię go, to wszystko.

- To znaczy, że ty go kochasz?

- No cóż, oczywiście. Jest moim mężem, nieprawdaż?

- Przecież nie chciałaś za niego wyjść - przypomniała Marian.

Amanda machnęła ręką.

- Stwarzałam takie pozory. Nie mogłam pokazać Spencerowi, jak wiele dla mnie znaczy, gdy on zachowywał się wobec mnie obojętnie. Mam swoją dumę.

- Rozumiem, że Spencer nie dał ci się owinąć wokół palca? - odgadła Marian.

- Nie bądź sarkastyczna. To prawda, nie dał. W ogóle nie dba o to, czego ja chcę. Nie stara się mnie zadowolić.

- A ty?

- Co ja?

- Czy ty starasz się zadowolić Spencera?

Amanda prychnęła, zmarszczyła brwi i po namyśle wyznała:

- Raczej nie. Zbyt zajmowało mnie to, by nie pozwolić mu się domyślić, że go kocham.

Zabrzmiało to niezwykle znajomo. Marian także dołożyła wszelkich starań, żeby ukryć swoją miłość do Chada.

- Udzielę ci siostrzanej rady, ponieważ do niedawna zachowywałam się tak samo jak ty. Bądź z nim szczerą. Powiedz mu. Możliwe, że zaskoczy cię to, iż on też... ukrywał swe prawdziwe uczucia wobec ciebie.

Amanda uznała, że spróbuje i chyba to zrobiła, ponieważ podczas pożegnalnej kolacji wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną. Marian odciągnęła ją na bok, gdy wychodzili z hotelu. Powóz już czekał. Chad zatrzymał się, by zamienić kilka słów z ojcem.

- Powiedziałaś mu? zapytała konspiracyjnym szeptem.

- Tak.

- I co? On także cię kocha?

- Nie, wyparł się tego - odparła Amanda, uśmiechając się jednak. - Wiem, że kłamie, więc wszystko jest na najlepszej drodze.

Marian przewróciła oczami.

- Do zobaczenia w domu, Mandy.

Amanda roześmiała się filuternie i rzekła:

- Och, bardzo bym chciała mieć ślubny portret, jeśliby nie sprawiło ci to kłopotu. Będę rzucała w niego strzałkami, kiedy rozżłoszczę się na męża.

Marian nadal się śmiała, gdy zajmowała miejsce w powozie obok Chada. Zapytana o powód, odpowiedziała:

- Moja siostra ma osobliwo poczucie humoru.

Ślub wzięli następnego dnia na morzu i Marian odkryła, że dopiero ten dzień okazał się najszczęśliwszy w jej życiu. Nic nie da się porównać z euforią, jakiej doświadczyła w chwili, gdy powiedziała „tak”.

Chad sprawił, że ten dzień był szczególny pod każdym względem. Jak na kowboja był dość romantyczny. Przemycił na pokład kwiaty, które Ella Mae rozsypała po pokładzie podczas ceremonii, tak by Marian zobaczyła je dopiero w chwili, gdy składali sobie przysięgę. Zaaranżował kolację przy świecach. Napełnił kieliszki szampanem i patrząc Marian głęboko w oczy, wyznał miłość. Spełniwszy toast, odrzucił kieliszek za siebie.

- Na szczęście - wyjaśnił.

Przytulił ją mocno i wskazując na księżyc w pełni, przysięgał, że zamówił go specjalnie dla niej.

Jeszcze długo w noc stali na pokładzie statku kołyszącego się łagodnie na falach i wsłuchani w ich cichy szept, rozkoszowali się tą chwilą. Na zawsze zapamiętają ten wieczór spędzony pod baldachimem utkanym z gwiazd. W końcu Chad poprowadził Marian do kabiny. Żartowali, że jeszcze nie kochali się we właściwy sposób, więc muszą spróbować jeszcze raz - i jeszcze raz. Było to kolejne wspomnienie do kolekcji. W pewnym momencie Marian była nawet przekonana, że załamało się pod nimi łóżko.

Oboje byli wyczerpani, ale to nit¹ powstrzymało Chada przed przyciągnięciem Marian do siebie, a kiedy kilka pocałunków na dobranoc przedłużało się, odkryli, że wcale nie są zmęczeni.

Marian westchnęła z zadowoleniem i przytuliła się do Chada.

- Myślę, że wreszcie zrobiliśmy to właściwie - rzekła, po czym uśmiechnęła się sennie.

- Jesteś pewna, kochanie? - zapytał, przesuwając palcem po jej ramieniu, co wywołało w niej dreszcz.

Wyprostowała się ze zdumieniem.

- To niemożliwe, byś miał jeszcze siłę. Niemożliwe.

Chad zaśmiał się cicho.

- Nie, nie mam. Ale wkrótce będę miał, ponieważ nie sądzę, bym kiedykolwiek się tobą nasycił. - Złożył na jej ustach niezwykle czuły pocałunek. - Kocham cię, Mari. Mam zamiar przez resztę życia okazywać ci jak bardzo. Kiedy będziemy starzy i siwiuteńcy, a nasze wnuki otoczą nas kołem...

- Chwileczkę. Ile dzieci zamierzasz mieć, żeby wnuki mogły otoczyć nas kołem?

- Och, co najmniej pół tuzina. A może po prostu trzy pary bliźniąt?

Marian jęknęła.

- Bliźnięta! Tylko nie to.

- A ja bym nie miał nic przeciwko temu, bo jestem przekonany, że nasze dzieci będą wychowywane bez faworyzowania, z całą miłością i troską, jaką tylko będziesz w stanie im dać, ponieważ taka już jesteś. Nie dopuścisz do tego, by było inaczej.

- No dobrze, może dwie pary - zgodziła się z uśmiechem. - A kiedy będziemy starzy i siwiuteńcy?

- Niczego nie będziesz żałować, kochanie. Obiecuję ci to.

Wierzyła mu. Nigdy nie marzyła, że będzie taka szczęśliwa - z kowbojem, tylko kowbojem, ale za to jej własnym. Wreszcie miała mężczyznę tylko dla siebie.